

HORYZONTY ZDARZEŃ

ROBERT J.

SZMIDT

UCIECZKA ZBRAJU

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW
TOM II

Cykl rekomendowany przez
Nancy Kress, Mike'a Resnicka i Jacka Campbella



REBIS



ROBERT J.
SZMIDT

**UCIECZKA
ZRAJU**
POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW
TOM II



DOM WYDAWNICZY REBIS

=== =

PROLOG

System Valis 11, Sektor Zebra,

18.09.2354

– Ile jest gwiazd w naszej Galaktyce? – zapytał niespodziewanie komandor Garyan Zachs.

Szóstka rekrutów nie wyglądała już tak radośnie jak jeszcze przed chwilą, gdy nowy

przełożony opowiadał im o bazie Korpusu Zwiadowczego i misjach, w których – zapewne już

wkrótce – będą mogli wziąć udział.

– Czterysta siedemdziesiąt sześć miliardów – odpowiedział po krótkiej chwili wahania

Danthony Reyes, najmłodszy z zaciągu, szczupły, niski blondyn o bardzo wydłużonej twarzy,

siedzący w drugim rzędzie po prawej.

Poirytowany Zachs przymknął skośne oczy. To były podstawy wiedzy; coś, co każdy średnio

rozgarnięty człowiek, a w szczególności adept Orbitalnej Akademii Floty powinien

wyrecytować z pamięci w środku nocy, nawet gdy zostanie brutalnie wyrwany z najgłębszego

snu. Niestety w niewielkiej sali odpraw nie było w tym momencie ani jednego kadeta.

Komandor miał przed sobą najzwyczajniejszych w świecie rekrutów: zwabionych obietnicami

wielkiej przygody cywilów z najbardziej zapadłych dziur znanej przestrzeni. Sześcioro, mimo

że wielokrotnie zgłaszał dowództwu zapotrzebowanie na dziewięciu nowych

operatorów.

Za moich czasów... – pomyślał.

Za jego czasów na Rubieże leżące za Terytoriami Wewnętrznymi trafiała wyłącznie elita.

Tylko najlepsi z najlepszych mogli nadzorować bezzałogowe sondy wysyłane poza granice

zdobytej przez ludzkość przestrzeni. Dzisiaj, gdy daleki zwiad przestał być pełnym nadziei

kontaktem z nieznanym, odkrywanie i katalogowanie nowych systemów gwiazdnych składano

na barki nie asów, ale zwykłych przeciętniaków, takich jak ci chłopcy... – i dziewczyna,

poprawił się w myślach, zerkając w kierunku nazbyt szczupłej jak na jego gust mieszkanki

jednej z peryferyjnych stacji orbitalnych – których wiozł teraz na Valis 11, najdalej wysunięty

posterunek Federacji od strony centrum Galaktyki. I nie dziwota; po trzystu trzydziestu dwóch

latach eksploracji Ramienia Oriona wciąż nie natrafiono na żaden ślad zaawansowanej obcej

cywilizacji, który sugerowałby, że gdzieś tam, w mrowiu setek miliardów gwiazd, ludzkość

odnajdzie kiedyś braci w rozumie.

Na twarzy komandora pojawił się blady uśmiech. Nie do końca prawdziwe były

twierdzenia o braku życia w kosmosie. Znał jeden, choć niezbyt reprezentatywny wyjątek. Xan

4 z jego dwiema zwalczającymi się rasami. Wspomnienie uniesienia, z jakim oglądał pierwsze

przekazy z Bety, było w nim wciąż żywe. Wtedy wierzył, że jest świadkiem narodzin nowej

epoki, że współtworzy historię, nie bazy, nie korpusu, lecz całej cywilizacji... Dzisiaj czuł

jedynie gorycz porażki, której nie osłodził mu nawet zasłużony awans na komandora.

Obcy po bliższej obserwacji okazali się bardzo prymitywnymi stworzeniami, jego zdaniem

niegodnymi miana istot cywilizowanych, a admiralicja... Cóż, admiralicja postąpiła jak

zwykle w takich przypadkach. Odkrycie zostało natychmiast utajnione, nikt więc, prócz garstki

przydzielonych do projektu Dwa Słońca naukowców i żołnierzy, nie mógł się dowiedzieć

o pierwszym przełomie, który nie był aż tak wielkim sukcesem, jak początkowo sądzono, choć

w ogólnym rozrachunku przysłużył się korpusowi, i to bardzo.

Zwielokrotnienie budżetu, budowa niemal setki nowych sond, rozmieszczenie czterech

dotychczasowych baz dalekiego zwiadu na obu Rubieżach – wszystko to miało przyspieszyć tempo

eksploracji. I rzeczywiście, w ciągu zaledwie sześciu lat udało się przesunąć granice

Federacji o rekordowe osiemset parseków, aczkolwiek – pomimo wytężonej pracy setek ekip

i wysłania sond do ponad dwunastu tysięcy kolejnych systemów gwiazdnych –
Beta Xana 4

pozostała wyjątkiem i co gorsza, nic nie wskazywało, by w najbliższym czasie
miało się to

zmienić.

– Czterysta siedemdziesiąt sześć miliardów – powtórzył Zachs, ponownie
skupiając uwagę

na przysłanych mu rekrutach. – W drugiej połowie dwudziestego wieku
sądzono, że Droga

Mleczna składa się z około stu miliardów gwiazd, potem jednak, w miarę
rozwoju dostępnych

technologii, szacunki te zaczęły szybko rosnąć. W początkach dwudziestego
pierwszego

stulecia przyjmowano, że liczba ta może być dwukrotnie wyższa, pięćdziesiąt lat
później

podwojono ją raz jeszcze. Dzisiaj wiemy z całkowitą pewnością, że wokół
masywnych

czarnych dziur tworzących serce naszej Galaktyki krąży nie mniej niż czterysta
siedemdziesiąt

sześć miliardów gwiazd... – Zamilkł na moment, by aktywować holo. –
Przyjmijmy jednak na

chwilę, oczywiście dla ułatwienia, że jest ich pół biliona. – Światła w sali
odpraw przygasły,

a nad głową komandora pojawił się hipnotyzujący migotliwym blaskiem wir. –
Droga

Mleczna. Gdybyśmy poświęcali tylko sekundę na zbadanie każdego istniejącego
w niej

systemu, potrzebowalibyśmy niemal szesnastu tysięcy lat na pełną eksplorację wszystkich

ramion. Gdybyśmy poświęcali na to godzinę... dotarlibyśmy do ostatniej gwiazdy po

pięćdziesięciu siedmiu milionach lat. Szmata czasu, nieprawdaż? – zażartował, ale spięci

rekruci nie zauważyli tego momentu rozluźnienia. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dla

większości tych młodych ludzi jest to prawdopodobnie pierwsza tak daleka wyprawa

w przestrzeń. – Niestety prawda jest znacznie bardziej skomplikowana od szacunków. Chociaż

korpus dysponuje dzisiaj ponad trzystoma nowoczesnymi sondami dalekiego zasięgu, każda

z naszych misji trwa nie sekundy, nie godziny, lecz całe dni, a czasami nawet tygodnie. W tym

tempie, o ile nie zmienimy drastycznie metodologii poszukiwań polegającej na

systematycznym przeczesywaniu systemu po systemie, sektora po sektorze, przed końcem

tysiąclecia nie skolonizujemy nawet miejsca, w którym Ramię Oriona łączy się z Ramieniem

Perseusza. Kto mi powie, dlaczego tamtejsze skupiska gwiazd mają tak ogromne znaczenie?

Zgłosili się wszyscy – w końcu pytał o kolejną oczywistą oczywistość. Tym razem

komandor wybrał jedyną w tym gronie dziewczynę.

– Danaomi?

– Nie wiem dlaczego, ale tunele czasoprzestrzenne łączą gwiazdy znajdujące się w obrębie

konkretnego ramienia Galaktyki.

– Zgadza się. Jedyna znana nam droga do sąsiedniego Ramienia Perseusza biegnie przez ten

łącznik.

– A co z podróżami podprzestrzennymi? – zapytała po chwili wahania dziewczyna.

Zachs westchnął. Kolejna sprawa, o której nie musiałby wspominać, gdyby miał do

czynienia z zawodowcami.

– Napędy podprzestrzenne mają trzy podstawowe ograniczenia. Pierwsze to technologia:

nasze najpotężniejsze reaktory pozwalają na wykonanie skoków o maksymalnym zasięgu

półtora parseka. Drugie to czas: tego typu jednostki są o wiele wolniejsze. Tunele

czasoprzestrzenne pozwalają pokonać rok świetlny w niespełna kwadrans, a podróż na tę

samą odległość przy korzystaniu z podprzestrzeni zajmuje dwie doby standardowe. Trzecie to

precyzja. Z nieznanym nam jeszcze powodów nie jesteśmy w stanie wyliczyć dokładnie

punktu wyjścia. W dodatku im dalej skaczemy, tym rozrzut jest większy. Dlatego też

wykorzystujemy napęd podprzestrzenny wyłącznie w ruchu lokalnym, między systemami

leżącymi bardzo blisko siebie. Nie chcielibyście chyba się pojawić kilkanaście miliardów

kilometrów od celu podróży, zwłaszcza gdy reaktor jest przeciążony. Albo trafić w dysk

rozproszony systemu, nie mówiąc już o jego gwiazdzie centralnej, a takie przypadki

odnotowujemy kilka razy do roku... – Pokiwał głową ze smutkiem, wspominając los FSS

Magellan, jednej z pierwszych ofiar nowej technologii. Skok na maksymalny dystans

zakończył się wyjściem z podprzestrzeni niemal na granicy fotosfery lokalnej gwiazdy. Wielki

okręt badawczy wyparował w ułamku sekundy, a o jego zagładzie dowództwo dowiedziało się

z późniejszych analiz drgań pola grawitacyjnego. – Nie czarujmy się. Dopóki nie dotrzemy do

gromad gwiazd w rejonie łącznika, nie mamy co marzyć o podróżach po innych ramionach

Galaktyki...

– Dlaczego więc nie zaryzykujemy i nie pošlemy tam choć jednej sondy? – wpadł mu

w słowo czarny jak otaczająca ten okręt pustka Zahartur Gawrylenko, Noworosjanin i jedyny

w tym towarzystwie mundurowy, sierżant policji z jakiejś zapyziałej kolonii górniczej, której

nazwy nie dało się wymówić. – Moglibyśmy uzyskać wiele odpowiedzi już teraz, nie

czekając, aż...

Uniesiony palec komandora ostudził zapał rekruta.

– Myślisz, chłopcze, że tobie pierwszemu to przyszło do głowy?

Zdezorientowany Gawrylenko milczał, pozostali spoglądali na niego niepewnie, zerkając

od czasu do czasu w kierunku rozbawionego Zachsa.

– Korpus wysłał już sondy do łącznika? – Krępujące milczenie przerwała dopiero

Danaomi Ritter.

W jej głosie komandor wychwycił zdziwienie, a nawet szczyptę niedowierzania.

– Tak. Wysłaliśmy sondę do jednej z gromad kulistych łącznika – potwierdził po chwili

zastanowienia.

Spodobała mu się reakcja Noworosjanina.

Może chociaż on nie będzie kolejnym tępym narzędziem w rękach przełożonych i wykaże

kiedyś inicjatywę, jak oficerowie, z którymi niegdyś pracowałem – pomyślał.

– Czterdzieści osiem lat temu admiralicja, zniechęcona kilkoma dekadami ciągłych

niepowodzeń, uległa namowom kierownictwa naszej bazy i zgodziła się na wyjątkową misję

bardzo dalekiego zasięgu – powiedział, rozsiadając się wygodniej. – Celem sondy miała być

gromada kulista znajdująca się w samym sercu rozwidlenia. Rozumowaliśmy tak: to przecież

jedyny węzeł komunikacyjny obu ramion. Jedyna droga do centrum Galaktyki z Perseusza.

Jeśli w Drodze Mlecznej istnieje życie rozumne, to właśnie tam znajdziemy jego ślady.

Dowództwo wydzieliło specjalny zespół, w którym znalazło się szesnastu najlepszych

operatorów, w tym i ja... – Zachs przerwał, jakby do niego dotarło, że wykład

wprowadzający zszedł na niewłaściwe tory, ale jego wahanie było krótkie. Niech posłuchają,

może zainspiruje ich do czegoś więcej niż rutynowe odbębniwanie służb. – Wtedy mapowaliśmy

niezbadaną przestrzeń nieco inaczej, niż robi się to teraz. Nie było jeszcze mierników van

Vogta, dzięki którym jesteśmy w stanie mierzyć napięcia i odkształcenia przestrzeni, więc

nasza sonda po dotarciu do kolejnego systemu wysyłała drony do wszystkich nowo odkrytych

studni grawitacyjnych, by sprawdzić, dokąd prowadzą. Po ich powrocie nanosiliśmy dane na

holomapę i wybieraliśmy kolejny cel lotu. Trzy lata i osiem miesięcy, tyle potrzebowaliśmy,

by znaleźć drogę do łącznika. Wykonaliśmy w tym czasie trzysta dziewięćdziesiąt cztery skoki,

z czego dwieście sześćdziesiąt osiem było chybionych. Czasami musieliśmy się cofać o osiem

albo nawet dziesięć tuneli czasoprzestrzennych, żeby wrócić na właściwą drogę.
Ale w końcu

dopięliśmy swego... – zawiesił głos, a potem spuścił głowę.

– I co odkryliście? – zapytał po chwili niezręcznej ciszy ktoś z pierwszego rzędu.

Zachs westchnął ciężko.

– Nic. Zupełnie nic. Ani po drodze, ani w łączniku, choć przeczesywaliśmy lokalną

gromadę kulistą przez niemal pół roku, badając każdy tunel czasoprzestrzenny, jaki udało się

tam znaleźć. Trafialiśmy tylko na martwe planety krążące wokół najzwyczajniejszych

w świecie gwiazd. Nie zobaczyliśmy nic, czego byśmy wcześniej nie widzieli na tysiącach

zbadanych światów naszego ramienia. Coś wtedy pękło w ludziach, przekonałem się o tym na

własnej skórze. To był chyba ten moment, w którym ostatecznie straciliśmy nadzieję na

znalezienie braci w rozumie. Po zakończeniu misji zostawiliśmy sondę z przekazem o naszym

istnieniu w łączniku i wróciliśmy do rutynowych lotów, by skupić się na systematycznym

przeczesywaniu bliższej przestrzeni. Kolejne trzydzieści osiem lat...

– Chyba czterdzieści cztery – przerwał mu Gawrylenko. – Jeśli misja do łącznika zaczęła

się czterdzieści osiem lat temu...

Zachs otrząsnął się z zamyślenia. Mało brakowało, a zdradziłby tym szczyłom odkrycie

Bety.

– Tak, przepraszam. Rozkojarzyłem się trochę tymi wspomnieniami. Wracając do

właściwego tematu naszego spotkania, od jutra zacznę was wprowadzać w procedury. Potem,

po zdaniu wszystkich testów, dostaniecie przydziały do... – Znów zamilkł, tym razem

zaskoczony pojawieniem się nowej ikonki na holokonsoli. Rubinowy punkt mrugał miarowo,

informując go o oczekującym połączeniu. Chodziło o audiowizualne połączenie kwantowe,

z Gammy, terraformowanej planety, wokół której krążyła stacja korpusu. To musiało być coś

pilnego, inaczej władze kolonii górniczej nie zezwoliłyby na takie obciążenie swoich, niezbyt

przecież wydajnych, reaktorów. – Wybaczcie na moment – mruknął, aktywując pole izolacyjne

wokół stanowiska i równocześnie włączając projektor. Na opalizującej ścianie pojawiła się

widmowa twarz starszego brodatego mężczyzny o oliwkowej skórze, haczykowatym nosie

i bardzo głęboko osadzonych oczach. – Słucham, zarządco Rami...

– Mamy problem ze stacją monitorowania strefy skoku! – wypalił podenerwowany

mężczyzna, zanim jego rozmówca zakończył grzecznościową formułkę powitania, i zaraz

dodał: – Dwie godziny temu otrzymaliśmy informację o wzmożeniu aktywności studni

grawitacyjnej numer pięć, sugerującym wyjście z nadprzestrzeni niewielkiej jednostki, chwilę

później nadeszły dane potwierdzające wykonanie skoku i... – Umilkł na moment, jakby musiał

zebrać myśli. – Tutaj robi się dziwnie. Po pięciu sekundach nadszedł komunikat o kolejnym

skoku, tym razem w przeciwnym kierunku, a potem stacja zamilkła na dobre.

– Nie pinguje...? – zaczął komandor, zanim dotarł do niego właściwy przekaz. Studnia

numer pięć prowadziła do systemu znajdującego się nadal poza granicami Federacji, korzystając

z niej więc mogły wyłącznie sondy korpusu. Żadna z nich jednak nie była w stanie wykonać

manewru, o jakim mówił zarządca. Przygotowanie sprzętu do ponownego skoku trwało co

najmniej sześć minut.

– Możecie sprawdzić, o co chodzi? – Ramirez wykorzystał moment wahania rozmówcy.

Każda sekunda tego połączenia zwiększała koszty. – Wasz okręt znajduje się teraz w połowie

drogi między Gammą a strefą skoku. Dotrzecie na miejsce w niespełna czterdzieści osiem

godzin, pięć razy szybciej niż jakakolwiek nasza jednostka.

Komandor zaklął pod nosem. Awaria stacji monitorowania rodziła poważny problem dla

kolonistów, nie mówiąc już o bazie. Wszystkie wyloty tuneli czasoprzestrzennych znajdowały

się w wąskim pasie przestrzeni zaledwie ćwierć jednostki astronomicznej od fotosfery

gwiazdy tego systemu, dokładnie w płaszczyźnie ekliptyki Drogi Mlecznej. Krótko mówiąc,

gdyby przeciętny człowiek mógł zobaczyć te anomalie, ujrzałby kłębowisko gigantycznych

węży wijących się za mknącą przez pustkę kosmosu gwiazdą. Galaktyka, wbrew pozorom, nie

była bowiem monolitem. Pojedyncze gwiazdy, gromady, mgławice, wszystkie elementy

szerokiego na sto siedemnaście tysięcy lat świetlnych wiru mknęły przez bezbrzeżną pustkę

z różnymi prędkościami, czasami różniącymi się o dziesiątki tysięcy kilometrów na

sekundę, zatem nic dziwnego, że łączące je studnie grawitacyjne także pozostawały w ciągłym

ruchu. Mogło się nawet zdarzyć, że nadmiernie rozciągane rwały się i znikwały, choć w skali

ludzkiego życia było to zjawisko niezwykle rzadkie. W ciągu ostatnich dwóch stuleci nauka

odnotowała tylko dwa takie przypadki. Raz zdarzyło się też, że czerwony olbrzym przechwycił

biegnącą w jego pobliżu anomalię, dzieląc ją i tworząc „punkt przesiadkowy”, jak określano

to zjawisko w nieoficjalnych raportach pionu badawczego. Naukowcy obserwowali teraz ten

system, by sprawdzić, czy dalszy ruch gwiazdy nie doprowadzi do ponownego scalenia

przepełnionego tunelu nadprzestrzennego.

Brak działającej stacji monitorowania oznaczał konieczność wstrzymania odlotów

z systemu. Wprawdzie ruch na Valis 11 nie należał do największych – tylko dwie z sześciu

odkrytych tu anomalii prowadziły na terytoria Federacji – ale i tak strefa skoku obsługiwała

kilka, a czasami nawet ponad dziesięć frachtowców na dobę. Do tego trzeba było dodać

wszystkie statki kurierskie, teledrony oraz prywatne jednostki należące do ludzi zatrudnionych

w kopalniach Gammy i Kappy. No i sondy korpusu, które korzystały z pozostałych czterech

studni. Czterdzieści osiem godzin lotu wewnątrzsystemowego – bo tyle potrzebował FSS

Waltherne Ruthford na dotarcie do strefy skoku – oszczędzi górnikom trzy, a może nawet

cztery doby przestoju. Ich jednostki remontowe były naprawdę powolne, zwłaszcza

w porównaniu z potężnym okrętem wojennym.

Kolejnym impulsem skłaniającym komandora do udzielenia pomocy kolonistom był fakt, że

do uszkodzenia stacji monitorowania musiała doprowadzić któraś z powracających sond. Ze

studni prowadzących poza granicę nie przylatywało na Valis 11 nic, co nie należało do

Korpusu Zwiadowczego.

– Zajmiemy się tym – obiecał Zachs, widząc, że spoconemu zarządcy zaczyna nerwowo

drgać powieka. – Jeśli awaria stacji nastąpiła z naszej winy, dokonamy wszystkich napraw na

koszt korpusu. Jeśli sprzęt korporacji zawiódł z innego powodu, rozliczymy się jak zwykle.

Ramirez skinął szybko głową i rozłączył się bez zbędnych pożegnań. Każda sekunda tej

rozmowy pozbawiała jego kolonię kolejnych, jakże cennych megawatów energii. Komandor

spojrzał na timer. Połączenie trwało niemal minutę. Górnicy na pewno nie będą zadowoleni

z dzisiejszego przymusowego zaciemnienia – pomyślał, wyłączając pole izolacyjne.

– Mam dla was świetną wiadomość – rzucił w kierunku zaniepokojonych rekrutów. – Nasz

lot potrwa nieco dłużej, niż przypuszczałem. Wracamy do strefy skoku, by udzielić pomocy

technicznej tutejszej kolonii. Zanim dotrzemy do bazy, zdążymy przeciwżyć w polu

standardowe procedury alarmowe i ratunkowe, które i tak musielibyście zaliczyć przed

przyznaniem podstawowych kodów dostępu.

* * *

– Dziwne – mruknął Zachs, wpatrując się w przepływające przez wyświetlacze komputerów ciągi danych. – Sprawdźcie to jeszcze raz – polecił, odwracając się do

podoficerów siedzących na kolistych stanowiskach operacyjnych po prawej. To oni

odpowiadali za łączność i sensory.

– Tak jest! – Zwięzła odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

Tu nie było czasu ani miejsca na dyskusje, choć zarówno komandor, jak i jego podwładni

doskonale zdawali sobie sprawę, że ponowne skanowanie przestrzeni nie może przynieść

niczego nowego.

FSS Walternest Rutheford dotarł do strefy skoku przed planowanym czasem, po niespełna

czterdziestu dwu godzinach lotu. Tak blisko gwiazdy można było podlecieć jedynie przy

włączonych na maksymalną moc polach siłowych. Krążownik klasy Minotaur nie miał z tym

jednak najmniejszego problemu. Jego generatory osłon, jak w przypadku każdego dużego

okrętu wojennego, dysponowały ogromnymi rezerwami nawet wtedy, gdy główny reaktor

pracował na pełnych obrotach od wielu godzin, a tak właśnie się stało, ponieważ Zachs chciał

jak najszybciej znaleźć się na miejscu i wyjaśnić sprawę.

Korpus nie dysponował niestety nagraniami z momentu katastrofy – a z nią najwyraźniej

mieli do czynienia, sądząc po rozplywającej się z wolna chmurze szczątków – ponieważ

Gamma, stacja orbitalna i transportowce w liczbie siedmiu, zmierzające obecnie w kierunku

strefy skoku, znajdowały się w czasie zdarzenia po drugiej stronie gwiazdy centralnej,

znacznie dalej niż krążownik. Jedynymi dowodami pozostawały więc odczyty sensorów

i przechwycone wcześniej transmisje kwantowe, które – Zachs musiał to przyznać niemal od

razu – niczego nie wyjaśniały.

Wielokrotnie odczytywał zwięzły komunikat zawierający informację o aktywności studni

numer pięć. Potem nadeszło jeszcze krótsze potwierdzenie wykonanego skoku i pięć sekund

później odbiorniki zarejestrowały kolejny sygnał, tym razem dotyczący wejścia w nadprzestrzeń tego samego obiektu. I to by było na tyle.

Nic tu nie pasowało. Po pierwsze: tego dnia standardowego nie przewidywano powrotu

żadnej z osiemnastu sond badających pobliskie sektory przestrzeni. Po drugie: wszystkie

urządzenia przebywające za granicami Federacji wysłały prawidłowy sygnał zwrotny, po tym

jak komandor zarządził natychmiastową kontrolę wykonywanych misji. Po trzeciej:

w przestrzeni przy strefie skoku znaleziono tylko czarną skrzynkę zniszczonej stacji

monitorowania. Ściągnięte z niej dane nie pomogły jednak w wyjaśnieniu zagadkowej kolizji.

Eksploatująca bogactwa Valis 11 firma StarMin była typową korporacją nastawioną na

maksymalizację zysków, nic więc dziwnego, że oszczędzała, na czym tylko mogła. Zwłaszcza

tutaj, na Rubieżach, gdzie mało kto liczył się z przepisami i ludźmi. W każdym cywilizowanym

systemie tak wiekowa stacja trafiłaby już dawno na złom, tutaj jednak posłużyłaby jeszcze

wiele lat, gdyby nie to niefortunne zdarzenie.

Z trzech przepisowych rejestratorów działał tylko jeden, a i to nie do końca. Ktoś odłączył

w nim moduł zapisu wizji, zapewne aby zmniejszyć do minimum obciążenie zabytkowych

procesorów. Zachs nie zdziwił się więc specjalnie, gdy jego technicy wydobyli z pamięci

czarnej skrzynki informacje o tym, że wspomnianej ingerencji dokonano już kilka lat temu. Dla

korporacji najważniejszy był przekaz kwantowy – tylko dzięki niemu koloniści mogli

kontrolować zdalnie ruch pozasystemowy. Problemami wynikającymi z niemożności ustalenia

przebiegu ewentualnego wypadku nikt więc nie zaprzętał sobie głowy. Słyszał ktoś w ogóle

o zniszczeniu takiego sprzętu podczas kolizji z obiektem wychodzącym z nadprzestrzeni?

Komandor nie pamiętał takiego wydarzenia, a miał za sobą kilka dekad czynnej służby

w sektorach zewnętrznych. Ale – jak słusznie zauważył kiedyś jego zastępca – zawsze musi

być pierwszy raz. Pech chciał, że do tego nietypowego wypadku doszło właśnie tutaj i teraz.

Jedno wszakże komandor ustalił ponad wszelką wątpliwość. Nie chodziło o przypadkową

kolizję stacji z uszkodzoną sondą. Korpus nie będzie więc musiał wypłacać górnikom

odszkodowania, a wręcz przeciwnie, otrzyma od zarządu kolonii całkiem ładną sumkę za

przeprowadzenie akcji ratunkowej i użyczenie sprzętu zastępującego zniszczoną stację do

czasu, aż StarMin sprowadzi na Rubieże jakiś nowy złom.

Mimo to Zachs czuł podskórną niepokój. Choć wykonał skany i przeprowadził skrupulatne

dochodzenie, nadal nie wiedział, co zniszczyło stację. Z dostępnych danych i kolejnych analiz

rozproszenia szczątków wynikało, że kilkadziesiąt godzin wcześniej doszło tutaj do

bezpośredniego zderzenia z obiektem, który wyszedł z nadprzestrzeni. I to właśnie było

najdziwniejsze w tej całej sprawie.

Ludziom nawykłym do życia na planetach mogłoby się wydawać, że takie zderzenie to nic

szczególnego: licząca osiemdziesiąt metrów średnicy walcowata stacja wisiała przecież na

wprost wylotów studni grawitacyjnych. To tak, jakby ktoś ustawił grawiolot na wprost

wielonitkowego tunelu transkontynentalnej lotostrady. Coś wyleciało z nadprzestrzeni pod

niewłaściwym kątem, nie wyhamowało w porę, nie skręciło kiedy trzeba... Bzdura.

W przestrzeni kosmicznej odległości są tak duże, że przystawianie do nich planetarnych miar

nie ma najmniejszego sensu. Stacja o średnicy osiemdziesięciu metrów wisiała na wprost

wylotów tuneli czasoprzestrzennych, to prawda, ale w odległości pół sekundy świetlnej od

nich. Sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od miejsca, w którym statki wylądowały się

z nadprzestrzeni. Poza tym silniki manewrowe ustawiały ją zawsze tak, by znajdowała się

poza przypuszczalnymi wektorami nadlatujących jednostek. A gdyby nawet zawiodły tym

razem, to prawdopodobieństwo, że kilkusetmetrowy obiekt wyrzucony ze studni grawitacyjnej

o średnicy od tysiąca do trzech tysięcy kilometrów wyrznie akurat w stację monitorowania,

było mniejsze niż szansa na trafienie trzy razy z rzędu głównej wygranej w Galotto. To nie

miało prawa się zdarzyć, chyba że...

Chyba że to, co przyleciało na Valis 11, miało za zadanie zniszczyć stację monitorowania!

Charakterystyka zmian napięcia grawitacyjnego wskazywała, że chodzi o bardzo mały

obiekt mający zaledwie jedną ósmą masy sondy korpusu. Co tak niewielkiego mogło

przylecieć z przestrzeni zewnętrznej? – zastanawiał się komandor, gdy jego wyświetlacze

ponownie ożyły. Wypełniające holoekrany dane, zgodnie z przewidywaniami, nie zmieniły się

ani na jotę. Czymkolwiek był przybysz spoza granic Federacji, wyparował bez śladu. Każdy

z namierzonych szczątków należał do zniszczonej stacji. Czujniki masy Rutheforda nie mogły

się mylić.

Zachs pogładził się wolno po gładko ogolonej szczęce. Czyżby był świadkiem jakiejś

nielegalnej operacji na dużą skalę? Słyszał kilkakrotnie o prywatnych sondach wysyłanych do

niezbadanej jeszcze części ramienia. Najbogatsze firmy próbowały w ten sposób wyprzedzić

konkurencję w wyścigu do nowych złóż. Do wybuchu wojny domowej miały możliwość

legalnego wykupienia praw eksploracyjnych w zbadanych przez siebie systemach, potem

jednak ta polityka uległa daleko idącym zmianom, a szesnaście lat temu niespodziewanie

zatrzaśnięto ostatnią furtkę dopuszczającą wielki biznes do bogactw, które czekały wciąż na

odkrycie. Komandor nie wiedział, czym spowodowany był ten ostatni ruch władz, ale

przeczuwał, iż korporacje nie poddały się tak łatwo i nadal robią swoje, tyle że w sekrecie.

Nigdy wcześniej nie natknął się na ślady nielegalnej eksploracji, ale nie wykluczał

możliwości, że zniszczenie stacji było sprawką ludzi, którzy pragnęli zataić swój powrót na

terytorium Federacji. Z każdą chwilą nabierał większej pewności, że tak właśnie jest. Jeśli

przecucie mnie nie myli – rozmyślał – lada moment studnia numer pięć znów się uaktywni

i statek badawczy korporacji spróbuje wejść do tego systemu, by zaraz wykonać kolejny skok

do innego systemu, najprawdopodobniej niezamieszkanego przez ludzi, ale leżącego już po tej

stronie granicy. Dwa, trzy takie skoki i łamiąca blokadę jednostka rozplynie się w przestrzeni,

a naukowcy i dane znajdujące się na jej pokładzie trafią – po przesiadce na inne

statki – do

siedziby korporacji...

Jednego komandor był bowiem pewien: w żadnej z pięciu studni nie doszło po katastrofie

do napięć świadczących o wykonaniu skoku – mierniki van Vogta w obserwatoriach na

Gammie, stacji korpusu i jego krążowniku nie zanotowały najmniejszego drgnięcia pola

grawitacyjnego po feralnym momencie.

Jego teoria miała wszakże poważną lukę – chodziło o ostatni komunikat stacji, mówiący

o skoku powrotnym, który nieznana jednostka wykonała niespełna pięć sekund po przylocie.

Komandor był pewien, że nawet flota nie dysponuje technologiami pozwalającymi na tak

szybkie wykonanie zwrotu i ponownego skoku, a dla wojska pracowali przecież najlepsi

z najlepszych, którzy jeśli komuś ustępowali, to tylko ekipom zatrudnianym w ośrodkach

badawczych gigantów przemysłu wydobywczego. Czyli korporacji. I tak zamykało się błędne

koło.

Sześć minut. Tyle trwał najkrótszy odwrót w nadprzestrzeń. Zachs nie mógł i nie chciał

uwierzyć w to, że jajogłowi siedzący w kieszeni jakiegoś koncernu dokonali aż tak wielkiego

przełomu. Skrócenie wspomnianego czasu o połowę wydawało się realne, sam przecież

słyszał, jak na odprawach pionu naukowego jego stacji zastanawiano się, czy warto

inwestować w technologie pozwalające na podobne osiągi, ale siedemdziesięciokrotne

przyśpieszenie tego procesu? Nie, to czyste science fiction – uznał po chwili namysłu.

– Komandorze! – z rozważań wyrwał go głos bosmana Honveda, który odpowiadał na tej

wachcie za skanery. – Rejestrujemy wzmożoną aktywność studni numer pięć.

A więc jednak! – ucieszył się Zachs. Kimkolwiek byli dranie, którzy rozpieprzyli stację,

właśnie nadlatywali, pewni swego. Jeśli przeprowadzili dokładne rozpoznanie – a nie

wyobrażał sobie, żeby ktoś, kto ryzykuje miliardy kredytów, robił takie numery w ciemno – to

świetnie znali rozkład lotów frachtowców i wiedzieli, że koloniści będą potrzebowali trzech

dni standardowych na naprawienie wyrządzonych im szkód i odzyskanie pełnej kontroli nad

studniami grawitacyjnymi. Jednego tylko nie mogli przewidzieć: że w pobliżu strefy skoku

znajdzie się przypadkiem krążownik korpusu.

– Ogłosić alarm bojowy – poleciał przez ramię.

Zamierzał przekonać współdowódcę, że złoczyńcom należy przygotować

naprawdę gorące

powitanie. Załodze przyda się odrobina rozrywki, a kto wie, czy sztab nie doceni takiej

postawy i nie nagrodzi rozpieprzenia nielegalnych eksploratorów czymś więcej niż tylko

zwyczajową pochwałą.

– Napięcie wciąż rośnie – zameldował bosman. – Charakterystyka drgań sugeruje, że może

chodzić o kilka dużych obiektów.

To była niepokojąca wiadomość.

– Jak dużych? – spytał Zachs.

– Odpowiadających co najmniej klasie Sword. – W głosie Honveda dało się słyszeć

zdenerwowanie.

Sword był podstawowym modelem korwety floty. Mierzył od dziobu do rufy sto

dziewięćdziesiąt metrów, nie licząc znajdujących się za kryzą rufową dysz pędnika. To nadal

niewiele w porównaniu z pełnowymiarowym krążownikiem, ale...

– Przy tym tempie wzrostu odczytów możemy spodziewać się przylotu jednostek wielkości

niszczycieli trzeciej generacji – rzucił w kierunku stanowiska dowódcy pionu wojskowego, po

tym jak bosman raz jeszcze przeliczył napływające dane.

– Albo dużych frachtowców – dodał obojętnym tonem kapitan Attanasio, opadając ciężko

na kokon fotela.

Sądząc po roztaczanym zapachu, alarm zastał go w mesie. Nie pytał o sytuację, sprawdził ją

sam, zanim dotarł na mostek. Nie wydawał się jednak zaniepokojony; wierzył niezachwianie

w odstraszającą moc niemal czterystumetrowego okrętu wojennego, a jeszcze więcej nadziei

pokładał w najnowocześniejszych systemach uzbrojenia. Siła ognia Rutheforda dorównywała

niektórym pancernikom poprzedniej generacji. Tylko szalenie chciałby wejść w kontakt

bojowy z taką potęgą.

– Trzydzieści sekund do wyjścia pierwszego obiektu z nadprzestrzeni! – zameldował

zgodnie z regulaminem Honved, choć wszyscy mieli te dane na swoich wyświetlaczach.

– Dajemy czadu? – spytał Zachs, wskazując głową stanowiska bojowe.

Attanasio spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Chcesz ich rozwalić zaraz po wejściu do systemu?

– Nie – odparł komandor. – Ale myślę, że mały pokaz siły nie zaszkodzi. Te sukinsyny

zniszczyły stację monitorowania, żeby ukryć swój powrót na terytorium Federacji. Jeśli nie

zastosują się do naszych poleceń...

– Tak, wiem, trzy strzały ostrzegawcze w brzuch, a potem zaczynamy negocjacje – mruknął

kapitan, rozcierając palce nad wirtualnymi klawiaturami. Wprowadził kilka komend i nagle

zamarł. – A jeśli to są... – zawiesił znacząco głos, spoglądając na współdowódcę z pionu

nawigacyjnego.

Zachs się skrzywił. Myśl o Obcych odrzucił na samym początku, jako najbardziej

niedorzeczną. Teraz jednak, na kilkanaście sekund przed wyjściem tamtych z nadprzestrzeni,

poczuł ukłucie niepewności. W tym samym momencie dotarło do niego, że ludzie łamiący

blokadę nie musieli wracać na terytorium Federacji przez zamieszczany system. Mogli bez

problemu prześlizgnąć się przez któryś z sąsiednich, martwych i niepilnowanych układów

planetarnych, gdzie zniknęliby naprawdę bez śladu. Dlaczego więc wybrali miejsce, w którym

prócz sporej kolonii górniczej znajdowała się także duża baza korpusu?...

– Dziesięć sekund do skoku – zameldował Honved, wyrywając komandora z zamyślenia.

Attanasio wprowadził ostatni kod aktywujący broń, zanim rozpoczęło się ostateczne

odliczanie. – Trzy, dwie, jedna...

Wbrew pokutującym opiniom wyjście z nadprzestrzeni nie jest widowiskowym zjawiskiem.

Spoglądasz w bezdenną ciemność pustki i nagle widzisz na tle odległych gwiazd

lejący

spokojnie obiekt. Tam, gdzie przed milionową, a nawet miliardową częścią sekundy nie było

nic, przestrzeń „puchła” – tak to właśnie wyglądało, choć ludzkie oko nie było w stanie tego

zobaczyć – a gdy bąbel „pękał”, czemu nie towarzyszyły żadne błyski, eksplozje ani

wyładowania, na jego miejscu pojawiał się wychodzący z nadprzestrzeni okręt. Tylko

najszybsze sensory były w stanie uchwycić ten proces, ale nagrane za ich pomocą holo nie

porywało widza. Na jednej klatce była pustka, na drugiej wybrzuszenie, na trzeciej przybysz

w pełnej krasie. Oprócz takich obrazów rejestrowano tylko drgania grawitacji, które

rozchodziły się wokół punktu skoku jak fale po wodzie. Ich natężenie zależało od masy obiektu

wypluwanego do trójwymiarowej przestrzeni, lecz nawet najsilniejsze z nich można było

zmierzyć wyłącznie miernikami van Vogta.

I tak to właśnie wyglądało teraz. Jednakże Zachs, Attanasio i cała reszta wachtowych

wstrzymali oddech, gdy na ekranach taktycznych pojawił się... dziwaczny obiekt

nieprzypominający żadnego wyprodukowanego w stocznicach Federacji statku kosmicznego.

Dzięki rozmieszczonym wokół strefy skoku dronom komandor mógł zobaczyć na otaczających

go wyświetlaczach kilka rzutów tej niesamowitej jednostki. Na pierwszy rzut oka okręt ten

przypominał planetoide, do której ktoś dołączył hipernapęd. Kadłub miał gruszkowaty kształt,

jego w miarę gładkie, choć pofałdowane nierównomiernie poszycie pokrywały w strefie

czołowej dwa rzędy koncentrycznie rozmieszczonych niemal identycznych płaskich kopuł

i mnóstwo mniejszych bąbli. Z węższego końca wyrastała – inaczej nie można tego określić –

ażurowa konstrukcja zwieńczona regularnym sześcianiem i kilkoma dyszami. Drugi i trzeci

obiekt – jednostki pojawiły się w równych, sekundowych odstępach – wyglądały niemal

identycznie. Komputery wykryły tylko niewielkie różnice w pofałdowaniu matowego poszycia

i rozmieszczeniu kopuł.

– Obcy? – wyszeptane przez Zachsa słowo padło w tym samym momencie z wielu ust.

Oniemiały komandor przeniósł wzrok na kapitana. Dowódca pionu wojskowego siedział

z szeroko otwartymi ustami, trzymając palec nad połyskującym blado czerwonym klawiszem

wirtualnej klawiatury.

– Czek... – zaczął Zachs, ale nie zdążył dokończyć.

Czołowa jednostka Obcych otworzyła ogień.

Nawet ślepiec trafiłby z tej odległości w nieruchomy cel wielkości federacyjnego

krążownika. Ustawiony burtą do wylotów studni okręt wojenny chronił pola siłowe i tylko

one uratowały go przed natychmiastowym zniszczeniem. Ale to był dopiero początek starcia.

Druga jednostka Obcych wychodziła już na pozycję ogniową, a trzecia rozpoczynała zwrot.

Attanasio wybudził się z letargu, zanim komputery przyciemniły wszystkie ekrany, by ludzie

na mostku nie oślepli od blasku, jakim rozjarzyły się smagane laserowymi promieniami tarcze.

Jego palce opadły na czerwony klawisz. FSS Walternest Rutheford nie miał zamiaru poddać

się bez walki.

W kierunku wroga pomknęło mrowie raket, szły salwami, jedna tuż po drugiej, odpalane

automatycznie ze wszystkich rewolwerowych wyrzutni, ale baterie dział laserowych wciąż

milczały. Prawie czterdziestodwugodzinny lot na dopalaczach pochłonął znaczną część rezerw

energii, zatem odbudowanie jej zapasów, pozwalających na osiągnięcie pełnej mocy głównych

systemów uzbrojenia, wymagało czasu, a tego niestety załoga krążownika nie

miała. Nie było

też szans na przekierowanie części energii z nieużywanych osłon. Tarcze na sterburcie musiały

pracować na pełnej mocy, aby powstrzymać napór morderczego promieniowania pobliskiej

gwiazdy.

Obcy zniszczyli większość pocisków manewrujących, zanim te zdołały dotrzeć do ich osłon

energetycznych, ale skupienie ognia na ponad czterystu dodatkowych celach dało chwilę

wychnienia załodze krążownika. Zbyt krótką jednak, by współdowódcy zdążyli opracować

nową strategię.

Kilka sekund później owal dziobu atakującej jednostki pokrył się rozbłyskami licznych

eksplozji, co niestety nie przyniosło spodziewanych efektów. Chroniące Obcych pole siłowe

przejęło i wchłonęło bez najmniejszego problemu energię trzydziestu siedmiu zderzeń

z dwukilogramowymi rdzeniami kinetycznymi rozpędzonymi do jednej setnej świetlnej! Broń

skonstruowana z myślą o zdejmowaniu osłon najcięższych okrętów wojennych okazała się

całkowicie nieskuteczna w starciu z osłonami nieznanego wroga.

Deflektory dziwnego okrętu rozjarzyły się dopiero po tym, jak turbolaserowe baterie

dziobowe krążownika otworzyły w końcu ogień. Serie niewidzialnych dla ludzkiego oka

milisekundowych promieni, z których każdy mógł przepalić kilkunastometrowy blok plastali,

nie dały jednak rady tarczom Obcych, choć po ostatniej salwie pole siłowe trafionej jednostki

migotało jeszcze przez dłuższą chwilę, co mogło znaczyć, że zaczynało szwankować.

Niestety ludzie nie zdążyli się o tym przekonać. Drugi napastnik otworzył ogień, zanim do

akcji weszły turbolasery ze śródkręcia. Rutheford zadrżał mocno, jakby uderzył

w niewidzialną przeszkodę. Na którymś ze sferycznych stanowisk po prawej zawyły alarmy,

szybko jednak umilkły zdławione dłońmi wachtowych.

– Straciliśmy tarczę Bb7! – zameldował spanikowany mat nadzorujący systemy obrony.

Sektor B7. Rufa od strony bakburty. Środkowa jej część. Dranie nie nawalali na ślepo!

Dokładnie wiedzieli, gdzie skoncentrować ogień. I osiągnęli cel. Światła i wyświetlacze

komputerów zamigotały, a potem ściemniały na mgnienie oka, gdy systemy przełączały się na

tryb awaryjny.

Zachs nie słuchał kolejnych komunikatów, które spływały teraz lawinowo. Wiedział już, że

przegrał tę bitwę, mimo że wciąż odpalali kolejne rakiety i nadal byli w stanie

użyć rufowej

baterii turbolaserów. Wróg pozbawił ich właśnie napędu, odciął śródkręcie i dziób od

głównego reaktora, uniemożliwiając ewentualne manewrowanie i próbę ucieczki. Słabnące

z sekundy na sekundę tarcze zaś nie wytrzymają długo tak potężnej nawały ognia, zwłaszcza że

lada moment do walki włączy się trzeci okręt Obcych.

Kolejny wstrząs był dłuższy i silniejszy. Gdyby nie uprząże, wachtowi powylatywaliby

z kokonów foteli.

– Straciliśmy Ba7, Bb6 i Bb2. Bb4 na piętnastu procentach mocy.

Przeciwnik nie przejmował się już tak bardzo bronią kinetyczną. Wiedział, że nawet sto

równoczesnych trafień nie zdejmie mu osłon czołowych. Skupił więc ogień na tarczach baterii

turbolaserowych i na pozbawionej osłony rufie, na której znajdowały się bliźniacze reaktory

krążownika.

– Łącz mnie z bazą! Natychmiast! – wycharczał komandor w kierunku roztrzęsionego

Honveda.

FSS Walternest Rutheford, duma korpusu dalekiego zwiadu, zamienił się w obłok

rozgrzanej do białości plazmy, zanim bosman zdążył wykonać ten rozkaz.

=== =

INWAZJA

=== =

JEDEN

System Anzio, Sektor Zebra,

21.09.2354

Wielki admirał Farland opadł wolno na oparcie wielkiego fotela ustawionego za jedynym

podwyższeniem owalnego stołu konferencyjnego. Z pozostałych dwunastu miejsc tylko jedno

było wciąż wolne. Za pozostałymi konsolami widział podświetlone twarze wyższych oficerów

sztabu sektora. Dziewięciu było obecnych ciałem i duchem, dwóch uczestniczyło w tej

naradzie za pomocą łączy kwantowych. Ich nieruchome hologramy połyskiwały mocno

w półmroku, jaki panował pod kopułowym sklepieniem sali odpraw.

Farland nie krył zdenerwowania. Jego szczęka poruszała się miarowo, jakby miażdżył nią

słowa, których nie mógł jeszcze wypowiedzieć. Na nieco obwisłych, nalanych policzkach

widać było mgławice czerwonych i sinich żyłek. Oczy miały błyskawice. Gdyby wzrok

mógł zabijać...

Wielki admirał drgnął, ale nie odwrócił głowy, gdy za jego plecami rozległ się

cichy syk

rozsuwanych drzwi. Pozostali oficerowie wzięli z niego przykład i także udali, że ignorują

przybysza. Tylko ci siedzący bokiem albo twarzą do wejścia zerkali ciekawie w kierunku

idącego szybkim krokiem wysokiego mężczyzny o posturze atlety. W blasku przygaszonych

lamp trudno było zauważyć więcej szczegółów, ale zebrani w sali odpraw dowódcy znali go

wystarczająco dobrze, by poczuć żal z powodu tego, co zaraz się stanie. Farland namierzył już

ofiara wzrokiem, jego szczeka przestała pracować, teraz zaciskał zęby z taką siłą, że mięśnie

drgały mu na skroniach. Gdy otworzy usta... a stanie się to lada moment... wiceadmirał

Duarte pożałuje wszystkiego, nawet tego, że przyszedł na świat.

Wielki admirał zamierzał rozegrać to na zimno; odczekał, aż spóźniony oficer zajmie

miejsce i włączy konsolę terminala. To miała być nauczka nie tylko dla niego. Gdy szef pionu

wywiadu znalazł się w kręgu przyćmionego światła bijącego z ozywających wyświetlaczy,

z ust dowódcy sektora nie wylało się jednak spodziewane tsunami inwektyw. Podwładny

uprzedził go o ułamki sekundy, rzucając do interkomu jedno krótkie zdanie:

– Panowie, właśnie otrzymałem raport o kolejnym ataku.

Wszyscy poruszyli się nerwowo. Zaskoczony takim obrotem sprawy Farland został

zmuszony do przełknięcia inwektyw, co, sądząc po kolorze twarzy, przyszło mu z ogromnym

trudem. Ale że nie należał do mięczaków, szybko wziął się w garść.

– Referujcie, komandorze! – rzucił, zanim ucichły najgłośniejsze szmery.

– Tak jest! – Duarte pochylił się nad wirtualną klawiaturą. Moment później ożył projektor

umieszczony za elipsowatym blatem. Zebrani ujrzeli przed sobą holograficzną mapę sektora,

na której górnym krańcu widać było już nie dwie, a trzy migające szybko czerwone ikonki. –

System Vandal, pas minus jeden, oddalony od granicy Federacji o trzy lata świetlne – zaczął

komandor, na co aparatura zareagowała kolejnymi zbliżeniami, ograniczając pole widzenia do

wybranego segmentu przestrzeni, a potem wymienionego systemu gwiazdowego, by skupić się

w końcu na jego trzech gwiazdach centralnych i strefie skoku ulokowanej niemal

w płaszczyźnie ekliptyki układu planetarnego. – Dwadzieścia trzy minuty standardowe temu

pojawiły się tam cztery jednostki nieprzyjaciela. Skanowanie potwierdza, że jedna z nich

najprawdopodobniej brała udział w ataku na Valkirię 7...

– Najprawdopodobniej? – przerwał mu wielki admirał.

– Nie możemy mieć całkowitej pewności, czy to ta sama czy niemal taka sama jednostka,

ale rozmieszczenie kopuł i kształt poszycia pasują w ponad dziewięćdziesięciu

procentach do zapisów otrzymanych z Valkirii 7.

– Rozumiem. Kontynuujcie.

Duarte odkaslnął, zanim podjął przemowę. Jego także zżerały nerwy.

– Wróg pojawił się pięćdziesiąt jeden godzin po zniszczeniu tamtejszej stacji monitorowania. Stacjonujący na Vandalu zespół uderzeniowy trzeciej floty wyruszył

w kierunku strefy skoku zaraz po pierwszym incydencie, ale leci tam na minimalnym ciągu,

zgodnie z wytycznymi sztabu sektora. W chwili obecnej znajduje się... – komandor sprawdził

odczyty – około trzydziestu pięciu minut świetlnych od jednostek wroga.

Projektor pokazał szerszy plan. System podwójnych gwiazd, przy którym znajdowała się

strefa skoku, oddalił się, podobnie jak gruszkowate okręty Obcych, za to oficerowie zobaczyli

formację bojową składającą się z przypominającego kształtem sterowiec pancernika trzeciej

generacji, dwóch wyglądających jak jego miniatury krążowników i szesnastu kulistych

niszczycieli klasy Sword.

– Tym razem skurwyklony wdepnęły w supernową – rzucił któryś z zebranych, co pozostali

skwitowali pomrukami aprobaty, a nawet stłumionymi śmiechami.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Radosna wrzawa umilkła jak nożem ucięta, gdy padły te słowa. Wszystkie oczy zwróciły się

w kierunku hologramu niemłodego już mężczyzny w mundurze sił specjalnych, o płaskiej,

pozbawionej wyrazu twarzy.

– Co pan chce przez to powiedzieć, pułkowniku Rutta? – zapytał wielki admirał.

– Tylko tyle, że po gruntownej analizie nagrań z poprzednich starć byłbym ostrożny przy

wygłaszaniu podobnych opinii.

– Może pan wyrażać się konkretniej, pułkowniku?

Zebranych zdziwił brak jadu w głosie dowódcy sektora. Farland nie patyczkował się

zazwyczaj z podwładnymi, traktował ich brutalnie albo protekcjonalnie, często przekraczając

uprawnienia i nadużywając władzy. Zwłaszcza gdy sytuacja robiła się nerwowa. Nic więc

dziwnego, że całkowity brak agresji i lekceważenia wobec oficera niskiego stopnia wydał im

się co najmniej zaskakujący. Wszyscy spojrzeli z większą uwagą na nieznanego im bliżej

pułkownika, który jeśli wierzyć komputerom, znajdował się teraz trzynaście lat świetlnych od

Anzio, na pokładzie jednostki oznaczonej tylko numerem taktycznym. To ostatnie także wydało

się wszystkim bardzo dziwne.

– Oczywiście, wielki admirał – odparł niespeszony Rutta. – Nie znacie mnie jeszcze,

panowie, zacznę więc od paru słów wprowadzenia. Ostatnie kilka lat poświęciłem – zawahał

się – badaniu problemu, z którym... choć tylko pośrednio... mamy teraz do czynienia. Z tego

też powodu wielki admirał Farland zlecił mojemu zespołowi szczegółowe analizy przekazów

z Valis 11 i Valkirii 7. W obu tych przypadkach mieliśmy do czynienia z atakiem eskadr

liczących po trzy jednostki nieznaney klasy. Wielkością odpowiadają one naszym krążownikom

drugiej generacji, ale pod względem uzbrojenia i osłon nie ustępują najnowocześniejszym

pancernikom, a nawet je przewyższają... – Zamilkł, słysząc wrzawę, z jaką pozostali przyjęli

jego słowa.

– Mordy w czarną dziurę! – wydarł się natychmiast wielki admirał. Nie musiał powtarzać.

Pod kopułą z plastali zapanowała natychmiast grobowa cisza. – Proszę kontynuować.

– Dziękuję, admirał. Czy mogę prosić o włączenie nagrania ze starcia Rutheforda przy

strefie skoku? – Ta prośba została skierowana do wiceadmirała Duarte.

– Oczywiście.

Wyświetlany hologram zniknął, zastąpił go podobny obraz, na którym zebrani oficerowie

zobaczyli znajomy widok. Walcowaty krążownik, za nim fragment tarczy gwiazdy i lecące

jeden za drugim gruszkowate okręty. Rutta przejął zdalnie kontrolę nad urządzeniami, dokonał

kilku korekt, po których nad stołem pozostały tylko jednostki biorące udział w starciu.

Nagranie zostało przyśpieszone, zatrzymano je dopiero w momencie, w którym padły pierwsze

strzały.

– Zanim przejdziemy do konkretów, chciałbym zaznaczyć jedno. Wiem, że część z was także

próbowała analizować każde z trzech wcześniejszych starć... – powiedział pułkownik nieco

łagodniejszym tonem. Widząc poruszenie na twarzach swoich kolegów, zaraz dodał: – Atak na

Valis 11 potraktowaliśmy jak dwa niezależne wydarzenia. Czym innym była walka Obcych

z naszym krążownikiem przy strefie skoku, a czym innym ich późniejsze uderzenie na stację

korpusu i kolonię. – Odczekał chwilę, aż znów zapanuje kompletna cisza. – Niektórzy z was

zapoznali się dokładnie z przebiegiem poszczególnych zdarzeń. Problem polega jednak na tym,

że nikt nie podszedł do tej sprawy kompleksowo. To nie zarzut, nie mieliście przecież wglądu

we wszystkie raporty, jak ja. Część materiałów dotyczących walki z Obcymi została utajniona,

nie udostępniono wam więc niektórych przekazów, a inne, mniej istotne waszym zdaniem,

pominęliście z braku czasu. Ja natomiast dysponuję wystarczającymi zasobami, zarówno

ludzkimi, jak i sprzętowymi, by móc pracować nad całością problemu. Dzięki takiemu

podejściu udało mi się sformułować bardzo konkretne wnioski.

Zebrani znowu zaszemrali, ale tym razem sami umilkli, zanim padło napomnienie.

– Konkrety, pułkowniku – poprosił wielki admirał.

– Tak jest. Postaram się mówić jak najkrócej i jak najkonkretniej. – Rutta uruchomił zdalnie

projekcję, skupiając obraz na formacji Obcych. – Punkt pierwszy, wróg dysponuje lepszymi

tarczami niż nasze okręty.

– Też mi odkrycie – prychnął najniższy z zebranych, szef pionu łączności, generał major

Iwashi.

– Zdaję sobie sprawę, że to truizm – Rutta uśmiechnął się pod nosem – ale idę o zakład, że

nikt z panów nie powie mi, dlaczego ich pola siłowe są tak wydajne.

Przeciągające się milczenie było wymownym dowodem, że ma rację. Rutta wprowadził

kolejną komendę. Hologram przedstawiał teraz tylko jeden okręt wroga.

Oficerowie po raz

kolejny ujrzeli nadlatujące rakiety, zobaczyli moment otwarcia laserowego ognia zaporowego,

który w ciągu ułamków sekund unicestwił zdecydowaną większość celów, a potem ocalałe

z pogromu rdzenie na ich oczach uderzyły w ekrany czołowe gruszkowatego kadłuba. Przekaz

zwolnił jeszcze bardziej, zmieniła się także optyka, zwykłe holo zostało uzupełnione grafiką

komputerową. Zdumieni oficerowie zobaczyli, jak tarcze wrogiego okrętu wyrzuszają się,

grubiejac punktowo tuż przed uderzeniem w nie rdzeni. To był bardzo płynny proces, jakby

systemy obrony Obcych nie składały się z odrębnych generatorów, otaczających jednostkę

łuskami odrębnych pól siłowych, tylko stanowiły jedną wielką tarczę, którą można wzmocnić

w dowolnym punkcie przy niewielkim osłabieniu otaczającego go pola. Udowodniły to

kolejne powtórki przedstawiające ten moment bitwy uchwycony obiektywami całej gamy

sensorów.

Zebrani obejrzeni je w milczeniu. Dyskusję, która rozgorzała po projekcji, uciął sam wielki

admirał, ponownie oddając głos pułkownikowi.

– Punkt drugi – podjął natychmiast Rutta. – Zyskaliśmy całkowitą pewność, że

wróg

dysponuje polami absorpcyjnymi, nie desorpcyjnymi, jak zakładano do tej pory. Tak, wiem –

dodał, by uspokoić poruszenie. – Znamy tę technologię, choć zdaniem naszych czołowych

uczonych przejmowanie tak gigantycznych ilości energii nie jest i nie będzie fizycznie

możliwe. Możecie mi jednak wierzyć, że wbrew temu, co mówi nauka, takie tarcze istnieją

i Obcy nimi dysponują. Wyniki badań mojego zespołu potwierdzają tę teorię w odniesieniu do

odczytów ze wszystkich trzech pól walki. Zastosowana przez nieprzyjaciela technologia

opiera się na niemal całkowitej absorpcji energii. Jedyнным sposobem na zdjęcie takich tarcz

jest ich przeciążenie, ale do tego trzeba by niewyobrażalnej ilości energii dostarczonej

w bardzo krótkim czasie. Wątpię, by wszystkie baterie turbolaserów Rutheforda zdołały

pozbawić ten okręt osłony. Nasze wyliczenia, a możecie mi wierzyć, że podeszliśmy do nich

z ogromną ostrożnością, dowodzą, że każdy okręt Obcych może stawić czoło naszemu

pancernikowi czwartej generacji i wygrać taki pojedynek bez najmniejszego problemu,

ponieważ tarcze energetyczne to jedna strona medalu, a uzbrojenie... tak, pod tym względem

także ustępujemy wrogowi na całej linii.

Tym razem nikt nie buczał. Zebrani przez wielkiego admirała oficerowie siedzieli jak

skamieniali, oglądając kolejne projekcje, wykresy i symulacje dowodzące wyższości

uzbrojenia zastosowanego przez Obcych na Valis 11 i Valkirii 7. We wszystkich trzech

starciach nieprzyjaciel używał w walce z okrętami przestrzennymi wyłącznie dział

laserowych, działających jednak na zupełnie innej zasadzie niż produkowane przez ludzi

turbolasery. Każda z trzylufowych baterii Rutheforda mogła oddać w ciągu minuty trzy

pięciogigawatowe salwy o impulsie jednej mikrosekundy. To była ich maksymalna

szybkostrzelność. I nie chodziło bynajmniej o przegrzanie systemów optycznych. Największym

problemem był w tym przypadku brak mocy. Gigantyczne ogniwa, w których magazynowano

wyprodukowaną energię, pozwalały na oddanie w tym czasie tylko trzech salw, a ich ponowne

napełnienie trwało dokładnie minutę, i to przy założeniu, że reaktor nie obsługuje w tym

samym czasie napędu głównego, ponieważ pobór mocy przez generatory jonowe wydłużał

czas potrzebny na odzyskanie energii o ponad osiemdziesiąt procent.

Klasyczną taktyką stosowaną przez dowódców floty było zatem mocne uderzenie na

początek – jedna trzymikrosekundowa salwa bądź trzy następujące po sobie mikrosekundówki,

a potem salwa co dwadzieścia sekund, czyli natychmiast po napełnieniu ogniów do jednej

trzeciej pojemności. Ta taktyka nie pozostawiała jednak dowódcom żadnego pola manewru

i szczerze powiedziawszy, sprawdzała się tylko tam, gdzie jedna ze stron zyskiwała dużą

przewagę ogniową.

Rutta udowodnił zebrany w kilka minut, że strategia z czasów wojny domowej, gdy niemal

wszystkie bitwy toczono w dołkach Lagrange'a, w starciach z Obcymi może przynieść

odwrotne, wręcz zgubne skutki. Przy takiej przewadze ogniowej, jaką dysponował

nieprzyjaciel, nieruchome bądź dryfujące okręty wojenne stawały się zbyt łatwymi celami.

O ile kwestie manewrowania podczas walki można było rozwiązać prowizorycznie,

używając silników pomocniczych na paliwo stałe, o tyle pozostawał problem konieczności

postawienia pełnych osłon desorpcyjnych, a tego nie dało się już nijak ominąć. Ciągły pobór

energii potrzebnej do utrzymania pól siłowych i uzupełniania ubytków w nich po każdym

trafieniu także wpływał niekorzystnie na czas ładowania ogniwi, o czym współdowódcy

Rutheforda przekonali się w najgorszy z możliwych sposobów.

Gruszkowate okręty Obcych zdawały się nie mieć podobnych problemów. Ich liczne

pojedyncze działa laserowe pomimo stosunkowo dużej mocy wyjściowej zachowywały

kilkakrotnie większą szybkostrzelność, ale najpoważniejszym problemem, zwłaszcza

w przypadku nieruchomych celów, wydawała się długość impulsów. Zespół Rutty odkrył, że

w czasie uderzenia na stację korpusu, która dysponowała naprawdę potężnymi reaktorami

i warstwowymi deflektorami mającymi ją chronić przed zmasowanym atakiem kinetycznym

albo laserowym, wróg zdołał przełamać osłony, stosując ostrzał siedmiomikrosekundowymi

impulsami o mocy wyjściowej dwunastu gigawatów przy zachowaniu szybkostrzelności

schodzącej poniżej czternastu sekund, co przy ponad dwudziestu stanowiskach ogniowych

umieszczonych na guzowatym dziobie dawało wrażenie nieustannej kanonady. Takiej nawały

ognia, zwłaszcza skupionej na jednym sektorze, stacja nie mogła wytrzymać. Obcy

potrzebowali trzech minut, by wyczerpać deflektory chroniące łącznik kopuły generatora

z korpusem stacji. Potem wystarczyło kilka precyzyjnych trafień, by przepołowić gigantyczną

konstrukcję i pozbawić obrońców najpotężniejszego źródła energii. I tak już maksymalnie

obciążone reaktory pomocnicze nie mogły go zastąpić, zatem... osiemnaście sekund później po

dumie Rubieży pozostała tylko sfera błyskawicznie stygnącej plazmy i chmura szczątków.

Gdy Rutta skończył, na sali odpraw nie było nikogo, kto wątpliby jeszcze w zagładę zespołu

uderzeniowego z Vandala.

– Jakież sugestie? – zapytał Farland.

Duarte podniósł rękę.

– Myślę, że powinniśmy powiadomić admirała Khumalo o grożącym jego eskadrze

niebezpieczeństwie – powiedział.

– Ktoś jeszcze ma jakiś pomysł? – Pozostali oficerowie kręcili głowami, a ich ciche

pomruki wyrażały aprobatę dla pomysłu komandora. – Rozumiem. Jestem za. Łączcie ze

stanowiskiem dowodzenia na Silvanie.

Hologram okrętu Obcych zniknął, w półmroku jarzyło się przez moment logo floty, potem

obraz pojaśniał i nad stołem pojawiła się sylwetka otyłego Afrykanina o niemal okrągłej

twarzą i oczach tak wąskich, że wyglądały jak szparki.

– Witam, wielki admirał, witam, panowie. – Khumalo mówił chrapliwym głosem, jakby

miął zatkany nos.

– Musimy porozmawiać. – Farland, jak to on, od razu przeszedł do sedna. – Na osobności,

jeśli łaska.

Jego stanowisko zniknęło natychmiast pod kopułą opalizującego pola izolacyjnego.

Projektor pociemniał w tym samym momencie, a chwilę później oficerowie zauważyli, że nie

ma wśród nich awatara Rutty. On także musiał dołączyć do rozmowy admirałów.

– Kto wie, kim jest ten cały pułkownik, jak mu tam?... – zapytał Duarte, pochylając się do

siedzącej obok niego wyniosłej admirał Schwartz, pełniącej obowiązki dowódcy pionu

nawigacyjnego.

– Nie mam bladego pojęcia – odparła zwięźle. – Pierwszy raz o nim słyszę.

– Ktoś? Coś? – nie rezygnował komandor.

Odpowiedziała mu cisza i wzruszenia ramion. Dziwna sprawa – pomyślał Duarte.

W trakcie spotkania próbował sprawdzić w bazach centrum dowodzenia, kim jest człowiek,

który strzela im wykład, ale nie znalazł nic na temat ostatnich lat służby pułkownika. Numer

taktyczny, widoczny na konsoli jego stanowiska, także nie figurował w oficjalnym spisie

jednostek floty przydzielonych do tego sektora.

Rutta wrócił na ułamek sekundy przed zniknięciem pola otaczającego stanowisko wielkiego

admirała. Oficerowie nie zobaczyli jednak ponownie hologramu dowódcy zespołu

uderzeniowego trzeciej floty. Sądząc po minie wielkiego admirała, coś chyba poszło nie tak.

– Możecie się rozejść, panowie. Widzimy się dokładnie za trzy godziny, o siedemnastej

dwadzieścia sześć – obwieścił Farland, wstając z fotela, zanim ktokolwiek zdążył mu zadać

pytanie.

Widzieli, że jest wkurzony. Zebrał swoje rzeczy i opuścił salę szybkim krokiem, nie

oglądając się ani razu. Wszyscy spojrzeli więc w kierunku wciąż aktywnego awatara Rutty.

– Jeden moment, pułkowniku – odezwał się poirytowany Duarte. – Może nam pan

powiedzieć, o co chodzi?

– Nie domyśla się pan?

– W mojej pracy wolę opierać się na faktach niż domysłach – odpowiedział wymijająco

wiceadmirał.

– Khumalo odmówił wycofania okrętów – usłyszał, zanim wizerunek Rutty zniknął. – Za

trzy godziny standardowe zamierza zaatakować eskadrę nieprzyjaciela.

=== =

DWA

Bitwa o Vandala rozpoczęła się czterdzieści minut później, niż pierwotnie zakładano.

Admirał Khumalo, wbrew temu, co o nim mówili zebrani sztabowcy, nie był bowiem

kompletnym idiotą. Wiedział, że zadanie, którego się podejmuje, jest niemalże przesądzonym

samobójstwem, ale w jego szaleństwie kryła się metoda.

Kolonie Vandala należały do najludniejszych placówek na Rubieżach. Tamtejsze kopalnie

pierwiastków rzadkich obsługiwało ponad dwadzieścia sześć tysięcy ludzi zamieszkujących

aż trzy planety i bazę orbitalną, która była równocześnie największą i najwydajniejszą

przetwórnią helu-3 pozyskiwanego z Gammy, czyli jedyne gazowego giganta tego systemu.

Baza miała własny napęd pod- i nadprzestrzenny, ale potrzebowała czasu do jego pełnej

aktywacji.

Każda minuta zyskana na spowolnieniu wroga mogła więc ocalić nie tylko życie kolejnych

setek, a może nawet tysięcy ludzi, ale też wiele bilionów kredytów instalacje i surowce,

które mogą się okazać niezwykle potrzebne ludzkości na kolejnych etapach wojny z Obcymi –

albowiem co do tego, że szykuje się pełnowymiarowy konflikt, nikt już nie miał wątpliwości.

To jednak nie były wyłączne powody, dla których admirał Berkofi Khumalo postanowił

walczyć mimo tak niewielkich szans na przetrwanie jego zespołu uderzeniowego i załóg.

Innym, nie mniej istotnym czynnikiem – zwłaszcza z punktu widzenia floty – była konieczność

sprawdzenia w praktyce, jak bardzo okręty Obcych dominują nad wytworzonym przez

człowieka sprzętem. Dysponując wynikami badań zespołu Rutty i dokładnymi analizami

poprzednich starć, Khumalo podjął się przetestowania potencjału dziwnego, gruszkowatego

okrętu. Tak, okrętu, gdyż plan admirała, konsultowany na bieżąco z dowództwem sektora,

zakładał skupienie wszystkich sił na uszkodzeniu bądź zniszczeniu – o ile to będzie możliwe –

jednej z czterech jednostek, które wdarły się do systemu Vandal.

Za cenę życia pięciuset dwudziestu żołnierzy, marynarzy i oficerów ludzkość mogła zyskać

tego dnia wiedzę, która pozwoli ocalić miliony, a kto wie, czy nie miliardy kolejnych istnień.

Tak przynajmniej twierdził skośnooki Afrykanin w długiej rozmowie z Farlandem i Rutką,

którzy ulegli w końcu jego argumentacji i zgodzili się pomóc w opracowaniu

najskuteczniejszej taktyki tego starcia. Admirał rozkazał też zmniejszyć prędkość przelotową

zespołu uderzeniowego do niezbędnego minimum, aby oszczędzić kilka procent mocy i dać

ludziom pułkownika Rutty dodatkowe pół godziny na dopracowanie planu ataku.

Bitwa w systemie Vandal rozpoczęła się dokładnie o osiemnastej sześć czasu

standardowego. Godzinę wcześniej zespół uderzeniowy wykonał ostry zwrot i przyśpieszył

maksymalnie, jakby zamierzał ominąć nadlatujące jednostki nieprzyjaciela i uciec z pola

walki. Sztuczka ta miała na celu zmuszenie Obcych do zejścia z dotychczasowego kursu,

prowadzącego najkrótszą drogą do zamieszkanym planet. Przeciwnik dał się nabrać i dokonał

podobnej korekty lotu. To ucieszyło Rutte – dostał właśnie dowód, że wróg, choć do tej pory

niepokonany, także popełnia błędy. Bez względu na wynik bitwy załoga stacji z Gammy

zyskała właśnie dodatkowe dwie godziny na przeprowadzenie ewakuacji i wykonanie skoku

podprzestrzennego. To powinno w zupełności wystarczyć. Gorzej przedstawiała się sytuacja

z ludźmi Khumalo.

Plan był prosty. W pierwszej fazie starcia wszystkie okręty odpalają pociski kinetyczne

w kierunku jednego tylko przeciwnika. Nawet jeśli Obcy rozmieszczą swoje siły tak, by

w bitwie mogły brać udział wszystkie ich „liniowce” – na potrzeby chwili sztab sektora

przyjął taką nazwę gruszkowatych okrętów, które leciały zawsze jeden za drugim. W mrowiu

rdzeni kinetycznych miało się też kryć dwadzieścia torped z głowicami nuklearnymi.

Sztabowcy Rutty zdecydowali, że to najefektywniejszy sposób zamaskowania uderzenia

najpotężniejszą bronią, stosowaną zazwyczaj do atakowania okrętów pozbawionych już tarcz.

Tym razem miała ona posłużyć do ostatecznego przeciążenia ekranów nadwerężonych przez

lawinę pocisków kinetycznych i impulsy laserów.

Pancernik i krążowniki powinny bowiem otworzyć ogień ze wszystkich baterii

turbolaserowych w momencie, gdy przeciwnik skupi się na niszczeniu nadlatujących rdzeni.

Wybrano wariant jednej trzymikrosekundowej salwy, aby maksymalnie skrócić

i zintensyfikować ostrzał. Rutta i obaj admirałowie liczyli, że sześć trzylufowych,

siedmiogigawatowych baterii pancernika i drugie tyle sześciogigawatowych baterii z obu

krążowników powinno przeciążyć pole siłowe wrogiej jednostki albo choć osłabić je na tyle,

by dzieła dokończyły głowice nuklearne i poprzedzające je o ułamki sekund

rdzenie kinetyczne

– a tych ostatnich poleci w kierunku wroga ośmiokrotnie więcej niż podczas starcia

z Ruthefordem.

Te kilka sekund starcia będzie decydujące – nie dla losów ludzi biorących w nim udział, bo

te były już przesądzone, ale dla reszty floty, ponieważ analiza skutków tego zmasowanego

ostrzału pozwoli najwyższemu dowództwu Federacji na opracowanie skutecznej strategii i –

być może – wygranie kolejnej bitwy.

Wydarzenia w przestrzeni wewnętrznej Vandala sztabowcy obserwowali dzięki trzydziestu

sześciu dronom, które zespół uderzeniowy wystrzelił kilkanaście minut przed rozpoczęciem

walki, tuż przed wykonaniem zwrotu w kierunku ścigającego go przeciwnika. Niewielkie

urządzenia naszpikowane dziesiątkami skanerów i sensorów transmitowały szerokopasmowy

sygnał do trzech stacji komunikacyjnych, dryfujących w bezpiecznej odległości piętnastu

sekund świetlnych od pola walki. Dzięki temu zabiegowi obraz i dane docierały do sztabu

sektora z niewielkim opóźnieniem, uniemożliwiając dowództwu ewentualną ingerencję

w przebieg starcia, ale tym nikt się teraz nie przejmował. Dzięki tak daleko

posuniętych

środkom ostrożności uniknięto zagrożenia przerwania kluczowej transmisji, a to liczyło się

teraz najbardziej.

Obcy, zgodnie z przewidywaniami, zmienili formację, gdy okręty admirała Khumalo

znalazły się na ich wektorze podejścia. Nie wykonywali jednak nerwowych ruchów, wszystko

odbyło się płynnie i powoli, jakby to maszyny, a nie żywe istoty siedziały za sterami tych

okrętów. Na dwie minuty przed nawiązaniem kontaktu bojowego lecące w linii jednostki

Obcych zaczęły ostro zwalniać. Ustawione baki do nieprzyjaciela okręty Federacji

utrzymywały wokół pancernika zwarty szyk, czyli tak zwaną „ścianę”. W tej pozycji wszystkie

baterie turbolaserów większych jednostek mogły otworzyć ogień równocześnie. Kuliste

niszczyciele wprowadzono natomiast w ruch wirowy, by mogły jak najszybciej wykorzystać

cały potencjał wyrzutni pocisków kinetycznych.

Zebrani w sali odpraw oficerowie wstrzymali oddech, widząc, że formacja Obcych zbliża

się do granicy, za którą zespół uderzeniowy może otworzyć skuteczny ogień. Pięć sekund przed

tym, zanim dzioby gruszkowatych okrętów minęły wykreśloną na hologramie

czerwoną linię,

którą zaznaczono efektywne pole rażenia broni laserowej, tarcze jednostek Federacji

zapłonęły oślepiającą bielą. Ludzkie oko nie mogło dostrzec mikrosekundowych impulsów,

a komputery centrum dowodzenia potrzebowały dziesiątej części sekundy na namierzenie,

przetworzenie i naniesienie wszystkich wektorów ostrzału, dlatego linie łączące obie formacje

i dane o mocy impulsów pojawiły się na hologramie dopiero po tym, jak zaskoczeni ludzie

ujrzeli skutki trafień przez polaryzowane szkła okularów taktycznych.

Obcy skupili się na niszczeniu najmniejszych jednostek zespołu uderzeniowego, na razie

zostawiając pancernik i oba krążowniki w spokoju. Pola siłowe chroniące kuliste kadłuby

niszczycieli nie były w stanie zneutralizować tak potężnych dawek energii, w ścianie powstało

więc niemal natychmiast sześć wyrw. Gdy ostatni z najmniejszych okrętów zamienił się

w rozżarzoną plazmę, liniowce przeniosły ogień na krążowniki, jakby chciały zostawić sobie

pancernik na deser.

Khumalo nie mógł słyszeć pokrzykiwań sztabowców, oszczędzał każdy wat energii i jego

komunikator kwantowy także był wyłączony, ale gdyby nawet miał ich obok

siebie, nie dałby

się pewnie przekonać do przyśpieszenia akcji. Wyczekał kolejne kilka długich jak wieczność

sekund, zanim wydał własnym jednostkom rozkaz wykonania ostatniego zwrotu i otwarcia

ognia. Rutta zrobił głęboki wydech, gdy zobaczył mrowie czerwonych ikonek i zastępujących

je linii wektorowych, które sunęły zakosami w kierunku wybranego liniowca. Na

wyświetlaczach przed nim pojawiły się gęste ciągi danych. Nie oderwał jednak wzroku od

gigantycznego hologramu, na którym bitwa zbliżała się do decydującego momentu.

Pancernik i krążowniki posłały w przestrzeń salwę rakiet po salwie. W kierunku celu

mknęło już ponad siedemset rdzeni kinetycznych i wszystkie torpedy z głowicami nuklearnymi,

a kolejne trzysta rakiet opuści wyrzutnie, zanim do akcji wejdą turbolasery. Co nastąpi już za

trzy sekundy, za dwie, za jedną – pomyślał Rutta, odliczając bezgłośnie. Zanim skończył,

potężne baterie ożyły. Nie mógł zobaczyć emitowanych z nich promieni, czas trwania

impulsów był bowiem niewyobrażalnie krótki. W ciągu trzech mikrosekund światło

pokonywało tylko – albo aż – dziewięćset kilometrów, a obie formacje dzieliła w tym

momencie sto razy większa odległość. Osiem sekund lotu, jeśli zliczyć składową prędkość

okrętów obu stron.

Obcy nie wykonali żadnych manewrów unikowych, jakby nie dbali o to, że lecą prosto na

tysiące rakiet. Jakby byli pewni, że poradzą sobie z nimi bez najmniejszego problemu. Ich

systemy obronne, podobnie jak na Valis 11, rozpoczęły eliminację celów z ogromną precyzją

i efektywnością, choć na miejsce każdego zniszczonego rdzenia nadlatywały trzy nowe.

Khumalo miał w rękawie jeszcze jednego asa, czyli głowice wielordzeniowe, których użył

najlepiej jak umiał. Skurwyklon zgrał atak idealnie. Pierwsza fala klasycznych, pojedynczych

rdzeni wyparowała w tym samym momencie, w którym wydarzyły się dwie rzeczy: promienie

laserów wpiły się w czołowe osłony wybranego liniowca, a nadlatujące w drugiej fali rakiety

odpaliły swoje ładunki, zwiększając liczbę nadlatujących celów dziesięciokrotnie. Dzięki

temu sprytnemu posunięciu ukryte w ogromnej masie rdzeni torpedy zyskały dodatkowe szanse

na przebicie się przez ogień zaporowy wroga.

Takiego gradu pocisków kinetycznych systemy obrony Obcych nie były w stanie zniszczyć,

mimo że do walki włączyły się trzy z czterech liniowców. Rakiety wielordzeniowe przenosiły

po dziesięć, ale za to tylko kilogramowych prętów wolframu, co dawało ponad czterokrotny

przyrost masy podczas impaktu. A w cel trafiło w ciągu następnej pół sekundy ponad trzysta

pocisków.

Nadwerężone ostrzałem laserowym pola siłowe zapłonęły bielą plazmy. Gdyby nie

ograniczniki pasma, patrzący na hologram ludzie mogliby oślepnąć od nagłej eksplozji

światła. Jednakże nawet najlepsze polaryzatory nie były tak szybkie jak skutki ostrzału. Zanim

Rutta odzyskał ostrość spojrzenia, minęły co najmniej trzy sekundy.

Któryś z otaczających go oficerów musiał mieć lepszy wzrok albo eksplozja zaskoczyła go

w chwili, gdy nie spoglądał bezpośrednio na hologram. Pułkownik nie dbał o to, dlaczego

jego sąsiad ujrzał wcześniej to, co on dopiero miał zobaczyć. Wystarczył mu jęk zawodu, jaki

wyrwał się z piersi smagłego generała sił specjalnych. Żadna z głowic nuklearnych nie

uderzyła w cel. O tym, dlaczego tak się stało, Rutta dowiedział się później, studiując raporty.

W tym momencie nie miał czasu na analizowanie szczegółów. Szybkie zmrużenie powiek

pozwoili mu przenieŝ wzrok na wirtualne pole bitwy. Obcy przedarli ŝe przez ŝcianę

zespołu uderzeniowego, zamieniajác w obłok szczátków jeden z krążowników. Wektory obu

leczących teraz równolegle formacji przypominały wizualizację łańcucha DNA. Wymiana ognia

trwała, ale była juź bardzo jednostronna. Lasery z czterech okrétów Obcych skupiły ŝe

właŝnie na drugim krążowniku, który wytrzymał moźe sekundę, nie wiécej, zanim zamienił ŝe

w supernową.

Rutta znów zacisnął oczy. Tym razem nie po to, by uchronić je przed porażeniem. Nie chciął

patrzeć na to, co stanie ŝe ze starym pancernikiem Federacji. Nie chciął teź myŝleć o tym, co

stanie ŝe z kaźdym systemem gwieźdnym, w którym pojawia ŝe napastnicy. Jeŝli tak potężna

nawała ogniowa nie była w stanie powstrzymać ani nawet uszkodzić jednego okrétu Obcych,

rozproszona po wielu sektorach flota nie miała najmniejszych szans w nadchodzącej wojnie.

Dane z tego starcia zostaną przeanalizowane przez jego podwładnych w najkrótszym

z moźliwych terminów, ale juź teraz mógl doradzić wielkiemu admirałowi jedno: jeŝli ludzie

przebywający na Rubieżach mają przeżyć, naleźy ich natychmiast ewakuować. Nie widział

innego wyjścia.

Aby powstrzymać taką eskadrę jak ta, która mknęła teraz w głąb Vandala, trzeba by

dysponować o wiele silniejszym zespołem uderzeniowym. Ta myśl sprawiła, że Rutta poczuł

zimny dreszcz w okolicach krzyża. Federacja nie posiadała na Rubieżach wystarczającej

ilości sprzętu, by ochronić choćby połowę granicy między własnym terytorium a niezajętą

jeszcze częścią Ramienia Oriona.

=== =

TRZY

Tej nocy w sztabie sektora nikt chyba nie zmrużył oka. Oficerowie i żołnierze służący na

nocnej zmianie mozolili się wciąż nad przekazami z Vandala, przeglądali je dziesiątki razy,

rozkładali na poszczególne sekwencje, a potem ujęcia, zestawiali pozyskane tym sposobem

dane i sumowali wyniki. Nic nie mogło zostać pominięte, dlatego utworzono aż cztery zespoły

analityków, które równolegle ślęczały nad tymi samymi materiałami. Ale nie tylko oni nie

spali. Mimo tak późnej pory reszta członków załogi wielkiej stacji tłoczyła się w klubach,

kantynach i pogrążonych w półmroku kajutach, oglądając udostępnione publicznie fragmenty

bitwy i rozmawiając półgłosem o błyskawicznej zagładzie potężnego zespołu uderzeniowego.

Wielki admirał nie był wyjątkiem. Siedział w samym sercu gigantycznej stacji, odizolowany

od załogi opancerzonymi ścianami sekcji dowodzenia. On także w kółko oglądał zapętłone

kilkunastosekundowe holo ze starcia. Wybrany przez niego fragment zaczynał się w momencie

oddania pierwszego strzału, a kończył w chwili eksplozji ostatniego rdzenia kinetycznego.

Im dłużej wielki admirał wpatrywał się w te obrazy, tym bardziej był przygnębiony. Gorycz

przegranej przerodziła się szybko w smutek, a ten z kolei ustąpił rozpacz, z której

wykiełkowała przytłaczająca bezradność. Po raz pierwszy w życiu Theodore Reginald Farland,

człowiek sukcesu, najprędzej pnący się po szczeblach kariery oficer floty Federacji, poczuł

się... nikim. Co z tego, że dysponował kilkoma setkami dużych okrętów wojennych

i dziesiątkami tysięcy gotowych na wszystko ludzi, skoro nie był w stanie powstrzymać

jednego ataku Obcych.

W końcu nie wytrzymał i jak większość podwładnych sięgnął po trunek. W skrytce pod

konsolą przechowywał butelkę naprawdę starej whisky z Systemów Centralnych. Prezent

otrzymany od ojca z okazji pierwszego awansu. Destylowano ją jak trzeba, na powierzchni

planety tlenowej, w prawdziwych, importowanych z Ziemi dębowych beczkach. Z czego ją

pędzono, tego nie mógł i nie chciał wiedzieć. Wystarczało mu, że ta whisky smakuje wybornie

i poniewiera jak trzeba, nie skazując na męki kaca.

Postawił na blacie stożkową karafkę i sięgnął po zamykającą ją zabawną parasolową

zatyczkę. Dawny rzemieślnik próbował nadać temu naczyniu kształt futurystycznego okrętu

przestrzennego. Prawie mu się to udało. Wielki admirał wybrał jeden z kieliszków tkwiących

we wtopionych w ścianę uchwytach, przyjrzał mu się pod światło, chuchnął i stał chusteczką

niewielką plamkę. Szkło wyposażono w mikroskopijny antygraw, dlatego nie musiał się

martwić brakiem płaskiej powierzchni na otaczającej go konsoli stanowiska dowodzenia.

Kieliszek zawisł kilka centymetrów nad lśniącym metalem. Obniżył się nieco, gdy admirał

nappełnił go bursztynowym płynem.

Po czterdziestej powtórcie nagrania – i wychyleniu trzeciej kolejki – na bocznym

wyświetlaczu rozbłysła pomarańczowa ikonka. Farland nie zauważył jej od razu, ale gdy

miganie przykuło w końcu jego uwagę, natychmiast oderwał wzrok od mrowia

nadlatujących

rakiet, zatrzymał projekcję i aktywował komunikator. Włączył jednak tylko fonię.

– Farland, słucham – mruknął i wstrzymał oddech.

– Wielki admirał, melduje się porucznik Wagner z pionu komunikacyjnego. – Głos oficera

dyżurnego brzmiał normalnie, Theodoriginald nie wyczuwał w nim napięcia towarzyszącego

przekazywaniu złych wiadomości. Na przykład o kolejnym ataku. – Otrzymałem właśnie

wewnątrzsystemową prośbę o otwarcie łącza kwantowego. Pułkownik Rutta chce z panem

rozmawiać.

Farland odetchnął. Jeszcze nie pora, ale meldunek o następnej zniszczonej sondzie może

nadejść lada moment – i nadejdzie. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin

w najodleglejszych zakątkach Rubieży umilkło sześć kolejnych stacji monitorowania.

– Łączcie – odparł zwięźle, sięgając palcami do szyi, by dopiąć mundur.

Po chwili wahania zrezygnował. Znał Franciscollina od lat, nie musiał przy nim udawać, że

jest tępym, pozbawionym uczuć, ogwiazdkowanym skurwyklonem, którego nic nie rusza.

Na miejscu pokrytych plazmowymi sferami tarcz liniowca Obcych pojawił się fragment

mostka z kokonem fotela i siedzącym w nim pułkownikiem. Światła na

stanowisku

dowodzenia były przygaszone, w tle nie kręcili się żadni ludzie, a mimo to Rutta od razu

podniósł ekran izolacyjny.

– Wielki admirale... – zaczął niepewnie, zapewne zbity z tropu wyglądem przyjaciela.

– Daj spokój – przerwał mu Farland. – Nikt nas teraz nie widzi i nie słyszy.

Pułkownik się skrzywił. Lata doświadczeń zmieniły go w służbistę – kiedy widział przed

sobą przełożonego, instynktownie odnosił się do niego z pełnym szacunkiem i tytułaturą.

Nawet jeśli znał go niemal od dziecka. Zdziwił się mocno, widząc wielkiego admirała,

dowódcę całego sektora, w rozpiętym nonszalancko mundurze i z kieliszkiem w ręce.

Z drugiej jednak strony sam chwilę temu wychylił dwie szklaneczki czegoś mocniejszego, by

zrzucić z karku choć odrobinę przytłaczającego go ciężaru. Tyle że zrobił to w samotności,

dbając o to, by nie mieć świadków chwili słabości.

– Ale... – chciał zaprotestować.

– Daj spokój – powtórzył Farland, machając lekceważąco dłonią. – Znamy się przecież

od... od... od niepamiętnych czasów.

– Od sześćdziesięciu pięciu lat – uściślił Rutta.

– Tak. Szmat czasu. Ta whisky jest prawie tak stara jak nasza zna... jak nasza przyjaźń –

poprawił się lekko już wstawiony wielki admirał, unosząc kieliszek do niemego toastu.

Pułkownik skinął tylko głową.

– Otrzymałem właśnie końcowe raporty – odezwał się, gdy Farland przełknął duszkiem

bursztynowy płyn. – Dlatego poprosiłem o połączenie zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni.

– Domyślam się, że nie wnoszą wiele nowego.

– Nie mamy do czynienia z najczarniejszym scenariuszem, to fakt – przyznał Rutta – ale za

dobrze też nie jest.

– Moi chłopcy doszli do podobnych wniosków... – Wielki admirał zerknął na wyświetlacze, sprawdzając kolejny z napływających bez przerwy dokumentów, a potem nalał

sobie jeszcze jedną miarkę. – Mów dalej.

– Analizy widma wskazują, że naprawdę niewiele brakowało, by zdjąć im osłony.

– Niewiele, czyli ile?

– Dziewiętnaście procent.

– Tylko dziewiętnaście? – Ta informacja zelektryzowała Farlanda. Odłożył napełniony

kieliszek nad konsolę. Na przekazach z Vandala wyglądało to gorzej. – Gdyby te atomówki...

– Niestety – wpadł mu w słowo Rutta. – Dranie wyłuskali je bezbłędnie, zupełnie jakby się

ich bali. W krytycznym momencie skoncentrowali cały ogień zaporowy na torpedach, aby

zniszczyć je przed detonacją, i to jak najdalej od siebie. Tylko temu zawdzięczamy tak wysoki

współczynnik trafień rdzeniami kinetycznymi.

– Jakby się ich bali, powiadasz... – Wielki admirał zamyślił się głęboko.

– Tak to wygląda – dodał szybko Rutta. – Nie wiem jeszcze dlaczego, ale to może być

bardzo cenna wskazówka na przyszłość.

Farland pokiwał głową. To musiało coś znaczyć. Tylko co? Takich torped używano

zazwyczaj do rozhermetyzowywania dużych połączeń poszycia. Khumalo posłał je w drugiej fali,

tuż za gradem rdzeni, licząc na to, że broń kinetyczna wsparta skoordynowaną salwą

turbolaserów zdoła przeciążyć pola siłowe liniowca, ale Obcy zaryzykowali. Byli gotowi

poświęcić tarcze, byle nie dopuścić do siebie ani jednej głowicy nuklearnej. Zaintrygowany

tym faktem wpisał do komputera kilka komend, polecając systemowi analizę danych

dotyczących odpowiedniego momentu bitwy. Wyniki były zgodne z jego oczekiwaniami.

Z taktycznego punktu widzenia Obcym bardziej się opłacało zniszczyć większą

liczbę rdzeni.

Sumaryczna moc ataku kinetycznego była ponad dwukrotnie wyższa od tej, którą dysponowały

zniszczone głowice. To chyba jedyne nielogiczne zachowanie wroga, jakie zaobserwowano

podczas wszystkich ataków.

– Może ich broń nuklearna jest o wiele potężniejsza od naszej? – zastanowił się na głos.

– Wątpię – mruknął Rutta. – W tej wielkości głowicy nie upchniesz teratonowego ładunku.

– Też prawda.

Rutta pochylił się w kierunku holokamer.

– Taktyka stosowana przez Obcych wskazuje dobitnie, że oni wiele o nas wiedzą. Uderzają

precyzyjnie w najczulsze punkty naszych okrętów, nie przejmują się także bronią, która

niewiele może im zrobić, jakby z góry znali jej charakterystyki i maksymalną skuteczność. A to

znaczy, że muszą też znać moc stosowanych przez flotę głowic.

– Dlaczego więc...

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem, ale to odkrycie może zmienić naszą sytuację. Na Vandalu

byliśmy naprawdę bliscy sukcesu...

– Sukcesu? – zachnął się wielki admirał. – Jakiego sukcesu? Na wszystkich bogów

i bożków, jakich znał ten świat! Straciliśmy ponad pięciuset ludzi i dziewiętnaście okrętów

wojennych. Ot tak, w okamgnieniu. Tylko po to, by sprawdzić wydajność generatorów

jakiegoś... jakiegoś... – Zabrakło mu słów.

– Mylisz się – zaprotestował Rutta. – Osiągnęliśmy zakładany cel. Poznaliśmy maksymalną

wydajność pól siłowych liniowca. A Khumalo wiedział, na co się pisze – dodał.
– Jeśli

admiralicja nie zignoruje naszych raportów, jego poświęcenie pozwoli ocalić...

Wielki admirał uniósł rękę, jakby chciał go uciszyć.

– Zanim porozmawiamy o nowych rozkazach admiralicji, chciałbym cię o coś zapytać.

Powiedz mi, ale tak szczerze, jak przyjaciel przyjacielowi, bez owijania w bawełnę, co ty byś

zrobił w mojej sytuacji?

– Wydałbym rozkaz natychmiastowej ewakuacji zagrożonych systemów i zaczął...

– Czekaj – przerwał mu Farland. – Założmy, że nie ma mowy o żadnym odwróceniu.

– Co znaczy: nie ma mowy? – zdziwił się pułkownik.

– Przyjmijmy, że admiralicja nie zgadza się na oddanie Obcym ani kawałka Rubieży.

– Przecież to nonsens.

– Wiem, ale chciałbym, żebyś rozważył taką właśnie opcję. Czysto hipotetycznie, rzecz

jasna.

– Hipotetycznie, akurat. Mów wprost, Xiao kazał ci...

– Nie Xiao. – Wielki admirał pokręcił z rezygnacją głową. – To bezpośredni rozkaz Rady.

Mamy powstrzymać wroga bez względu na straty. Ani kroku w tył, tak dokładnie wyraziła się

pani kanclerz.

Rutta zamilkł na dłuższą chwilę. Sprawdzał coś na wyświetlaczach swojej konsoli,

wpisywał kolejne komendy i znów studiował napływające dane. W końcu podniósł głowę.

– Przykro mi – powiedział – ale nie widzę innego sensownego rozwiązania.

Wielki admirał skwitował tę odpowiedź krzywym uśmiechem.

– Dobrze, spróbujmy podejść do problemu inaczej – zaproponował, aktywując

holoprojektor. Między nimi pojawiła się wielka mapa Rubieży. – Ja przedstawię ci pewien

plan, a ty powiesz mi, co ci w nim nie pasuje.

– Nie ma sprawy.

– Zacznijmy od generaliów. – Wystarczyło kilka ruchów dłoni, by wokół niektórych gwiazd

pojawiły się ikony. Najpierw zielone, potem niebieskie, a na sam koniec najliczniejsze

czerwone. – To nasze kolonie, instalacje przemysłowe i okręty, którymi dysponuje sztab

metasektora. Mamy pieczę nad stu trzydziestoma sześcioma skolonizowanymi

systemami

i prawie dwoma tysiącami takich, których nie było sensu eksploatować.

Reasumując:

chronimy nadal sto osiemdziesiąt... – odliczył w pamięci utracone placówki –
...jeden kolonii

planetarnych i trzysta dwadzieścia sześć instalacji orbitalnych, z których
dwieście

dziewięćdziesiąt jeden nie dysponuje własnym napędem pozwalającym na
wykonanie skoku.

Według najnowszego wypisu z rejestrów nasz sektor zamieszkuje... sześć
miliardów sto

piętnaście milionów trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy ośmiuset szesnastu
cywilów. Nie licząc

ludzi z już utraconych kolonii. Terytoriów tych ma bronić osiemnaście
pancerników, z czego

ponad połowa należy do poprzednich generacji, i sto siedemdziesiąt pięć
krążowników, przy

czym w tej klasie proporcje jednostek starych do nowych są bardzo podobne.
Dysponujemy

także ponad trzema tysiącami niszczycieli, fregat i korwet. Pozostałej drobnicy
nawet nie

liczę, bo to głównie desantowce i patrolowce, które nie przydadzą się w
starciach

przestrzennych z Obcymi.

– Znam te dane – zapewnił go Rutta tonem ponaglenia.

Wielki admirał milczał, ale tylko przez chwilę.

– Mój plan zakłada stworzenie dziewięciu zespołów uderzeniowych o podobnej sile ognia.

W skład każdego wejdą dwa pancerniki, osiemnaście krążowników oraz dwieście do trzystu

mniejszych okrętów bojowych, w zależności od klasy i uzbrojenia. Zamierzam podzielić je na

trzy zgrupowania i rozmieścić w następujący sposób... – Wielki admirał dotknął kolejnego

wirtualnego klawisza i czerwone ikonki zaczęły się skupiać w pasie minus cztery.

– Dlaczego nie podciągniesz ich bliżej? – zapytał Rutta.

– Przegrupowanie tak dużych sił wraz z zapleczem logistyczno-taktycznym zajmie nam

około trzech tygodni standardowych. W tym czasie, bądźmy szczerzy, utracimy pozostałe

zamieszkane systemy z pierwszego pasa i mniej więcej jedną trzecią minus dwójki.

– Rozumiem.

– Jeśli przesłane przez ciebie obliczenia są dokładne, a nie mam powodu w to wątpić, dwa

takie zespoły uderzeniowe powinny dać sobie radę z czterema jednostkami Obcych. Do

zdjęcia tarcz liniowca potrzebowałbym skoordynowanego ataku pancernika, czterech

krążowników i około stu, stu pięćdziesięciu niszczycieli, ale nie zamierzam ryzykować.

Dlatego każde zgrupowanie będzie się składać z trzech zespołów. Dwa staną do walki

z Obcymi, trzeci zatrzymam w odwodzie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– Oceniłeś efektywność według współczynników z Vandala? – zapytał Rutta, któremu coś

się nie zgadzało w tych wyliczeniach.

– Nie. – Wielki admirał uśmiechnął się tryumfalnie.

– Nie?

– Ja także nie próżnowałem, przyjacielu. Przeanalizowałem bardzo starannie sposób, w jaki

Khumalo chciał przełamać obronę tych skurwyklonów, i chyba znalazłem jeden, ale za to

spory błąd w jego taktyce. Spójrz.

Projektor ponownie wyświetlił pierwsze momenty starcia na Vandalu. Tym razem jednak

atak zespołu uderzeniowego wyglądał inaczej. Niszczyciele znajdowały się w drugiej linii,

zgrupowane za pancernikiem i krążownikami, aby Obcy nie mogli ich ostrzeliwać

bezpośrednio. Ten manewr dał ich załogom czas na odpalenie kilkuset dodatkowych rdzeni

kinetycznych. Liniowce musiały przekierować większą ilość energii do stanowisk obronnych,

by skoncentrować ogień na lawinie nadlatujących pocisków, dzięki czemu wielkie okręty

wojenne przetrwały niemal nietknięte do momentu, w którym same mogły

otworzyć ogień.

Rutta sprawdził pośpiesznie odczyty.

– Zwiększyłeś skuteczność ataku do dziewięćdziesięciu czterech procent – zauważył, nie

kryjąc zadowolenia.

– A teraz pomyśl, co moglibyśmy uzyskać, gdyby naprzeciw tych czterech liniowców

postawić dwa moje zespoły uderzeniowe – emocjonował się wielki admirał. – I odpalić dwie

setki torped z głowicami nuklearnymi zamiast dwudziestu – dodał, wprowadzając nowe dane.

Kolejna symulacja, pokazująca hipotetyczne starcie czterech pancerników najnowszej

generacji i trzydziestu sześciu krążowników wspieranych ogniowo przez pociski kinetyczne

wystrzeliwane z ponad pięciuset niszczycieli, korwet i fregat, wyglądała imponująco. Nawała

ognia rozniosła najpierw tarcze Obcych, a potem ich okręty. Tym razem bitwa zakończyła się

kompletną zagładą wroga, choć straty po stronie ludzi także były niemałe. Dwa pancerniki

wyparowały, dwa inne zostały poważnie uszkodzone. Aż siedem krążowników przeszło do

historii, a dalszych piętnaście nadawało się wyłącznie do kapitalnego remontu, lecz co

ciekawe, niemal wszystkie jednostki eskorty przetrwały.

Pułkownik, skupiając uwagę na pierwszym planie, nie zauważył masowego odwrotu

eskorty. Farland dobrze to sobie wykombinował. Niszczyciele i cała reszta drobniacy wykonali

skoki podprzestrzenne natychmiast po odpaleniu ostatnich rakiet, dzięki czemu liniowce nie

miały do czego strzelać, gdy na kolejnym etapie starcia minęły główną formację.

– Jakież uwagi? – spytał zadowolony z siebie wielki admirał.

– Tylko jedna – odparł spokojnie Rutta. – Co zrobisz, jeśli oni nie podejmą walki?

– Dlaczego mieliby rejtrować?

– Nie są głupcami, czego nieraz dowiedli.

– To prawda, ale...

– Nie ma żadnego ale, Theo. Jeśli przegrupujesz siły w taki sposób, będziesz miał dwa

rozwiązania. Albo zostawisz je w pasie minus cztery, aby reagować z opóźnieniem na kolejne

ataki... Jeśli dobrze liczę, twoje zespoły pojawią się w zaatakowanych systemach około

sześciu godzin po Obcych. Zmuszenie ich do podjęcia walki na twoich warunkach będzie więc

cholernie trudne. Jeśli zablokujesz strefę skoku, zrobią swoje na twoich oczach, a potem

znikną, uciekając w podprzestrzeń.

– Nie wiemy, czy dysponują technologią pozwalającą...

– Bracie, mówimy o istotach, które dysponują sprzętem, o jakim my możemy tylko

pomarzyć. Naprawdę uważasz, że nie odkryli tak banalnej technologii jak

podprzestrzenne?

Farland zmierzył go wściekłym spojrzeniem, ale pokiwał głową.

– Masz rację – rzucił gniewnie – nie możemy wykluczać tej ewentualności, więc wybieram

opcję numer dwa. Polecimy za nimi.

– Żeby ich dopaść, będziecie musieli iść pełnym ciągiem. Od kilkunastu godzin do nawet

dwóch dni. A to odbije się negatywnie na skuteczności późniejszych działań. Straciecie około

trzydziestu procent efektywności osłon.

– To wciąż wystarczy do pokonania liniowców.

– Tak, ale za cenę ponad dwukrotnie większych strat – odparł ze spokojem Rutta,

uruchamiając odpowiednią symulację. – A na to nas po prostu nie stać.

Wielki admirał obejrzał holo spod na wpół przymkniętych powiek.

– Jeszcze jakieś uwagi? – zapytał.

Pułkownik przytaknął.

– Skuteczniej byłoby rozmieścić te zgrupowania w najcenniejszych z zagrożonych systemów

i zaczekać w nich na wroga, ale to z kolei rodzi inne zagrożenia. Obcy mogą zignorować

bronione przez trzecią flotę systemy i wdrzeć się bez przeszkód w głąb naszej przestrzeni.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego sztab Terytoriów Wewnętrznych tak chętnie przystał na

moją propozycję wypożyczenia ich najlepszego analityka – mruknął wielki admirał, sięgając

po kieliszek.

– Mogę ci przytakiwać, jeśli wolisz, ale...

– Nie, przyjacielu. To nie manewry, tylko prawdziwa wojna. Konsekwencje moich błędów

mogą być katastrofalne. Dlatego proszę o pomoc ciebie, a nie klakierów. Wal prosto z mostu,

a mną się nie przejmuj. Wprawdzie nikt nie lubi być krytykowany, zwłaszcza jeśli robi się

z niego durnia, ale jakoś to wytrzymam. – Nalał sobie kolejny kieliszek. – A jak nie

wytrzymam, nawet mimo wspomagania, to też się nie obawiaj. Każę cię zrehabilitować

pośmiertnie, jak wszystkich poprzednich upierdliwych doradców. – Zaśmiali się obaj z tego

żartu. – Co jeszcze może pójść nie tak?

Tym razem Rutta od razu wprowadził dane do symulatora. Na hologramie naprzeciw

zespołów uderzeniowych Farlanda pojawiły się nie cztery, a dziesięć gruszkowatych okrętów.

Wielki admirał błyskawicznie spoważniał. Dwadzieścia sekund później, gdy

projekcja

dobiegła końca, a po jego zespołach nie zostało nic prócz morza szczątków, zaczął z furią

wprowadzać nowe dane. Dodawał zespół po zespole i uruchamiał kolejne symulacje do

momentu, aż rzucił do boju niemal wszystkie siły, jakimi dysponował, i uzyskał w końcu

pożądany rezultat. Cena tego sukcesu była jednak ogromna.

– Ta jedna bitwa pozbawi cię wszystkich pancerników i niemal trzech czwartych krążowników – podsumował Rutta, gdy komputery podały przybliżone szacunki.
– Nie możesz

pozwolić sobie na tak wysokie straty.

– Nawet jeśli to pyrrusowe zwycięstwo zakończy inwazję? – zdziwił się wielki admirał.

Pułkownik spojrzał na niego z politowaniem.

– Ty naprawdę wierzysz, że te dziesięć liniowców to wszystko, co przeciw nam rzuca?

Farland pokręcił głową wolno, jakby z lekkim niedowierzaniem.

– To tylko harcownicy? – wycharczał przez zaciśniętą krtani, przypominając sobie raporty

o stracie kolejnych stacji monitorowania, a tych było coraz więcej. – Zwiad bojem?

– Tak, przyjacielu. Moim zdaniem prawdziwa flota inwazyjna dopiero nadciąga.

– Co więc radzisz?

– To samo co przedtem.

– Wycofując się z Rubieży, przeniesiemy tę wojnę aż na Terytoria Wewnętrzne – wymamrotał Farland.

– Tak – przyznał Rutta – ale wdrażając mój plan, zyskamy na czasie. Admiralicja będzie

mogła spokojnie relokować pozostałe floty. Może też w końcu zabierze się do produkcji

okrętów piątej generacji, o których tyle się mówi od kilku lat.

– A co z rozkazem Rady? – zapytał wielki admirał.

To był największy problem. Admiralicję dałoby się przekonać do pomysłu Rutty, i to raczej

prędzej niż później, ale z politykami nie da się rozmawiać jak z żołnierzami – pozostaną głusi

na najsensowniejsze nawet argumenty. Dla nich okręty i ludzie to tylko kolejne pozycje i liczby

w statystykach. Jedynym wyjątkiem był okres wyborczy, lecz od najbliższego błagania

obywateli o głosy dzieliło ich jeszcze szesnaście lat.

– Przeczytaj dokumenty, które ci zaraz prześlę... – pułkownik spojrzał w oczy przyjaciela –

i zwołaj kolejną odprawę na siódmą zero zero. Do tej pory powinienem być już na stacji.

=== =

CZTERY

Tym razem wokół elipsowatego blatu zebrało się dziesięć osób. Sami dowódcy pionów

sektora i zaproszony do tego grona Rutta. Prócz niego i Farlanda w głębokich fotelach zasiedli

admirałowie Gerdagmar Schwartz, dowodząca pionem nawigacyjnym trzeciej floty, i szef

logistyki Anselmodesto Bonaventura. Po prawicy tego ostatniego miejsca zajmowali

generałowie Adambrose Wexler, z operacyjnego, Toshikochiyo Kaneda, zawiadujący

uzbrojeniem, i Achilleon Rulescu, odpowiadający za łączność. Patykowaty i wiecznie

bazgrzący po wirtualnym notesie kontradmirał Standriej Lee z lewej miał z kolei pieczę nad

stoczniami floty i jej mobilnymi jednostkami remontowo-naprawczymi. Wydział

bezpieczeństwa reprezentował siedzący z nim ramię w ramię pułkownik Modestiepan

Korolenko. Ostatnim z obecnych był znany już Rutcie wiceadmirał Allandreas Duarte,

zawiadujący wywiadem sektora.

– Niecały kwadrans temu rozmawiałem ponownie z Ziemią – zagaił Farland, gdy ostatni

z przybyłych oficerów zajął miejsce. – Niestety Rada podtrzymała wcześniejsze

postanowienia, tak więc nie pozostaje nam nic innego, jak podjąć zdecydowane próby

powstrzymania najeźdźców. – Uniósł dłoń, by uspokoić podwładnych, a gdy w końcu zamilkli,

dodał jeszcze: – Pułkownik Rutta przedstawi wam teraz założenia planu, nad

którym

pracowaliśmy tej nocy. Jestem ciekaw waszych opinii, ale – znowu uniósł rękę – chcę je

usłyszeć dopiero po prezentacji, nie w trakcie.

Przyjęli jego słowa w ciszy, potakując szybko.

– Panie i panowie oficerowie. – Rutta też nie zamierzał przeciągać tej odprawy.

– Rozkaz

Rady stawia nas w wyjątkowo trudnej sytuacji. Wszyscy wiemy, że otwarta walka z eskadrami

liniowców Obcych doprowadzi do szybkiej eksterminacji nie tylko mieszkańców tego sektora,

ale także trzeciej floty. Wykonując rozkaz 3-79/54, przegramy, dlatego zdecydowaliśmy się na

zastosowanie pewnego fortelu...

– Czy ja dobrze słyszę? – przerwała mu Schwartz. – Mówimy o obejściu bezpośrednich

dyrektyw Rady Najwyższej Senatu Federacji? Przecież to akt zdrady!

– Źle pani słyszy, admirale! – ryknął Farland, waląc pięścią w blat.

– Pułkownik wyraźnie... – Młoda jeszcze, niespełna sześćdziesięcioletnia postawna

brunetka o oliwkowej skórze i wydatnym nosie na pociągłej twarzy nie odpuszczała.

Theo uprzedzał Rutte, że z nią mogą mieć największe kłopoty. Należała do nowego

pokolenia wyższych oficerów, które zbyt długo czekało na szansę udowodnienia własnej

przydatności, zwłaszcza na polu walki. Jego zdaniem była gotowa walczyć do ostatniego

człowieka, o ile jej samej nikt nie każe wsadzić krągłego dupska na pokład flagowca. A miał

szczerą ochotę na podobną zagrywkę.

– Milczeć! – wydarł się ponownie. – To odprawa dowództwa floty sektora, nie dyskusja

o dupie Maryni w kantynie!

Policzki jej zapłonęły, ale zmilczała. Usiadła wyniośle jak urażona księżniczka, dając mu

wzrokiem znać, że to jeszcze nie koniec.

– Wykonamy rozkaz Rady – zapewnił ją moment później Rutta – ale zrobimy to w taki

sposób, by nie stracić większości okrętów i ludzi. Wracając do tematu... Jeśli wielki admirał

ma rację, a jestem przekonany w dwustu procentach, że się nie myli, ostatnie ataki na

graniczne systemy są dopiero początkiem inwazji na znacznie szerszą skalę. – Nie zaszemrali

na jego słowa, każdy oficer przy zdrowych zmysłach musiał już o tym sam pomyśleć. –

Dotychczasowe akcje, w których brało udział po kilka liniowców, to klasyczny zwiad bojowy.

Nie wiemy, ile czasu nam jeszcze zostało, ale jedno wydaje się pewne: jeśli chcemy

powstrzymać marsz Obcych, musimy totalnie zmienić strategię działania. –

Pokiwali głowami,

to także było dla nich oczywiste. – Po pierwsze: wróg przeprowadził dokładne rozpoznanie.

W przeciwieństwie do nas wie, gdzie uderzać, i robi to z chirurgiczną precyzją. To może

również sugerować, że posiada agentów po tej stronie granicy. – Ostatnie stwierdzenie

poruszyło wielu z obecnych, zwłaszcza ludzi z wydziału bezpieczeństwa i wywiadu. Rutta nie

zwracał jednak na to uwagi. – Po drugie: jednostki Obcych dysponują osłonami i bronią,

o jakich możemy tylko pomarzyć. Aby mieć szansę na równą walkę z eskadrą kilku ich

liniowców, musielibyśmy rzucić do akcji kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt naszych

najcięższych okrętów wojennych z odpowiednią asystą. Mimo to w każdym niemal wariantcie,

jaki sprawdziliśmy z wielkim admirałem, straty po naszej stronie byłyby ogromne. Chyba że

do akcji rzucilibyśmy naraz niemal wszystko, czym dysponujemy na Rubieżach. – Teraz nawet

Schwartz przytaknęła. To jej pasowało: gigantyczna bitwa, o której cała Galaktyka

pamiętałaby jeszcze przez stulecia. – Nie jestem jednak pewien, czy to najrozsądniejsze

rozwiązanie.

– Dlaczego? – zapytał Duarte.

Zrobił to bezwiednie, zanim pomyślał, i natychmiast skulił potężne ramiona, jakby

przygotowywał się na gniew Farlanda.

– Choćby dlatego, że właśnie o to może chodzić wrogowi – odpowiedział spokojnie Rutta.

– Jeśli skoncentrujemy trzecią flotę w jednym z pobliskich systemów, staniemy się łatwym

celem dla armady, która czai się gdzieś tam. – Wskazał palcem na miriady gwiazd skrzących

się poza linią wyznaczającą umowną granicę Federacji. – Wystarczy, że Obcy rzucą przeciw

nam dwadzieścia albo trzydzieści liniowców... – celowo zawiesił głos, by kolejne zdanie

zabrzmiało z należytą emfazą. – A przecież równie dobrze może ich być sto – dodał po chwili,

osiągając zamierzony efekt. Dając im czas na zastanowienie, zbudował odpowiednie napięcie.

Mógł więc spokojnie przejść do omówienia dalszych szczegółów. – Nie mamy bladego

pojęcia, jak liczną flotą dysponują Obcy, to prawda, ale tylko szalenie mógłby uwierzyć, że te

dziesięć okrętów to cała ich potęga militarna. Ten atak został poprzedzony odpowiednim

rozpoznaniem. Czytając raporty, z pewnością zauważyliście, że wróg doskonale wie, jak

z nami walczyć. To nie przypadek sprawił, że już w pierwszym starciu liniowce uderzyły

w najsłabsze punkty Rutheforda. Wątpię zatem, by przeciwnik, który zna dokładnie nasz

potencjał obronny i naszą determinację, uwierzył w szansę pokonania Federacji dziesięcioma

okrętami wojennymi. Nawet przy tak ogromnej przewadze technologicznej, jaką dysponują

Obcy, ta wojna musiałaby się zakończyć ich sromotną przegraną. Federacja prędzej czy

później przetrzuci tutaj sporą część pozostałych czterech flot, zmieniając diametralnie obecny

układ sił. Mając to wszystko na względzie, zaczęliśmy się więc zastanawiać, co zamierzali

osiągnąć Obcy, atakując Valis 11, Valkirię 7 i Vandala. Odpowiedzi może być kilka, ale

doszliśmy do wniosku, że dotychczasowe działania wroga miały na celu sprowokowanie nas

do reakcji polegającej na koncentracji trzeciej floty, aby łatwiej ją było zniszczyć jednym

zdecydowanym uderzeniem. Nie muszę chyba mówić, jak taka porażka wpłynęłaby na morale

ludzi z pozostałych metasektorów. To byłby koniec Federacji. – Zgodzili się i z tym

twierdzeniem. Nawet Schwartz nie wyłamała się z szeregu potakujących. – Dlatego właśnie

powinniśmy zmienić podejście. Od tej pory naszym głównym celem będzie

maksymalne

opóźnianie postępów wroga. Musimy kupić Federacji czas na zgromadzenie wszystkich sił

i wdrożenie nowych programów zbrojeniowych, nie tracąc przy tym większości jednostek.

– Mówi pan o okrętach piątej generacji? – zainteresował się Wexler.

– Między innymi – odparł Rutta, zanim wielki admirał zdążył otworzyć usta – ale nie

odbiegajmy od tematu tej odprawy, proszę. Oto, co konkretnie proponujemy: trzecia flota

zostanie przeformowana w dziewięć zespołów uderzeniowych tworzących trzy zbliżone

liczebnie flotyle. Rozmieścimy je w ciągu najbliższych dwóch tygodni w pasie minus trzy.

Tutaj, tutaj i tutaj – duże czerwone ikonki zapłonęły kolejno na holograficznej mapie sektora –

aby mieć możliwość szybkiego reagowania w sytuacjach kryzysowych.

– Czy to znaczy, że odpuszczamy całkowicie obronę pasów minus jeden i dwa?

– W głosie

Schwartz słyhać było czyste oburzenie.

– Tak. – Rutta znów uprzedził przyjaciela, tym razem jednak posłał mu prośące spojrzenie.

To był najlepszy moment na rozpoczęcie dialogu z tymi ludźmi. Farland także to zrozumiał,

skinął więc ledwo zauważalnie głową, pozwalając podwładnym na nieco więcej swobody.

– Dopuszczam zadawanie pojedynczych pytań, tylko nie zaczynajcie mi tutaj żadnych

dyskusji! – rzucił.

– W takim razie pozwoli pan, że zapytam: jak to się ma do, cytuję, „ani kroku w tył”? –

Schwartz uśmiechnęła się krzywo. Wreszcie ich dopadła. Tak przynajmniej myślała.

– Bardzo prosto, admirale – odpowiedział pułkownik z takim spokojem, jakby tłumaczył

przypadkowo napotkanej osobie, jak dojść do najbliższej stacji kolejki magnetycznej. – Nasze

najbliższe posunięcia zakładają relokację jednostek floty z dalszych pasów do strefy

przygranicznej, nie ma więc mowy o żadnym „kroku w tył”. – Uśmiechnął się złośliwie. –

Poza tym, może mi pani wierzyć na słowo, wbrew obiegowym opiniom w Radzie nie

zasiadają idioci, a najwyższy admirał Xiao zaaprobował przed godziną założenia naszego

planu i zgodził się przeprowadzić stosowne mediacje. Jeśli nawet napotka jakiś opór, nowe

dyrektywy nadejdą na długo przed tym, zanim zakończymy relokację trzeciej floty.

– Niemniej... – zaczęła Schwartz.

– To już drugie pytanie – usadził ją natychmiast Farland. – Zamykam ten temat.

Kontynuujcie, pułkowniku.

– Tak jest. Zanim przejdę do konkretów, chciałbym zwrócić uwagę na jeden aspekt inwazji,

o którym do tej pory chyba nie rozmawialiśmy. – Ponieważ spojrzeli na niego z wyczekiwaniem, nie przedłużał tej chwili. – Od pojawienia się pierwszego liniowca nie

otrzymaliśmy od Obcych żadnego komunikatu. Nie wiem, czy tylko ja odniosłem takie

wrażenie, ale oni zachowują się, jakbyśmy byli dla nich... – Zamilkł. Zdawać się mogło, że

szuka odpowiedniego określenia, ale to były tylko pozory. Doskonale wiedział, co

powiedzieć, chciał jednak, aby to słowo padło z ust innego oficera.

– ...robakami – mruknął w końcu Korolenko.

– Tak. – Rutta uśmiechnął się, wskazując palcem szefa wydziału bezpieczeństwa. – Taktują

nas jak robactwo, z którym nie sposób się porozumieć. Jak zarazę, którą trzeba wypalić

ogniem. Wszyscy widzieliście przekazy z Valis, Valkirii i Vandala. Po zniszczeniu Rutheforda

Obcy pozostali w okolicy punktu skoku do czasu zniszczenia wszystkich dron. Potem udali się

w głąb układu planetarnego i zajęli się metodycznym ostrzeliwaniem stacji korpusu i instalacji

kolonii. Na Valkirii było to samo, nie odlecieli, dopóki nie starli w proch naszych instalacji

w przestrzeni i na powierzchni. Ostatni raport mówił o tym, że odpalili też coś w

rodzaju

dalekosiężnych pocisków samosterujących, których celem są statki pozbawione napędu pod-

i nadprzestrzennego oraz stacje przekaźnikowe znajdujące się w najodleglejszych częściach

tamtejszego systemu. Spodziewamy się też, że eskadra, która pokonała zespół admirała

Khumalo, w najbliższym czasie urządzi podobne czystki na Vandalu.

– Wszystko na to wskazuje – potwierdził Duarte. – Monitorujemy poczynania tych

liniowców, siedem godzin temu rozdzieliły się i obrały kursy na najważniejsze cele

w systemie.

– Ma pan jakieś nowe doniesienia dotyczące orbitalnej kopalni helu-3? – zainteresował się

Rutta.

– Procedury ewakuacyjne zostały wdrożone natychmiast po ataku. Stacja osiągnie gotowość

skokową za cztery i pół godziny. – Duarte podparł się danymi z raportu. – Na długo przed tym,

zanim do Gammy dotrze lecący tam okręt Obcych. Ale to chyba jedyna dobra wiadomość.

Rutta nie skomentował ostatniego zdania.

– Wszystko wskazuje na to, że głównym celem Obcych nie jest podbój zajmowanej przez

nas przestrzeni, tylko eksterminacja ludzkości. A skoro tak, postarajmy się

wykorzystać tę

wiedzę z pożytkiem dla siebie i dajmy im zajęcie nie na tygodnie, ale na całe miesiące, a może

i lata. – Spojrzał na siedzącego na przeciwległym krańcu stołu krępego Bonaventure

i patykowatego Lee, lecz nie dostrzegł w ich oczach zrozumienia. Nic dziwnego, jeszcze kilka

godzin temu sam patrzyłby w niemym podziwieniu na człowieka mówiącego te słowa.

– Jak chcecie tego dokonać? – zapytał Wexler.

– W bardzo prosty sposób – odparł Rutta. – Skoro tak bardzo im zależy na wymazaniu nas

z mapy Galaktyki, zapewnimy im tyle celów, że będą potrzebowali długich tygodni na

oczyszczenie każdego systemu. Nawet jeśli przyleci ich tutaj wielokrotnie więcej, utkną

w pasach przygranicznych na całe miesiące.

– Sam pan wcześniej powiedział, że rozpracowali nas wywiadowczo – zauważył Duarte. –

Jeśli dysponują tak szczegółową wiedzą na temat naszych okrętów, powinni się orientować

także w tym, które systemy skolonizowaliśmy.

– Powinni – przyznał pułkownik – ale jeśli zacznie pan uważniej analizować wzorzec

pojawiania się ich maszyn rozpoznawczych...

– Mówi pan o tych dziwnych sondach, które wlatują w naszą przestrzeń i znikają

po kilku

sekundach? O tych, które niszczą stacje monitorowania punktów skoku? – dopytywał

Korolenko.

– Tak. Te obiekty przeprowadzają zwiad. Wychodzą z nadprzestrzeni na kilka sekund,

rejestrują wszystkie sygnały i znikają, zanim zdążymy zareagować. Jeśli cel wydaje się

obietujący, kilkadziesiąt godzin później przylatuje eskadra liniowców. Proszę jednak

zauważyć, że te sondy, jak pan je nazwał, nie pojawiają się wyłącznie w zamieszkałych

systemach. Na siedemnaście zarejestrowanych wtargnięć w naszą przestrzeń tylko w pięciu

przypadkach chodziło o skolonizowane miejsca.

– Jeśli są tak mądrzy, jak myślimy, szybko przejrzą nasz fortel – wtrącił Rulescu, natychmiast gasząc rodzący się przy stole zapal.

– Dlaczego tak pan sądzi, generale? – zapytał Farland.

– To przecież oczywiste – odparował szef łączności. – Wystarczy, że przeanalizują sygnały

radiowe, jakie wyemitowaliśmy w ciągu ostatnich lat.

Rutta przygryzł wargę. Czarnoskóry szczupły mężczyzna, który nie wyglądał wcale na

kogoś, kto ślęczy całymi dniami za konsolą komputera, miał rację. Chociaż...

– I tak, i nie – odezwał się Korolenko. Kto jak kto, ale on powinien się znać na

podśluchiwaniu. – Skolonizowaliśmy tę część sektora dopiero kilka lat temu, a fale radiowe,

jak wszyscy wiecie, rozchodzą się z prędkością światła, nie mogły więc w tym czasie dotrzeć

za daleko. Jeśli zorganizujemy te pułapki w pasach minus trzy i dalszych, nie uda nam się

zwieść wroga. Sygnały z tamtej części metasektora dotrą do granicy dopiero za kilkanaście lat.

– Ale z jedynki i dwójki mogły już dotrzeć do najbliższych systemów gwiazdnych – upierał

się Rulescu.

– I co z tego? – prychnął Duarte. – Oni siedzą znacznie dalej.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytał Wexler.

– Potrzebują około pięćdziesięciu godzin na przysłanie jednostek bojowych – wyjaśnił

wiceadmirał. – Nadprzestrzeń pozwala pokonać rok świetlny w kwadrans. To nie kwestia

technologii, tylko prostej fizyki kwantowej. A skoro tak, ich baza wypadowa może znajdować

się około dwudziestu pięciu parseków od obecnych granicy Federacji. W pasie plus

dwanaście, piętnaście albo osiemnaście.

– A kto powiedział, że oni potrzebują tyle czasu na doloć do celu? – warknęła Schwartz. –

Równie dobrze mogą się czaić w pasie plus jeden albo plus dwa.

– Wątpię – skontrował natychmiast Duarte. – Lokalizacja baz wypadowych tak

blisko

terytorium wroga to niezbyt dobry pomysł. Moja teza wydaje się prawdopodobniejsza. Nie

musi zaraz chodzić o maksymalny dystans. Wystarczy dziesięć skoków od granicy... – Zaczął

coś przeliczać. – To daje ponad siedem tysięcy prawdopodobnych lokacji. A z każdym

kolejnym pasem liczba ta zwiększa się o setki kolejnych systemów. Jeden neutron w tokamaku.

– Zaraz tam neutron – warknęła Schwartz. – Dajcie mi ludzi i sprzęt, a znajdzie ich w tydzień.

– Być może – przyznał Duarte – ale tylko pod warunkiem, że wyślemy na tę misję setki

patrolowców albo innych niewielkich jednostek zwiadowczych. Problem jednak w tym, że

Obcy mogli pablokować punkty skoku, powiedzmy w pasie plus pięć. Ja bym tak zrobił –

dodał, widząc, że ambitna szefowa pionu nawigacyjnego znów otwiera usta. – Wysyłając

nasze jednostki za granicę, stracimy masę okrętów i ludzi i nie uzyskamy nic w zamian.

– Nie da się prowadzić wojny, nie będąc przygotowanym na straty we własnych szeregach –

wypaliła Schwartz, groźnie mrużąc migdałowe oczy.

– Fakt – zgodził się Farland. – Rozumiem, że zgłasza się pani na ochotnika. Swoją brawurą

i odwagą da pani przykład naszym pilotom. Ujęła mnie pani swoim zaangażowaniem do tego

stopnia, że byłbym skłonny udzielić stosownego zezwolenia. – Zmiażdżyłaby go samym

spojrzeniem, gdyby nie fakt, że miał gdzieś jej gniew. – Nie o to pani chodziło, admirale? –

zapytał, widząc, że zbladła nieco. – W takim razie przepraszam, wziąłem panią za kogoś, kto

nie szafuje życiem podwładnych i w razie zagrożenia staje z nimi w jednym szeregu.

– Mamy tam przecież sondy – rzuciła przez zaciśnięte mocno zęby.

– Mamy – przyznał Wexler. – Ale nie tak dużo, jak by się wydawało. Łączność z jedną

trzecią sprzętu korpusu straciliśmy po zniszczeniu bazy na Valis 11, a większość sond

z pozostałych stacji zawrócono natychmiast po ogłoszeniu alarmu, więc...

– Mimo wszystko sprawa jest warta zachodu – przerwał mu Rutta, zerkając w stronę

podwyższenia. – Trzeba porozmawiać z korpusem. Ich sondy mogą przeczesywać przestrzeń

w odleglejszych pasach, gdy my będziemy robili swoje przy granicy.

– Zanotowałem – mruknął Farland.

Schwartz spojrzała z wyższością na szefa wywiadu. Musiała zadowolić się

mikrozwycięstwem, które Rutta ofiarował jej tylko dlatego, by nie przeszkadzała mu

w dalszym wyłuszczeniu planu.

– Wracając do sedna – zagaił pułkownik, ponownie skupiając na sobie uwagę zebranych. –

Nasz plan polega na wysłaniu transportowców do wszystkich możliwych systemów w pasach

od minus trzeciego do minus piątego. Ich zadaniem będzie rozmieszczanie satelitów na

orbitach tamtejszych planet i tworzenie fikcyjnych przyczółków na powierzchniach każdego

ciała niebieskiego, jakie tylko się do tego nada. Krótko mówiąc, te systemy muszą sprawiać

wrażenie tętniących życiem...

– Świetna myśl – pochwalił go Duarte. – To może się udać.

– Wcale nie taka świetna – zauważył Bonaventura, po czym zachęcony spojrzeniem

wielkiego admirała dodał: – A co ze skanerami wykrywającymi formy życia? Wątpię, aby tak

rozwinięta cywilizacja nimi nie dysponowała.

Znów wszyscy spojrzeli w kierunku Rutty.

– W takim razie trzeba będzie zaludnić te systemy – stwierdził zwięźle pułkownik po

dłuższej chwili zastanowienia.

– To znaczy?

– Flota dysponuje wieloma tysiącami niewielkich jednostek pomocniczych. Patrolowców

i całej reszty drobniacy. Skierujmy do tych systemów wszystko, co mamy, a co nie będzie nam

potrzebne do prowadzenia działań obronnych i zaczepnych. Niech ci ludzie i ich sprzęt

wzbogacają tło.

– I to ja jestem tą, która chętnie skazuje podwładnych na śmierć? – prychnęła Schwartz.

– Jedyne, co może im tam grozić, to śmierć z nudy podczas czekania na atak – zakpił Rutta.

– Wszyscy otrzymają rozkaz natychmiastowej ewakuacji, gdy tylko liniowce pojawią się

w systemie. Nasi chłopcy zaczną symulować paniczną ucieczkę, a po wciągnięciu przeciwnika

w głąb systemów skoczą w podprzestrzeń. Po powrocie do baz wyślemy ich do kolejnych

systemów w dalszych pasach.

– Chwileczkę. – Milczący do tej pory Lee potoczył po zebranych ponurym wzrokiem.

– Tak? – Rutta odwrócił się do chudego jak szczapa szefa remontowców.

– Kto zajmie się ewakuacją zagrożonych systemów, skoro chcecie przydzielić do tej

operacji wszystkie transportowce i mniejsze jednostki?

Na to pytanie pułkownik nie był w stanie odpowiedzieć od razu. Pozostali dyskutanci także

nie kwapili się do otwarcia ust. W końcu ciszę przerwał Farland.

– To szczegół, który trzeba będzie dopracować.

– W takim razie powinniście się pośpieszyć – Lee nie wyglądał ani odrobinę weselej –

ponieważ Obcy lada tydzień mogą się pojawić na Warszawie 74 i Winderze 9.

Wymienił największe kolonie pasa minus cztery. Sto trzysta milionów ludzi

zamieszkiwało planetę tlenową w pierwszym z tych systemów, dalsze siedemnaście

obsługiwało kolonie na czterech skalistych globach okrążających czerwonego olbrzyma.

Zabranie takiej masy ludzi z linii frontu będzie wymagało nie lada wysiłku i mnóstwa sprzętu,

a tego drugiego nie mieli aż tak wiele, by obsłużyć obie operacje naraz.

W sali znów zapanowała grobowa cisza. Rutta przeglądał nerwowo notatki, próbując

równocześnie wymyślić sposób na pogodzenie ognia z wodą. W końcu zaświtała mu pewna

myśl.

– Damy radę, jeśli zmienimy nieco podejście – oznajmił.

– Do ewakuacji cywilów czy budowy fałszywych celów? – zapytał Farland.

– Do ewakuacji cywilów, wielki admirał. Zamierzaliśmy przerzucać ludzi aż do

Terytoriów Wewnętrznych, co znaczy, że jednostki przewożące ewakuowanych musiałyby

wykonać co najmniej kilkanaście skoków w każdą stronę.

– Zgadza się. Trzeba to zrobić raz a dobrze. Żeby nie powtarzać za chwilę tej samej

operacji na skumulowanych populacjach.

– Wiem, ale sytuacja wymaga chyba bardziej desperackich posunięć.

– Czyli?

– Ewakuujemy ludzi tylko do pasa minus sześć. Tam mamy kilka dużych stacji orbitalnych,

z których zrobimy porty przerzutowe. Jeśli druga flota zorganizuje transport dalej, nie stracimy

tylko czasu i zdążymy się przygotować.

– Milowicz musiałby działać w naszej strefie – wtrąciła Schwartz.

– Ja nie będę miał nic przeciw temu – zapewnił ją Farland.

– Ja też nie – poparł go natychmiast Wexler.

Korolenko był trzeci, po nim odezwał się Duarte. Szefowa pionu nawigacyjnego nie czekała

na pozostałych i odpuściła. Zezwolenie innej flocie na prowadzenie działań operacyjnych

w sektorze podlegającym danemu dowództwu było wielkim precedensem. Czymś, czego

admiralicja może nie pochwalać, ale Rutta miał rację: desperackie czasy wymagają

desperackich posunięć.

– Ja się tym zajmę – obiecał wielki admirał.

Bonaventura, który od pewnego czasu więcej uwagi poświęcał wyświetlaczom niż toczonej

dyskusji, podniósł nagle głowę.

– Mam pomysł – rzucił. – Związany z tym tematem. Być może pozwoli skompensować straty

spowodowane koniecznością rezygnacji z części transportowców.

– Słuchamy – zachęcił go Farland.

– Skoro akcja przesunięcia granicy o kolejny pas zostaje odwołana, moglibyśmy wykorzystać cały prywatny sprzęt, jaki został zgromadzony na tę okazję.

– Czyli?

– Mamy w magazynach prawie dwa tysiące megadrukarek należących do korporacji, którym

przyznano nowe koncesje na wydobycie. Dzięki nim możemy stworzyć nie tylko wrażenie

zamieszkania systemów przez ludzi, ale także całe fikcyjne kolonie.

– Czy to nie będzie zbyt kosztowne?

– Ależ skąd – obruszył się szef logistyki. – I tak wysyłamy tam nasze jednostki, więc

transport nic nas nie będzie kosztował. A po umieszczeniu na powierzchni ten sprzęt sam

zadba o materiały na budulec. Skoro to nie muszą być w pełni funkcjonujące instalacje,

wystarczy, że postawimy same zabudowania. Chłopcy wpakują tam trochę starej elektroniki

i stworzymy całkiem udany miraż funkcjonujących kolonii.

– Znakomicie – pochwalił go Farland. – Zwłaszcza że po wykonaniu zadania drukarki

można przetrzasnąć do kolejnych systemów.

– Bez najmniejszego problemu. – Bonaventura odwrócił się do siedzącego obok niego Lee.

– Standriej pomoże nam w tej operacji.

– Da się zrobić – zapewnił pozostałych szef pionu remontowego. – O ile nie spróbujecie

w tym czasie mierzyć się z Obcymi – zastrzegł. – Wtedy, sądząc po symulacjach, które tu

widziałem, będę potrzebował wszystkich ludzi i wszystkie jednostki w stoczniach floty.

– Korporacjom to się nie spodoba – obwieścił kwaśnym tonem Korolenko. – Idę o zakład,

że natychmiast po ogłoszeniu alarmu wysłali frachtowce, żeby przerzucić te drukarki na

przeciwległe Rubieże. Kapitał nie znosi strat.

– Jakies sugestie? – zapytał Rutta, wiedząc, że wubek ma rację. Wielkie korporacje będą

miały w dupie wysiłek wojenny i ataki Obcych, dopóki ci ostatni nie zagrożą Systemom

Centralnym, ale wtedy będzie już za późno na współpracę.

– Możemy zarekwirować ten sprzęt – zaproponował Wexler. – Na mocy dekretu admiralicji

albo nawet Rady.

– Rada prędzej każe pana rozstrzelać, niż zabierze przywileje ludziom, którzy finansują jej

kampanie wyborcze – rzucił zjadliwym tonem Kaneda. Wiedział, co mówi, gdyż próbował za

młodu wojować z systemem, o czym można było wciąż przeczytać w jego aktach osobowych.

– Może... – zaczął niepewnie Bonaventura, jakby sam bał się tego, co wymyślił.

– Może

poinformujemy korporacje o utracie sprzętu. Mogliśmy go przecież przerzucić kilka dni temu

do jednego z zaatakowanych systemów, nie wiedząc o tym, że...

– Dobre – zaśmiał się Duarte. – Ale nie aż tak dobre, żeby wykiwać prawników korporacji.

Jak wytłumaczy im pan fakt, że flota przypadkiem posiada identyczny, choć nieewidencjonowany sprzęt?

Głos zabrali równocześnie dwaj kolejni oficerowie. Zaczynała się klasyczna przepychanka

na słowa, a do tego Rutta nie zamierzał dopuścić. Wystarczyło jedno spojrzenie w kierunku

podwyższenia.

– Mordy w czarną dziurę! – Farland zareagował natychmiast. – Zaczniemy przerzucać ten

sprzęt do wyznaczonych systemów, jak tylko przygotujemy harmonogramy prac. Kwestię

rozwiązań prawnych zostawcie mnie. Czy to już wszystko? – Spojrzał na Rutte.

– Jeśli można, chciałbym coś zaproponować – rzucił pośpiesznie Kaneda, widząc, że wielki

admirał szykuje się do zakończenia odprawy. – Może zaminujemy punkty skoku w losowo

wybranych systemach?

Wexler spojrzał na niego bykiem. Nikt we flocie nie lubił min, a już zwłaszcza oficerowie

służący na okrętach wojennych. Ich zdaniem była to jedna z najpodlejszych broni.

Niehonorowa, brudna, ale tu przecież nie chodziło o walkę człowieka z człowiekiem, tylko

o obce istoty, które postawiły sobie za cel zgładzenie rasy ludzkiej.

– Jestem za – palnęła Schwartz, zanim szef pionu operacyjnego otworzył usta.

– Ja też – poparł ją natychmiast Rutta ku zaskoczeniu paru osób. Olśniło go: to było to. Miny

nuklearne, na które Obcy nadzieją się niespodziewanie natychmiast po wyjściu z nadprzestrzeni. – Ale musimy to zrobić z głową, generale Kaneda.

– Czyli jak?

– Postawimy je, ale dopiero po tym, jak w danym systemie pojawi się sonda Obcych –

wyjaśnił. – Niech mają niespodziankę.

– Rozumiem. – Szef pionu uzbrojenia wyszczerzył zęby. – Oj, zdziwią się skurwyklony.

Nie wiesz nawet, jak bardzo... – pomyślał pułkownik. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że

taką pułapkę da się zastawić tylko raz. Postanowił więc szybko, że musi nad nią ostro

popracować.

– I jeszcze ostatnia sprawa – przypomniał Farland. – Ewakuowani nie mogą się dowiedzieć

o prawdziwym powodzie opuszczenia Rubieży.

– Dlaczego? – zdumiała się Schwartz, a kilku innych oficerów poparło ją

natychmiast.

– Takie są rozkazy Rady – wyjaśnił ze spokojem wielki admirał. – Panika to ostatnie, czego

nam teraz trzeba.

– Co zatem powiemy ludziom?

Farland spojrział znacząco na Rutte.

– Oficjalna wersja jest taka, że jedna z gwiazd w pasie zero zmienia się w supernową.

Proces ten jest bardzo niestabilny, ale przebiega zaskakująco szybko. Nauka nie zna na razie

jego wytłumaczenia.

– Kto w to uwierzy? – prychnął Lee.

– Któryś z naszych na pewno się wygada – dodał Wexler.

– Na razie o inwazji wiedzą tylko wasi podwładni – stwierdził Farland. – I niech tak

zostanie. Do akcji skierujemy tych oficerów i marynarzy, którzy stacjonowali do tej pory

w odleglejszych pasach i nie mają o niczym pojęcia. Tylko w wyjątkowych sytuacjach, na

przykład tam, gdzie może dojść do realnego kontaktu z Obcymi, użyjemy ludzi znających całą

prawdę.

– Mamy okłamywać własnych podwładnych?! – uniosła się Schwartz.

– Musimy – zapewnił ją pułkownik. – Wybieramy mniejsze zło. Jeśli wierzyć raportom

pionu naukowego, skutki paniki, jaką wywoła podanie do wiadomości publicznej informacji

o inwazji Obcych, mogą być katastrofalne.

– A jak macie zamiar zapanować nad kolonistami, którym udało się uciec z pierwszych

zaatakowanych systemów? – zainteresował się Lee.

– Na razie wszyscy trafiają do wydzielonych, odizolowanych sektorów i tam pozostaną do

chwili rozwiązania tego problemu – odpowiedział wielki admirał. – Poza tym, jak wiecie, na

rozkaz admiralicji już pierwszego dnia wprowadzono kompletną cenzurę transmisji

kwantowych i wstrzymano ruch komercyjny w przygranicznych pasach. Wszystko wskazuje na

to, że przynajmniej chwilowo udało się zachować te wydarzenia w tajemnicy. I niech tak

zostanie.

==== =

DZIEŃ PIERWSZY

==== =

JEDEN

System Ulietta, Sektor Zebra,

23.10.2354

– Wyjście z nadprzestrzeni za trzy, dwie, jedną...

Komputery

ożyły,

panoramiczne

ekrany

sterowni

wypełniły

się

animacjami

przedstawiającymi pobliską gwiazdę i otaczający ją układ planetarny. Załoga Djangonzalo

Cervantesa jeszcze przez sześć minut będzie musiała polegać wyłącznie na odczytach

czujników. Wizja zostanie włączona dopiero po wykonaniu pełnego zwrotu, gdy gwiazda

centralna tego systemu zniknie sprzed dziobu masywnego krążownika.

Na wyświetlaczach stanowiska dowodzenia pojawiły się pierwsze raporty. Przybywało ich

z każdą sekundą. Zdecydowana większość nagłówków uspokajała soczystą zielenią, tylko

kilka było pomarańczowych, ale tego należało się spodziewać. Tarcze okrętu pracowały

z maksymalną wydolnością, nic więc dziwnego, że w niektórych generatorach dochodziło do

lokalnych przeciążeń. Nie było to jednak nic, co mogłoby zagrozić misji.

Henryan przeglądał te alerty, nie koncentrując się jednak zbyt na ich treści. To było

zadaniem wachtowych. Rutynowa robota, procedury, przez które przechodzili setki razy

w czasie wieloletniej służby. Widział ich wokół siebie w półmroku wielkiego mostka.

Pracowali w niemym skupieniu, jak automaty. Nie zauważał u nich żadnych oznak niepokoju

czy zdenerwowania. Zachowają zimną krew, dopóki na ekranach przed nimi nie pojawi się

kolor czerwony...

Szlag – zaklął pod nosem, widząc w górnym prawym rogu wyświetlacza migoczący

miarowo rubinowy punkt. Czując mrowienie u nasady karku, otworzył zwięzły raport

wachtowego z pionu nawigacyjnego. Problem nie dotyczył jego okrętu, ale prócz krążownika

w konwoju lecącym na Uliettę znajdowało się ponad sześćdziesiąt transportowców i arek

kolonizacyjnych. Awaria bądź utrata którejkolwiek z tych jednostek oznaczałaby

niewyobrażalne problemy... Ta misja, choć nie wiedział jeszcze czemu, otrzymała najwyższy

priorytet.

Henryan nie rozumiał, dlaczego kazano mu scedować dowodzenie prowadzoną właśnie

operacją ewakuacyjną na innego oficera, ale nie dyskutował, gdy nadeszły

rozkazy, i mimo

protestów zdesperowanych kolonistów natychmiast wycofał Cervantesa z Ugandy 6. W pasie

minus cztery dołączył do formowanego właśnie konwoju – a raczej przypadkowej zbieraniny

statków kolonizacyjnych, transportowców i okrętów wojennych wycofanych równie

pośpiesznie z innych eskadr w tej części pasa – by po otrzymaniu kolejnych dyrektyw wykonać

skok na Uliettę. Nie miał nawet czasu na zrobienie porządnej odprawy, czuł więc tym większy

niepokój, że któraś z towarzyszących mu cywilnych jednostek zaczęła się rozsypywać,

narażając na szwank całą operację.

Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy przeczytał pierwsze zdania wiadomości. Raport nie

dotyczył konwoju, tylko jednej z planet systemu gwiazdnego, do którego właśnie skoczyli.

– Co pan o tym sądzi, komandorze Hines? – zapytał, odwracając się do współdowódcy

krążownika, młodego Latynosa o wyjątkowo głęboko osadzonych, czarnych oczach i orlim

nosie. Na mostku, przy podwładnych, zawsze zwracali się do siebie zgodnie z regulaminem.

Javiernesto przerzucał już kolejne pliki astroatlasu floty, sprawdzając wcześniejsze wpisy

i coraz mocniej kręcąc głową.

– W życiu nie słyszałem o podobnym błędzie w klasyfikacji – przyznał po chwili. – To

niemo...

– Weszliśmy na kurs zbliżeniowy, komandorze. – Dalsze słowa Świąckiego zagłuszył

komunikat ze stanowiska nawigacyjnego.

Ekran boczny wypełniła upstrzona gwiazdami czerń przestrzeni, na czołowym mieli

ponadto widmowy pas jądra galaktyki, na którego tle jaśniało osiemnaście planet krążących

wokół słońca Ulietty. Z tej odległości nie różniły się one wcale od pobliskich gwiazd, mogli

je więc rozpoznać wyłącznie dzięki naniesionym przez komputery znacznikom.

– Skan Deltę – rozkazał natychmiast Hines.

– Jest skan Deltę.

Szli w kierunku płaszczyzny ekliptyki systemu, zatem planeta, ku której zmierzali,

znajdowała się w tej chwili w górnej części kopułowego ekranu. Musieli zdrzeć głowy, by

ją zobaczyć. Po chwili jednak mała biała plamka zaczęła rosnąć, by po kilku sekundach

znaleźć się w samym centrum gigantycznego holowyświetlacza.

Majestatyczna błękitno-biała kula wyglądała jak najprawdziwsza planeta tlenowa. Na

pierwszy rzut oka niewiele się różniła od Ziemi, schowana pod gęstym welonem chmur,

pokryta konturami rdzawych lądów i szafirowymi wodami oceanów, z nieodłącznymi

lodowymi czapami na biegunach.

– To niemożliwe – powtórzył Hines, przenosząc wzrok na Święckiego.

Według astroatlasu powinni spoglądać na wypalony promieniowaniem, pozbawiony

atmosfery kawał skały, na którym nie miało prawa być nawet jednego kryształka lodu, nie

mówiąc już o żywej bakterii. Tak przynajmniej wynikało z klasyfikacji najpierw przyznanej

Delcie przez analityków dalekiego zwiadu, a potem zatwierdzonej przez komisję astronawigacyjną Federacji. Takie samo zaszeregowanie widniało we wszystkich

dokumentach korporacji Etoile Blanc, która miała wyłączną licencję na eksploatację złóż

Ulietty.

– Terraformowali ją? – zapytał z niedowierzaniem Henryan, gdy tylko zdołał się otrząsnąć

z pierwszego szoku.

To była pierwsza planeta tlenowa, jaką widział na własne oczy. Jeśli wierzyć

astroatlasowi, w poznanej i zdobytej przestrzeni wszystkich pięciu metasektorów Federacji

istniało tylko trzydzieści siedem globów mających własną atmosferę, ale tylko dwadzieścia

dziewięć spośród nich było tlenowych, czyli takich, na których człowiek mógłby żyć prawie

jak na Ziemi, choć w większości przypadków dopiero po doprowadzeniu do odpowiednich

zmian ekosfery, zwanych powszechnie terraformowaniem.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie Hines. – Wykluczone. W cztery lata można doprowadzić

do znaczących zmian składu atmosfery i zacząć ujarzmić biosferę, ale na pewno nie da się

zmienić kawałka martwej skały w tętniącą życiem kopię Ziemi. Spójrz tylko na odczyty...

Henryan zerknął na podesłany mu dokument. Dziewięćdziesiąt dwa procent ciśnienia

standardowego, temperatury w zakresie od minus osiemdziesięciu trzech stopni na biegunach

do plus czterdziestu czterech w pasie równikowym, kąt nachylenia osi wynoszący tylko dwa

stopnie, skład atmosfery różniący się nieznacznie od ziemskiej, choć analiza widmowa

pokazywała też, że w troposferze znajdują się wciąż gazy stanowiące potencjalne zagrożenie

dla człowieka. Było ich jednak na tyle mało, że ludzie mogliby spędzić na powierzchni całą

dobę standardową, nie korzystając w tym czasie z masek czy respiratorów. Przy używaniu

wspomnianego sprzętu życie tutaj zakrawałoby na bajkę.

– Nie chciałem snuć zbyt daleko idących przypuszczeń, ale zaczynam rozumieć, skąd ten

pośpiech i odwołanie nas z Ugandy 6 – rzucił Święcki, zamykając raport. –
Chyba trafiliśmy

właśnie do czyjegoś prywatnego raju.

Nie mieściło mu się w głowie, że jakąkolwiek korporację może być stać na zorganizowanie

tak gigantycznego przekrętu, a jednak miał przed oczami widomy dowód, że nie jest to

niemożliwe. Gdyby nie inwazja Obcych, o istnieniu tej planety wiedziałby tylko krąg

wtajemniczonych, zapewne dość wąski...

Z zamyślenia wyrwało go miganie żółtej kontrolki. Zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni

Henryan zameldował o dotarciu konwoju do celu i właśnie otrzymał odpowiedź. Tyle że

przekaz kwantowy nie został nadany z dowództwa metasektora, jak się tego spodziewał,

a z samej admiralicji. Przesłano go bezpośrednio z Systemów Centralnych z pominięciem

drogi służbowej.

Nie odebrał wiadomości od razu. Przez krótką chwilę trzymał palec nad wirtualnym,

migoczącym soczystą żółcią klawiszem, jakby się bał, że muśnięcie wirtualnej powierzchni

sprowadzi na jego głowę kolejne problemy. Dopiero co wywinął się z kolonii

karnej i jeszcze

gorszego gówna na Xanie 4. Pełna rehabilitacja to jedno – pomyślał, zerkając na wiszący

przed jego oczami błękitno-biały glob – ale czy nie jestem przypadkiem idealnym kandydatem

na kozła ofiarnego dla tych skurwyklonów w fikuśnych czapeczkach?

Zacytowanie rubasznej doktor Godbless nie poprawiło mu humoru. Ktoś w admiralicji

doskonale wiedział, co robi, posyłając go tutaj.

Opuścił palec. Na miejscu ikonki pojawiło się okienko z wiadomością, której treść

przewróciła do góry nogami jego dotychczasowe wyobrażenia o tym systemie.

=== =

DWA

Wahadłowiec zadrzał po raz kolejny. Ciężka wielozadaniowa maszyna przeznaczona do

lotów na krótkim dystansie sprawdzała się idealnie w próżni, natomiast po wejściu w gęstą

atmosferę Deltę zaczęła mieć problemy. Henryan nie był pewien, czy wynikają one raczej

z braku doświadczenia obu pilotów czy ze spieprzonej aerodynamiki pękatej jednostki.

Jakkolwiek było naprawdę, kolejny wstrząs wcisnął go głębiej w kokon fotela.

– Co wy tam wyprawiacie? – warknął do interkomu.

– To nie nasza wina, kapitanie – usłyszał brzęmiący nieco mechanicznie głos

pilota. –

Podczas lotu w tak gęstej atmosferze należy się liczyć z turbulencjami.

Turbulencje srajbulencje – pomyślał rozeźlony Święcki, któremu od tej huśtawki zaczynało

się zbierać na mdłości. Przełknął mocno ślinę, zanim przeniósł wzrok na porucznika Hondo,

który od przydzielenia na Cervantesa i rozpoczęcia ewakuacji zagrożonych systemów pełnił

rolę jego adiutanta.

– Lecimy od nowa, Toranosukenjiro! – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Trzeci raz? – jęknął niespełna trzydziestoletni, bardzo szczupły piegowaty rudzielec. –

Zna pan już te liczby na pamięć, kapitanie.

– Muszę się czymś zająć, zanim te łotry wytrząsną ze mnie śniadanie. – Wskazał znacząco

głową na przepierzenie dzielące przedział osobowy od kokpitu.

Hondo przytaknął. W odróżnieniu od większości pasażerów nie włożył jeszcze hełmu. Jego

krótko ścięte, połyskujące w blasku paneli świetlnych włosy miały barwę świeżo

odizolowanej miedzi. Dzięki nim i piegom wyglądał jak jeden z dalekich przodków matki

Henryana. Nawet twarz miał podobną do postaci ze starych rodzinnych hologramów: owalną,

ze spiczastą brodą i łagodnymi, choć wysoko umieszczonymi kośćmi policzkowymi.

– Sonda Obcych pojawiła się w strefie skoku Ulietty przed siedmioma godzinami

i dwunastoma minutami – zaczął porucznik znudzonym głosem. – To znaczy, że mamy około

czterdziestu jeden godzin na zakończenie operacji.

– Dalej! – warknął Henryan, czując, że kadłub i przymocowane do niego siedziska znów

zaczynają drżeć.

– W tym czasie nasze transportowce i zarekwirowane arki mogą obrócić dwukrotnie do

stref przerzutowych w pasie szóstym, co znaczy, że jesteśmy w stanie podjąć maksymalnie...

sto osiemdziesiąt dwa tysiące ludzi.

– Z trzystu dwudziestu pięciu tysięcy kolonistów zamieszkujących ten system – wtrącił

Święcki.

– Tak. Z trzystu dwudziestu pięciu tysięcy sześciuset siedemnastu – uściślił Hondo.

– Zatem ewakuujemy tylko pięćdziesiąt sześć procent tutejszej populacji...

– Aż pięćdziesiąt sześć, kapitanie – poprawił go porucznik. – Zresztą to przecież nie jest

priorytet naszej misji.

– Synu – Henryan spojrzał mu prosto w oczy – ocalenie tych ludzi zawsze będzie moim

priorytetem.

– Ale admiralicja wyraźnie... – Porucznik zamilkł, widząc miazdzące spojrzenie przełożonego.

– Wiem, jak brzmią rozkazy admiralicji, Toranosukenjiro, i wierz mi, nie mam zamiaru ich

łamać. Ale musisz zrozumieć jedno: ewakuacja połowy kolonistów z tego systemu będzie dla

mnie osobistą porażką, co ja mówię, tragedią. Chodzi o sto kilkadziesiąt tysięcy potencjalnych

ofiar, pojmujesz? – Nie spuszczał wzroku ze spoconego porucznika, dopóki ten nie przytaknął.

– I właśnie dlatego mam zamiar skupić się na tym aspekcie naszej misji.

– A co z rdzeniowcem? – zapytał lekko drżącym głosem porucznik.

– Nic. Załadunek trwa, cokolwiek tam na niego pakują, i będzie trwał do ostatniej chwili.

Górnicy i nadzór kopalni wiedzą najlepiej, co mają robić. Wpieprzając im się w tę robotę,

możemy tylko pogorszyć sytuację.

– Racja.

– Naprawdę? – Henryan uśmiechnął się krzywo.

– Tak. U nas jest przecież podobnie. Weźmy pierwsze lepsze manewry. Wszystko idzie jak

z płatka, dopóki wygwieżdzeni nie złączą się wtrącać.

Wygwieżdzeni. Całkiem ładne słowo, na pewno nie przypomina inwektywy, a jak

pejoratywnie zabrzmiało w ustach tego młodego oficera.

– Otóż to. – Uśmiech Świąckiego poszerzył się i wyprostował. – Dlatego skupmy się na

tym, co naprawdę jest najważniejsze. Na ratowaniu tych ludzi.

– Ale jak mamy to zrobić, skoro liczby nie kłamią. – Hondo wskazał na trzymany w dłoni

czytnik. – Zgodnie z pańskimi rozkazami brałem pod uwagę maksymalne wartości każdego

czynnika. Plan admiralicji zakładał ewakuację z Delt i jej księżyców czterdziestu procent

zamieszkującej je populacji. Dzięki pańskim wskazówkom udało mi się podnieść tę liczbę

o dalszych szesnaście procent. To naprawdę dużo...

– Być może – przyznał Henryan – ale dla mnie wciąż za mało.

– Więcej nie uda się wycisnąć. – Sądząc po tonie, porucznik był święcie przekonany, że tak

właśnie wygląda prawda.

Henryan pochylił się o tyle, o ile pozwalała mu uprząż kokonu.

– W ciągu najbliższych dwóch dni zrozumiesz, chłopcze, że determinacją można zmieniać

nawet statystyki.

Hondo nie zdążył odpowiedzieć. Po kolejnym wstrząsie, któremu towarzyszyły głośne

zgrzyty, pasażerowie przedziału osobowego usłyszeli głos drugiego pilota:

– Uwaga, rozpoczynamy procedurę podchodzenia do lądowania.

==== =

TRZY

Wahadłowiec zawisł tuż obok lądowiska. Pilot ustawił go tak, by tylny pomost znalazł się

nad szeroką na pięćdziesiąt metrów okrągłą kratownicą z plastali. Wielka wojskowa maszyna

była zbyt ciężka, by zdołała ją utrzymać konstrukcja wieńcząca szczyt ponad siedemsetmetrowej wieży zarządu kolonii.

Henryan zszedł z pokładu pierwszy, za nim ruszyli pozostali członkowie zespołu. Wszyscy,

łącznie z Hondo, mieli na sobie pełne kombinezony i uszczelnione hełmy, mimo że czekający

na nich po przeciwnej stronie lądowiska ludzie nie wspomagali układów oddechowych

żadnymi widocznymi urządzeniami. Podobnie było z pracownikami obsługi. Ci także krzatali

się po płycie bez masek i respiratorów. Henryan zerknął przez ramię, czując mocniejszy

podmuch zza pleców. Wahadłowiec zniknął za krawędzią lądowiska, gdy tylko ostatni żołnierz

znalazł się na kratownicy, by dołączyć do reszty eskadry w pobliskim kosmoporcie.

Święcki ruszył pewnym krokiem w kierunku rękawa prowadzącego do przeszklonej śluzy,

z której przed momentem wyłonił się skromny komitet powitalny, czyli całkiem atrakcyjnie

wyglądająca brunetka i trzech towarzyszący jej mężczyźni.

Ubrana w prostą, ale bardzo obcisłą sukienkę koloru burgunda kobieta stanęła na czele

delegacji kolonistów. Niesyntetyczny, matowy materiał opinał jej krągłości w stopniu, jakiego

Henryan nie widywał zazwyczaj na stacjach i okrętach. Opalone ramiona miała całkowicie

odsłonięte, podobnie jak równie brązowe nogi, które widział od stóp aż do kolan. Co do

twarzy zaś... Dopiero w połowie drogi Święcki skupił wzrok na niej. Brunetka była bardzo

młoda, z pewnością nie skończyła jeszcze czterdziestu lat, a jej uroda... Musiała uchodzić za

piękność, takie przynajmniej wrażenie sprawiała dzięki grubo nałożonemu makijażowi

z obowiązkowymi cieniami na policzkach i pasmem obowiązkowej czerni biegnącym od

skroni do skroni na wysokości oczu. Łysinę na szczycie głowy zgodnie z najnowszymi

trendami mody maskowała pasmem grubego włochatego materiału przypominającego z daleka

futro.

Towarzyszący jej mężczyźni nie sprawiali tak imponującego wrażenia. Jeden był rumiany

i gruby, dwaj pozostali mogliby uchodzić za braci, gdyby nie...

Henryan zamarł w pół kroku. Coś ściekało po wizjerze jego hełmu. Gdy spojrział na

kombinezon, zauważył na nim wiele błyszczących, parujących szybko kropelek.
Podniósł

szybko głowę, sięgając do komputera przy nadgarstku, ale zatrzymał palec tuż nad klawiszem

aktywującym pole osobiste. Po błękitnym niebie sunęło coś wielkiego, szarego, kapiącego...

Rozmazał palcem kolejną kropelkę na wizjerze i przytknął opuszkę do ekranu skanera.

– To tylko deszcz – usłyszał na sekundę przed tym, zanim komputer zakończył analizę cieczy.

H₂O z niewielkimi domieszkami innych, na szczęście niegroźnych pierwiastków.

Zażenowany Henryan spojrział bykiem na szczerzących się gospodarzy. Jeszcze nie zdążył

podać im swojego nazwiska, a już wyszedł na przestrzennego głupka, który nie wie, że na

planetach tlenowych dochodzi do procesu kondensacji wilgoci obecnej w atmosferze.

Wyprostował się pośpiesznie, zerknął na stojących za nim żołnierzy – większość z nich

także gapiła się w niebo albo próbowała łapać lecące z chmur krople. Tyle dobrego, że nie

ośmieszył się także w ich oczach.

– Witamy na Delcie – odezwała się rozbawiona szczerze brunetka. – Nazywam się Ninadine

Truffaut. Jestem menadżerem trzeciego szczebla korporacji Etoile Blanc.
Panowie, którzy mi

towarzyszą, to Jeantoine Lescaud, szef naszej policji. – Wskazała jednego z barczystych,

łysych jak kolano drągali, którzy z większej odległości wydali się Święckiemu bliźniakami. –

Obok niego stoi Xavieric Dupree, tymczasowy dyrektor kopalni. – Henryan pochylił głowę,

odpowiadając na podobny gest przedstawianego. – A to nasz nieoceniony doktor Jerryan

Pallance...

– Muszę się natychmiast widzieć z zarządcą kolonii – przerwał jej bezceremonialnie

Święcki, gdy zrozumiał, że w Komitecie Powitalnym nie ma żadnego przedstawiciela

faktycznego zarządu kolonii. Poirytowany tym, że wyszli mu naprzeciw podrzędni urzędnicy,

nie krył oburzenia. Każda minuta zwłoki mogła oznaczać konieczność pozostawienia na Delcie

kolejnych setek kolonistów.

– Pan prezes Mountavon jest niestety nieobecny. – Uśmiech nadal nie znikał z ust brunetki,

choć musiała poczuć się dotknięta obcesowością jego reakcji.

– W takim razie proszę mnie natychmiast zaprowadzić do osoby, która go zastępuje –

naciskał.

– Próbuję właśnie panu wytłumaczyć, że...

– Proszę nie próbować, tylko prowadzić mnie do biur zarządu. Nie mam czasu

na czcze

gadanie.

Hondo, stojący tuż za Świąckim, odchrząknął znacząco.

– Co jest? – Henryan spojrział na niego przez ramię.

– Wygląda na to, że stoi pan przed obecnym zarządem tutejszej kolonii. –
Porucznik

uśmiechnął się przepaszająco, stukając palcem w holopad.

Świącki przygryzł wargę. Druga wpadka wizerunkowa w ciągu minuty. Ta misja
była zbyt

ważna, by spieprzyć ją na samym początku. Koloniści muszą mu się w pełni
podporządkować,

jeśli ma zrealizować swój plan. A najgorsze przecież dopiero go czekało.

=== =

CZTERY

Centrum łączności mieściło się kilka pięter niżej, pod apartamentami zarządu, na
sto

dziewięćdziesiątej siódmej kondygnacji wieży. Incydent na lądowisku wbrew
pozorom

pozwoił Świąckiemu na zaoszczędzenie czasu. Skoro w kolonii zostały tylko
płatki, nie

musiał się płaszczyć przed rekinami biznesu i mógł przejść od razu do rzeczy.
Kazał się więc

zawieźć prosto tam, gdzie miał trafić po wizycie w biurach zarządu.

Barki desantowe, którymi miano ewakuować ludność Deltę na pokłady
transportowców

i arek, powinny wejść w atmosferę już za niespełna pół godziny. Do tego czasu przez punkty

kontrolne w kosmoporcie – w tym momencie przejmowane i obsadzone przez ludzi Henryana –

musi przejść co najmniej pięć tysięcy kolonistów. A przekonanie tych twardych ludzi, by w tak

krótkim czasie porzucili cały swój dobytek i uciekali, na pewno nie będzie łatwe. Zwłaszcza

że mieli opuścić jedno z nielicznych miejsc w kosmosie, które naprawdę zasługiwało na

miano raj. Nawet jeśli spędzali w nim tylko trzecią część życia, poświęcając całą resztę na

harówkę w kopalniach ulokowanych na księżycach Delt.

Co oferował im w zamian? Z jednej strony ocalenie, a z drugiej... Miesiące albo i całe lata

poniewierki po odległych stacjach orbitalnych bądź planetach najniższej kategorii,

znajdujących się gdzieś na drugim krańcu znanej przestrzeni. Najbystrzejsi domyślą się tego

bardzo szybko, pytanie tylko, ile innych osób zdołają za sobą pociągnąć. Gdyby Święcki

podchodził do sprawy cynicznie, mógłby sobie życzyć, aby niezadowolonych było jak

najwięcej – dzięki temu pozostawienie ich na Delcie nie obciążałoby jego sumienia. Sami

przecież odmówiliby ewakuacji i zgotowaliby sobie ten los.

Problem polegał jednak na tym, że Henryan nie umiał i nie chciał skazać nikogo na pewną

śmierć. Nie po tym, co obejrzał na przekazach z kilkunastu już zniszczonych kolonii. Nie po

tym, co sam przeżył w kolonii karnej Draccosa.

Jako że korporacja prowadziła rozległe interesy we wszystkich metasektorach, wielu

kolonistów z pewnością znajdzie nowy dom na dopiero odkrywanych światach przeciwnych

Rubieży. Inni natomiast wrócą do egzystencji w warunkach, jakie znali, zanim trafili kilka lat

temu na Deltę. Jedni i drudzy rozumieją, że to była konieczność, z czasem może nawet

zapomną o utraconym raju. Wmawiał to sobie nieustannie, choć sam do końca nie wierzył

w prawdziwość tych zapewnień. Zbyt dobrze znał ludzi... Nie mógł jednak okazywać

słabości. Nie teraz.

Wkroczył do centrum łączności i natychmiast zaczął wydawać rozkazy.

– Kapralu White, proszę zabezpieczyć stanowiska.

Żołnierze specgrupy ściągnęli obu techników z obrotowych foteli, by zająć ich miejsca.

Uzbrojeni po zęby żandarmi ustawili wyrywających się mężczyzn pod jedną ze ścian. Nikt nie

zwracał uwagi na protesty czwórki oficjeli. Henryan wybrał ten sposób przejęcia centrum

w czasie lotu. Wiedział, że mógłby to załatwić w bardziej cywilizowany sposób, ale przecież

najbardziej liczył się czas.

– Poruczniku, nagrania!

Hondo podał White’owi kryształ, drugi identyczny nośnik trafił w ręce siedzącego obok

plutonowego.

– Kamery!

– Są kamery, kapitanie! – zameldował kapral, gdy kilka kulistych obiektów zawisło przed

twarzą Henryana.

Święcki uniósł znacząco dłoń, by uciszyć utyskującego wciąż szefa policji i sekundującą mu

dzielnie Ninadine. Na wszystkich ekranach centrum pojawiło się logo trzeciej floty. Moment

później obraz ściemniał, a gdy ponownie pojaśniał, ukazała się na nim twarz Święckiego oraz

znajdujący się w tle rozwścieczeni oficjele. To także była część planu.

– Trzy, dwa, jeden! – odliczał White, zginając palce.

– Obywatele kolonii Ulietty, mówi kapitan Henryan Święcki, współdowódca krążownika

Djangonzalo Cervantes. Z rozkazu admiralicji połączonych flot przejmujemy kontrolę nad

waszym systemem. Za niespełna czterdzieści godzin jedna z pobliskich gwiazd zamieni się

w supernową. Niewyobrażalna siła tej eksplozji wyjąłowi wszystkie okoliczne systemy,

w tym także Uliette. – W tym momencie w prawym górnym rogu ekranów pojawił się zegar

odliczający czas do przewidywanego przylotu liniowców. – W związku z nieuchronną zagładą

tej części sektora admiralicja nakazała wprowadzenie na Ulietcie stanu wyjątkowego

i natychmiastową ewakuację całej kolonii. Za moment otrzymacie na swoje prywatne

komunikatory specjalny komunikat zawierający opis procedur obowiązujących podczas

ewakuacji. Razem z nimi każdy kolonista otrzyma także numer porządkowy uprawniający do

zajęcia miejsca na jednostkach przewożących uchodźców na transportowce i arki. Postępujcie

zgodnie z przekazanymi instrukcjami, a nikomu nie stanie się krzywda. – Henryan skinął głową

w kierunku żołnierza czekającego przy drugiej konsoli. Kryształ trafił do czytnika wcześniej,

wystarczyło tylko aktywować nadajnik. – Trzecia flota dołoży wszelkich starań, by zapewnić

bezpieczny transport każdemu z was. Uprzedzam jednak, wszelkie próby dostania się na nasze

wahadłowce i barki poza kolejnością, podobnie jak odmowa zajęcia na nich miejsca, będą

karane odebraniem numeru porządkowego i przesunięciem na koniec kolejki.

Informuję też, że

żaden z podległych mi żołnierzy i oficerów nie ma możliwości zmiany nadanego wam przez

admiralicję statusu, tak więc próby ich przekupienia spełzną na niczym. Jeśli ktoś zaoferuje

wam przyśpieszenie ewakuacji bądź awans na liście oczekujących, zgłóście to natychmiast

lokalnej policji lub naszym oficerom, ponieważ z pewnością padliście ofiarą oszusta.

Hondo, znajdujący się poza polem widzenia kamer, machnął ręką, dając White'owi znać,

żeby wyłączył rejestrator.

Święcki nie umilkł jednak. Wyprostował się tylko bardziej, jakby przechodził do ważniejszych spraw.

– Aby przyśpieszyć ewakuację, rekwirujemy czasowo wszystkie prywatne i korporacyjne

jednostki o napędzie międzysystemowym. Właściciele tych statków mają się natychmiast

zgłosić na lądowisku dziewiątym kosmodromu, gdzie otrzymają dalsze instrukcje. Dotyczy to

także jednostek znajdujących się aktualnie w przestrzeni wewnętrznej i na punktach zborych

w pobliżu strefy skoku. Wszelkie próby uniknięcia konfiskaty bądź ucieczki z systemu będą

traktowane jako akt zdrady i karane z całą surowością.

– Kapitanie... – przerwał mu White.

– Nie widzicie, że wygłaszam orędzie? – warknął rozeźlony Świącki.

– Widzę, ale kazał pan meldować, jeśli ktoś będzie próbował uciekać na własną rękę.

– Wizja! – rzucił Świącki.

Na części ekranów pojawiła się krawędź fotosfery lokalnej gwiazdy i wiszące opodal

strefy skoku okręty eskorty, pozostawione tam przez konwój, by odwracały uwagę wroga od

jednostek ewakuujących cywilów. Obcy, widząc krążownik i dwanaście niszczycieli, powinni

ruszyć najpierw w pościg i zawrócić w kierunku Delty dopiero po próbie zniszczenia

uzbrojonego wroga – nieudanej tym razem, ponieważ dowódcy wszystkich okrętów otrzymali

rozkaz wykonania skoków podprzestrzennych, gdy tylko sytuacja zacznie się wymykać spod

ich kontroli. Dzięki podobnemu manewrowi Khumalo kupił swoim ludziom kilka dodatkowych

godzin, zatem tutaj może być podobnie, a każda uzyskana w ten sposób minuta pozwoli na

zaokrętowanie kolejnych uchodźców. O tym jednak nikt na Delcie nie mógł wiedzieć.

Tym razem obiektywy czujników nie zostały skierowane na studnie grawitacyjne i okręty

wojenne. Zebrani w centrum łączności zobaczyli pośrodku wyświetlacza niewielki

strumieniowiec. Igłowy kadłub długości trzydziestu metrów kończyła kryza oddzielająca

część użytkową od reaktora i dysz. Maszyna jakich wiele, ani nowa, ani przesadnie stara.

Sprzęt, na jaki mógł sobie pozwolić każdy drobny przedsiębiorca, który nie harował na

najniższych szczeblach korporacji.

– Do pilota jednostki cywilnej zbliżającej się do punktu skoku, mówi kapitan Henryan

Święcki, współdowódca krążownika Djangonzalo Cervantes. Proszę o identyfikację.

Przez chwilę panowała kompletna cisza, potem przekaźnik ożył.

– Tu Zulu Echo Kilo Foxtrot siedem dziewięć jeden, czego chcecie?

– Ile osób przebywa na pokładzie waszej jednostki, Zulu Echo Kilo Foxtrot siedem

dziewięć jeden?

– A co wam do tego?

– Jeśli nie macie na pokładzie kompletu pasażerów, musicie natychmiast zawrócić do

najbliższej strefy postojowej.

– Nic nie muszę. Przewożę rodzinę własnym strumieniowcem. Wszystkie miejsca są zajęte.

Święcki spojrzał na żołnierza siedzącego przy sąsiedniej kontroli.

– Sprawdźcie to.

– Tak jest! – Plutonowy pochylił się nad wyświetlaczami. Po kilku sekundach

napiętej ciszy

zameldował: – Skanery Cervantesa wykryły dwa widma charakterystyczne dla organizmów

żywych. Oficer dyżurny Deightona potwierdza prawidłowość tego odczytu.

– Słyszeliście, Zulu Echo Kilo Foxtrot siedem dziewięć jeden? – Henryan spojrzął znów

prosto w ekran, ale tym razem nie doczekał się odpowiedzi, dlatego powtórzył wywołanie

znacznie dobitniejszym tonem.

Pilot niewielkiego stateczku znów nie odpowiedział, za to dysze silników zaczęły emitować

jaśniejsze światło. Strumieniowiec przyśpieszał, wchodząc równocześnie na kurs prowadzący

ku najbliższej studni grawitacyjnej.

– Macie natychmiast przerwać podejście i zawrócić. Jeśli nie zrobicie tego w ciągu

piętnastu sekund, otworzymy do was ogień.

Tym razem kontakt został nawiązany.

– Ciekawe, jakim prawem – odezwał się kpiącym tonem pilot.

– Na mocy przepisów stanu wyjątkowego, którym objęto ten system – wyjaśnił spokojnie

Henryan. – Uznamy pana winnym próby zamordowania co najmniej czterech osób, ponieważ

tylu dodatkowych pasażerów zmieściłoby się na pokładzie pańskiego statku.

– Pieprzenie.

– Osiem sekund – rzucił White.

– Nie boję się was! – ryknął uciekinier. – Możecie mnie w dupę pocałować!

– Przerwijcie podejsście, to wasza ostatnia szansa! – Henryan także podniósł głos.

– Spierdalaj...

Wystarczyło skinienie głowy, by White wprowadził komendę. Igłowy stateczek

ekspłodował dwie sekundy później, trafiony niewidoczną dla ludzkiego oka wiązką lasera.

– Ty morderco! – wydarła się Truffaut. Zdążyła zrobić dwa kroki w kierunku Świeckiego,

zanim powstrzymał ją jeden z żandarmów.

Pozostali oficjele i ustawieni pod ścianą technicy spoglądali tylko z niedowierzaniem na

dryfujące w przestrzeni szczątki luksusowego jachtu.

Henryan spojrział ponownie w obiektywy holokamer.

– Do wszystkich jednostek znajdujących się w przestrzeni wewnętrznej Ulietty. Jeśli nie

macie na pokładzie kompletu pasażerów, natychmiast wracajcie na Deltę. Od tej pory

będziemy strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kto spróbuje złamać zakaz. Koniec transmisji.

Nie ruszył się z miejsca, dopóki kapral nie dał mu znać, że kamery zostały wyłączone.

Dopiero wtedy wypuścił powietrze z płuc i spojrział na Hondo.

– Jak wyszło?

– Lepiej, niż przypuszczałem. – Porucznik nie odrywał wzroku od holopada. –

Zdecydowana większość jednostek lecących w kierunku strefy skoku już zmieniła kurs.

– Świetnie.

– Świetnie?! Kim wy jesteście, bo na pewno nie mam do czynienia z ludźmi?! – wydarła się

znowu rozwścieczona do białości Truffaut. – Zachowujecie się, jakby nic się nie stało.

Zabiliście dwoje niewinnych ludzi. Cywilów próbujących ocalić życie. Te sześć miejsc

naprawdę zrobiliby tak wielką różnicę?

Henryan odwrócił się do niej bardzo wolno, jakby od niechcenia. Zdębiała, gdy zobaczyła

na jego twarzy szeroki uśmiech. Tak mocno rozdziawiła usta, że mógł policzyć jej wszystkie

zęby.

– Zna pani jakiś model kilkuosobowego strumieniowca, który ma na pokładzie nadajnik

kwantowy? – zapytał obojętnym tonem.

Wytrzeszczyła oczy, nie rozumiejąc ani jego reakcji, ani pytania.

– A to cwane skurwyklony – mruknął Lescaud, po czym zarechotał rubasznie.

Jako doświadczony policjant połapał się przed cywilami. Ninadine odwróciła się do niego

gwałtownie, jakby wbił jej nóż w plecy.

– Co?

– To ściema, szefowo – wyjaśnił, kręcąc z niedowierzaniem głową. –
Inscenizacja. Nikt do

nikogo nie strzelał.

– Te sześć miejsc niczego by nie zmieniło – doprecyzował Świącki – ale na
jednostkach,

które zawróciły na Deltę, upchniemy kilka setek, może nawet więcej niż tysiąc
dodatkowych

osób, a obrócimy tymi jachtami i promami ze dwa razy, zanim... dojdzie do
kataklizmu.

– Dobrze to sobie wymyśliliście – przyznał szef policji. – Nawet ja dałem się
zrobić na

szaro.

Zdezorientowana Truffaut stała pomiędzy nimi z na wpół otwartymi ustami, nie
spuszczając

wzroku z żołnierzy okupujących centrum łączności. Potrzebowała dłuższej
chwili, by

zrozumieć, co właściwie się stało.

=== =

PIĘĆ

Kolejne pół godziny było najbardziej kluczowe dla powodzenia operacji.
Henryan odmówił

propozycji udania się do przydzielonego mu apartamentu gościnnego, który
mieścił się kilka

pięter wyżej, na poziomach mieszkalnych zarządu. Nie przekonała go nawet
perspektywa

wzięcia porządnego prysznic i włożenia na siebie czegoś bardziej odpowiedniego. Wolał

skupić całą uwagę na reakcjach kolonistów, by w razie jakichkolwiek problemów móc

bezzwłocznie korygować plany.

Zapętłone przesłanie było nadawane bez przerwy na wszystkich częstotliwościach

i kanałach. System pokazywał, że już niemal dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób odebrało

komunikat admiralicji i odczytało umieszczone na jego końcu numery. Na razie wszystko szło

zgodnie z planem, a nawet lepiej. Pytanie tylko, czy wcześniejszy pokaz siły był wystarczający

i ludzie natychmiast ruszą tłumnie w kierunku kosmoportu.

Barki desantowe pierwszych czterech transportowców weszły już w atmosferę. Za

niespełna dwadzieścia minut pierwsza z nich przyziemi na najbliższym lądowisku. Henryan

widział to miejsce przez okno centrum łączności – wielkie rozlewisko plastobetonu

obmywające północne granice kolonii. Od południa i wschodu zabudowania górniczego

miasta szturmowały fale morza, od zachodu napierała na nie gęsta ściana zieleni.

Święcki nie miał głowy do podziwiania zapierających dech w piersi widoków, poczucie

misji wygrywało jak na razie z wrażliwością i ciekawością świata. Obiecywał

sobie jednak

w duchu, że znajdzie choćby chwilę na eksplorację tej niesamowitej planety.
Zanurzy dłoń

w turkusowej wodzie, zagłębi się w szmaragdowe ostępy, zrobi cokolwiek, co to
miejsce ma

mu do zaoferowania. Druga taka okazja może się bowiem prędko nie powtórzyć.

Najpierw jednak musi zadbać o kolonistów, upewnić się, że zaplanowana

w najdrobniejszych szczegółach operacja przebiega sprawnie. A co
najważniejsze, wymyślić

sposób na podniesienie procentu ocalonych. To ostatnie może być trudne. Hondo
miał wiele

racji, gdy mówił...

– Musi pan to zobaczyć, kapitanie. – Głos kaprala wyrwał Świąckiego z
zamyślenia.

– Dajcie przekaz na główny ekran – poprosił Henryan, odchodząc od
panoramicznego okna.

Teraz, gdy witająca go delegacja zniknęła z centrum łączności, podobnie jak
towarzyszący

żołnierzom żandarmi, w zastawionym sprzętem pomieszczeniu prócz Henryana
zostali tylko

White i obaj cywilni technicy – pozwolono im wrócić do pracy, ponieważ znali
modyfikowane wielokrotnie systemy lepiej niż wojskowi.

Świącki stanął na środku sali, jak przedtem, gdy nagrywał komunikat, i zadarł
głowę, by

lepiej widzieć rzucane na główny wyświetlacz przekazy. A te zmieniały się co
kilka sekund,

pokazując kolejne miejsca, głównie szerokie arterie i muszlowate stacje kolejek magnetycznych. Na każdym z tych obrazów widać było ludzi. Wielu szturmowało wejścia na

perony, ale znacznie gęstsze tłumy szły pieszo, zajmując wszystkie pasy ruchu na obu arteriach

prowadzących do kosmoportu.

– Jak wygląda sytuacja na posterunkach? – zapytał Henryan, odwracając się do kaprała.

Żołnierz nie odpowiedział, za to na jednym z bocznych wyświetlaczy pojawiły się

natychmiast wykresy i zajmujący całą górę ekranu szybko zmieniający się licznik. Trzy i pół

tysiąca ludzi przeszło już odprawę. W czasie, gdy Świącki sprawdzał inne odczyty, liczba ta

powiększyła się o kolejne siedemdziesiąt dwie osoby.

Jest dobrze – pomyślał. – Przy tym tempie lądujące w kolonii barki desantowe nie powinny

mieć przestojów. Pierwsze transportowce opuszczą Uliettę za maksimum pięć godzin, udając

się do odległych o sześć parseków systemów tranzytowych. Dolot do znajdujących się tam

stacji orbitalnych, pozostawienie na nich uchodźców i powrót zajmą tym maszynom kolejne

siedemnaście godzin, oczywiście przy założeniu, że wszystko przebiegnie sprawnie i bez

zakłóceń...

Na orbicie Deltę można się ich więc spodziewać ponownie dopiero za minimum dwadzieścia dwie godziny, co oznaczało, że okręty te zdążą wykonać jedynie dwa skoki. Do

zrobienia trzeciego kursu zabraknie im tylko – albo aż – pięciu godzin. A przecież odlecą stąd

pierwsze. Kolejne jednostki opuszczą Uliettę jeszcze później, czyli...

Hondo miał rację – uznał Świątki po chwili rozważenia – zasad matematyki nie można nagiąć

jak przestrzeni. Sprawdził wszystko raz jeszcze, liczba odczytanych numerów zbliżała się już

do granicy trzystu tysięcy, a licznik wciąż wirował jak oszalały. Jeśli czegoś szybko nie

wyślę, sto czterdzieści tysięcy ludzi pozostanie na Delcie i zginie – pomyślał z goryczą.

Był o tym przekonany, mimo że Obcy nigdy wcześniej nie zaatakowali planety tlenowej, na

której – w odróżnieniu od globów pozbawionych całkowicie atmosfery – dało się ukryć

i przetrwać dłuższy czas nawet po zniszczeniu infrastruktury. Wbrew opiniom admirałów,

wyrażonych między innymi w pakiecie rozkazów dotyczących tej misji, żywił głębokie

przeświadczenie, że wróg zgotuje mieszkańcom Deltę kolejną morderczą niespodziankę.

Ta inwazja nie była dziełem przypadku, zaplanowano ją dokładnie i przeprowadzano

skrupulatnie, oczyszczając kolejne systemy z każdego najmniejszego nawet śladu bytności

człowieka. Dlaczego więc ta niesamowita planeta, będąca rajem dla ludzi, miałyby się stać

wyjątkiem?

Co mogę zrobić, by ocalić więcej ludzi, nie łamiąc przy tym rozkazów admiralicji? –

zastanawiał się, obserwując przekazy z dron i kamer monitoringu i patrząc, jak mrowie

kolonistów kieruje się do kosmoportu. Niestety nic sensownego nie przychodziło mu do

głowy, a czasu miał coraz mniej.

– Raport do dowództwa sektora wysłany? – zapytał.

– Ostatni poszedł siedem minut temu – zameldował White.

– Świetnie. Przekaż panie Truffaut, że chcę z nią porozmawiać przed wylotem do kopalni.

Może spotkamy się w tym apartamencie, który mi przydzielono.

=== =

SZEŚĆ

Święcki zatrzymał się tuż za progiem. Szczerze powiedziawszy, słowo „apartament”

kojarzyło mu się do tej pory z ciasną i często ślełą klitką. Jednym z tych pomieszczeń,

w których przebywał podczas służby na Lemie, kiedy towarzyszył admirałowi Dusterowi

w wizytacjach szeregu kolonii. Ta sala – inna nazwa nie przychodziła mu do głowy – była

dwudziestokrotnie większa od jego kajuty, zmieściłby się w niej cały mostek krążownika

i jeszcze zostałyby sporo miejsca. Człowiek przyzwyczajony do przebywania w ciasnocie

okrętów przestrzennych mógł w niej dostać ataku agorafobii.

Ninadine zauważyła jego zmieszanie. Skwitowała je krzywym uśmiechem, kontynuując

wgrywanie programu sterującego do holopada.

– Interfejs jest naprawdę intuicyjny – mówiła kpiącym tonem, czerpiąc wyraźną satysfakcję

z jego oszołomienia. – Tutaj ma pan regulator polaryzacji okna. – Przesunęła palcem po

wyświetlaczu, przyciemniając ogromną, zajmującą całą powierzchnię zewnętrznej ściany taflę

szkła. – To jest korektor barwy, z dwudziestopozycyjną pamięcią... – Każdemu opuszczeniu

palca towarzyszyła zmiana odcienia otaczających ich ścian, a nawet niektórych mebli. Może

pan zaprogramować także swoje ustawienia, jeśli żadna z propozycji nie będzie

satysfakcjonująca – dodała, nie przestając się uśmiechać. – Tam znajdują się drzwi do łazienki

i garderoby. – Wskazała ścianę po lewej. – A tu ma pan sypialnię. – Odwróciła się w prawo.

– Tym pokrętelem natomiast reguluje się prędkość obrotu piętra. – Henrynan

poczuł lekkie

drżenie podłogi, gdy kobieta zatoczyła krąg opuszką palca. – Jeśli jest pan tradycjonalistą,

może pan też wybrać opcję stacjonarną – rzuciła. – Najszybszy tryb pozwala przesuwac piętro

w tempie wędrówki słońca. Będzie je pan widział, o ile pogoda się nie zepsuje, od wschodu

aż do momentu, gdy zniknie za horyzontem.

– A jeśli któryś z sąsiadów ustawi inne parametry niż ja? – zapytał Święcki.

– Na każdym piętrze jest tylko jeden priorytetowy apartament – wyjaśniła. – Pozostałe

pomieszczenia zajmują menadżerowie średnich szczebli.

– Tacy jak pani? – palnął, zanim pomyślał.

Posłała mu jedno z zabójczych spojrzeń, ale przytaknęła. Niechętnie wprowadzie, ale co

miała robić. Osiągnęła dopiero trzeci szczebel pięciostopniowej drabiny, o czym oboje

doskonale wiedzieli.

– Tak. Tacy jak ja.

– Nie chciałem pani urazić – powiedział, próbując ratować sytuację. – My, w wojsku,

jesteśmy przyzwyczajeni do hierarchii. Może nawet bardziej niż wy, w korporacjach.

– Tutaj, na Rubieżach, trzeci szczebel ma znacznie większe znaczenie niż w Systemach

Centralnych, czego jestem widowym dowodem – oświadczyła, unosząc dumnie głowę.

Henryan postanowił nie drążyć tematu. Nie chciał jej irytować jeszcze bardziej. Była mu

potrzebna. Mogła się okazać nieocenionym źródłem informacji.

– Tam, na lądowisku, celowo panią rozzłościłem – skłamał, widząc szansę na zatarcie złego

wrażenia. – Chciałem, żeby pani gniew wyglądał jak najautentyczniej. Przepraszam, jeśli

poczula się pani dotknięta.

Spoglądała mu przez chwilę prosto w oczy. Chłodno, ale obojętnie, jakby rozmawiała

z kolegą o wykresach dotyczących produkcji.

– Tak myślałam – stwierdziła w końcu, wskazując ręką ciężką, obijaną niezlą imitacją skóry

kanapę, która stała w głębi apartamentu dwa metry od panoramicznego okna.

Poszedł za nią, a następnie opadł na zadziwiająco miękkie poduchy. Ona zajęła miejsce na

jednym z foteli. Wciąż miała na sobie tę samą obcisłą sukienkę, ale teraz zmieniła jej kolor

z burgunda na intensywny błękit. Przed przybyciem do apartamentu pozbyła się też

„futrzanego” nakrycia głowy.

– Czego się pan napije? – zapytała, gdy ze stojącej pomiędzy nimi obłej szafki wynurzyła

się bateria butelek i karafek.

Henryan obrzucił wzrokiem imponujący barek. Większość trunków widział po raz pierwszy

na oczy. Czuł pokusę, ale musiał odmówić.

– Jestem na służbie. Za chwilę lecę na inspekcję kopalni.

Skwitowała jego tłumaczenia szczerym śmiechem.

– Nie pan siądzie za sterami.

– To prawda, ale wolałbym, aby moi ludzie nie czuli ode mnie alkoholu.

– W takim razie polecam ten rum. – Sięgnęła po karafkę z kryształitu. – Valeryjski. Jest

całkowicie bezwonny, ale zachował wszelkie walory smakowe. I moc też – dodała, nalewając

brązowego jak jej oczy alkoholu do dwu szklanek. Na palec tylko.

– W takim razie... – Henryan chciał się pochylić, by sięgnąć po oferowany mu trunek, ale

uprzedziła go. Zanim zdążył się podnieść z kanapy, podstawiła mu szklanę pod nos. –

Dziękuję – wymamrotał, zaskoczony jej gestem.

Powęszył chwilę, przybliżając rant naczynia do nosa. Nie poczuł nic, zupełnie jakby nalano

do niego wody. Spróbował odrobinę i mlasnął, nie kryjąc zachwyty. To był naprawdę przedni

alkohol, wart pewnie więcej niż jego miesięczny żołd. Gdyby trafił tu przy innej

okazji,

zmasakrowałby ten barek, ale dzisiaj...

Odstawił szklaneczkę na stolik.

– Skoro przełamaliśmy pierwsze lody, chciałam pana o coś zapytać – odezwała się znacznie

swobodniejszym tonem po wypiciu solidniejszego haustu.

– Słucham. – Henryan usiadł wygodniej. Był pewien, że zaraz się dowie, dlaczego urządziła

to całe przedstawienie.

– Domyślam się, że priorytetem pańskiej misji jest dokończenie załadunku rdzeniowca, ale

mnie bardziej interesuje, ilu ludzi macie ewakuować z Delty. Tylko proszę mówić szczerze.

Święcki zeszywniał.

– Nie rozumiem. Co znaczy ilu? Wszystkich.

Uśmiechnęła się, pociągnęła drugi łyk, zapewne dla kurażu, a gdy przełknęła trunek, także

odstawiła szklanekę na blat.

– Nie jestem idiotką, kapitanie – rzuciła gniewnie. – Tylko trzy osoby przed czterdziestką

awansowały na trzeci szczebel w tej korporacji. Jak pan się zapewne domyśla, jestem jedną

z nich.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest pani niemądra – sprostował, ważąc słowa.

– Proszę więc traktować mnie jak osobę równą sobie, przynajmniej pod względem

potencjału intelektualnego.

– Nie widzę problemu.

– Protekcyjnego tonu także radziłabym się wyzbyc – dodała, sięgając ponownie po

karafkę.

– Staram się być uprzejmy.

– Prosiłam o szczerść, nie uprzejmość. – Nalała sobie, tym razem więcej, potem

wyciągnęła butelkę w jego stronę.

Odmówił stanowczym gestem.

– Odpowiedziałem szczerze – zapewnił, gdy przechyliła szybkim ruchem szklankę. – Moim

celem jest uratowanie z Delty wszystkich kolonistów.

– A ilu z nich ma pan realne szanse uratować? Albo inaczej... Jak wysokie straty dopuszcza

admiralicja? Ma pan to bez wątpienia na piśmie.

Domyślał się, do czego Ninadine zmierza, ale nie był pewien w jakim celu, postanowił to

więc najpierw sprawdzić.

– Po co pani ta wiedza?

Znów patrzyła mu prosto w oczy. Natarczywie, wręcz napastliwie. Poczuł się nieswojo,

bardziej nawet niż za pierwszym razem, gdy posłała mu podobne spojrzenie przy wejściu.

Teraz jednak nic nie powiedziała, tylko zgięła prawą rękę i aktywowała wszczep. Ostatni

krzyk mody, podobnie jak makijaż i kreacja. Nad jej przedramieniem pojawił się wirtualny

ekranik osobistego komunikatora. Pogmerała w nim przez chwilę, a potem pokazała mu jedną

z odebranych wiadomości, a w zasadzie ostatni fragment. Numer przydzielony przez

admiralicję. Henryan poczuł mrowienie w karku. Sześć opalizujących zielenią cyfr, a pierwszą

z nich była trójka.

– Czy to wystarczający powód?

Potaknął skinieniem. Jeśli miała odrobinę oleju w głowie, a tak niewątpliwie było,

zrozumiała już, że nagły awans sprzed kilku dni był tak naprawdę zesłaniem, a może nawet

wyrokiem śmierci.

– No dobrze... – odparł, próbując zebrać myśli. W końcu zdecydował, że nie ma sensu

ukrywać prawdy. – Pięćdziesiąt sześć procent. To minimum wyznaczone przez admiralicję.

– Pięćdziesiąt sześć procent? – powtórzyła z niedowierzaniem w głosie. – To tylko sto

osiemdziesiąt tysięcy ludzi...

– W przybliżeniu – przyznał Świącki, sięgając po swoją szklanę. Nagle stało mu się

zupełnie obojętne, czy piloci wyczują od niego alkohol albo zauważą, że jest lekko wstawiony.

– Zamierzam jednak zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby uratować więcej kolonistów.

– Ilu więcej? – zapytała łamiącym się głosem. – Dziesięć tysięcy, dwadzieścia?

Milczał. Jeśli nawet stanie na głowie albo jakimś cudem uda mu się sprowadzić tu po raz

trzeci te kilka transportowców, które lada godzina wyruszą z Ulietty, to i tak nie zapakuje na

ich pokłady tylu ludzi, by przyszła jej kolej.

– Ucieszyłam się, kiedy wezwano mnie trzy dni temu do biura prezesa. Spodziewałam się

od pewnego czasu awansu na kierownika działu prawnego, ale ku swojemu zaskoczeniu

otrzymałam inną propozycję. Pan Betancourt zaproponował mi objęcie funkcji tymczasowego

zarządcy kolonii. Tylko na tydzień. Twierdził, że centrala wezwała zarząd i większość

dyrektorów do Systemów Centralnych, ponieważ szykują się wielkie zmiany, a on postanowił

dać mi szansę wykazania swej wartości. Jedną na milion, tak powiedział. – Pociągnęła

naprawdę spory haust rumu, aż nią zatrzęsło, gdy przełykała. – Teraz widzę, że odrobinę

przesadził – mruknęła, wskazując na wyświetlacz i wciąż widoczny na nim numer.

– Przykro mi... – zaczął Henryan.

– Nie, proszę mi nie przerywać – powstrzymała go, wyciągając przed siebie lewą rękę,

a prawą zasłaniając usta. Chyba lekko przesadziła z tym rumem. – Nie potrzebuję niczyjego

współczucia. Po prostu uświadomił mi pan ostatecznie, że byłam tylko pionkiem w tej grze.

Tam, na lądowisku, wkurzył się pan, kiedy przedstawiłam pozostałych. Proszę nie zaprzeczać,

umiem wyczytać uczucia z ludzkiej twarzy. Za to między innymi płacono mi przez ostatnie

dwanaście lat.

– Trafiony, zatopiony. – Święcki rozłożył ręce. – Naprawdę zależało mi na czasie, a na

wasz widok zacząłem podejrzewać, że prezes wysłał mało ważnych ludzi, ponieważ osobiste

powitanie jakiegoś tam kapitana było gestem poniżej jego godności.

– W sumie niewiele się pan pomylił. Gdyby Betancourt był w kolonii, przywitałby pana

któryś z jego licznych asystentów.

– Nihil novi sub sole – mruknął Święcki, podnosząc szklanę.

– Mundurowy znający martwe języki? – Zaskoczenie było tak duże, że spojrziała na niego

z zaciekawieniem, na moment zapominając o ciężącym na niej fatum.

– Żeby zostać oficerem, nie wystarczy chęć szczerą – odparł kolejnym, choć nieco nowszym

archaizmem.

Tego już nie załapała.

– Obcując z niektórymi żołnierzami, można odnieść zupełnie inne wrażenie, ale ad rem –

zrewanżowała się szybko. – Jakie szanse mam na wydostanie się stąd w legalny sposób?

– Na razie niewielkie – przyznał.

– Naprawdę nie możecie zmienić kolejności przydziałów?

Pokręcił głową. To akurat była najszczerza prawda. Tylko admiralicja mogła zmienić

numer. A w jej przypadku prośba z pewnością nie zostanie uwzględniona. Tak myślał i to jej

powiedział. Przyjęła jego słowa w milczeniu. Siedziała dłuższą chwilę ze spuszczoną głową,

gapiąc się na własne kolana.

– A czy istnieje jakiś mniej legalny sposób? – usłyszał jej zduszony głos.

Potrafił sobie wyobrazić, ile ją musiało kosztować wypowiedzenie tego jednego zwięzłego

zdania.

– Nie – uciął od razu, domyślając się, co jej chodzi po głowie. – Niech mi pani uwierzy na

słowo. Żaden z moich podwładnych bez względu na to, co będzie obiecywał, nie ma

możliwości przeszmuglowania pani na pokład. Poza tym funkcjonariusze wydziału

bezpieczeństwa monitorują wszystkie posterunki. A z nimi nie ma gadania.

– Ale ja nie chcę umierać – wyszeptała.

– W takim razie proszę mi pomóc. Mam jeszcze trzydzieści kilka godzin na znalezienie

rozwiązania, które pozwoli ocalić nie tylko panią, ale i sto kilkadziesiąt tysięcy innych ludzi.

=== =

SIEDEM

System Anzio, Sektor Zebra,

23.10.2354

Rutta zbierał się właśnie na kolejną naradę, setną już chyba od przybycia do sztabu

metasektora. Wielki admirał zwoływał sztabowców za każdym razem, gdy spływały raporty

o pojawieniu się Obcych, a tych było z dnia na dzień coraz więcej. Pułkownik nie mylił się,

twierdząc, że tylko ktoś niespełna rozumu mógłby zaatakować Federację zaledwie

dziesięcioma okrętami. Nawet gdyby to były tak potężne jednostki jak te niemal niezniszczalne

liniowce.

Ludzie stracili w ciągu miesiąca kontrolę nad ponad setką bezludnych układów planetarnych

leżących w pasach minus jeden i minus dwa oraz nad szesnastoma skolonizowanymi

systemami. Pięć dalszych było właśnie atakowanych.

Dokładne analizy przekazów kwantowych z obszarów objętych inwazją udowodniły

dowództwu połączonych flot, że wróg operuje na Rubieżach co najmniej dwudziestoma

pięcioma okrętami wojennymi. Ale to, zdaniem Ruty, nie był jeszcze ostateczny szacunek.

Obcy musieli dysponować sporym zapleczem, którego na razie nie ujawniali, zapewne

czekając na bardziej zdecydowany opór.

Mimo to jeszcze dwa dni standardowe temu w przestrzeni zajmowanej do niedawna przez

Federację operowało równocześnie aż osiemnaście liniowców. Najwięcej od chwili

rozpoczęcia tego konfliktu, a z kolejności ataków na stacje monitorowania wynikało, że

w ciągu najbliższej doby eskadry Obcych powinny pojawić się także w dwóch następujących

systemach: na Ubiku 5 i Ulsterze 12. W obu przypadkach chodziło o duże centra wydobywcze

i tranzytowe, przeciw którym wróg może rzucić co najmniej po cztery liniowce. To natomiast

oznaczało, że po tej stronie granicy znajdzie się wkrótce więcej jednostek wroga, niż do tej

pory udało się zidentyfikować. Rutta był więc pewien, że lada moment zyska żelazny dowód

na poparcie uporczywie lansowanej przez siebie tezy, w którą część dowódców metasektora

wciąż nie wierzyła. Bynajmniej się z tego nie cieszył.

Trzecia flota traciła teren szybciej, niż zakładano podczas pierwszych odpraw. Wróg

zaczynał docierać do pasa minus cztery, i to w dodatku nie na tym odcinku, który wcześniej

wydawał się ludziom – i ich komputerom – najbardziej prawdopodobny, a operacja

masowego tworzenia fikcyjnych celów na nowym wektorze wciąż była w powijakach. Co

prawda udało się wybudować prawie osiemset pseudokolonii, rozmieszczając je na

dziewięćdziesięciu sześciu planetach i stu trzynastu księżycach w sześćdziesięciu pięciu

systemach gwiazdnych, lecz tylko niespełna jedna trzecia z nich mogła się znaleźć na obecnej

trasie podboju Obcych, ponieważ wróg po dwóch tygodniach ataków zmienił taktykę

i zrezygnował z oczyszczania całej szerokości ramienia na rzecz wbicia klina i wdarcia się jak

najgłębiej w przestrzeń Federacji.

Skontrolowano to posunięcie. Jednostki inżynieryjne trzeciej floty zostały natychmiast

przerzucone z najmniej zagrożonych rejonów pasa minus cztery i dalszych, ale nawet tak duża

ich koncentracja na kierunku nowego uderzenia nie pozwoli całkowicie odrobić poniesionych

strat. Gdy uświadomiono sobie, że może zabraknąć czasu na stworzenie nowego bufora,

w sztabie metasektora wybuchła panika. Farland spodziewał się nadejścia lada moment

nowych dyrektyw, tym razem nakazujących trzeciej flocie rozpoczęcie działań ofensywnych,

czego bali się tutaj wszyscy, ponieważ symulacje przygotowane przez Rutte nie pozostawiały

złudzeń.

Jeśli dojdzie do starć, trzecia flota – nawet przy uwzględnieniu wsparcia udzielonego przez

dowództwo sąsiedniego metasektora – zostanie w najlepszym razie mocno przetrzebiona,

a w najgorszym unicestwiona. Taka klęska pozbawi Rubieże jakiegokolwiek osłony, obniży

morale żołnierzy i oficerów służących w pozostałych flotach Federacji i co chyba najgorsze,

otworzy wrogowi drogę aż do Terytoriów Wewnętrznych, za którymi znajdowały się Systemy

Centralne. Farland nie ukrywał tego w ostatniej rozmowie z Xiao, próbując przemówić

najwyższemu dowództwu do rozsądku, ale nie wiedział, czy odniosło to pożądany skutek.

Jedno było wszakże pewne, Rada traciła cierpliwość. Jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie

w ciągu najbliższych dni – a nic tego przecież nie zapowiadało – pani kanclerz w końcu

pęknie i podejmie najgorszą możliwą decyzję. Decyzję, która będzie się wydawać ze wszech

miar racjonalna i rozsądna, ale tak naprawdę przesądzi o ostatecznym upadku Federacji.

Rutta dopinał mechanicznie mundur, zastanawiając się, co jeszcze można by zrobić, żeby

spowolnić ruchy wroga. Mimo całych dni spędzanych w archiwach i długich godzin dyskusji

na forum sztabu nie udało mu się wymyślić niczego, co fundamentalnie zmieniłoby sytuację.

Zaproponowana miesiąc temu strategia nadal wydawała mu się jedynym rozsądnym wyjściem.

To właśnie zamierzał powiedzieć na zaczynającym się już za kwadrans spotkaniu.

* * *

Nie była to kolejna zwyczajna odprawa. Gdy Rutta stanął przy owalnym stole, zauważył ze

zdumieniem, że niemal wszystkie miejsca są puste. Tylko na podwyższeniu siedział ponury

Farland.

– Czyżby coś mnie ominęło? – spytał zaciekawiony pułkownik.

Wielki admirał pokręcił apatycznie głową.

– Odwołałem spotkanie kilka minut temu – rzucił.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, także był niepokojący. Rutta sprawdził holopad. Nie

znalazł jednak na nim żadnej nowej wiadomości.

– Dziwne – mruknął. – Nie dostałem powiadomienia.

– Siadaj! – burknął Farland.

Pułkownik wykonał polecenie, nie spuszczać oka z dowódcy i przyjaciela zarazem. W tym

czasie wejście do sali zostało zabezpieczone polem siłowym. Moment później kopuła załśniła,

jakby ją ktoś ozłocił. Gospodarz otoczył całe pomieszczenie kokonem ekranów izolacyjnych,

a zatem...

Rutta przeniósł wzrok na puste fotele. Po drugiej stronie blatu, na miejscach zajmowanych

zazwyczaj przez oficerów sztabu metasektora, pojawiły się dwie widmowe postacie. Poczuł

mrowienie w karku, gdy je rozpoznał. Przed sobą miał czarne jak heban oblicze dowódcy

floty, najwyższego admirała Tadama Xiao, i przeraźliwie chudą, wyniszczoną chorobą twarz

kanclerz Gerdanielle Modo. To było spotkanie na najwyższym szczeblu, w którym nie miał

prawa uczestniczyć. A mimo to oboje spoglądali na niego spokojnie, jakby nie widzieli w jego

obecności niczego nadzwyczajnego.

Zerknął w kierunku Farlanda, jednakże ten skupiał się na powitaniu obojga gości, a czynił to

z takim spokojem, że trudno było uwierzyć, iż jeszcze moment temu wyglądał na kompletnie

przybitego. Lata praktyki pozwalały mu przywdziewać maskę obojętności i kryć uczucia

w obliczu konfrontacji z ludźmi, od których zależała jego dalsza kariera. Rutta natychmiast

pożałował, że nie umie w równym stopniu kontrolować własnych reakcji. Xiao i Modo

z pewnością zauważyli już jego niewyraźną minę.

Gdy Theo zakończył krótką przemowę, Rutta podniósł się z fotela, by dodać od siebie kilka

słów powitania, ale nie zdążył wydukać jednej sylaby, tak szybko został uciszony przez

kanclerz Modo.

– Każda sekunda tej transmisji kosztuje nas dziesiątki milionów kredytów, moi panowie,

przejdźmy więc od razu do sedna – rzekła wyniośle. Jej charakterystyczny głos obrósł legendą

wśród oficerów służących w najdalszych metasektorach, gdzie słyszano ją najrzadziej. –

Zapadły ostateczne decyzje, Rada i admiralicja podjęły je jednogłośnie. – Obaj, Rutta

i Farland, zeszywnieli. Byli pewni, że ich koszmar ziści się tutaj i teraz. Modo nie zwracała

jednak na nich uwagi. – Marsz Obcych musi zostać spowolniony, ponieważ na przygotowanie

nowej linii obrony potrzebujemy minimum czternastu miesięcy. Dacie nam je nawet za cenę

utruty trzeciej floty.

Rutta zmrużył oczy. Usłyszał słowa, których wszyscy się obawiali, lecz jedno zdanie tej

przemowy nie zabrzmiało tak dobitnie, jak się spodziewał. Kazano im spowolnić najeźdźcę,

nie powstrzymać.

– Poświęcenie moich ludzi i okrętów nie zniechęci wroga – rzucił Farland.

Jakimś cudem udało mu się zapanować nad ściśniętą krtanią, dzięki czemu zachował

stanowczy ton.

– Nie wydamy panu rozkazu frontального ataku na wroga – tym razem odezwał się Xiao,

potwierdzając podejrzenia pułkownika. – Nie jesteśmy szaleńcami. Pański raport i dołączone

do niego symulacje – odwrócił się do Rutty – uświadomiły wszystkim, jak katastrofalne skutki

mogłoby przynieść rozgromienie trzeciej floty. Mimo to, jak słusznie zauważyła pani kanclerz,

nie mamy wyjścia. Jeśli Federacja ma przetrwać, musicie powstrzymać wroga na swoim

terytorium, dopóki nie zakończymy budowy okrętów piątej generacji.

Farland i pułkownik wymienili zdumione spojrzenia. To była dla nich nowość.

– Pojedyncze pancerniki, nawet tak potężne jak te, których plany widziałem w zeszłym roku,

nie przechylały szali zwycięstwa na naszą stronę. – Wielki admirał wyraził ich wspólne

wątpliwości. – Musielibyście wybudować całą ich flotę.

Legendarne okręty piątej generacji, o których mówiło się już od niemal dekady, ugrzęzły

dawno temu w trybach biurokratycznej maszyny rządowej i świat powoli zaczynał o nich

zapominać. Rutta próbował obliczyć napędce, jak szybko dałoby się wprowadzić w życie

taki projekt i ile czasu potrzebowałyby stocznie Federacji, aby zbudować choćby kilkadziesiąt

jednostek wyższych klas, bo dopiero tyle robiłoby istotną różnicę w tej wojnie. Jakkolwiek

kombinował, wychodziło mu co najmniej kilka lat. Nawet gdyby zaprząć do tej roboty

wszystkie znane mu fabryki zbrojeniowe i stocznie w pozostałych metasektorach.

– Wbrew obiegowym opiniom nigdy nie zarzuciliśmy tego programu – stwierdziła Modo. –

Prace nad nowymi okrętami trwają nieprzerwanie. Mamy na stanie gotowe reaktory do nich,

mamy kompletne systemy uzbrojenia, mamy miliony ton elementów, z których nasze stocznie

montują już najnowocześniejsze okręty wojenne w tej części ramienia, ale brakuje nam czasu.

Musicie nam go kupić. Za wszelką cenę.

Farland poruszył się niespokojnie. Ciekawe, co bardziej nim wstrząsnęło:
informacja

o montażu okrętów piątej generacji czy kolejne przypomnienie, że trzecia flota
może być

spisana na straty.

– Zrobimy co w naszej mocy, pani kanclerz – zapewnił, choć bez takiego ognia
w głosie, na

jaki chyba liczyła.

– Musicie zrobić znacznie więcej – wpadł mu w słowo Xiao. – Obcy dotrą do
Terytoriów

Wewnętrznych za jakieś cztery miesiące. Jeśli pozbawią nas tamtejszych kopalni
i stoczni,

wszystko pójdzie na marne.

– Plan pułkownika był genialny w swej prostocie – dodała Modo, kłaniając się
wyniośle

milczącemu Rutcie – ale okazał się niewystarczający.

– To jest wojna, pani kanclerz – zaprotestował Farland. – Nie da się jej
zaplanować ze zbyt

dużym wyprzedzeniem, zwłaszcza że tak mało wiemy o wrogu. Dlatego
obawiam się, że Obcy

jeszcze nieraz nas zaskoczą.

– Nie mam do panów pretensji – zapewniła ich kanclerz. – Stwierdzam tylko
fakt.

– Zareagowaliśmy natychmiast – usprawiedliwił się Rutta. – Przerzuciliśmy
wszystkie siły

na zagrożone odcinki. Myślę, że w najbliższych tygodniach uda nam się ponownie spowolnić

postępy wroga.

– A ja myślę – odezwał się Xiao – że nadeszła najwyższa pora na bardziej agresywne

działania. Samym mnożeniem celów niewiele wskóramy. Zwłaszcza gdy Obcy przejrzą naszą

taktykę, a tego, zdaniem analityków Rady, należy się spodziewać.

– Rozumiem. – Farland nie próbował z nim dyskutować.

Domyślał się, że to nie propozycja, tylko rozkaz. Jeden z wielu, jakie otrzymają na piśmie

po tej rozmowie.

– A jak wygląda sytuacja na Ulietcie? – Modo niespodziewanie zmieniła temat.

Wielki admirał skrzywił się, spojrział na równie jak on zaskoczonego Rutte.

– Pułkowniku? – zapytał znacząco.

– Trwa właśnie ewakuacja tego systemu. Ostatni raport otrzymaliśmy trzy godziny temu. Na

razie nie ma żadnych opóźnień. Na rdzeniowiec trafiło już sto pięćdziesiąt jeden ze stu

siedemdziesięciu dwu ładowni rewolwerowych.

– Świetnie. Kto nadzoruje tę operację? – zainteresował się Xiao.

– Jeden z najlepszych ludzi pułkownika, kapitan Henryan Święcki – odpowiedział

natychmiast Farland.

– Ten Świącki? – Naczelny wódz odwrócił się do pułkownika.

– Nie rozumiem... – wymamrotał zdezorientowany Rutta.

– Mówimy o oficerze, którego kazał pan wyciągnąć z kolonii karnej? – doprecyzował Xiao.

– Tak jest. To naprawdę świetny fachowiec... Poza tym został w pełni zrehabilitowany –

odparł Rutta, czując nagle suchość w gardle.

– Tak, wiem. I rozumiem, czym pan się kierował, zlecając mu tę misję, choć przyznam, iż

w tym konkretnym wypadku wolałbym mieć tam oficera o nieco mniejszym ego i fantazji –

stwierdził Xiao.

– Ręczę za niego głową – wypalił zdezorientowany pułkownik, zanim zdążył pomyśleć.

– Skupmy się na temacie, panowie – poprosiła Modo, która chyba też pogubiła się

w słowach naczelnego wodza. – Proszę dopilnować tej sprawy, pułkowniku, a zasłużony

awans pana nie minie. Na tym rdzeniowcu musi się znaleźć komplet ładowni, nawet jeśli

będzie to oznaczało konieczność pozostania tej jednostki w systemie aż do pojawienia się tam

wroga, co poskutkuje skokiem podprzestrzennym w ostatniej chwili. Nawet jeśli kontynuacja

prac przy załadunku zmusi was do pozostawienia na Delcie większości kolonistów.

Zrozumiano?

– Tak jest. Zadbam o to osobiście – zapewnił ją Farland.

– Doskonale.

– I jeszcze ostatnia sprawa – odezwał się Xiao. – Admiralicja przychyliła się do waszych

żądań związanych z udzieleniem pełnego wsparcia ze strony pozostałych flot. Rada także nie

widzi żadnych przeciwwskazań. Nowe plany i rozkazy zostały już przesłane do centrali

łączności sztabu metasektora.

– Nie zawiedźcie naszego zaufania, panowie – poprosiła kanclerz Modo.

Hologramy obojga zniknęły równocześnie, pozostawiając Farlanda i Rutte w grobowej

ciszy.

– Czternaście miesięcy... – rzucił nieobecny tonem pułkownik.

– Tak... – Wielki admirał także spoglądał gdzieś w przestrzeń. – Wiesz może, o co chodziło

z tym Święckim? – zapytał w końcu.

– Błędęgo pojęcia nie mam – przyznał szczerze Rutta.

=== =

OSIEM

System Ulietta, Sektor Zebra,

23.10.2354

Pokonanie dwustu siedemdziesięciu tysięcy kilometrów, jakie dzieliły kosmodrom Delty od

lądowiska na największym z trzech księżyców, zajęło wahadłowcowi niespełna dwadzieścia

minut. Święcki znalazł się na wydrążonym satelicie dwa razy szybciej niż zmierzający na

kolejną zmianę górniczy, mimo że wystartował dłuższą chwilę po nich.

Zaraz po wyjściu z atmosfery niewielki wojskowy prom minął konwój wrzecionowatych

korporacyjnych transportowców, które przewoziły w swoich przepastnych wielopoziomowych

przedziałach osobowych po dwa tysiące wystraszonych górników. Przez najbliższe osiem

godzin będą oni obsługiwali kombajny drążące pokłady rudy helonu i ładowali urobek do

olbrzymich kontenerów, które zostaną następnie wystrzelone na niską orbitę, gdzie czekał

gigantyczny rdzeniowiec. Jeden z największych masowców, jaki poruszał się kiedykolwiek

w przestrzeni zdobytej przez człowieka.

Prom minął tego potwora przy podchodzeniu do lądowania. Henryan przyglądał się

gigantowi z mieszaniną podziwu i szacunku. Na tle rozjaśnionej światłem tutejszej gwiazdy

powierzchni satelity zobaczył długą na niemal cztery kilometry walcowatą konstrukcję,

zakończoną z jednej strony dwustumetrową czaszą talerza deflekcyjnego, a z drugiej czterema

monstrualnymi dyszami i kulą reaktora. Całą przestrzeń między napędem a kolistym dziobem

miały wypełnić mocowane rewolwerowo ładownie. W tym momencie było ich tam nieco

ponad sto pięćdziesiąt, kolejne dwadzieścia powinno dotrzeć na orbitę, zanim w systemie

pojawią się Obcy, a w najgorszym wypadku zanim wrogie liniowce dotrą do Delt.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, gigantyczny frachtowiec zabierze z Ulietty sto

siedemdziesiąt dwa miliony ton rudy helonu, najwytrzymalszego i najrzadszego metalu, jaki

zdołano odkryć w Galaktyce. Sto siedemdziesiąt dwa miliony ton, czyli więcej, niż zużyły

wszystkie stocznie i przetwórnice Federacji w ciągu ostatnich dwóch lat.

Jeśli... w tym jednym słowie krył się cały dramatyzm sytuacji. Dokończenie załadunku

będzie wymagało poświęcenia kilku tysięcy istnień, bo tylu mniej więcej górników

obsługiwało cały proces na jednej zmianie. Admiralicja wątpiła, by wszyscy oni zechcieli

oddać życie dla dobra ludzkości, dlatego Świącki otrzymał dokładne wytyczne, jak

spacyfikować ewentualne bunty. Wytyczne, z którymi nawiasem mówiąc, absolutnie się nie

zgadzał.

Kazano mu mianowicie zmusić tych ludzi, by pozostali na swoich stanowiskach aż do

ostatniej chwili. Dano mu nawet prawo rozstrzeliwania opornych, gdyby zawiodły inne środki

przymusu. Wspomagać go w tym dziele miały trzy kompanie funkcjonariuszy wydziału

bezpieczeństwa, które pojawią się na Ulietcie już za kilka godzin, by na jego wezwanie

obsadzić kluczowe miejsca w kopalni i rozpocząć ewentualne czystki.

Święcki zaczął żałować, że nie odmówił... Nie, gdyby odmówił Rutcie, na jego miejsce

przysłano by kogoś innego. Kogoś znacznie bardziej bezwzględnego. Oficera, który bez

wahania wykonałby każdy rozkaz. Jeśli ci górnicy mają zyskać choć cień szansy na ocalenie,

to właśnie on musi doprowadzić tę misję do końca i znaleźć rozwiązanie pozwalające z jednej

strony wywieźć stąd metal, dzięki któremu ludzkość znacznie zwiększy swoje szanse na

wygranie tej wojny, z drugiej zaś zapewnić wszystkim górnikom możliwość pozostania przy

życiu. Wiedział jednak, że to nie będzie łatwe. A czasu, z każdą upływającą sekundą, było

coraz mniej...

=== =

DZIEWIĘĆ

Ciążenie było tu tak niskie, że łaźnik, którym obwoził go jeden z menadżerów korporacji,

więcej czasu spędzał nad powierzchnią księżycy niż na niej. I nie chodziło o brawurę ani

popisy kierowcy – Jandreaasa Drechslera, statecznego, korpulentnego Hindusa po

osiemdziesiątce, jednego z sześciu zastępców dyrektora technicznego kopalni. Tak po prostu

jeździ się przy 0,4 g. Na szczęście ta sama siła, która pozwalała im szybować – a spowolniony

niską grawitacją lot trwał czasem nawet kilkanaście sekund – była też najlepszym

amortyzatorem przy nieuniknionych zderzeniach z gruntem. Sześciokołowy wóz opadał na

skaliste podłoże miękko jak balonik.

– Jeszcze tylko kilometr! – zawołał siedzący za manetkami przewodnik, gdy metalowe koła

ponownie oderwały się od skalistej powierzchni.

Henryan skinął głową, choć zdawał sobie sprawę, że tamten nie może tego widzieć.

Koloniści dysponowali sprzętem tak archaicznym i odmiennym od tego, do którego przywykł,

że czasami miał wrażenie, iż po wylądowaniu na tym księżycu cofnął się do czasów sprzed

wymyślenia napędu nadprzestrzennego. Kombinezon, w który się wcisnął, aby dokonać

inspekcji powierzchniowych i podziemnych instalacji, ważył ponad osiemdziesiąt

kilogramów, a jego baniasty hełm, choć bardzo obszerny, miał wyjątkowo mały wizjer i do

tego całkowicie pozbawiony wirtualnego wspomagania, tak więc Henryan musiał w trakcie tej

wyprawy polegać wyłącznie na własnych oczach. Był pozbawiony dostępu nawet do własnego

holopada, ponieważ konstruktorzy tych ubiorów nie wpadli na pomysł, by wyposażać je

w łącza pozwalające na skomunikowanie ich wynalazku z systemem skafandra.

Robotnicy porozumiewali się ze sobą i nadzorem za pomocą zwykłych radiowych

komunikatorów, a do obsługi systemu podtrzymywania życia ich kombinezonów próżniowych

wystarczał najprostszy procesor. Tutaj nikt nie potrzebował wymyślnych nowinek

technicznych, liczyła się prostota i niezawodność. W tej właśnie kolejności, co przyznał nawet

Drechsler, gdy po opuszczeniu głównej kopalni skierowali się do pierwszej z siedmiu

instalacji, które tego dnia miał wizytować Święcki.

Teraz, po trzech godzinach pobytu na powierzchni, zbliżali się do przedostatniej atrakcji.

Ejektorów, które gość miał zaraz obejrzeć, nie dało się przeoczyć.

Łazik wyjechał z długiego parowu, którego dno wyrównano, by stworzyć

namiastkę drogi,

i zatrzymał się u podnóża stromego wału otaczającego jeden z kraterów
wybitych w skalistym

gruncie księżycy przez kolizję z innym ciałem niebieskim, do czego doszło
miliony, a może

nawet miliardy lat temu. W skałach na wysokości kilkunastu metrów, tam gdzie
powierzchnia

ściany była niemal pionowa, Henryn zobaczył wylot prostokątnego tunelu, z
którego wybiegał

długi tor z lśniącej zimno plastali. Wsparta na dziesiątkach filarów konstrukcja
przecinała

pokrytą głazami szarą równinę, by kilometr dalej wznieść się łagodnym łukiem i
wymierzyć

w czarne niebo.

– To duma naszej kopalni, jeden z najpotężniejszych ejektorów, jaki
kiedykolwiek

wyprodukowano – objaśnił Drechsler, zatrzymując pojazd na niewielkim
wzniesieniu. –

Jeszcze moment... – dodał, spoglądając na zegarek. – Już!

Z wnętrza tunelu wynurzył się bezszelestnie wielki kontener ozdobiony logo
korporacji.

Mknąc tuż nad elektromagnetycznym torem, przyśpieszał nieustannie, by po
chwili dotrzeć do

łuku, minąć koniec szyny i pomknąć w niekończący się mrok. Święcki śledził go
wzrokiem

przez kilka sekund, aż do chwili, gdy pojemnik z plastali zlał się z czernią

przestrzeni.

– Następny zostanie wystrzelony za czterysta sekund – poinformował go Drechsler. – To

tempo pozwala nam wysłać na orbitę dziewięć ładunków na godzinę, przy czym każdy waży

ponad dziesięć tysięcy ton. A mamy tutaj pięć podobnych instalacji. Proszę spojrzeć... –

Wskazał na mknący nad ich głowami kontener, który musiał zostać wystrzelony z innego dział

elektromagnetycznego, zwanego ejektorem.

Święcki nie odpowiedział, próbował właśnie obliczyć w myślach, czy przy tym tempie

górnicy zdążą wypełnić żądania admiralicji. Wyglądało na to, że ładunek rdzeniowca

skończy się za około trzydzieści sześć godzin. Z grubsza licząc, rzecz jasna. W tym czasie

Obcy powinni być już w połowie drogi ze strefy skoku, nawet jeśli reszta eskadry zdoła ich

odciągnąć od pierwotnego celu, co wcale nie było takie pewne.

Ruszyli dalej. Łazik zjechał z wzniesienia i skierował się do odległej o kilometr

konstrukcji. Winda prowadząca do wnętrza jednej z kilkudziesięciu strefowych sterowni

magazynu znajdowała się po drugiej stronie ejektora.

– Możecie przyśpieszyć ten proces jeszcze bardziej? – zapytał Henryan, gdy znaleźli się

w końcu pomiędzy filarami pod samym torem.

– Nie – odparł bez zastanowienia Drechsler.

Jego głos zabrzmiał dziwnie metalicznie, z trudem dało się go zrozumieć przez szumy

i zakłócenia. Moment później zahamowali ostro w wąskim pasie cienia rzucanego przez tor

działa elektromagnetycznego.

– Co pan wyprawia? – obruszył się Święcki.

Przewodnik podniósł rękę, jakby chciał go uspokoić.

– Znajdujemy się w martwej strefie, kapitanie – powiedział. – Pole generowane przez

ejektor nie pozwoli na podsłuchanie i rejestrację tej rozmowy. Tutaj możemy mówić bez

owijania w bawełnę. Ninadine prosiła, żebym był z panem całkowicie szczery.

Henryan spojrział mu prosto w oczy, a raczej w to miejsce zaparowanego wizjera, gdzie

powinny się teraz znajdować. Truffaut obiecała pomóc i jak widać, nie kłamała. Tylko po co ta

cała konspiracja? Czyżby korporacjoniści mieli swój własny wydział bezpieczeństwa?

– Jak pan ocenia szanse? – zapytał z wahaniem.

– Na ukończenie zadania?

– Tak.

Drechsler milczał przez dłuższą chwilę, nie poruszył się nawet, gdy nad ich głowami

przemknął cień kolejnego kontenera.

– Marnie to widzę – rzucił w końcu.

– Dlaczego?

– Pracujemy w tym tempie już od ponad dwustu godzin, a to nie jest najnowszy sprzęt.

– Spodziewa się pan awarii?

– To cud, że nie straciliśmy jeszcze żadnego z ejektorów. Te działa są przystosowane do

odpalania jednego ładunku na dziesięć minut. A my nie tylko przekroczyliśmy normy czasowe,

ale też pakujemy do każdego kontenera o tysiąc ton więcej, niż powinniśmy, czyli dziesięć

procent ponad dopuszczalne normy. Prędzej czy później coś musi pieprznąć. – Wskazał na

ciągnący się nad ich głowami pas plastali.

Święcki zerknął odruchowo w górę. Podtrzymujący szynę plastobeton był pokryty pajęczyną

pęknięć. Tu i ówdzie osypywał się z nich pył. Widać to było bardzo wyraźnie, ponieważ przy

tak niskiej grawitacji drobinki opadały na powierzchnię całymi minutami.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że te instalacje nie wytrzymają pracy przez kolejne

trzydzieści sześć godzin?

– Przed pańskim przylotem rozmawiałem o tym problemie z głównym inżynierem. Jego

zdaniem mamy siedemdziesiąt pięć procent szans na to, że któraś z linii padnie w ciągu

następnej doby.

Siedemdziesiąt pięć procent? Niedobrze... – pomyślał Henryan.

– Ile czasu będziecie potrzebowali na naprawy, jeśli dojdzie do takiej awarii?

– Nie wiem, ale...

– Proszę pamiętać, że nie jestem technikiem – przerwał mu Henryan – więc darujmy sobie

zbędne szczegóły. Jak długo trwały takie naprawy w przeszłości?

– Problem w tym, że żaden z naszych ejektorów nigdy wcześniej się nie zepsuł – odparł

Drechsler.

– Słucham? – Świątki aż podskoczył na fotelu. – Skąd w takim razie...

– Spokojnie, kapitanie – poprosił przewodnik, wpadając mu w słowo. – Jeszcze nie

skończyłem. Nie obawiamy się awarii sprzętowej, z czymś takim radzimy sobie na bieżąco.

W ciągu ostatnich trzech dni mieliśmy ponad tuzin drobnych awarii.
Prawdziwym problemem

jest to... – Wycelował palcem w opadające wolno chmury pyłu. – Ejektory jeszcze nigdy nie

pracowały tak długo i pod takim obciążeniem. Te magazyny napełniano przez ostatnie pięć lat

– dodał tonem wyjaśnienia – a największa jednorazowa wysyłka, jaką pamiętam, to siedem

milionów ton. Wykonana bez pośpiechu, bez śrubowania norm.

– Rozumiem.

To miało sens nawet zdaniem takiego laika jak Henryan.

– Sam pan widzi, jak to wygląda. – Drechsler powiódł smutnym spojrzeniem za opadającym

wolno pyłem. – A z godziny na godzinę jest gorzej, co potwierdzają kolejne ekspertyzy.

Święcki zastanawiał się tylko chwilę.

– Co będzie, jeśli dojdzie do zaważenia któregoś z filarów?

– Co będzie? – zaśmiał się Drechsler. – To zależy. Jeśli stracimy podporę po wystrzeleniu

kontenera, wyłączymy ejektor, wydrukujemy potrzebny element i uzupełnimy nim konstrukcję.

– Jak długo to potrwa?

– Co najmniej dobie. Samo profilowanie toru może trwać kilka godzin, do tego dochodzą

próbne wyrzuty i tak dalej. Ale to jest ta bardziej optymistyczna wersja – zastrzegł. – Gorzej,

jeśli coś rozsypie się podczas wystrzeliwania ładunku, a to jest o wiele bardziej prawdopodobne.

– Co wtedy? – zapytał Henryan, chociaż przeczuwał, jaką usłyszy odpowiedź.

– Nic. – Przewodnik wzruszył ramionami. – Koniec zabawy. Rozchwiany kontener rozniesie

kawał toru. Dziesiątki filarów i setki metrów szyny.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Wyłączenie jednego działu elektromagnetycznego zmniejszyłoby możliwości ekspedycyjne o jedną piątą. O niemal sto tysięcy ton na każdą

godzinę załadunku, a to przemnożone przez co najmniej dobę, a może i więcej...

– Czy zmniejszenie obciążenia do dopuszczalnego poziomu coś zmieni? – wyszedł

z propozycją Świącki.

Drechsler skinął głową.

– Tak. Stanowczo tak, ale nie wolno mi podjąć takiej decyzji. Nikt z nas nie ma wystarczających uprawnień.

– Proszę to zatem zrobić na moją odpowiedzialność – rzucił Henryan.

– Da mi pan to na piśmie?

– Oczywiście. Zaraz po powrocie przedyskutuję ten problem najpierw z głównym

inżynierem, a potem z przełożonymi. Bez obaw, powiem im, co tu widziałem, nie wspominając

o pańskiej roli. Nie wiemy, ile czasu nam zostało, niewykluczone więc, że będziemy mieli

godzinę albo dwie zapasu, co pozwoli wyrównać straty, chociaż jeśli któreś z pozostałych

dział wyśiądzie przed terminem, stracimy znacznie więcej niż półtora miliona ton.

– Ja też skontaktuję się z odpowiednimi osobami. W ciągu godziny przejdziemy na nowy

system – obiecał Drechsler.

– Skąd to opóźnienie? – zainteresował się Henryan.

– Taka zmiana wymaga wprowadzenia korekt do oprogramowania setek maszyn i robotów,

nie mówiąc już o ustaleniu nowego harmonogramu dla załóg holowników, które zajmują się

przeładunkiem na orbicie.

– Jakim przeładunkiem?

– To pan nie wie? – zdziwił się Drechsler.

– Jak już chyba wspomniałem, z racji wykonywanego zawodu bardziej znam się na

rozpieprzaniu wszystkiego laserami niż wystrzeliwaniu rudy w kosmos.

– Proszę wybaczyć głupie pytanie, wszyscy mamy w małym palcu cały proces, sądziłem

więc, że i panu powiedziano co i jak.

– Wiem tylko tyle, że mam nadzorować załadunek tego rdzeniowca i chronić go do chwili

wykonania skoku nawet za cenę życia moich ludzi.

– Rozumiem i nie zazdroszczę. Z tego, co słyszałem...

– Czy możemy przejść do rzeczy? – przerwał mu bezceremonialnie Święcki, któremu wcale

nie uśmiechało się przekazywanie dowództwu hiobowych wieści.

– Tak jest. Kontenery wystrzeliwane z ejektorów trafiają na niską orbitę, gdzie są

przechwytywane przez holowniki i podłączane do śluz orbitujących luzem ładowni.

Przepompowujemy rudę... – Zawahał się. – To tylko potoczne określenie, ponieważ tak

naprawdę chodzi o ciśnieniowe pom...

- Nie muszę znać wszystkich szczegółów.
- Tak, tak. Oczywiście. Na czym to skończyłem?
- Na przepompowywaniu.
- Właśnie. Ruda trafia do orbitujących luzem ładowni, potem drony sprowadzają opróżnione kontenery nad specjalne pułapki magnetyczne, czyli tak zwane lądowiska. Stamtąd przewozimy je ponownie do magazynów, napełniamy i po raz kolejny wysyłamy w kosmos.
- Nie ładujecie tych kontenerów do ładowni rdzeniowca?
- A jaki by to miało sens? Wyobraża pan sobie, ile by ich trzeba, żeby przewieźć sto siedemdziesiąt dwa miliony ton rudy? Cała nasza korporacja nie dysponuje taką liczbą kontenerów.
- Ciekawe – mruknął Święcki. – Bardzo ciekawe...

==== =

DZIESIĘĆ

W drodze powrotnej komunikator Święckiego rozgrzał się do białości. Meldunki z księżycy

napływały co chwilę – Drechsler wywiązał się ze swojej części zadania znakomicie,

podobnie jak główny inżynier. Okazało się, że nie trzeba go specjalnie namawiać do

sporządzenia dokładnych analiz. Kwadrans po odlocie wahadłowca jego ludzie ruszyli

w teren, by przeskanować wszystkie podpory torów. Pełne wyniki tych ekspertyz powinny się

pojawić za mniej więcej dwie godziny, ale już wstępne raporty dowodziły jasno, że decyzja

podjęta przez Henryana nie była pochojna. Sześć na dziesięć sprawdzonych do tej pory

filarów miało poważne wady strukturalne.

Na drugim kanale Święcki rozmawiał równolegle z Truffaut. Nie chciał tracić cennego

czasu, dlatego jeszcze przed wylotem z kopalni poprosił, by zaraz po jego powrocie odbyło

się – wyłącznie w wąskim gronie zaufanych osób – spotkanie, na którym mógłby przedstawić

swój nowy pomysł. Nie będąc pewnym, czy szalona wizja, na którą wpadł podczas rozmowy

z Drechslerem i która nabrała wyraźniejszych kształtów, gdy przepytał kilku innych

inżynierów, ma szanse powodzenia, postanowił ją omówić z ludźmi posiadającymi nie tylko

wystarczającą wiedzę fachową, ale i możliwości wdrożenia w życie tego planu, o ile okaże

się sensowny. Drechslerowi wolał o tym na razie nie wspominać, ponieważ przez księżycowe

łącza korporacji mogli porozmawiać szczerze tylko w trakcie postoju w polu magnetycznym

toru, a kielkująca mu w głowie idea należała do gatunku tych najbardziej szalonych i co

więcej, wymagała poniesienia kolejnych strat przy załadunku, istniało więc spore

prawdopodobieństwo, że pracownicy lojalni wobec właściwego zarządu – ci, których tak się

obawiał zastępca dyrektora – utracą inicjatywę, zanim uda się ją urzeczywistnić.

Ninadine odpowiedziała na chwilę przed lądowaniem wahadłowca, informując Henryana,

że wszystko jest już gotowe. Oficjalną przykrywką spotkania z nią, Dupree, Pallance'em

i jeszcze jednym człowiekiem, którego tożsamości na razie nie znał, miała być wystawna

kolacja na cześć, jak to określono, „wybawcy Delty”.

Dobrze, że nie zbawiciela – uznał, obserwując przez transparentną plastal granatowe wody

oceanu i zbliżającą się szybko pastelową plamę kolonii, za którą aż po znajdujące się na

horyzoncie góry ciągnęły się szmaragdowe gęstwiny.

Nie wiedzieć czemu, Truffaut zaśmiała się, gdy zasugerował podczas jednej z wcześniejszych rozmów, że chciałby przejść się po tych lasach...

=== =

JEDENAŚCIE

Henryan wpadł do siebie tylko na moment, by wziąć szybki prysznic i włożyć mundur

galowy. Skoro miała to być oficjalna okazja, nie widział powodu, dla którego miałby iść na

spotkanie w kombinezonie. Tak brzmiała wersja na użytek kolonistów, gdyby któryś z oficjeli

miał odwagę i zapytał, dlaczego kapitan spóźnia się na ważną uroczystość. W rzeczywistości

Święcki zapragnął odrobiny luksusu. Szklaneczki, a nawet dwu, bezwonnego rumu i długiego,

gorącego prysznic w najprawdziwszej wodzie. Ludzkość utraci kontrolę nad tą planetą już za

trzydzieści kilka godzin, warto więc zakosztować choć odrobiny wygód, jakie oferowała

człowiekowi, który większą część życia spędził w ciasnych kajutach przy sztucznej grawitacji.

Odświeżony i rozluźniony wkroczył kwadrans po czasie do znacznie skromniejszej kwatery

Ninadine. Menadżerowie trzeciego szczebla nie byli specjalnie rozpieszczani przez zarząd

korporacji, tyle mógł powiedzieć na pierwszy rzut oka, choć mieszkanie Truffaut i tak miało

pięć razy większe wymiary od jego kajuty na Cervantesie. Pod innymi względami także nie

mogło się równać z luksusami, które zaoferowano mu w tej wieży. Meble, sprzęt, holościana,

wszystko to wyglądało biedniej. Nawet paleta dostępnych barw była uboższa, nie mówiąc już

o oknie, które zajmowało tylko połowę zewnętrznej ściany.

Wszyscy zaproszeni siedzieli już przy sporym stole, zatem Henryan przywitał się kolejno

z trzema mężczyznami, zaczynając od doktora, a kończąc na nieznanym mu jeszcze młodym

blondynie o atletycznej sylwetce, którego strój, z tego, co od razu zauważył, odbiegał znacznie

od standardów kolonii. Był bowiem... nieco archaiczny. Święckiego ciekawiło, z jakiego

powodu ten człowiek do nich dołączył, bo że nie był przysłowiowym kwiatkiem do

kombinezonu próżniowego, to pewne.

– Kapitanie, pozwoli pan, że przedstawię panu szefa pionu badawczego, profesora

Olivernera Fitza, naszego wielkiego łowczego i zarazem najlepszego kucharza, jakiego można

znaleźć w tej części Rubieży.

– Miło mi. – Henryan uścisnął dłoń, silną, spracowaną, nie przypominającą miękkich rączek

naukowców, z którymi miał styczność na Xanie 4. Nie uszło też jego uwagi, że tożsamość

drągała niczego nie rozjaśniła.

– Pozwoliłam sobie poprosić Olię o zaserwowanie prawdziwego mięsa. To taka nasza

firmowa tradycja – szczebiotała tymczasem Ninadine, prowadząc honorowego gościa na

miejsce. – Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza?

– Lubię mięso – przyznał się, opadając na amortyzujące krzesło. Niby proste, a jednak

wyposażone w ukryty antygraw. Zdziwił go przepych, w jakim żyli ci ludzie. –
Wbrew

pozorem jadamy tam – wskazał na sufit – jak ludzie.

– Domyślam się jednak, że mięso macie głównie z namnażalni – rzucił niby
przyjaznym,

a jednak kąśliwym tonem Fitz.

– Zapewniam pana, że nasz drób, ryby i wołowina w niczym nie ustępują
naturalnym

odpowiednikom. A już na pewno nie smakiem – odciął się Henryan z równie
jadowicie miłym

uśmiechem.

– Proszę nie mówić hop, dopóki nie skończy pan tego posiłku – wtrąciła
Ninadine, podając

Święckiemu niewielkie pudełeczko.

– Co to jest? – Spojrzał na plastikowy sześcian z zaciekawieniem. Nie
spodziewał się

prezentów.

– Regulatory enzymów. Na wypadek, gdyby nie tolerował pan naszej dziczyzny.
Wie pan,

sprowadzone tutaj zwierzęta zostały zmodyfikowane genetycznie, aby mogły
swobodnie

oddychać powietrzem Delt. Terraformowanie jeszcze się nie skończyło,
rozumie pan...

Rozumiał, bardzo ładnie wybrnęła z niezręcznej sytuacji. Było bardziej niż

prawdopodobne, że dostanie rozstroju żołądka po zjedzeniu czegoś, z czym
nigdy wcześniej

nie miał kontaktu.

Na szczęście mógł się jej zrewanżować, ponieważ nie przyszedł z pustymi rękami.

Zauważył, z jaką łapczywością naląła sobie drogiego trunku, gdy pokazywała mu apartament,

dlatego przyniósł połowę najciekawiej wyglądających butelek z barku. To był strzał

w dziesiątkę. Gdy ustawiał je na stole, wszyscy przyglądali się szkłu z niekłamanym

podziwem.

– Myślę, że możemy pominąć oficjalną część tego spotkania, jeśli etykieta taką przewiduje,

i przejść od razu do sedna – zaproponował, gdy pełniąca obowiązki pani domu Ninadine

rozkładała na talerze apetycznie pachnące platy brunatnego mięsa, ziemniaczane purée

i najprawdziwsze ziemskie warzywa. – Zastanawia mnie tylko nieobecność szefa policji.

Czyżby nadmiar obowiązków nie pozwalał mu na dołączenie do reszty tutejszej elity?

– Jeantoine jest teraz na orbicie – wyjaśniła Truffaut, a Henryan odniósł wrażenie, że

wychwyił w jej głosie cień zawiści.

– Dostał bilet pierwszej klasy na największą arkę – dodał Dupree, widząc, że kapitan nie

do końca rozumie.

– Szczęściarz – mruknął. – Cóż, w takim razie zaczniemy bez niego.

Wszyscy chrząknęli zgodnie. Byli ciekawi, co wymyślił, tym bardziej że oprócz doktora nie

mieli wielkich szans na ewakuację. Korporacja potrzebowała ich do utrzymania porządku

w kopalni aż do ostatniej chwili. Gdyby Świącki był klasycznym służbistą, żyliby

w nieświadomości, dopóki eskadra Obcych nie weszłaby do ich systemu. A wtedy byłoby już

za późno.

Henryan nie wiedział, czy naturalne mięso naprawdę smakuje tak wybornie, czy jest to

raczej zasługa wybitnych talentów kulinarnych Fitz'a, w każdym razie pochwalił profesora,

przyznając, że czegoś równie pysznego nie jadł od wielu lat. To było jedno jedyne zdanie,

którym odbiegł od tematu, potem rozmowa zeszła na jego pomysł.

– W czasie dzisiejszej wizytacji kopalni – mówił szybko, co jakiś czas dokładając kolejny

kęs do ust – dowiedziałem się, że proces załadunku rdzeniowca jest nieco bardziej

skomplikowany, niż to się z pozoru wydaje. Inżynierowie wyjaśnili mi, że kontenery trafiają na

zbyt niską orbitę, by mógł się na niej utrzymać tak wielki frachtowiec, w związku z czym rudę

przeładowuje się tam do odłączonych ładowni rewolwerowych, które następnie

są

odholowywane i przyczepiane do rdzenia. Proszę wybaczyć, jeśli używam zbyt laickich

określeń. Jestem wojskowym, nie górnikiem, więc tłumaczono mi to jak dziecku.

– Rozumiemy, o czym pan mówi, tutaj to dość powszechna wiedza – zapewnił go doktor

Pallance, który także nie miał wiele wspólnego z przemysłem wydobywczym, przynajmniej

tego rodzaju.

– Gdy pokazano mi dokładnie, na czym ten proces polega, wpadłem na pewien pomysł. Jak

państwo zapewne już wiecie, admiralicja nie da nam dodatkowego czasu, co jest chyba

zrozumiałe, a ja nie mam środków technicznych, by ewakuować wszystkich kolonistów...

– Kapitanie – wpadł mu w słowo doktor – może pan mówić szczerze. Oni wiedzą.

Święcki zamarł z widelcem uniesionym do wciąż pełnych ust.

– Słucham?

– Poinformowałem moich kolegów z korporacji, jak naprawdę wygląda sytuacja – wyjaśnił

Pallance.

– A jak wygląda według pana?

– Nie ma żadnej supernowej – rzucił doktor. – Ewakuujecie nas z powodu inwazji Obcych.

– Skąd pan... – Henryana zatkało.

– Ninadine nie naświetliła panu chyba mojej prawdziwej roli. Pracuję dla admiralicji.

Szefuję tutejszemu ośrodkowi rehabilitacyjnemu dla weteranów.

Święcki patrzył na niego z takim zdumieniem, jakby otyły lekarz przywalił mu w twarz.

W życiu nie słyszał o żadnym ośrodku rehabilitacyjnym trzeciej floty. Gdyby taka instytucja

znajdowała się na Delcie, otrzymałby stosowne instrukcje. Tymczasem był całkowicie pewien,

że rozkazy nic nie mówiły o tym człowieku i jego pacjentach.

– O czym pan mówi, tutaj nie ma żadnego...

– Nie drażmy tego tematu – poprosił Pallance, wpadając mu bezceremonialnie w słowo.

– Nie miał pan prawa... – zaczął Święcki, odkładając sztucce.

Czuł na twarzy palące spojrzenia pozostałych gości. Ten tłuścioch postawił go w tak

niezręcznej sytuacji, i to teraz, gdy wszystko zaczynało w końcu iść po jego myśli.

– Ma pan rację – przyznał doktor. – Ale może mi pan wierzyć, że pański sekret dość szybko

wyszedłby na jaw. To nie jest jakieś zadupie, tylko doskonale wyposażona kolonia.

Korporacja dysponuje na Delcie sprzętem, dzięki któremu tu obecny pan Fitz mógłby bez trudu

wykazać górniczej braci, że w promieniu setek lat świetlnych nie ma żadnej

supernowej.

Szef pionu badawczego skinął głową.

– Moi podwładni poprosili godzinę temu o dostęp do radioteleskopu – potwierdził

obojętnym tonem, choć oczy lśniły mu dziwnie mocno. – Doktor był tego świadkiem.

– Uznałem, że to najrozsądniejsze rozwiązanie – wtrącił pośpiesznie Pallance. – Olivernest

spacyfikował asystentów, mówiąc, że sam już wszystko sprawdził.

Henryan przełknął ostatni kęs mięsa.

– To była tajemnica... Wie pan, co grozi za jej złamanie?

– Wolałby pan mieć do czynienia z buntem górników? – zapytał Dupree, zanim spocony

doktor otworzył usta. – Gdyby rewelacje z obserwatorium rozniosły się po kolonii, większość

ludzi wróciłaby do domów.

Święcki przeniósł wzrok na niego.

– Gdyby to ode mnie zależało, powiedziałbym wam całą prawdę, ale jestem żołnierzem,

przysięgałem, że...

– Nie mamy do pana pretensji, kapitanie – zapewniła go Ninadine. – Widzimy, jak pan się

stara. Może pan być pewny, że żadne z nas nie puści pary z ust. My naprawdę chcemy pomóc.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, co nas czeka w razie fiaska pańskiej

operacji –

rzucił Dupree, który także był dyrektorem z bardzo świeżej nominacji. – Dlatego proszę,

zapomnijmy o sprawie i wróćmy do tematu.

– Zapewniam was, że ja naprawdę nie chcę tutaj nikogo zostawić – kontynuował Święcki,

który nagle stracił apetyt. – Ale nie mam wolnej ręki. Dowództwo wyraziło się jasno. Ten

rdzeniowiec ma absolutne pierwszeństwo. Musi zostać załadowany bez względu na koszty

i straty.

– Rozumiemy to, kapitanie. Naprawdę. Proszę nam powiedzieć, na co pan wpadł,

a postaramy się pomóc najlepiej, jak tylko umiemy – zapewnił Fitz.

– Dobrze... – Henryan wziął się w garść. Mleko i tak się rozlało. – Admiralicja uważa, że

jeśli wywożę stąd sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi, operację będzie można uznać za sukces. –

Zaszemrali, jak się tego spodziewał. – Dla nich jesteście tylko liczbami w słupkach kolejnych

raportów, ale nie dla mnie. Dlatego bez przerwy kombinuję, jak znaleźć sposób na wydostanie

stąd pozostałych stu czterdziestu tysięcy osób. I chyba go dzisiaj znalazłem... Co byście

powiedzieli, gdybyśmy wykorzystali w tym celu kontenery? – Fitz i Pallance spojrzeli na

dyrektora kopalni, ale ten również na razie nie rozumiał, na czym polega plan Święckiego.

Henryan dodał więc zaraz: – Każdy z nich jest dokowany w przestrzeni do specjalnej śluzy,

a jego ładunek zostaje wdmuchnięty przez sprężarki do napełnianej ładowni, jak to obrazowo

opisał dyrektor Drechsler. Śluzy są na zewnętrznych ścianach rewolwerówek, więc gdyby

wykorzystać je do permanentnego zadokowania kontenera, moglibyśmy stworzyć dziesiątki,

jeśli nie setki pseudohabitatów, w których ewakuowani koloniści dolecieliby w spartańskich

warunkach do stacji tranzytowych.

Po tym wyjaśnieniu Dupree uśmiechnął się szerzej i zmrużył oczy. Widać było, że rozgryza

problem od strony technicznej. Henryan trzymał kciuki, żeby jego laickie i co tu ukrywać,

hurraoptymistyczne podejście do tematu nie okazało się totalną bzdurą, ponieważ nie miał

pewności, czy taki sposób wykorzystania kontenerów będzie w ogóle możliwy. Diabeł zbyt

często tkwił w szczegółach, więc i w tym przypadku kapitan mógł przeoczyć jakąś pierdółkę,

która dla tego człowieka będzie oczywistym, karygodnym błędem.

– Wydaje mi się – rzucił Dupree po kilku chwilach zastanowienia – że to da się zrobić.

Możemy zaślepić śluzy czołowe, żeby po podłączeniu do ładowni nie doszło do przypadkowego przedmuchania komory, a przy odpowiednim ustawieniu kompresorów

będziemy mieli naprawdę spory zapas powietrza na czas podróży.

– Jak duży? – zainteresował się Pallance.

– Niech się zastanowię... – Dupree odłożył sztucce i zaczął coś liczyć na osobistym

holopadzie. Trwało to chwilę, zatem pozostali zajęli się kończeniem posiłku. Być może

jednego z ostatnich w ich życiu, a już na pewno na tej planecie. Nawet Święcki sięgnął po

widelec, choć tym razem pieczeń nie wydawała mu się już tak wyborna. – W komorze tej

objętości możemy pomieścić około jedenastu tysięcy osób, ale wtedy zabraknie im powietrza

na dolecenie do szóstego pasa, gdzie znajdują się stacje przerzutowe. Nawet przy założeniu, że

każdy będzie miał własny kombinezon i zabierze pełne butle tlenu – dodał.

– Macie tu tyle wyposażenia osobistego? – zdziwił się Henryan.

– To kolonia górnicza. Tutaj każdy, kto pracuje w kopalni, ma co najmniej dwa przydziałowe kombinezony – wyjaśniła Ninadine. – Poza tym magazyny pękają od zapasów.

Przepisy korporacji wymagają, by butle były wymieniane co dwa lata, a kombinezony mają

gwarancję na trzy sezony. To taka sztuczka, żeby wypompuwać z górników choć część

wypłacanych im pieniędzy – dodała tonem usprawiedliwienia.

– Ilu zatem ludzi możemy pomieścić w jednym kontenerze? – zapytał Święcki.

– Osiem tysięcy osób, licząc samych dorosłych – odparł po chwili Dupree.

– Sporo, ale... – teraz Henryan przeliczył coś w pamięci – ...będziemy potrzebowali

niemal dwudziestu kontenerów, by pomieścić wszystkich. Dacie radę tyle przerobić?

Tym razem dyrektor kopalni nie miał tak radosnej miny.

– W sumie... – rzucił, ale ugryzł się w język. – Wydaje mi się, że tak. To wyjątkowa

sytuacja, więc na chętnych do roboty nie powinniśmy narzekać. Warsztaty stoją, ponieważ już

wczoraj zakończyliśmy fedrunek. Nie ma sensu kopać rudy, skoro nie zabierzemy nawet tego,

co mamy na składzie.

– Wolałbym mieć pewność – naciskał Święcki.

– W takim razie musi mi pan dać pół godziny – odpowiedział dyrektor, wstając od stołu. –

Rzucę temat komu trzeba, lecz jak powiedziałem, od strony technicznej jest to możliwe.

– W przestrzeni też, mam nadzieję? – zapytał Henryan.

– W jakiej przestrzeni? – zdziwił się Dupree.

– Na niskiej orbicie – doprecyzował kapitan.

– Dlaczego, u licha, mielibyśmy to robić w kosmosie? O wiele prościej i szybciej będzie

dokonać adaptacji w naszych warsztatach.

– Powiedzmy, że to warunek konieczny – wyjaśnił Świącki. – Czy będziecie w stanie

przerobić te kontenery na orbicie?

Dupree opadł ciężko na krzesło.

– Wątpię. Naprawdę. Nie mamy tyle sprzętu przystosowanego do prac w otwartej

przestrzeni. Po prostu nigdy go nie potrzebowaliśmy.

– Szlag by to – mruknął zawiedziony Henryan.

– Dlaczego to taki problem? – zainteresował się doktor.

Świącki patrzył mu przez chwilę w oczy, zastanawiając się, ile może zdradzić, ale szybko

doszedł do wniosku, że skoro wiedzą o Obcych i wszyscy jadą na tym samym wózku, nie

powinni mieć przed sobą tajemnic. Zwłaszcza że tylko wzajemna szczerść może im teraz

pomóc.

– Ejektory się sypią, więc wymusiłem na głównym inżynierze zmniejszenie obciążenia

wszystkich torów, a to oznacza, że szlag trafił harmonogram załadunku.

– Admiralicja wyrazi na to zgodę? – wpadła mu w słowo Truffaut.

– Zobaczymy, ale jestem dobrej myśli, ponieważ znaleźliśmy się o włos od prawdziwej

katastrofy.

– No dobrze, ale na czym dokładnie polega nasz problem? – zainteresował się Pallance.

– Na tym, że admiralicja nie pozwoli na dalsze zwiększanie strat, czytaj: nie dostaniemy

zgody na wystrzelenie w przestrzeń pustych kontenerów. Dlatego pomyślałem, że moglibyśmy

wykorzystać te, które znajdują się w przestrzeni.

– Nie odpuszczą dwustu tysięcy ton, nawet jeśli to będzie oznaczało możliwość uratowania

prawie stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi? – zapytał dyrektor kopalni.

Święcki westchnął ciężko.

– Obawiam się, że ta ruda jest cenniejsza dla Rady niż my wszyscy razem wzięci.

Zmarkotnieli i zamilkli na dłuższą chwilę. Już widzieli światło w tunelu, już czuli ulgę na

myśl o ocaleniu życia.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę – mamrotał pod nosem Dupree.

– Kapitan wie, co mówi – zapewnił go Pallance.

– System jest prosty – wyjął Henryan. – O przyznanych wam numerach nie decydowało

losowanie, tylko zimna kalkulacja. Szansę na ewakuację otrzymali ci, którzy zdaniem

admiralicji najbardziej przydadzą się Federacji. Reszta na obecnym etapie wojny jest tylko

niepotrzebnym obciążeniem budżetu. Nie patrzcie tak na mnie. Gdybym podzielał to zdanie,

siedziałbym teraz na Cervantesie.

- Zamiast dramatyzować, może skupmy się na rozwiązaniu problemu – zaproponował Fitz.
- A co możemy w tej sytuacji zrobić? – zapytał Dupree.
- Zabrać się do roboty i przygotować w przestrzeni tyle kontenerów, ile się da?
- Przy obecnych możliwościach zmajstrujemy cztery, może pięć.
- Zawsze to czterdzieści tysięcy ocalonych istnień.
- Też prawda – przyznał zamyślony dyrektor.
- Myślę, że... – zaczął Święcki, ale umilkł w pół zdania, gdy poczuł wibrację komunikatora. Zerknął na wyświetlacz urządzenia. – Przepraszam, muszę na moment zniknąć – rzucił, wstając od stołu.
- Coś się stało? – spytała zaniepokojona Truffaut.
- Szefostwo właśnie przeczytało mój ostatni raport – wyjaśnił zwięźle.

=== =

DWANAŚCIE

System Anzio, Sektor Zebra,

23.10.2354

Rutta wrócił prosto do swojej kajuty. Wciąż był rozdarty, z jednej strony pochwały, które

padły z ust Xiao i pani kanclerz, mile go polechtały, z drugiej czuł obawę, a nawet strach

przed jarzmem nałożonym na jego barki w tej samej, jakże krótkiej rozmowie.

Admiralicja

i Rada oczekiwały od niego kolejnego przełomowego planu, a on miał w głowie kompletną

puszkę. Co gorsza, był przekonany, że to nie jest chwilowy stan. Ludziom zaczynało w tej

wojnie brakować opcji. Jedynym rozwiązaniem, które przychodziło mu na myśl, było

stawienie czoła wrogim eskadrom. A to mogło mieć zgubne skutki, i to nie tylko dla załóg

biorących udział w bitwach. Jeśli trzecia flota rzuci do walki któryś z nowo utworzonych

zespołów uderzeniowych i poniesie sromotną klęskę, morale żołnierzy i marynarzy – i tak już

niskie – spadnie poniżej akceptowalnego poziomu.

Historia pokazywała, jak kończą się tego typu porażki. Fale dezercji, odmowy wykonania

rozkazów, w końcu rozpad armii. A do tego nie można przecież dopuścić. Nie teraz, gdy

pojawiło się światełko w tunelu. A nawet dwa światełka, jeśli liczyć zgodę admiralicji na

przerzucenie do trzeciego metasektora dużych kontyngentów z innych flot. Za dwa, trzy

miesiące na pograniczu Terytoriów Wewnętrznych i Rubieży powstaną nowe bazy, pojawią się

setki nowych okrętów wojennych. Wiadomość z admiralicji zawierała bardzo szczegółowe

plany i harmonogramy dyslokacji jednostek. Xiao zgodził się na niemal wszystkie żądania

Farlanda. Jedyńm wyjątkiem było pozostawienie w odwodzie największych okrętów

pierwszej floty. Choć od wojny domowej minęło już ponad sto lat, Systemy Centralne nadal

nie uwolniły się od paranoicznego strachu przed kolejną secesją. A szkoda, bo pancerniki

czwartej generacji mogłyby zmienić układ sił w najbliższych starciach.

Czternaście miesięcy – pomyślał Rutta, zdejmując bluzę munduru. Mniej niż mgnienie oka

w porównaniu z wiekiem wszechświata, cała wieczność z perspektywy walczących ludzi.

Nalał sobie szklaneczkę whisky, szczerze, na trzy palce, a potem opadł na fotel przy konsoli

komputera, mając nadzieję, że alkohol ukoi jego skołatane nerwy i otworzy mu oczy na

aspekty, których do tej pory nie dostrzegał.

Picie pomagało mu czasami, o ile nie przesadził. Lekki rausz, zanim zabił szare komórki,

pobudzał je, pozwalając spojrzeć na problem z odpowiedniego dystansu i z właściwej

perspektywy. Oby tym razem było podobnie.

Pułkownik włączył komputer. Wirtualne ekrany rozjarzyły się niemal natychmiast,

wyświetlając otwarte wcześniej dokumenty, wykresy i symulacje. Na jednym z

bocznych okien

zobaczył folder poczty. W pół godziny, bo tyle czasu minęło od chwili wyłączenia terminala,

otrzymał siedemnaście wiadomości, w tym czternaście raportów dotyczących analiz ostatnich

ataków, dwa powiadomienia o umilknięciu kolejnych stacji monitorowania i...

Zmrużył oczy, nie mogąc uwierzyć, kto jest nadawcą ostatniego przekazu. Doktor Annely

Godbless. Bogini złego smaku i królowa ciętej riposty. Już sam nagłówek sugerował, że treść

wiadomości podniesie mu ciśnienie.

„Jak mogliście, skurwyklonie pomioty” – tak właśnie zatytułowała swój przekaz.

Pociągnął spory łyk whisky, zanim zdecydował się aktywować zapis. Ku jego zdziwieniu

wiadomość była tekstowa, zaraz jednak przypomniał sobie, ile kosztowałaby pełna transmisja

z sąsiedniego sektora. Pion naukowy nie dysponował tak ogromnymi funduszami jak wojsko,

dlatego jego pracownicy byli przyzwyczajeni do archaicznych metod komunikacji. I chwiała na

wysokości – pomyślał Rutta, zagłębiając się w lekturę.

Wróciłam, stary capie, i kurwirtual w czarną dziurę od dupy strony wtykany, nie uwierzysz, wypierdku, ale

zaniemówiłam. Pierwszy raz w życiu odebrało mi głos. Zniweczyliście sześć lat pracy mojego zespołu! Sześć lat, ty ćwoku w śmiesznej czapeczce, żebyś tak się

dzisiaj zesrał gwiazdkami, których ci do kołnierzyka przypinali. Jakim prawem dopuściłeś do takiej profanacji, pytam? Ja ci tego nie daruję, o nie! Złożyłam już doniesienie do admiralicji. Tym

razem się nie wywiniecie, ty i ten twój przydupas. Pajace w jednakowych mundurkach zrobią z wami porządek. Mają więcej gwiazdek niż wy, a tylko to się u was liczy, skurwyklony niedohodowane.

Bez wyrazów szacunku,

dr A. Godbless,

Xan 4.

Xan 4... Jędza wymendziła jakimś cudem fundusze na dokończenie swoich badań, ale

dłaczego musiała go o tym poinformować? I o jakiej profanacji mówiła? Przyjrzał się uważnie

wiadomości. W słowie „profanacja” zauważył hiperlink do załącznika. Hmm... Drugim

łykiem opróżnił szklanę i aktywował podeślany mu plik.

* * *

Farland odebrał, nie patrząc nawet, kto prosi o rozmowę. On także miał dość wszystkiego,

mimo że sprawy nie potoczyły się aż tak źle, jak się obawiał.

– Co jest? – burknął, nie odrywając wzroku od dokumentów.

– Chyba wiem, o co chodziło Xiao – rzucił rozbawiony Rutta.

Wielki admirał zlustrował go zdziwionym spojrzeniem. Uśmiech na twarzy pułkownika

wydawał mu się tak nierealny, że aż nieprawdziwy.

– Słucham?

– Pytałeś mnie po spotkaniu, o co może chodzić ze Świąckim. Chyba już wiem.

– I to takie zabawne? – mruknął poirytowany Farland.

– Sam zobacz.

Rutta zniknął z wyświetlacza, za to nad padem projektora pojawiła się
miniaturowa

projekcja.

Nad przecinającą równinę rzeką wyrastała w niebo sięgająca chmur postać
człowieka,

mężczyzny noszącego mundur podoficera floty. Theo nie rozpoznał jego twarzy,
nie zrozumiał

także, co znaczą chrzęsty dobiegające z głośników.

– Co to ma być? – wymamrotał szczerze zdziwiony.

– Czekał... – Rutta pogmerał przy klawiaturze swojego komunikatora. – Patrz
teraz.

Z głośników popłynął głos mechanicznego tłumacza.

– Nazywam się Henryan Świącki, jestem człowiekiem, istotą rozumną
zamieszkującą

odległe systemy gwiazdne. Przybyłem do was w pokoju, ale gdy ujrzałem wasze
czyny, stałem

się śmiercią, niszczycielem światów. Mam moc, o jakiej wasi uczeni jeszcze nie
śnili.

Ujarzmiam żar słońc, ścieram w pył planety, niosę zagładę całym rasom. Jednym
skinieniem

palca pokonam wasze armie, jednym oddechem wyjałowię pola, które

uprawiacie, jednym

spojrzeniem zmiażdżę wszystkie kręgi, które zbudowaliście od zarania dziejów.
Uczynię to

bez wahania, jeśli nie wykonacie moich rozkazów! Słuchajcie zatem, jaka jest
moja wola:

odejdziecie za rzekę zwaną Adal Vin i zostanieie za nią już na zawsze.
Najdłuższa z rzek

Suhurty będzie od tej pory nieprzekraczalną granicą dla was i dla Wojowników
Kości. Macie

jednak moje słowo, że żaden Suhur nie dotknie szponami południowego brzegu,
jeśli mu na to

nie pozwolicie. Każdego wojownika, który mi się przeciwstawi, spalę na popiół,
nie

zostawiając nawet jednej kostki, by mogła trafić na klanowy totem. Jeśli wy
mnie nie

posłuchacie, wygnam was z Suhurty na dobre, a potem poprowadzę
nieprzeliczone klany na

żyzne równiny Gurdu'dihanu, by zamieniły go w martwą pustynię. Odejdźcie
natychmiast,

a zostanieie oszczędzeni.

Po tej tyradzie wody rzeki zostały wysmagane gradem laserowych promieni,
zapewne

wystrzelonych z zamaskowanego grawilotu albo satelity.

– Kim jest ten domorosły klon Oppenheimera z taniego holo? – zapytał Farland,
nie

odrywając wzroku od projekcji.

– To, mój drogi, jest Beta Xana 4 i bliżej ci nieznany kapitan, a podówczas sierżant,

Henryan Świątki.

– Nie do końca rozumiem, o co w tym nagraniu chodzi.

– Wiesz, czym zajmowałem się przez ostatnie sześć lat? – zapytał Rutta.

– Tak. Nadzorowałem operację badania jakiejś planety, na której znaleźliśmy dwie bardzo

prymitywne rasy obcych istot, niełapiących się nawet na zero w skali Kardaszewa.

– Mniej więcej. Odwołano nas stamtąd w nader interesującym momencie. Gurdowie, ci

bardziej rozwinięci, zamierzali właśnie dokonać eksterminacji resztek Suhurów, których nie

bez racji nazywaliśmy Zwierzakami. Alarm ogłoszono na kilka dni przed ostateczną bitwą,

która miała się rozegrać w tym właśnie miejscu.

Wielki admirał raz jeszcze odtworzył całość projekcji.

– Nadal niewiele z tego rozumiem. Skąd masz to nagranie?

– Znalazłem je w poczcie przychodzącej, gdy wróciłem ze spotkania. Zostało wysłane

dzisiaj z Xana 4. Naukowcom udało się jakimś cudem przekonać władze do kontynuowania

badań, ale... – Zamilkł na moment. – Po przybyciu na miejsce okazało się, że tubylcy mają

nowego boga. Naszego niecenionego sierżanta...

– A to skurwyklon... – mruknął wielki admirał, odtwarzając przemówienie po raz trzeci.

– Godbless, ta jędza, o której ci wspominałem...

– Ta od pajaców w jednakowych mundurkach i w fikuśnych czapeczkach?

– Ta sama. Napisała do mnie, czujesz to? Napisała – powtórzył, szczerząc zęby.

–

Poinformowała mnie w krótkiej notce, że to nagranie trafiło także do admiralicji. Xiao dostał

je wcześniej, ponieważ mój nowy adres musiała dopiero zdobyć.

– Cudnie, po prostu cudnie. Jestem chyba jedynym dowódcą floty, który ma pod rozkazami

prawdziwego boga, i to wyznawanego przez dwie całkowicie odmienne rasy, ale powiadam

ci, jeśli ten Świątki spieprzy cokolwiek na Ulietcie, to przysięgam jak tu stoję, że osobiście

wykastruję go na oczach wszystkich wyznawców.

– Myślę, że nie mamy się czym martwić – zapewnił go pułkownik. – Ten facet ma naprawdę

dobrze poukładane w głowie.

– Właśnie widzę... – Farland opadł ciężko na oparcie fotela, nie mogąc oderwać wzroku

od nieznaney planety i postaci widmowego żołnierza.

=== =

TRZYNAŚCIE

System Anzio, Sektor Zebra,

23.10.2354

– Nie!

– Pułkowniku...

– Powiedziałem: nie! Kto wam dał prawo podjęcia takiej decyzji bez konsultacji ze

sztabem metasektora?

Święcki przełknął ślinę. Nie przypuszczał, że Rutta zapiekli się do tego stopnia. Dokumenty,

które przesłał w nocnym raporcie, mówiły przecież wyraźnie, że brak reakcji może się

zakończyć katastrofą. Przyciśnięty przez Henryana główny inżynier kopalni zarządził dokładną

kontrolę wszystkich torów. Po przeanalizowaniu wyników wydał jednoznaczny werdykt –

kontynuacja prac pod takimi obciążeniami doprowadzi do nieuchronnej katastrofy w ciągu

następnej doby.

– Wydano mi rozkaz dopilnowania, aby załadunek rdzeniowca przebiegł bez zakłóceń –

odparł kapitan, siląc się na spokój. – Wykryłem poważne zagrożenie dla realizacji mojej misji

i poczyniłem stosowne kroki.

– Nie, wy nadal nie rozumiecie, coście zrobili. – Rutta na przemian bladł i siniał, jakby za

moment miał dostać apopleksji. – Głową za was poręczyłem, a wy... wy...

– Proszę mnie zrozumieć, pułkowniku – spróbował jeszcze raz Świącki. –
Widział pan

dokumenty sporządzone przez nadzór kopalni. Wyniki badań nie pozostawiają
wątpliwości.

Od katastrofy dzieliły nas godziny. Gdybym nie kazał zmniejszyć obciążenia
torów, być może

rozmawialibyśmy teraz o fiasku na niebywałą skalę...

– Te półtora miliona ton, które stracimy, to fiasko na niebywałą skalę – przerwał
mu Rutta.

– Admiralicja każe was rozstrzelać. Na miejscu. I mnie pewnie też przy okazji.
Nie zdajecie

sobie sprawy, jak ważna jest każda tona tej rudy.

– Proszę mnie zatem oświecić.

– To ściśle tajna wiadomość – burknął pułkownik.

Na moment zapadła niezręczna cisza.

– Wezmę całą winę na siebie... – zaczął znowu Świącki, ale umilkł w pół
zdania,

zgromiony stekiem wyzwisk.

– Nie, niczego nie będziecie na siebie brać, za to skontaktujecie się natychmiast
z zarządem

kopalni i każecie im wrócić do starego harmonogramu.

Henryan pokręcił głową.

– Jeśli to zrobię, rdzeniowiec odleci bez kilku kolejnych milionów ton ładunku.

– Tego nie możecie wiedzieć! – wydarł się Rutta, ale już ze znacznie mniejszym

zacierzwieniem. Zaczynało do niego docierać, że jego podwładny jednak postąpił słusznie.

Ale czy admiralicja potraktuje tę samowolkę w ten sam sposób? – A jeśli nawet, to i tak nie

mieliście prawa podjąć takiej decyzji. Powinniście poczekać na jej zatwierdzenie, choćby na

poziomie sztabu metasektora.

– Proszę wybaczyć, pułkowniku, ale czy pan wierzy w to, że ktoś od Farlanda podjąłby tego

rodzaju decyzję w ciągu kilkunastu godzin?

To także była bardzo celna uwaga. Trwała wojna, na zatwierdzenie każdego istotnego

rozkazu czekało się czasem nawet dobę. A im ważniejsze dyrektywy, tym dłuższe oczekiwanie.

W tym konkretnym przypadku nikt na Anzio nie podjąłby decyzji, sprawa zostałaby przekazana

admiralicji i... Święcki miał rację, prędzej doszłoby do katastrofy niż do rozstrzygnięcia, ale

przynajmniej odbyłoby się to z zachowaniem drogi służbowej, a odpowiedzialność za porażkę

spadłaby na któregoś z admirałów, nie na nich.

– Ale tu przecież nie o nasze głowy chodzi, tylko o wyższe cele. Sam pan to przed chwilą

powiedział – obruszył się kapitan, gdy usłyszał kolejny, nieco tylko łagodniejszy wywód

przełożonego.

– Wy mi tu nie wyjeżdżajcie z wyższymi celami, Świątki – wymamrotał przygwożdżony

Rutta. – To flota, nie korporacja. Nie po to wymyślono drogę służbową, żebyście mi tu drugi

Xan 4 urządzali.

– Jaki znowu Xan 4, pułkownika? Próbowałem podjąć najlepszą z możliwych decyzji

i zminimalizować straty.

– Straty, sraty. Może to do was jeszcze nie dotarło, ale nie jesteście bogiem.

– Nie rozumiem...

– Nie rozumiecie, niszczycielu światów ujarzmiający żar słońc? – warknął Rutta, próbując

wylać z siebie resztę żali.

Świątki poczuł, że kark mu sztywnieje.

– Skąd pan... – zatchnął się na drugim słowie.

– Godbless wróciła na Xana 4. I powiadomiła o wszystkim admiralicję. Teraz rozumiecie,

dlaczego mamy podwójnie przesrane? Xiao osobiście o was wypytywał. Kazał mi

dopilnować tej operacji, a ja, jak ten skończony dureń, dałem za was głowę.

Henryan do reszty stracił rezon. Był pewien, że dowództwo przełknie sprawę korekty wagi

wystrzeliwanych ładunków. Ryzyko katastrofy było zbyt duże, każda rozsądna osoba prędzej

czy później przyznałaby mu rację, nawet gdyby po drodze zebrał trochę cięgów.

Na to był

przygotowany, ale gdy usłyszał, że admiralicja wie o samowolce z Xana, dotarło do niego, że

jego wczorajsza decyzja może zostać uznana za podobny nieprzemyślany wyskok. A to

diametralnie zmieniliby optykę postrzegania problemu.

– Czy to już wszystko? – zapytał pułkownik.

– Jeśli można, chciałbym poruszyć temat ewakuacji – zaczął ostrożnie Święcki.

– Słucham.

– Chyba znalazłem sposób na ocalenie większej liczby kolonistów.

– To ich ratujcie, co mnie do tego – warknął rozeźlony pułkownik.

– Ale... – Henryan oblizał spierzchnięte wargi. – Ale to będzie wymagało kolejnej, choć

naprawdę niewielkiej ingerencji w harmonogram załadunku rudy.

Rutta nabrał tchu, jakby zamierzał znów się wydrzeć. Twarz mu lekko pociemniała. Udało

mu się jednak powstrzymać wybuch.

– Możecie się wyrażać jaśniej? – zapytał.

– Tak jest. Mam już dokładne wyliczenia. – Święcki przesłał mu plik.

Wystarczyło jedno spojrzenie na dokument, by pułkownik eksplodował.

=== =

CZTERNAŚCIE

System Ulietta, Sektor Zebra,

23.10.2354

Z centrum łączności do apartamentu Truffaut można było dotrzeć w trzy minuty.
Henryanowi

zabrało to jednak dwa razy dłużej, ponieważ musiał się najpierw uspokoić.
Definitywna

odpowiedź Rutty zasmuciła go. Liczył, że dzięki obrazowemu raportowi
głównego inżyniera

dowództwo przełknie naprawdę niewielkie dodatkowe straty, a wizja uratowania
prawie stu

pięćdziesięciu tysięcy ludzi za cenę kilku kontenerów rudy wyda się wielkiemu
admirałowi

bardziej niż akceptowalna. Pułkownik rozwił jednak definitywnie jego
nadzieje. Nie, po

prostu nie i już. Ścisłe tajne łamane przez poufne było po stokroć ważniejsze od
życia

kolonistów.

A skoro nawet tak trzeźwo patrzący oficer jak Rutta jest na nie... Trzeba znaleźć
inne

rozwiązanie. Drażnienie tematu może tylko pogorszyć sprawę – uznał Henryan,
maszerując

korytarzem w kierunku mieszkania Ninadine.

Gdy siadał przy stole, minę miał tak ponurą, że wszyscy natychmiast umilkli.

– Z tego, co widzę, przełożeni nie są chyba zachwyceni pańskim planem – zagaił
doktor

Pallance.

Święcki nie odpowiedział. Myślał. Coś mu właśnie zaświtało...

– Został pan zdjęty ze stanowiska dowodzenia? – zainteresował się Fitz.

Henryan pokręcił głową.

– Na razie nie – odparł zgodnie z prawdą.

Nie był jednak pewien, czy podczas następnej rozmowy z pułkownikiem nie dowie się

o swojej dymisji. Ktoś inny mógłby się nawet ucieszyć z takiego obrotu sprawy, ale dla niego

byłaby to najgorsza z klęsk. Miałby na sumieniu sto pięćdziesiąt tysięcy niepotrzebnych ofiar,

aczkolwiek technicznie biorąc, kto inny przypieczętowałby ich los.

– W takim razie musimy skupić wszystkie wysiłki na dostosowaniu kontenerów

znajdujących się w przestrzeni – stwierdził autorytatywnie Dupree. – Pod pańską nieobecność

zastanawiałem się nad tym problemem i doszedłem do wniosku, że gdybyśmy uprościli nieco

modyfikacje, zdążylibyśmy przygotować nawet sześć takich pseudohabitatów.

– Może to nie będzie konieczne – mruknął Henryan.

Wszyscy spojrzeli na niego z wyczekiwaniem. Święcki milczał jednak.

Pochyliwszy się nad

stołem, sięgnął po pierwszą z brzegu butelkę i nalał sobie pół szklanki bursztynowego, ostro

pachnącego płynu. Nie wypił wszystkiego duszkiem, ponieważ nie chciał się upić, ale

pociągnął spory łyk.

– Naprawdę nie da się skrócić czasu ładowania dział elektromagnetycznych? –

wyartykułował w końcu pytanie, które od pewnego czasu nie dawało mu spokoju.

Dupree pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie. W ciągu czterystu sekund gromadzimy minimalną ilość energii potrzebnej do

wystrzelenia pełnego kontenera.

– A co by się stało, gdyby wystrzeliwać je, powiedzmy, co trzysta dziewięćdziesiąt pięć

sekund?

Dyrektor spojrzał na kapitana z politowaniem.

– Musiałbym to dokładnie przeliczyć, ale podejrzewam, że impuls byłby na tyle słaby, że

ładunek

nie

osiągnąłby

docelowej

orbity.

Proszę

pamiętać,

że

w

działach

elektromagnetycznych moc przyrasta wykładniczo. Poza tym w normalnych

warunkach

stosowaliśmy interwały sześciusetsekundowe – przypomniał.

– Wiem, ale chciałbym, żeby pan sprawdził, czy byłaby możliwość urwania paru sekund,

choćby trzech, jeszcze lepiej czterech.

– A co nam to da?

– Proszę przeliczyć – zachęcił go Święcki.

Wpadł na to przed momentem. Przypadkiem. Nie był nawet pewien, czy takie

wyszarpywanie sekund ma jakikolwiek sens, uznał jednak, że skoro czepiają się ostatniej

deski ratunku, i ten pomysł warto rozważyć.

– Przy trzech sekundach różnicy wyekspedujemy do godziny zero dwa dodatkowe

kontenery – odezwał się Fitz, zanim dyrektor kopalni zdążył dokonać stosownych obliczeń. –

Przy pięciu czynnych liniach da nam to dziesięć habitatów.

– A kolejne cztery albo nawet pięć możemy zmontować w przestrzeni – dodała podekscytowana Truffaut.

Dupree wyłączył naręczny komputer i przeniósł wzrok na kapitana.

– Jeśli urwiemy choćby dwie sekundy, kontenery nie zdołają wejść na orbitę, ale... –

uśmiechnął się szeroko – ...nasze holowniki i tak zdołają je przejąć. To będzie ostra jazda, na

granicy zdolności maszyn, niemniej wykonalna.

– Super! – ucieszył się Świącki. Ulżyło mu, być może dlatego, że alkohol zaczynał już

szumieć w głowie.

Fitz szybko ostudził jego radość.

– Tyle że przy dwu sekundach uda nam się dodać tylko po jednym kontenerze.

– I tu się pan myli, profesorze. – Dupree sięgnął ochoczo po butelkę najstarszej whisky. –

Nasze habitaty nie będą wypełnione rudą, więc na ich wystrzelenie będzie trzeba kumulować

energię tylko przez dwieście siedemdziesiąt sześć sekund. – Zaśmiał się na cały głos. – Jest

pan szalony, kapitanie – dodał z niekłamany podziwem.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – odparł zadowolony z siebie Henryan.

Roześmiali się szczerze. Chyba znaleźli w końcu rozwiązanie, którego tak rozpaczliwie

potrzebowali.

– A co z admiralacją? – zainteresowała się Ninadine.

– Jeśli ktoś z zarządu się dowie, że przyśpieszenie ejektorów jest możliwe, dodatkowy

ładunek będzie zawierał wyłącznie rudę – wtrącił natychmiast Dupree.

– To niestety smutna prawda, która dotyczy zarówno naszych szefów, jak i przełożonych

kapitana – poparł go Fitz.

– Co w takim razie zamierza pan zrobić? – Doktor odwrócił się, podobnie jak pozostali,

w kierunku Święckiego.

– Myśle... – zawahał się Henryan. – Myśle, że na razie pominę ten szczegół w raportach.

– Pozostają zatem prezesi – powiedziała Truffaut.

– I ich pieski – dodał kąśliwie doktor.

– Jak to wygląda od strony technicznej? – zapytał Fitz, kierując te słowa do dyrektora

kopalni.

Dupree znowu się zamyślił. Nie należał do ludzi, którzy rzucają słowa na wiatr. Wolał

zastanowić się trzy razy, zanim otworzył usta. Dobra cecha – stwierdził w duchu Henryan,

czekając na ostateczną opinię jedyne go w tym gronie fachowca.

– Widzę tylko jedno rozwiązanie – powiedział po dłuższej chwili dyrektor kopalni. –

Musimy tak wszystko ustawić, żeby zaufani donosiciele co do jednego znaleźli się w tym

samym czasie na Delcie. Jeśli nikt nie będzie patrzył nikomu na rękę, moi chłopcy spróbują

dokonać paru zmian w oprogramowaniu ejektorów.

– Może mi pan podać kilka przykładowych nazwisk ludzi zarządu? – poprosił Henryan.

– Oczywiście. – Dyrektor wymienił z pamięci pięciu przedstawicieli nadzoru kopalni,

których podejrzewał o bycie oczami i uszami prezesów.

Święcki wprowadził je do bazy danych Cervantesa i uśmiechnął się tryumfalnie.

– Tak jak myślałem, wszyscy mają numery nieco powyżej stutysięcznego. –
Znów przesunął

kilka razy palcem po wirtualnym wyświetlaczu holopada. – Załatwione. Za dwie
godziny

dostaną pilne wezwanie do kosmoportu.

Obecna zmiana kończyła się dokładnie za dwie i pół godziny. Trzydzieści minut
później

będzie można zacząć operację.

– Ewakuujecie ich poza kolejnością? – zapytała podejrzliwym tonem Ninadine,
wrywając

Henryana z zamyślenia.

– Nie. Jak już wspomniałem, nie mam możliwości zmienienia waszych
numerów

przydziałowych, ale mogę wydłużyć kolejki oczekujących na wylot. W tej
chwili pakujemy na

arkę ludzi z siedemdziesiątego tysiąca. Ci z ponad setnego załapią się dopiero na

transportowce z drugiej tury, ale tego nie mogą wiedzieć, a jak już utkną w
tłumie pod

kosmoportem... – Wahał się tylko przez mgnienie oka. – Mogę posłać tam w
ciągu

najbliższych kilku godzin wszystkich, którzy mają szansę załapać się na nasze
jednostki. To

skutecznie unieruchomi donosicieli.

– Ułatwiłby nam pan zadanie – przyznał Dupree. – Robotnicy wyznaczeni do
następnych

zmian mają wyłączny dostęp do kolejki magnetycznej numer siedem. Jeśli dopilnujemy, żeby

nie doszło do blokady tej linii, może pan wysłać na dojazdówki trzy czwarte kolonistów.

– Wystarczy zamknąć kilka ostatnich stacji przed terminalami – zaproponowała Ninadine –

a nikt z ulicy nie będzie miał wstępu do tunelu.

– Tak właśnie zrobimy. – Henryan zapisał to sobie na holopadzie.

– A jak pan wytłumaczy ten pośpiech swoim przełożonym? – zainteresował się Fitz.

– Dotarły do mnie informacje o niepokojach wśród robotników, którzy nie mają szans na

ewakuację. Podobno szykowano się do zablokowania dróg do kosmoportu. Musiałem podjąć

stosowne działania, by zapewnić bezpieczne przejście ludziom z niższymi numerami. Takie

zgrupowanie ewakuowanych załatwi także inny problem. Nie wiecie tego jeszcze, ale sztab

metasektora wysłał trzy kompanie wubeków, by pomogli zaprowadzić porządek na Delcie,

gdyby kolonistom nie spodobał się pomysł zostawienia ich na pastwę losu. Ich także wolałbym

zająć czymś innym, odciągając od wtykania nosa w to, co robimy na księżycu. A pilnowanie

rozsiardzonego kilkudziesięcioletniego tłumu to coś, o czym pewnie marzą po nocach.

– Część z nich może pilnować stacji – dorzuciła Truffaut.

– Sprytnie to sobie wymyśliliście – przyznał profesor. – Ale co z monitoringiem?

– To osobna sprawa... – przyznał Dupree.

– Z jakim monitoringiem? – wpadł mu w słowo zaskoczony Święcki.

– Każdy komputer w kolonii został podpięty do wewnętrznej sieci. Specjalne trackery

śledzą te obiekty i operacje, którymi jest zainteresowany zarząd. W tym wypadku z pewnością

chodzi o pełen monitoring wszystkiego, co jest związane z ejektorami. Co dwie godziny

raporty trafiają na nasze serwery, a potem są wysyłane z centrum łączności pocztą kwantową.

– To faktycznie problem – przyznał Henryan.

– Tak, to raczej przeszkoda nie do przeskokzenia – stwierdziła zawiedzionym tonem

Ninadine.

– Chyba że padłby nam reaktor... – rzucił jakby od niechcienia Fitz.

– Reaktory nie padają ot tak sobie – prychnął dyrektor kopalni.

– Jaką wydajność ma ten wasz reaktor? – zainteresował się Święcki, do którego dotarło

nagle, że nie widział w kolonii charakterystycznych kopuł chroniących urządzenia

rozszerzające atomy w procesie zimnej fuzji. – I gdzie on się mieści?

– To bydlę wytwarza całe dwanaście terawatów – poinformowała go z dumą

Truffaut. – Ale

mógł pan go nie zauważyć, ponieważ został ukryty pod wodą. Spoczywa jakiś kilometr od

brzegu, przy ścianie szelfu, na głębokości trzystu pięćdziesięciu metrów.

– Rozumiem. – Henryan wprowadził dane do holopada. – Ile ma bloków?

– Siedem.

– Świetnie. Ile czasu trwa całkowite wygaszanie takiego potwora?

– Co najmniej dobę – odpowiedział Dupree. – Ale już po godzinie podaż mocy spadnie do

poziomu dziesięciu procent. Problem w tym, że nie mamy uprawnień pozwalających...

– Wy nie, ale mnie nikt tego nie zabroni – oświadczył stanowczym tonem Henryan. – Zaraz

po naszym spotkaniu wydam rozkaz przejęcia tej instalacji i wyłączenia wszystkich bloków.

– Na jakiej podstawie?

– Z tego, co wiemy, Obcy niszczą wszelkie instalacje, jakie zdołają namierzyć. Powiedzmy

zatem, że chcę oszczędzić waszej korporacji kilka miliardów kredytów, ukrywając przed

wrogiem tak cenny sprzęt. Prezesi będą całować mnie po rękach – zadrwił, ciesząc się, że

zdołali pokonać kolejną przeszkodę.

– Sprytne – przyznał Fitz.

– Niezbyt – skontrowała Ninadine. – Ta wieża ma trzy niezależne geotermalne

źródła

zasilania.

– Nie szkodzi – uspokoił ją Henryan. – Jaką moc możecie z nich wygenerować?

– Nie wiem dokładnie, ale chyba kilka megawatów – powiedziała po chwili Ninadine.

– Równo osiem – doprecyzował Dupree po sprawdzeniu na holopadzie.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale to chyba za mało na wysłanie jakiegokolwiek

komunikatu kwantowego poza ten system. – Świącki uśmiechnął się, unosząc szklankę do

toastu.

– Nie myli się pan, kapitanie.

– Zrobi się nielichy burdel – jęknął poirytowany doktor, który zgodnie z procedurami

powinien się znaleźć w tłumie oczekujących na ewakuację.

– Wóz albo przewóz – ofuknął go Dupree, wspierany pomrukami aprobaty tych uczestników

spotkania, którzy nie mieli zagwarantowanego przelotu do pasa minus sześć.

– Wyłączymy zasilanie w wielu dzielnicach kolonii – nie ustępował Pallance. – Ludzie

mogą spanikować. Będą mieli sporo czasu na myślenie i rozmowy, więc kto wie, czy nie

wpadną na pomysł wzięcia szturmem kosmoportu. A jak dojdzie do rozruchów, nikt nie

zapanuje nad tak ogromnym tłumem.

– Tak drastyczne działania może nie będą konieczne – rzucił nagle Fitz, podnosząc nieco

głos.

– Ma pan inny pomysł? – zapytał Dupree, gdy wszyscy przenieśli wzrok na szefa pionu

badawczego.

– Owszem. Zostawmy w spokoju reaktor i róbmy swoje.

– Na oczach kapusiów raportujących o wszystkim zarządowi? – obruszył się dyrektor

kopalni. – Proszę wybaczyć, ale pański plan jest niedorzeczny!

– Z pozoru, szanowny kolego, z pozoru. – Fitz zdawał się nie tracić ducha. – Ale jeśli

wgryziemy się w szczegóły... – Widząc, że przykuł uwagę pozostałych, dodał szybko: –

Urywajmy tylko sekundę z każdego interwału. W ciągu godziny ekspediujemy teraz dziewięć

ładunków. Przy proponowanej przeze mnie zmianie nadal będzie ich tyle samo. Jeśli dobrze

myślę, ludzie odpowiedzialni za sprawdzanie raportów nie zwrócą uwagi na tak małą różnicę.

Ich zdaniem nie wpłynie ona na ostateczny wynik, a jeśli ktoś jednak zapyta, odpowiemy, że

przeciążone mierniki uległy niewielkiemu rozregulowaniu. Mają do tego pełne prawo po

dwustu godzinach nieprzerwanego funkcjonowania. – Wpatrzeni w niego ludzie kiwali

głowami po każdym zdaniu. Pod wpływem strachu zagalopowali się w kalkulacjach i zabrnęli

za daleko. – A my w dziewięć godzin zaoszczędzimy dwieście siedemdziesiąt sekund, czyli

tyle, ile nam trzeba.

Dupree sprawdził wyliczenia profesora, wszystko się zgadzało.

– A co z pieskami prezesa? – zapytała Ninadine.

– Ich możemy, a nawet powinniśmy się pozbyć z kopalni – stwierdził ze spokojem Fitz,

a potem upił maleńki łyczek koniaku.

– Dobrze, skoro wszystko jest już jasne, pozwólcie, że zapytam o jeden drobny szczegół...

– Pallance odezwał się takim tonem, że wszystkich natychmiast zmroziło.

– Co znowu? – nie wytrzymał dyrektor kopalni.

Doktor spojrzał na niego bykiem, zapewne bocząc się o poprzednie uwagi, i rzucił:

– Jak chcecie zapakować do tych kontenerów sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, i to

w przestrzeni, skoro wyślecie je na orbitę dopiero po zaoszczędzeniu tych dwustu

siedemdziesięciu sekund, czyli mniej więcej wtedy, gdy do systemu przylecą Obcy?

Niech mnie drzwi ścisną – jęknął w duchu Święcki. Do tej pory wydawało mu się, że

ratowanie Suhurów było najbardziej skomplikowaną misją, jakiej się podjął. Ta rozmowa

uświadomiła mu właśnie, jak bardzo się mylił.

Dupree zbladł, podobnie jak Ninadine. Fitz odstawił szklankę i złapał się za głowę. Tylko

Henryan nawet nie drgnął.

– Nie da się wystrzelić ich z ludźmi w środku? – zapytał ostrożnie.

Zareagowali zgodnie z jego przypuszczeniem, tłumacząc mu wszyscy naraz, dlaczego jest to

niemożliwe. A najgłośniej darł się lekarz, którego doproszono do tego towarzystwa – zanim

zaczął zdradzać tajemnice admiralicji – ponieważ jako jedyny był w stanie ocenić, czy ich

szalone pomysły nie przyniosą ewakuowanym więcej szkody niż pożytku.

– Przy przeciążeniu sięgającym trzydziestu g zabijemy ich szybciej i skuteczniej niż wróg –

podsumował dyskusję.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak wyłączyć reaktor – zdecydował Świącki.

– Chce pan to jeszcze raz wałkować? – westchnął Fitz.

– Nie. Przeprowadzimy wyłączenie za wiedzą i zgodą wszystkich stron. Nie teraz, tylko za,

powiedzmy, osiem godzin. Kolonistów też uprzedzimy, że to robimy, aby nie siać fermentu. Do

tego czasu musimy przygotować dokładny plan masowego przerzucania ludzi na orbitę

księżycy.

– Trzeba upakować w kontenerach średnio pięć tysięcy ludzi na godzinę – wyliczył Dupree.

– Czy to w ogóle możliwe? – zapytał doktor.

– Mamy transportowce, którymi przewozimy górników do kopalni. Dostarczają one dwa

razy tyle pasażerów, ale lot w jedną stronę zajmuje im około czterdziestu minut... Jeśli zaczną

kursować wahadłowo, tam i z powrotem z przerwami na dostarczenie pracowników z kolejnej

zmiany, to powinniśmy się wyrobić.

– Nasze wahadłowce także mogą pomóc – zaproponował Świącki.

– Jak? – zdziwił się doktor. – Przecież macie przewozić tych z niższymi numerami.

– Za pięć godzin odleci stąd ostatnia arka z pierwszego rzutu... – Świącki zamilkł w pół

zdania, tknięty nową myślą. Numery. Kolejność. – A może nie powinniśmy czekać, tylko

zacząć pakować część stutysięczników do pseudohabitatów? – zapytał, szczerząc zęby na

widok ich zaskoczenia.

– A co z nami? – zapytała wystraszona Ninadine, mając na myśli nie zgromadzonych przy

tym stole, tylko wszystkich kolonistów z drugiej i trzeciej setki.

– Wy polecicie normalnymi statkami, które tu wrócą za kilkanaście godzin – wyjaśnił swój

plan.

– Oni nigdy na to nie pójda – zawyrokował Pallance.

– Dlaczego? Przecież nikt prócz kilku moich ludzi i was nie wie, jak naprawdę ma

wyglądać ta ewakuacja. Poza tym zobaczą, gdzie ich pakujemy, dopiero gdy znajdą się na

orbicie księżyca.

– A jeśli ktoś mimo wszystko odmówi wejścia do pseudohabitatu? – Tym razem wątpliwości miał Dupree. – Po powrocie do kolonii narobi takiego smrodu, że...

– Ależ panowie, jesteście czarnowidzami – zachnął się Henryan. – Odmowa zajęcia

miejsca zgodnego z numerem porządkowym oznacza przesunięcie na koniec kolejki

oczekujących – zacytował. – Punkt trzeci oficjalnego komunikatu admiralicji. Wątpię, aby ktoś

chciał ryzykować... Nawet jeśli się taki znajdzie, odtransportujecie go do kopalni, aby

począł na pierwszy wolny transport.

* * *

Następne pół godziny spędzili na dogrywaniu szczegółów, aby każdy etap operacji został

dopięty na ostatni guzik. A problemów znaleźli jeszcze wiele. Najpoważniejszy dotyczył tego,

jak dostarczyć odpowiednią ilość powietrza do habitatów, które zostaną zapełnione

w pierwszej kolejności. Ludzie spędzą w nich bowiem ponad dobę, zanim rdzeniowiec

wyruszy w podróż, co znaczy, że będą potrzebowali znacznie więcej tlenu niż ci, których

transportowce dostarczą na orbitę księżycą w ostatnich turach. Dupree po konsultacji z kolegą

znającym się na rzeczy orzekł, że jedynym wyjściem będzie przepołowienie dwóch

kontenerów i zmontowanie z nich jednego habitatu wyposażonego w zdublowane zestawy

kompresorów. Według ich wyliczeń dwa zbiorniki tlenu powinny wystarczyć z naddatkiem.

Wtedy Fitz zaproponował, by nie przepoławiali kontenerów, ale cięli je w jednej trzeciej

długości, dzięki czemu zmontowany habitat będzie o połowę większy i zmieści dwanaście

zamiast ośmiu tysięcy ludzi. Ten pomysł także spotkał się z akceptacją dyrektora kopalni

i pozostałych uczestników spotkania.

Święcki wyłączył się, gdy członkowie nowego zarządu zaczęli analizować szczegóły

techniczne kolejnych rozwiązań; siedział odchylony na oparcie krzesła, przyglądając się ich

dyskusjom z dystansu i sącząc powoli bursztynowy trunek. W końcu, gdy wszystkie przeszkody

zostały pokonane bądź ominięte, goście Ninadine zaczęli zbierać się do wyjścia.

Pierwszy wstał Pallance. Jego grawiolot czekał już na lądowisku, ponieważ dla niego ten

długi dzień – a doba na Delcie trwała ponad dwadzieścia dziewięć godzin standardowych –

nie skończył się jeszcze. Ewakuacja placówki medycznej, którą zarządzał, była nieco bardziej

skomplikowana niż wyprowadzenie kolonistów do terminali kosmoportu. Doktor uścisnął

więc dłoń gospodyni, ukłonił się kolegom, a gdy mijał Święckiego, przystanął na moment.

– Jest pewna sprawa, o której chciałbym z panem porozmawiać, ale u mnie w szpitalu, jeśli

to możliwe – powiedział.

– Obawiam się, że mogę nie mieć na to czasu – odparł lekko zaskoczony tą propozycją

Henryan. Wciąż czuł ogromny niesmak po tym, co zrobił ten człowiek.

– Proszę znaleźć choć kwadrans, chciałbym, aby pan coś zobaczył.

– Nie mogę niczego obiecać – zastrzegł Święcki, zanim odwrócił się do dyrektora kopalni,

który także musiał wracać do pełnionych obowiązków.

On był teraz kluczową postacią ich małego spisku. Techniczna strona przedsięwzięcia

wymagała niewiarygodnego nakładu pracy, zarówno koncepcyjnej, jak i fizycznej, zatem nikt

z obecnych nie zazdrościł mu perspektywy nieprzespanej nocy. Nie mieli mu też za złe, że

zabrał trzy z siedmiu butelek przyniesionych przez kapitana. Kilku inżynierów, których Dupree

musiał zaprząć do roboty, z pewnością spojrzy na problem łaskawszym okiem, jeśli będą

mogli przepłukać gardło trunkiem wartym więcej niż ich wielomiesięczne pobory.

W końcu zostali w trójkę: Święcki, Fitz i Truffaut.

– Na mnie także już czas – powiedział Henryan, wyciągając rękę do Ninadine – ale zanim

pójdę, chciałbym zapytać o coś, co nie daje mi spokoju od chwili, gdy pojawiłem się w tym

systemie...

– Jeśli znam odpowiedź, na pewno jej nie zataję – zapewniła go solennie.

– Jakim cudem udało wam się sfałszować rejestry admiralicji i oszukać sondę korpusu

dalekiego zwiadu? – wypalił Święcki.

Na trzeźwo nie zadałby jej tego pytania, jednakże alkohol zrobił swoje i dodał mu

śmiałości.

– Może ja odpowiem? – zaproponował Fitz, zanim zdziwiona Truffaut zdążyła zebrać myśli.

– To prostsze, niż może się panu wydawać, ale zacznijmy od początku. Nasza sonda dotarła do

tego systemu kilka miesięcy przed oficjalną misją korpusu. Na dwóch księżycach Delt

odkryliśmy tak bogate złoża rudy helonu, że Etoile Blanc natychmiast zaczęło działać.

Korporacja była gotowa zapłacić każdą cenę za zdobycie koncesji. To

inwestycja, która

ustawiała firmę nie na lata, ale na całe pokolenia. Był jednak spory problem.
Systemy

z planetami tlenowymi nie trafiają na przetargi. Są przejmowane przez Radę.
Bez wyjątków.

EB chciało jednak położyć łapę na helonie, więc zaczęło działać poza prawem.
Przekupiliśmy

dowódcę odpowiedniej bazy korpusu i wskazanych przez niego operatorów, aby
zatrzymali

sondę jeden skok przed Uliettą. Tam nasi technicy wgrali spreparowane dane, a
po oficjalnym

odkryciu i zarejestrowaniu systemu nabyliśmy koncesję uprawniającą do
eksploatacji

wszystkich tutejszych złóż. – Szef pionu badawczego przerwał na moment, by
dolać sobie

koniaku. – Niestety nie wszystko poszło zgodnie z planem. Skorumpowani
żołnierze zaczęli

w końcu szastać kredytami, zainteresowała się nimi wubecja i trzy lata po
skolonizowaniu

Ulietty rozpoczęto oficjalne śledztwo. – Pociągnął spory łyk alkoholu, cmoknął,
oblizął wargi

i po krótkiej przerwie dodał: – Wtedy zagraliśmy va banque. Nasi prawnicy
udali się do

siedziby Rady z bardzo konkretną propozycją. Albo władze dadzą nam spokój,
albo

rozgłosimy wszem wobec, ile helonu mamy na magazynach i jak wielkimi
złożami

dysponujemy.

– Marny ten wasz szantaż – zaśmiał się Henryan. – Ja bym rozgonił prawników na cztery

wiatry.

– Poważnie? – Fitz znowu się napił. – Zna pan pojęcie „klęska urodzaju”?

– Coś mi się obilo o uszy – przyznał Święcki.

– Mówiąc w skrócie, to sytuacja, gdy zbiory jakiegoś owocu bądź zboża są dużo większe

od przewidywanych.

– Od przybytku głowa ponoć nie boli.

– Tak powiadają, ale kilku ludzi strzeliło sobie w łeb z tego powodu.

– Nie wierzę. – Henryan uśmiechał się nadal, ale już bladziej i bez przekonania.

– A jednak. Może pan o tym poczytać w wolnej chwili, ale wracajmy do tematu. Zasada jest

prosta. Jeśli masz na zbyciu dwa razy więcej plonów, niż być powinno, twoje koszty także

wzrastają dwukrotnie, mówię tutaj o zbieraniu, transporcie i magazynowaniu. Do tego ceny

hurtowe spadają, ponieważ konkurencja nie śpi. Tak więc, mając dwa razy więcej produktu,

mnożymy koszty, ale przychody wcale nam nie wzrastają, ponieważ nawet jeśli sprzedamy

wszystko za niższą cenę, dostaniemy co najwyżej tyle samo, ile mielibyśmy przy normalnych

zbiorach. Dlatego właśnie w dawnych czasach plantatorzy kawy topili w morzu

spora część

ziarna. Choć wydaje się to nielogiczne, chronili się w ten sposób przed stratami.

– Hmm... – Podchmielony Henryan słuchał tego wywodu, ale nie do końca rozumiał, jakie

może on mieć przełożenie na omawianą sytuację. Być może dlatego, że za dużo wypił.

– Mieliśmy w ręku tyle rudy helonu, że jej cena na rynkach wszystkich metasektorów

mogłaby dramatycznie spaść, a członkowie Rady do biednych nie należą, jak pan zapewne

wie, i mądrze inwestują głównie w surowce strategiczne, takie jak...

– ...helon?

– Zgadza się. Nasza propozycja brzmiała więc następująco. Oni odpuszczają dochodzenie,

a my rzucamy na rynek tylko tyle rudy, ile będzie potrzebne, żeby utrzymać ceny na

odpowiednio wysokim poziomie. Jeśli mnie pamięć nie myli, podobnie było kiedyś z ropą na

Ziemi.

– Być może...

– Rada zgodnie z przewidywaniami poszła nam na rękę. Zachowaliśmy umowę gwarantującą nam wyłączną dzierżawę surowców tego systemu przez kolejnych pięćdziesiąt pięć lat, ale musieliśmy przystać na kilka dodatkowych warunków.

Pomijając maksymalną wysokość sprzedawanego urobku i konieczne łapówki,

wyraziliśmy

zgodę na umieszczenie tutaj ośrodka będącego własnością admiralicji oraz na oficjalne

ogłoszenie po trzydziestu pięciu latach dzierżawy, że dokonaliśmy pełnego terraformowania

Delty, co równało się zrzeczeniu praw do niej na rzecz Rady. Tak więc za jakieś trzy dekady

astroatlas admiralicji zostałby uaktualniony do stanu faktycznego, a my wszyscy odnieśliśmy

korzyść z tego niewielkiego oszustwa.

– Korporacje... – mruknął zdeglustowany Henryan.

– Admiralicja nie jest wcale lepsza – wytknął mu natychmiast Fitz i miał rację.

– Touché, jeśli wie pan, co chciałem przez to powiedzieć.

– Wiem. – Szef pionu naukowego podniósł prawie opróżniony kieliszek. – Bez urazy,

kapitanie. Nie jestem pańskim wrogiem.

Milcząca do tej pory Ninadine spojrzała z rozbawieniem na Święckiego.

– Nie domyśla się pan jeszcze, dlaczego zaprosiłam Olivernesta na to spotkanie?

– Czyżby nie chodziło tylko o jego rozległą wiedzę na poruszany temat? – zdziwił się

Henryan. – I równie niezwykle talenty kulinarne? – dodał zaraz, czując napływ śliny do ust na

wspomnienie pieczeni.

– To też, ale prawdziwym powodem była pańska wcześniejsza uwaga o chęci przejścia się

po tutejszych... lasach.

Tym razem, znów nie wiadomo dlaczego, zaśmiali się oboje z Fitzem.

– Czyżbym palnął jakąś głupotę? – zapytał Henryan, gdy uspokoili się nieco.

– Wie pan, co to jest fauna i flora? – rzucił wciąż rozbawiony szef pionu badawczego.

– Tak. Fauna, jak powszechnie wiadomo, to żona satyra, a Flora jest pierwszym członem

dwuimienia matki mojego bezpośredniego przełożonego – odparł Święcki, także szczerząc

zęby.

– Niewątpliwie ma pan rację, ale teraz proszę się skupić. – Fitz spoważniał w momencie. –

Na Delcie natura poszła odmienną drogą niż na Ziemi. To, co my, ludzie, nazywamy roślinami,

jest tutaj drapieżne i mobilne, a organizmy kojarzone przez nas ze zwierzętami pełnią rolę

pożywienia.

==== =

DZIEŃ DRUGI

==== =

JEDEN

System Anzio, Sektor Zebra,

24.10.2354

Rutta stał przy ścianie centrum dowodzenia, spoglądając w gwiazdy. Gruba na

dwa metry

płyta plastali była tak krystalicznie przezroczysta, że momentami odnosił
wrażenie, iż znajduje

się na zewnątrz kadłuba, w lodowatej jak jego myśli przestrzeni. Na wprost oczu
miał

odchylony od pionu, ciągnący się przez całe pole widzenia dysk Galaktyki.
Gdzieś tam,

kilkaset lat świetlnych stąd, trwała właśnie rozpaczliwa walka z czasem. W
mrowiu gęsto

zawieszonych w próżni iskierek, które z tej odległości wyglądały nie jak osobne
ciała

niebieskie, lecz delikatna mgiełka, lśniły także słońca, wokół których
rozgrywały się tego dnia,

o tej godzinie, ogromne ludzkie dramaty. Może Obcy bombardują w tym
momencie planety

systemu tej niebieskawe gwiazdy, na której skupił wzrok? Nie mógł tego
wiedzieć, a nie

chciał tracić iluzji przez włączanie systemów dowodzenia. Niech kosmos
pozostanie choć

przez chwilę czysty i spokojny.

Bliźniacze słońca systemu Anzio tkwiły po przeciwnej stronie gigantycznej
stacji orbitalnej,

zupełnie innej od tej, na której odsłużył ostatnie sześć lat jako nadzorca ekip
naukowych

z Xana 4. Wojskowe instalacje budowano według odmiennych standardów, nie
licząc się przy

tym z kosztami i wygodą użytkowników. A przy zastosowaniu sztucznej grawitacji inwencji

konstruktorów nie ograniczało nic prócz ich własnej wyobraźni.

Jednakże albo projektanci tej stacji nie należeli do najbardziej lotnych, albo zleceniodawcy

nie stawiali przed nimi zbyt wygórowanych wymagań. Sztab mieścił się bowiem

w gigantycznym studwudziestopoziomowym walcu z plastali, pod którym ulokowano sferyczną

osłonę reaktora i kilka zespołów pędnych, pozwalających tej monstrualnej konstrukcji na

dokonywanie skoków nad- i podprzestrzennych.

Na razie Farland i jego ludzie mogli spać spokojnie. Od strefy wojny, a raczej ewakuacji,

dzieliło ich ponad sto czterdzieści parseków, albo jak kto woli, dwadzieścia jeden skoków.

Z tygodnia na tydzień jednak liczby te będą maleć, a jeśli nie uda się wymyślić sensownego

planu, w końcu trzeba będzie stanąć do otwartej walki z bezwzględnym wrogiem.

Pułkownik przeniósł wzrok na pobliską planetę. Jej dzienna strona, jasno oświetlana przez

pożerające się wzajemnie żółte karły, miała idealnie jednolitą beżową barwę, jakby była kulą

odlaną z tworzywa sztucznego, a nie prawdziwym globem. Ale Rutta nie dbał o takie

szczegóły, bardziej interesowały go okręty wojenne, które umieszczono –

podobnie jak stację

– na orbicie Bety. Wokół roilo się od obłych pancerników i smukłych krążowników drugiej

floty. Mniejsze jednostki należące do przysłanego wsparcia skupiono na kotwiczowiskach Alfy,

Gammy i Delty.

Wszystkie okręty Farlanda znajdowały się w tym momencie na przeciwległym krańcu

Rubieży, aczkolwiek nadal trzymano je z dala od systemów, do których docierały sondy

wroga. A tych było coraz więcej, podobnie jak podążających za nimi liniowców. Raporty

o utracie kontaktu z kolejnymi stacjami monitorowania nadchodziły co najmniej raz na

godzinę. Jeśli to tempo podboju się utrzyma, a Obcy nie zmienią kierunku natarcia, ich eskadry

przedrą się przez Rubieże w ciągu dwóch, najdalej trzech miesięcy.

Rutta znów przeniósł wzrok na odległe gwiazdy i majacący za nimi nieregularny dysk

Galaktyki. Rozpoczęcie walk wydawało się nieuniknione...

– Stąd ich nie zobaczysz. – Pułkownik drgnął, gdy usłyszał za plecami znajomy głos. –

Wiem, bo próbowałem kiedyś namierzyć pas minus dwa.

– Nie szukam granic Rubieży – skłamał Rutta, nie wiedząc nawet, dlaczego to robi. – Tak

tylko się zastanawiam...

– Masz jakiś nowy pomysł? – Farland stanął obok niego na podwyższeniu stanowiska

dowodzenia.

– Na razie nie – odparł pułkownik i ciężko westchnął.

– W takim razie czas zacząć się szykować do wojaczki – stwierdził z zadumą w głosie

wielki admirał. – Teraz mamy przynajmniej czym walczyć. – Wskazał głową najpotężniejsze

okręty drugiej floty. Wyróżniały się wśród nich nieliczne giganty czwartej generacji. – A co

tam słyhać u twojego boga?

– Nie chcesz wiedzieć – mruknął Rutta.

– Co znowu zmalował? – zainteresował się Farland.

– Z jednej strony uratował nam wszystkim dupy, a z drugiej...

– Mów, co wymyślił!

– Kazał górnikom zmniejszyć obciążenie kontenerów – poinformował pułkownik. –

Samowolnie, z pominięciem drogi służbowej.

– Co takiego?! – Wielki admirał aż zaniemówił. – Dlaczego? Nie, najpierw mi powiedz, ile

ton będziemy do tyłu.

– W zaokrągleniu milion sześćset tysięcy – odparł Rutta. – Pod warunkiem, że Obcy nie

pojawią się wcześniej, niż przypuszczamy.

– A to skurwyklon! – zapieklił się Farland. – Nie miał prawa! Pod sąd go oddam! Ściągnij

drania do sztabu. Natychmiast. Kogo sensownego mamy w pasie minus trzy? – Zaczął gmerać

przy holopadzie. – Może pošlemy tam Werniera, na nim przynajmniej można polegać.

– Zaczekaj – poprosił pułkownik, nie odrywając wzroku od dysku Galaktyki.

– Na co mam czekać? – obruszył się wielki admirał. – Przecież Xiao łby nam z płucami

powyrywa, jak się o tym dowie.

– Admiralicja już zna sytuację – oznajmił z pełnym spokojem Rutta.

– Gadasz z górą za moimi plecami? – zdziwił się Farland.

Pułkownik westchnął jeszcze ciężiej niż przed chwilą.

– Korporacja także monitoruje tę operację – wyjaśnił zwięźle. – Jej członkowie donieśli

o wszystkim Radzie, jak tylko otrzymali raport z Ulietty.

– A to skurwyklony...

– Xiao poprosił nas właśnie o opinię i potwierdzenie kilku faktów. Oficer dyżurny

przygotowuje dla niego kopie raportów przesłanych przez Święckiego. Za moment dołączę do

nich swoje oświadczenie, w którym wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za tę zmianę.

– Dlaczego? – zdziwił się Farland.

– Dlatego, że sprawa jest czysta. Gdyby Święcki nie wykazał się inicjatywą,

stracilibyśmy

dziesięć razy tyle rudy. Moi chłopcy dokładnie sprawdzili każdą analizę sporządzoną przez

głównego inżyniera kopalni. Ejektory naprawdę zaczęły się sypać. Byliśmy o godziny od

kompletnej katastrofy. To też napisałem Xiao.

– Myślisz, że ci uwierzy?

– Sądząc po minie i wyzwiskach, jakimi mnie obrzucił podczas niedawnej rozmowy?... –

Rutta zawiesił głos. – Jestem pewien, że przyjmie moją wersję zdarzeń, ponieważ

potraktowałem Świąckiego identycznie, zanim dotarło do mnie, że to była jedyna rozsądna

decyzja w tej sytuacji. Xiao nie jest idiotą, wie doskonale, że utrata kilkunastu milionów ton

skończyłaby się nie tylko twoją... to znaczy naszą dymisją – poprawił się niemal natychmiast.

– Obyś miał rację – wymamrotał Farland, wyłączając holopad. – Załatwiłeś mi kolejną

nieprzespaną noc. Nie zmruję oka ze strachu.

– Wiesz, czego ja się boję? – Pułkownik spojrzał na przyjaciela z obawą w oczach. – Że

Obcy tylko czekają, aż skoncentrujemy wszystkie dostępne siły.

– Tak, wiem. Też prześladowa mnie myśl, że jak tylko się pojawimy w pobliżu zagrożonego

pasa, uderzą na połączone floty wszystkim, co mają, i rozniosą nas w pył... –

Farland złożył

ręce za plecami i wyprostował się na całą swoją wysokość. – Nie da się tego wykluczyć. Ja

na ich miejscu tak bym postąpił, ty pewnie też, ale spójrzmy prawdzie w oczy: nie możemy

wiecznie uciekać. Wycofywanie się za każdym razem to także samobójstwo, tyle że rozłożone

na raty.

Rutta nie skomentował tej uwagi. Spuścił głowę i zamyślił się głęboko. Dopiero po dłuższej

chwili mruknął coś niezrozumiale. Farland, który także zatopił się w rozważaniach, ale

dotyczących raczej niesubordynacji Świąckiego niż przesadnej jego zdaniem ostrożności

przyjaciela, zignorował to.

– Na raty, powiadasz... – powtórzył już normalnym tonem Rutta.

– Po prostu odwołujemy nieuniknione – doprecyzował wielki admirał.

– Otóż to! – Pułkownik spojrzał mu prosto w oczy. Na jego twarzy malował się dawno

niewidziany entuzjazm. – Dzięki, właśnie mi podpowiedziałeś ostateczny argument, którym

kupimy admiralicję.

– Nie rozumiem...

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę! – Pułkownik zsalutował sprężysto i wykonał przepisowy zwrot. – Pozwól mi tylko zmienić treść mojego oświadczenia.

=== =

DWA

System Ulietta, Sektor Zebra,

24.10.2354

– Nie uwierzy pan, kapitanie – rzucił roześmiany Hondo, podając Henryanowi czytnik.

Święcki zmierzył go ostrym spojrzeniem. Tej nocy nie spał zbyt wiele, mierziło go więc

wszystko, a zwłaszcza dobry humor podwładnych. Po powrocie do apartamentu natychmiast

wstrzyknął sobie najpierw jedną, a potem drugą dawkę alkoneutralizatora, by przestało mu

szumieć w głowie. To gwałtowne otrzeźwienie miało jednak także negatywne skutki. Wróciły

wszystkie lęki i obawy, zepchnięte wcześniej przez alkohol w najgłębsze pokłady

świadomości.

Admiralicja może przecież wbrew rozsądkowi nakazać powrót do dawnego harmonogramu,

przez co misterny i skomplikowany plan zaadaptowania kontenerów na habitaty skończy się

widowiskową porażką albo jeszcze gorzej, wielką katastrofą. Inżynierowie włożyli naprawdę

wiele wysiłku w dopracowanie każdego szczegółu – Dupree przysyłał kolejne raporty

z postępów prac co godzinę – ale zdaniem Henryana w planie wciąż było więcej

niewiadomych niż konkretów. Zbyttno musieli improwizować. Gdyby ktoś go pytał, za mało

było w tych działaniach profesjonalizmu, a amatorszczyzna, jak wiadomo, zawsze kończy się

marnie, choć z drugiej strony stare przysłowie mówi przecież, że prowizorka trzyma się

najdłużej.

Zerknął na wyświetlacz urządzenia i sam też zaśmiał się pod nosem.

– A to ci niespodzianka – powiedział, oddając czytnik porucznikowi.

– Osiemdziesiąt sześć – stwierdził zadowolony Hondo. – I to dopiero początek.

– Obyś był dobrym prorokiem, Toranosukenjiro. A teraz pokaż mi rozpiskę spotkań na

dzisiejszy dzień. – Chwilę później ten sam czytnik trafił ponownie do jego ręki.

Henryan przejrzał pobieżnie krótką listę. Oficjalnych punktów było tylko kilka, mimo to

wątpił, czy zdoła wygospodarować trochę czasu dla siebie. Jego zadaniem było szybkie

reagowanie w sytuacjach kryzysowych, a tych z pewnością dzisiaj nie zabraknie, podobnie jak

dzień wcześniej.

– A co mamy poza harmonogramem? – zapytał, zatwierdziwszy dokument.

– Doktor Pallance dobija się od ponad godziny. – Hondo pokazał mu listę połączeń

przychodzących. Nazwisko doktora pojawiało się na niej sześciokrotnie.

– Jego mi jeszcze brakowało... – mruknął Święcki, przypominając sobie

nieprzyjemną

wymianę zdań z poprzedniego wieczoru.

– Mam z nim łączyć? – zapytał porucznik.

Henryan podjął decyzję natychmiast.

– Nie. – Cokolwiek wymyślił lekarz, mogło poczekać. – Coś jeszcze?

– Jakiś Fitz zostawił dla pana prywatną wiadomość.

– Pokaż.

Przekaz był zwięzły. Szef pionu badawczego informował, że jest do dyspozycji i czeka

w swoim apartamencie na sygnał. Kusił drań.

– Jeśli to już wszystko... – zaczął Świącki, wciąż się wahając. W końcu zdecydował.

Wpisał kilka słów odpowiedzi i dodał na głos: – Odwołaj powitalne spotkanie z dowódcą

czarnych. Albo nie, niech Javiernesto ruszy dupę i z nim pogada, tak będzie lepiej. Poproś

pannę Truffaut, żeby stawiała się na lądowisku najpóźniej za siedem minut. Przez najbliższą

godzinę nie ma mnie dla nikogo prócz niej, dyrektora kopalni i sztabowców, zrozumiano?

– Tak... – zaskoczony porucznik nie zdążył zaszalutować, zanim przełożony opuścił

pomieszczenie – ...jest.

* * *

Czekała na niego przy windzie, zdyszana i potwornie spocona, jakby ktoś zmusił ją do

biegu. Święcki zaklął pod nosem. Zapomniał już, jak bardzo przekonujący potrafi być

Toranosukenjiro.

– Co się dzieje? – zapytała, gdy tylko się zbliżył.

– Przepraszam za mojego adiutanta, panno Truffaut. – Wolał załagodzić sprawę od razu,

żeby Ninadine mogła się skupić na wiadomości, którą powinna przekazać reszcie. – Wojskowi

to ludzie bardzo konkretni. Czasami zapominamy, że wy jesteście tylko cywilami.

– To znaczy, że nic się nie stało? – odetchnęła z ulgą, gdy Święcki naciskał klawisz

przywołujący kabinę.

– Nic złego w każdym razie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Przed momentem

otrzymałem nowe informacje ze strefy skoku. Mój pomysł, by piloci prywatnych jednostek

zwrócili się po pomoc do kolonistów z pasa minus cztery, przynosi efekty. Właśnie nadlatuje

cała flotylla cywilnych stateczków.

– Jak duża? – zapytała Truffaut, ignorując syk otwieranych drzwi.

Henryan wskazał jej wnętrze kabiny.

– Wyjaśnię wszystko po drodze. Naprawdę się śpieszę.

– Oczywiście. – Odruchowo zajęła jedno z miejsc, zapewne z przyzwyczajenia, bo do

pokonania mieli tylko kilka kondygnacji.

– Hondo będzie panią informował na bieżąco, ale z danych telemetrycznych wynika, że do

systemu weszło już ponad osiemdziesiąt jednostek różnej wielkości, a cały czas pojawiają się

nowe – oświadczył Święcki, nacisnąwszy klawisz poziomego lądowiska.

– To nadal kropla w morzu potrzeb... – Posmutniała niemal natychmiast.

– Pani zawsze widzi szklankę do połowy pustą, a ja w połowie napełnioną. – Kabina

zatrzymała się płynnie, po otwarciu drzwi trafili do przeszklonej poczekalni, którą Henryan za

pierwszym razem wziął omyłkowo za służbę. Razem ruszyli w kierunku rozsuwanych drzwi

i widocznej za nimi platformy, na której stał niewielki grawiolot oznaczony logo korporacji. –

Proszę przekazać tę informację do kopalni. Ale w mojej wersji, czyli optymistycznie.

Niewykluczone, że uda nam się wyekspediować tą drogą nawet kilka tysięcy osób. Myślę, że

taka dobra wiadomość podniesie morale górników.

– Dobrze, zaraz się z nimi skontaktuję – obiecała, kiedy wsiadał do grawiolotu Fitz.

=== =

TRZY

– Jak tam żołądek? – zapytał szef pionu badawczego, gdy wystartowali.

– W porządku – odparł Henryan, nie chcąc psuć miłej atmosfery.

Pomimo zażycia regulatorów enzymów nie miał lekkiej nocy. Kilka raportów z księżyca

przeczytał, siedząc na tronie, jak to się kiedyś mawiało. Sytuację poprawiły dopiero silniejsze

medykamenty. Jego żołądek nie poradził sobie z prawdziwą dziczyzną, ale Henryan nie

zamierzał się do tego przyznawać. Co więcej, dużo by dał, żeby raz jeszcze zjeść coś równie

smacznego. Przy pieczeniu Fitz'a nawet oficerskie racje smakowały jak przeżuta trzykrotnie

tektura.

– Świetnie – ucieszył się Oliverneest. – Uprzedzałem Ninadine, że to może być nie najlepszy

pomysł. Nasi goście z korporacji mieli więcej problemów niż przyjemności z wydawanych

na ich cześć kolacji.

– My, żołnierze, jesteśmy twardsi od biurokratów – zażartował Henryan i zaraz zmienił

temat, nie chcąc wracać wspomnieniami do niedawnego rozwolnienia. – Co zamierza mi pan

pokazać?

Szef pionu badawczego uśmiechnął się zagadkowo.

– Samą esencję tej planety. Królową stworzenia Delty.

– Pańska wczorajsza uwaga o odwróceniu ról fauny i flory zabrzmiała niezwykle ciekawie

– stwierdził Święcki. – Co było na szczycie łańcucha pokarmowego tej planety, zanim pan się

tutaj pojawił?

Fitz roześmiał się głośno i szczerze.

– Chciałbym, aby pańskie słowa były choć w części prawdziwe – rzucił, gdy maszyna

przeleciała nad murem okalającym półwysep zaanektowany przez ludzi. – Niestety człowiek...

nawet z całą naszą technologią... jest tutaj jednym z niższych ogniw tego łańcucha.

– Jak to możliwe? – zainteresował się Henryan.

– Nawet na Ziemi rośliny były zawsze sto razy odporniejsze niż zwierzęta. A tutaj? Tego nie

da się opisać.

– Proszę spróbować – zachęcił go Święcki, coraz bardziej zaintrygowany odmiennością

Delty.

– Jak już wspomniałem, tutejszy ekosystem różni się diametralnie od pozostałych planet

tlenowych, jakie odkryto w zbadanej przez ludzkość przestrzeni. Z tego, co wiem, we

wszystkich innych przypadkach mieliśmy do czynienia z tradycyjnym podziałem ról. Flora

w przeważającej większości była pożywieniem dla fauny. Tutaj ewolucja poszła

zupełnie inną

drogą, nie powiem jednak, że całkowicie niezrozumiałą, ponieważ na Ziemi także mieliśmy

wiele gatunków zwierząt, które laik mógł wziąć za rośliny. Mówię na przykład o polipach

i najbardziej spośród nich znanych koralowcach. – Widząc, że kapitan krzywi się lekko na

nieznane mu nazwy, sięgnął do konsoli maszyny. Lecieli na autopilocie, zatem przy niemal

zerowym ruchu powietrznym nie musiał poświęcać sterom uwagi. – Proszę spojrzeć – na

wyświetlaczu, który wyrósł przed Henrynanem pojawił się niesamowicie barwny podwodny

krajobraz – na ziemskie rafy koralowe. Te fantazyjne wachlarze, mózgi i inne cuda to wbrew

pozorom nie rośliny, tylko kolonie prymitywnych zwierząt.

– Naprawdę? W życiu bym nie powiedział, że tak może wyglądać zwierzę...

– Proszę się nie przejmować, kapitanie, ta wiedza jest dzisiaj dostępna wyłącznie garstce

wariatów z tytułami naukowymi. A wracając do tematu, wśród ziemskich roślin także

mieliśmy paru sprawnych mięsożernych myśliwych. Rosiczki, dzbaneczniki, tłustosze. Sporo

ich było, choć tak naprawdę stanowiły margines flory, podobnie jak wspomniane wcześniej

koralowce. Tutaj mamy jednak odwrotną sytuację. Wszystko, co pan widzi –

wskazał ręką na

ciągnący się po horyzont kobierzec zieleni – to tutejsze zwierzęta.

– Takie lądowe koralowce?

– Nie do końca, ale powiedzmy, że na potrzeby naszej rozmowy możemy zastosować to

uproszczenie. Ja, będąc fachowcem, widzę różnice, i to znaczne, ale dla pana jako laika są one

zapewne niezauważalne. Nie licząc tego, że jak pan zauważył, organizmy te porastają lądy, nie

szelfy kontynentalne.

– A co z roślinami?

– Za chwilę pan zobaczy – rzucił Fitz z zagadkowym uśmiechem, dokonując niewielkiej

korekty lotu.

Maszyna zbliżała się właśnie do pasma górskiego, u którego podnóża Święcki dostrzegł

ciągnącą się na przestrzeni wielu kilometrów szarą plamę.

– Morze Mgieł – rzucił Oliverneest chwilę później, wyłączając autopilota. – Niesamowite

miejsce, jedyne w okolicy, gdzie występuje największa roślina, jaką odkryliśmy w poznanej

części Galaktyki.

– To coś nie wygląda mi na roślinę – stwierdził Henryan, przytykając twarz do bocznego

wizjera.

Fitz spojrział na niego z rozbawieniem, czego jednak Święcki nie był świadomy, gdyż całą

uwagę skupiał na falującej leniwie zawieszynie, w której niknęły szmaragdowe korony istot,

jakie najchętniej nazwałby drzewami.

– Mgła to coś w rodzaju chmury, tylko zalegającej tuż nad ziemią.

– Chmury, o ile dobrze pamiętam, nie są roślinami – wyrwało się Henryanowi.

– Racja, kapitanie – odparł Olivernest. – Tutaj to typowe zjawisko atmosferyczne,

a zarazem teren łowiecki naszej bestii.

Włączył jakieś urządzenie. Na wszystkich wyświetlaczach panelu sterowania pojawiły się

podzielone na kwadraty mapy. Przez chwilę wirtualne ekrany wydawały się idealnie martwe.

Potem Henryan dostrzegł w pobliżu lewego górnego rogu czerwony punkcik, który pulsował

rytmicznie, przesuwając się jednocześnie w kierunku centrum.

– Oto i ona... – Fitz zawiesił grawiolot dwieście metrów nad szarą plamą.

Święcki wyrztał przez panoramiczne okno kabiny. Gęsta jak mleko zawieszina wydawała się

spokojna, tylko tu i ówdzie falowała lekko jak powierzchnia wody.

– Spokojnie... – mruzczał Olivernest. – Spokojnie... Tam! – zawołał tak niespodziewanie,

że skupiony na obserwacji podnóża gór pasażer podskoczył w fotelu.

Mgła wybrzuszyła się raptownie, jakby od spodu napierało na nią coś wielkiego

– niczym

morska toń, spod której wynurza się wieloryb. Takie właśnie skojarzenie miał Henryan, gdy

patrzył na szarą masę, która unosiła się coraz wyżej, lecz nie rozrywała się, jak gdyby

w przeciwieństwie do oceanu była ciałem stałym.

Kilka sekund później Święcki zrozumiał, gdzie popełnił błąd. To nie była mgła, tylko istota,

która w niej żyła. Prostowała się właśnie, a ten garb, to wybrzuszenie, to był jej... kark? Tak

to przynajmniej odbierał Święcki. Uznał, że gigant prostuje długą na kilkadziesiąt metrów

szyję i podświadomie wypatrywał na jej końcu czegoś, co będzie przypominało łeb

gargantuicznego dinozaura.

Zawiódł się jednak. To, co wynurzyło się z Morza Mgieł, przypominało giętką, zakończoną

płasko rurę. Urywała się w pewnym momencie, jakby ktoś uciął ją wielkim nożem.

– Moje maleństwo... – Fitz pochylił się mocno i dotknął dłonią krystalitu. – Będzie mi

ciebie brakować.

– Ładne mi maleństwo – mruknął Henryan, po czym zwrócił się do przewodnika: – Co to

właściwie jest?

– Przedstawiam panu najpiękniejszy okaz Tripodus fitzii, królowej ekosystemu

tej planety.

– Fitzii? – zdziwił się Święcki.

– W środowisku naukowym istnieje tradycja nazywania nowych gatunków imieniem ich

odkrywcy – wyjaśnił Olivernest. – A to moje znalezisko, jeśli mogę tak powiedzieć.

I przepustka do wieczności. To największa roślina, jaką do tej pory odkryto w

podbitej przez człowieka przestrzeni.

– Wygląda jak gigantyczny robak – zauważył Henryan.

– Patrzy pan na jedną z trzech jej odnóg. – Fitz opadł na fotel i przełączył

wyświetlacze na inny tryb.

Kołyszącą się nad Morzem Mgieł mackę otoczył czerwony kontur, który pod

powierzchnią szarej zawiesziny podzielił się na dwa inne, niemal identyczne ramiona.

– Jak tam jest głęboko? – zapytał zdumiony Henryan.

– Dno niecki znajduje się około trzystu osiemdziesięciu metrów pod

powierzchnią mgły – odpowiedział niemal natychmiast Olivernest, nie tając podziwu w głosie.

– To coś ma prawie pół kilometra wysokości?

– Maksymalna rozpiętość jej ramion osiągnęła w tym roku czterysta czterdzieści

siedem metrów, a to jeszcze nie koniec. Żałuję, że nie dożyję dnia, w którym ta bestia osiągnie

pełnoletność.

– Młody pan jeszcze jest – zaśmiał się Świącki. – Dorzuci pan na kark i z dziesięć

krzyżyków, a może więcej, jeśli zdecyduje się pan na dłuższą hibernację.

– W jej rzeczywistości nasze stulecie jest jak godzina – stwierdził Fitz, wzdychając głośno.

– Deltiana urodziła się, zanim ludzie wyszli z jaskiń, i będzie wciąż brodziła w tej mgle, gdy

my dotrzemy do najdalszych krańców Galaktyki.

– Deltiana? – Świącki wolał nie poruszać tematu dalszej ekspansji człowieka w kosmosie.

– Tak ją nazywam prywatnie. – Oliverneśt pochylił się w fotelu. – Proszę patrzeć.

Henryan odwrócił głowę i dostrzegł w oddali jakiś ruch w powietrzu. Nad Morzem Mgieł

sunęły ciemne kształty. Musiały być bardzo duże, ponieważ nawet z tej odległości wydawały

mu się masywne. Były ich setki.

– Cóż to takiego?

– Zarodniki wachlarzowców – wyjaśnił Fitz, wskazując ręką na nibylas.

Świącki domyślił się, że tak – całkiem trafnie – nazywają się te rośliny, tfu, zwierzęta.

Mimo

przystępnego

wykładu

szefa

pionu

badawczego

wciąż

miał

problemy

z zaakceptowaniem odmienności tej planety. I pewnie jeszcze długo nie zrozumie, jakim cudem

rośliny przejęły rolę łowców.

W czasie, gdy się nad tym zastanawiał, zarodniki pokonały sporą odległość. Niesione

wiatrem sunęły wysoko nad szarym akwenem jak dziwaczne balony. Nie przypominały jednak

w niczym gurdyjskich alag'terysmów – nie było w nich piękna, jakiego nadaje wytworom

cywilizacji myśl, choćby prymitywna, a tylko surowa efektywność natury. Nabrzmiałe sine

bąble otoczone resztkami tkanek, z których wyrosły, zanim oderwały się od... tu Święckiemu

zabrakło słowa na opisanie tego elementu miejscowych koralowców, na którym wyrastały

zarodniki.

– Skąd one się tu wzięły? – zapytał niby od niechcienia. – To znaczy gdzie rosną? Nie

widziałem na okolicznych... wachlarzowcach niczego takiego.

– Zarodniki rozwijają się w specjalnych komorach, wewnątrz pali stu...
powiedzmy, że

wewnątrz pni. Gdy dojrzewają, zaczynają wydzielać bardzo lotny gaz, który
wypełnia komorę

i unosi je wysoko w niebo, by szybowały jak najdalej i kolonizowały nowe
tereny.

Zarodniki dotarły nad Deltianę, która musiała jakoś wyczuć ich obecność. Gruba
blada

macka wyciągnęła się na całą długość, po czym jej kraniec pękł jak zbyt mocno
naciągnięta

guma. Przez moment nic się nie działo, a potem... Z wnętrza odnogi wystrzeliło
coś czarnego,

błyszczącego i tak długiego, że bez trudu dosięgnęło jednego z przelatujących
zarodników.

Macka, a może raczej pokryte lepkiem śluzem pnącze przykleiło się do
balonowatego tworu

i ściągnęło go z bezchmurnego nieba, ustępując drugiemu, trzeciemu i kolejnym
biczom

chłozującym niebo. Na oczach Święckiego w ciągu kilkunastu tylko sekund w
chmurze

zarodników pojawiła się wielka dziura.

– Deltiana ma sto dwanaście parzydełek – wyjaśnił Fitz, gdy moment później
zwisające

wokół odnogi pnącza zaczęły się kolejno chować, oczywiście razem ze
zdobyczą. – Idę

o zakład, że nie spudłowała ani razu.

- Niesamowite stworzenie – przyznał Henryan.
 - Roślina – poprawił go szef pionu badawczego.
 - Tak, roślina. Ona ma kilka tysięcy lat, powiada pan.
 - Szacujemy, że najstarsze osobniki, na jakie trafiliśmy, miały nawet po czternaście tysięcy lat.
 - Jest ich tu więcej?
 - W Morzu Mgieł nie, ale na całym kontynencie znaleźliśmy ich siedem.
 - Czternaście tysięcy... Niewiarygodne.
 - Dlaczego? – obruszył się Fitz. – Najstarsze drzewo na Ziemi liczyło sobie prawie dziewięć tysięcy lat.
 - Naprawdę?
 - Może pan sprawdzić w galaksjopedii.
 - Wierzę panu na słowo.
- Obserwowali Deltianę przez kilka kolejnych minut, w czasie których gigantyczna macka zatoczyła jeszcze kilka nierównych kręgów, ponawiając polowanie, a potem wolno opadła i zniknęła we mgle, niemal jej nie burząc.
- Wie pan, co pomyślałem, kiedy tutaj trafiłem i zobaczyłem, jak ten ekosystem różni się od ziemskiego? – zapytał moment później Fitz.

– Nawet nie próbuję zgadywać.

– Badając Deltianę, doszedłem do szokującego być może wniosku, że to jest ta jedyna

właściwa droga, jaką powinna pójść ewolucja. Nie zwierzęta, tylko rośliny są

świata.

– Trochę pan chyba przesadza – zaśmiał się Henryan.

– Czyżby? – Szef pionu badawczego odwrócił się do niego z zupełnie poważną miną. – Co

by się stało, gdybym odciął panu ręce i nogi? – zapytał, ale zanim zaskoczony Święcki zdążył

mu odpowiedzieć, dodał jeszcze: – Albo gdybym spalił pana ciało z wyjątkiem, powiedzmy,

głowy? Czy nawet lepiej: otruł i odarł ze skóry?

– Umarłbym, jak i pan – odparł Święcki, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza jego

przewodnik.

– No właśnie. A roślinę może pan spalić, ściąć przy samej ziemi, wyrwać z korzeniami

i nadal jej pan nie zabije. Wystarczy, że w glebie zostanie choćby jedna niteczka, tysięczna

część jej całkowitej masy, a po roku w tym samym miejscu wyrośnie od nowa. Nie

zapominajmy też o nasionach, niektóre są w stanie przeleżeć w niekorzystnych warunkach

setki, a nawet tysiące lat. Zasuszone, zamrożone, a tu nagle, bam, pojawia się

nowe życie.

Nigdy nie dorównamy roślinom pod względem żywotności. To one pierwsze skolonizowały

Ziemię, o czym zdążyliśmy już zapomnieć. Może mi pan wierzyć, gdyby Bóg istniał, nie nas

umieściłby na szczycie łańcucha pokarmowego, tylko florę, tak jak to stało się tutaj.

– Ma pan rację – przyznał Świącki. – Aczkolwiek widzę jeden problem...
Rośliny może

i są niesamowicie odporne, ale nie wykształciły wyspecjalizowanych narządów, a co za tym

idzie, nigdy nie zdobędą inteligencji.

– Na pana miejscu nie byłbym tego taki pewny. Zwłaszcza po wizycie na tej planecie.

Deltiana – wskazał na mgłę – może jeszcze nie myśli abstrakcyjnie, ale z pewnością wie, co

robi. Musiałby pan zobaczyć, jak skrupulatnie wybiera miejsca, w których będzie się

pożywiać. Za miliony lat być może wykształci własną wersję rozumu.

– A gdy to się stanie, utraci całą przewagę, jaką daje jej bycie bezrozumną rośliną –

podsumował Henryan. – Stanie się równie wrażliwa jak my.

Fitzowi ta wizja niezbyt się spodobała.

– Dzisiejszy stan wiedzy pozwala nam sądzić, że rośliny reagują na wiele bodźców

i odczuwają na przykład strach, lecz nie znają wyższych uczuć. Jeśli kiedyś

wykształcą

inteligencję, może być ona bardzo różna od naszej.

Henryan wzruszył ramionami.

– Nie znam się na biologii, tylko na strzelaniu.

– À propos strzelania – podchwycił Oliverneest. – Powiedział pan wczoraj, że Obcy nie

próbują z nami rozmawiać, tylko niszczą wszystko, co zobaczą albo wyczują.

– Tak. Traktują nas jak robactwo. To słowa mojego przełożonego.

– No właśnie. Nie zastanawiał się pan, dlaczego tak postępują?

– Większość z nas zastanawia się nad tym bez przerwy – przyznał Świącki – ale na razie nie

doszliśmy do żadnych satysfakcjonujących wniosków.

Fitz uśmiechnął się tryumfalnie.

– A jeśli oni są myślącymi roślinami? – zapytał retorycznie, dając Henryanowi do myślenia.

– Rośliny nie znają litości. Zabijają nawet własne potomstwo, jeśli ziarno wykiełkuje zbyt

blisko pnia, z którego spadło.

Świącki nie odpowiedział. To była bardzo celna uwaga. Może problem polegał na tym, że

admiralicja za bardzo próbowała ucłowieczyć wroga? Z rozmyślań o naturze Obcych wyrwał

go sygnał komunikatora.

– Przepraszam – rzucił w kierunku szefa pionu badawczego – ale muszę

odebrać. Co jest? –

warknął gniewnie, gdy na wyświetlaczu pojawiła się twarz Toranosukenjiro.

– Dyrektor kopalni prosi o połączenie. W sumie to nawet nalega – poprawił się Hondo.

– Daj go na kanał czwarty.

– Tak jest.

Adiutant zniknął, zastąpiło go logo korporacji, a potem znajomy widok, panele sterowni

główniej i stojący na ich tle Dupree. Już wnosząc z marsa na jego czole, Henryan mógł się

spodziewać niewesołych wiadomości.

– Coś się dzieje? – zapytał, pomijając grzecznościowe formułki.

– Problem jest, kapitanie – odpowiedział niezrażony dyrektor. – Kontenery okazały się

nieszczelne.

– To je załatajcie – zaproponował Święcki, nie do końca rozumiejąc, w czym rzecz.

– Żeby to było takie proste. – Dupree westchnął głośno. – Ten pieprzony złom jest tak

wyeksplorowany, że nie ma metra powierzchni, na którym nie znaleźlibyśmy kilkudziesięciu

mikropęknięć. Załatanie jednego habitatu potrwa tydzień, nawet jeśli rzucę do tej roboty

wszystkich fachowców, jakich mamy.

– Szlag – jęknął Henryan. – Nie macie na stanie nowych kontenerów?

– Nie – odparł natychmiast Dupree. – Rudzie kontakt z próżnią nie szkodzi, więc zarząd nie

marnował funduszy.

– Jakież pomysły? – Niepokój udzielił się także Święckiemu.

Wszystko szło tak dobrze. Warsztaty powinny mieć już gotowe trzy pseudohabitaty.

Transportowce lada chwila zaczną przyjmować na pokład ludzi, których zamierzał do nich

zapakować.

– Wciąż szukamy, kapitanie. Na razie najsensowniejsze wydaje się rozcięcie kilku

kontenerów i przyspawanie ich ścian na zewnątrz każdego habitatu.

– Dlaczego najsensowniejsze?

– Bo najszybsze – odparł zwięźle dyrektor. – Prawdopodobieństwo, że mikropęknięcia

nałożą się na siebie, jest niewielkie, a jeśli nawet znajdziemy kilka takich szczelin, damy radę

je załatać.

Henryan spojrział na Fitzę, który skinął głową. Teraz liczył się tylko czas.

– Jak bardzo to was opóźni? – zapytał z obawą w głosie Święcki.

– Jeszcze nie wiem, ale na pewno o parę godzin... na każdym habitacie.

– Może pan wyrażać się konkretniej?

– Proszę dać mi parę minut.

Na wyświetlaczu pojawiło się raz jeszcze logo EB.

– To chyba kończy naszą wyprawę – mruknął poirytowany Świącki. – Wracajmy do wieży.

Fitz sięgnął do sterów, ale cofnął ręce.

– Jeśli mogę coś zasugerować – powiedział, zniżając głos – chciałbym pokazać panu

jeszcze jedno miejsce.

– Obawiam się, że straciłem zainteresowanie tą, nie ukrywam, niesamowitą planetą.

– Nie zamierzam marnować pańskiego niewątpliwie cennego czasu, kapitanie. Pragnę

przedstawić alternatywne rozwiązania. Na wypadek, gdyby kontenery się nie sprawdziły.

Zaintrygował Świąckiego tą propozycją.

– Słucham zatem.

– Tysiąc siedemset kilometrów stąd na północny zachód odkryliśmy kompleks gigantycznych

jaskiń. Korytarze i komory ciągną się na powierzchni dziesiątek kilometrów kwadratowych.

W najgłębszym miejscu schodzą nawet na pięć tysięcy metrów poniżej poziomu morza. Jeśli

coś nie wypali, zawsze możemy tam ukryć kilkanaście tysięcy kolonistów. Nie na długo

wprawdzie, ale kilka tygodni ludzie powinni wytrzymać, jeśli już teraz zaczniemy przetrzucać

tam sprzęt i żywność.

– To zbyt ryzykowne – mruknął Henryn.

– Nie aż tak bardzo, jak się panu wydaje – skontrował Fitz. – Zastanawiam się nad tym od

wczoraj, rozważyłem chyba wszystkie za i przeciw, a może mi pan wierzyć, że nie ma drugiej

osoby, która znałaby Deltę tak jak ja. Jedynym istotnym problemem, którego sam nie byłbym

w stanie rozwiązać, jest wykarmienie takiej masy ludzi, ale jeśli uda się przetransportować do

tych jaskiń całą żywność, jaka zostanie w kolonii po ewakuacji, będziemy mogli siedzieć pod

tymi górami, dopóki po nas nie przylecicie.

Święcki zmrużył oczy. Podczas kolacji wyjaśnił współbiedniakom, że Obcy niemal

natychmiast opuszczają oczyszczone systemy. Sondy wysłane do pasa minus jeden nie natrafiły

na żaden ślad ich bytności, a odwiedziły każde miejsce, w którym zamilkły stacje

monitorowania. Co prawda zaprogramowano je, by wracały po kilku minutach od wykonania

skoku, ale nawet tak krótki czas pozwalał na zgromadzenie danych, dzięki którym sztabowcy

mogli dokonać naprawdę pogłębionych analiz sytuacyjnych. W tym także ocenić skalę

dokonanych zniszczeń.

– To, co teraz powiem, jest na razie objęte tajemnicą wojskową, proszę więc o zachowanie pełnej dyskrecji. – Henryan spojrział ostro w oczy szefa pionu

badawczego. –

Z naszych analiz wynika, że na zaatakowanych planetach oprócz zabudowań i instalacji

przemysłowych zbombardowano każdy obiekt, który zawierał choćby najprostsze urządzenia

elektroniczne. Mówię o pojazdach, satelitach i całej reszcie celów, o jakich my byśmy nie

pomyśleli. Na Gammie Vandala nie ocalały nawet bunkry, które admiralicja kazała

wybudować wkrótce po zasiedleniu tej planety. A mieściły się kilkadziesiąt metrów pod

ziemią, czy też raczej skałą, bo to nie była planeta tlenowa.

– Kilkadziesiąt metrów a kilka kilometrów to ogromna różnica, kapitanie – stwierdził

kategorycznym tonem Fitz.

– Nie przeczę, ale nie wiemy, jak czułe są sensory Obcych i na jakiej zasadzie działają,

dlatego nie radziłbym umieszczać w tych jaskiniach żadnej elektroniki.

– To skomplikuje nieco sprawę... – Olivernesto pogładził się po brodzie. – Ale nadal

uważam, że damy radę. Przecież możecie po nas przylecieć, jak tylko oni stąd znikną.

Święcki przytaknął, aczkolwiek niepewnie, co nie umknęło uwadze szefa pionu

badawczego. Ten pomysł zaczynał mu się podobać, nie był tylko pewien, czy admiralicja

wyrazi zgodę na powtórzenie operacji. Z tego, co wiedział, harmonogram jest

bardzo napięty.

W tej części pasów minus dwa i trzy znajdowało się wiele mniejszych kolonii, które trzeba

będzie ewakuować w najbliższym czasie. Ale gdyby wydębił jedną arkę albo większy

transportowiec i obrócił nim kilka razy... To mogłoby się udać. Jednakże nie był to wyłączny

problem.

– Delta jest pierwszą planetą tlenową, na jaką trafią Obcy – wyjaśnił. – Nie wiem, jak

zachowają się w tym przypadku. Na Valis, Valkirii i Vandalu wystarczyło zniszczyć

infrastrukturę i poczekać kilka dni, aby mieć pewność, że nikt nie ocaleje. Tutaj to zupełnie

inna sprawa. Być może zostawią na orbicie satelity bojowe lub dokonają desantu na

powierzchnię. Niewykluczone też, że użyją Deltę jako własnej bazy wypadowej.

– Jeśli wasz plan nie wypali – odpowiedział po chwili zastanowienia Fitz – to każdy, kto

zostanie w kolonii, będzie chodzącym trupem. Moja propozycja daje tym ludziom chociaż cię

szansy. Jeśli nas wytropią, trudno, ale w razie gdyby nie znaleźli jaskiń, będziemy mogli

w nich czekać na pański powrót. Poza tym przerwaniem tam potrzebnych zapasów w niczym

nie przeszkodzi głównej akcji...

– I tu się pan myli. Musimy zapewnić ewakuowanym żywność na co najmniej dwie doby.

A to te same racje, które pan chce zabrać.

Fitz pokręcił głową.

– W magazynach kolonii jest dziesięć razy więcej liofilizowanego żarcia, niż obaj będziemy

potrzebować. Ta społeczność liczyła prawie pół miliona ludzi – przypomniał.

– Jest pan pewien tych liczb?

– Tak. Ninadine na moją prośbę sprawdziła dzisiaj rano stany magazynowe. Po powrocie

przekaze panu swoje raporty. Sugerowałbym zajęcie się na początek magazynami trzy, pięć

i siedem, gdzie składowano posiłki regeneracyjne dla pracowników kopalni. Ja zacznę od

oczyszczania sklepów.

– To będzie szaber – obruszył się Święcki.

– Właściciele tych przybytków odlecieli stąd, zanim pan pojawił się w systemie.

– Fitz

wzruszył ramionami. – Teraz to dobra niczyje. Szkoda, żeby się marnowały, skoro mogą ocalić

życie wielu ludziom.

– Ja nic nie słyszałem – wymamrotał Henryan.

– O czym? Ktoś coś mówił? – Szef pionu badawczego wyszczerzył zęby.

– To jedyne jaskinie, jakie znaleźliście na Delcie? – Święcki zmienił temat.

– Nie, ale za to największe – odparł Olivernest.

– Świetnie. Jeśli chcecie ocalić dla siebie jakiś sprzęt, ukryjcie go na razie w innych

jaskiniach. W miarę daleko od miejsca, w którym się schronicie. Jeśli zostanie zniszczony,

będziecie wiedzieli, że Obcy są w stanie wykryć każdą elektronikę. Jeśli ocaleje, po ich

odlocie będziecie mogli go spokojnie używać.

Wyświetlacz ożył ponownie. Dupree był jeszcze smutniejszy i bardziej spocony.

– Jeśli będziemy pogrubiać wszystkie ściany kontenerów, zrobimy ich maksimum osiem.

A najprawdopodobniej tylko siedem.

– Szlag.

– Ale za to maksymalnie dużych, takich na minimum dwanaście tysięcy miejsc – dodał

dyrektor kopalni, uśmiechając się półgębkiem.

– Osiemdziesiąt cztery tysiące ludzi... – Święcki opadł na oparcie fotela.

Dupree oblizwał nerwowo wargi.

– Rutgernest, to znaczy jeden z moich zastępców, zasugerował, że moglibyśmy wykorzystać

także nasze transportowce – rzucił.

– Te, którymi dostarczaliście robotników do kopalni? – doprecyzował Święcki.

– Tak.

– Ale jak? Przecież one nie mają napędu pozasystemowego – zdziwił się Fitz.

– Możemy je przycumować do śluz rdzeniowca, tak jak kontenery.

Henryan i Olivernest spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Oba im spodobał się ten

pomysł.

– Genialne – powiedział rozradowany Święcki, zaraz jednak spoważniał. Mina dyrektora

kopalni ostudziła jego zapał. – Dlaczego to pana nie cieszy? – zapytał z obawą.

– Takie dopasowanie będzie wymagało przeróbek śluzy dziobowej. A na to trzeba czasu.

– Ile?

– Sześć do ośmiu godzin.

No tak. Transportowce muszą zacząć przewozić ludzi na orbitę księżycą najpóźniej za dwie

godziny, jeśli ewakuacja ma się zakończyć o czasie. Nawet przy zmniejszonej liczbie

przerobionych kontenerów.

Fitz podniósł rękę, jakby prosił o pozwolenie na zabranie głosu.

– Nie możecie dokonywać tych zmian partiami, kiedy wahadłowce będą rozładowywane na

orbicie? Za każdym razem będziecie mieli co najmniej godzinę na prowadzenie prac.

Dupree skrzywił się, potem nasrożył jak zawsze, gdy zaczynał intensywnie myśleć, a na

koniec pokręcił głową, choć nie był to bynajmniej gest negujący słowa szefa pionu

badawczego.

– Da się zrobić – odparł, nie wyzbywając się całej rezerwy z głosu. – Jednakże w takiej

formie przeróbka potrwa na pewno dłużej.

– Te wahadłowce i tak muszą zrobić po jedenaście albo i dwanaście kursów, więc czasu

powinno wam wystarczyć nawet na ich odmalowanie – zażartował Fitz.

Uśmiechnięty dyrektor kopalni rozłączył się, nadal kręcąc z niedowierzaniem głową.

Zamiast niego na wyświetlaczu pojawił się Hondo.

– Coś jeszcze? – zapytał Święcki.

– Tak, kapitanie. Od godziny dobija się do nas doktor Pallance. Nie wymienił go pan przed

wyjściem, więc zbywałem go tak grzecznie jak umiem, ale przed momentem zrobił się bardzo

natarczywy.

– Jeśli czegoś chce, niech załatwi to z tobą.

– Byłem na tyle przewidujący, że mu to zaproponowałem.

– Odmówił, jak rozumiem?

– Twierdzi, że to ściśle tajne łamane przez poufne. I tylko dla pańskich oczu.

– Akurat... – Henryan westchnął ciężko.

– Mówi, że trzeba to załatwić, zanim szpital zostanie ewakuowany.

Święcki spojrział na wyświetlany w rogu ekranu czas. Pallance i ostatni ludzie z jego ekipy

powinni zameldować się na terminalu za dwie i pół godziny.

– Jeśli znowu się odezwie, możesz mi go podesłać – zdecydował po dłuższej chwili

wahania.

– On cały czas wisi na otwartym łączu – odpowiedział natychmiast Toranosukenjiro.

– Dawaj go w takim razie.

Kilka sekund później usłyszał znajome sapanie. Celowo nie włączył wizji. Nie chciał, żeby

doktor widział, gdzie się teraz znajduje i z kim.

– Chciał pan ze mną rozmawiać – rzucił niecierpliwym tonem.

– A, to pan, kapitanie – ucieszył się Pallance. – Nareszcie. Wspomniałem panu wczoraj, że

mam sprawę. Pamięta pan, zaraz po kolacji... Chodzi o jednego z naszych pacjentów.

Chciałbym, żeby pan coś zobaczył.

– Czy to naprawdę takie ważne? – zapytał zde gustowany Święcki. – Mam naprawdę napięty

harmonogram. Dupree właśnie mi zameldował, że ma ogromne problemy z kontenerami.

– Szczerze? – Doktor wydawał się podenerwowany. – Sam nie wiem, co o tym wszystkim

sądzić, dlatego chciałbym, aby pan przyjrzał się tej sprawie.

– Musi być pan taki tajemniczy, doktorze? – zaśmiał się Henryan.

– Proszę mi poświęcić kwadrans. – Pallance zignorował pytanie. – Do ośrodka

doleci pan

w siedem minut, drugie tyle zajmie panu powrót. Jeśli w ciągu pozostałej minuty nie

przekonam pana do pozostania na miejscu dłużej, zapomnimy o całej sprawie. Proszę tylko

powiedzieć, na którą mam podstawić grawiolot.

– Nie ma mnie w tej chwili w kolonii. Staramy się znaleźć jakąś kryjówkę dla tych, którzy

tu pozostaną...

– Rozumiem. – Doktor wpadł mu w słowo, jakby się obawiał, że ta rozmowa dobiegnie

zaraz końca. – Jest pan teraz sam?

– Nie. Obok mnie siedzi szef pionu badawczego korporacji.

– Może pan włączyć pole osobiste?

– Chce pan, żebym aktywował ekrany izolacyjne?

– Tak. Pokażę panu coś, co jest ściśle tajne.

– To jakiś żart?

– Nie, zapewniam, że nie.

– Chwileczkę. – Zamiast stawiać zabezpieczenia, Święcki wyjął z kieszeni naczelnik

i aktywował transponder.

Równo minutę i piętnaście sekund później zerwał urządzenie z głowy. Z jego miny trudno

było wywnioskować, czy lekarz bardziej go zirytował swoimi tajemnicami czy

też

zainteresował. Wystarczyło jednak, że otworzył usta, by wszystko stało się jasne.

– Jak szybko wrócimy do kolonii? – zapytał Fitza.

– Jeśli polecimy nad zatoką, powinniśmy być na miejscu za szesnaście minut.

– A do ośrodka admiralicji?

– Jeśli przycisnę, pięć minut później.

– Poświęci mi pan następne pół godziny?

Olivernest zauważył rozgorączkowanie kapitana. Nie pytał, co Pallance mu pokazał, gdyż

wiedział, że niektórych tajemnic, zwłaszcza wojskowych, lepiej nie znać.

– Nie ma problemu. Chłopcy czekają tylko na mój znak, a ten mogę przekazać im zdalnie.

=== =

CZTERY

Grawiolot Fitza przelatywał tuż nad prostokątnymi dachami drukowanych seryjnie domów.

Oprócz wieży i kilku wysokich gmachów należących do władz korporacji wszystkie dzielnice

kolonii zabudowano morzem identycznych parterowych bungalowów. Ich pomarańczowe,

a czasem też różowawe sześciany zajmowały całe pole widzenia. Przysadziste sześcienne

klocki otaczały ciasnymi szpalerami sieć równie podobnych do siebie ulic i biegnących co

kilka przecznic linii kolejki magnetycznej. Dla żołnierza, który przywykł do unifikacji, nie był

to specjalnie przygnębiający widok – niejedne koszary floty wyglądały podobnie, choć na

pewno nie były tak rozległe jak to górnicze miasto. Czy ten krajobraz mógł się podobać

cywilom? Tego Świącki nie był już taki pewien, jednakże zdaniem kolonistów nikt się

przecież nie przejmował. Zwłaszcza tutaj, na dalekich krańcach Rubieży.

Korporacja dostarczała robotnikom podstawowych wygód, ale o całą resztę musieli zadbać

sami. Zarobki w kopalniach tego systemu nie należały do najniższych, ale też nie płacono

w nich tyle, by ludzi było stać na rozbudowę – czyli drukowanie modułowych przybudówek –

dlatego górnicy skupiali całą uwagę i energię na przydomowych ogródkach, dzięki którym ich

rodziny miały zdrowsze i bardziej urozmaicone menu. Pomędzy wysokimi płotami

z prefabrykatów rościło się więc od foliowych rękawów i miniaturowych szklarni, a nawet

zwykłych grządek, na których uprawiano najpopularniejsze ziemskie i modyfikowane owoce

oraz warzywa. Delta była rajem dla rolników – przy tak niewielkim kącie nachylenia osi na tej

szerokości geograficznej lato nigdy się nie kończyło, choć przy tej orbicie okołosłonecznej

i przy tej prędkości ruchu obrotowego rok trwał aż dwadzieścia trzy miesiące standardowe,

a doba była dłuższa od ziemskiej o pięć godzin, cztery minuty i piętnaście sekund.

Na przedmieściach kolonii zrobiło się luźniej; domy były większe, stały też

w prawdziwych, otoczonych murkami ogrodach. Nawet ulice wydawały się szersze – zapewne

za sprawą pokrytych zielenią poboczy – a pawilony rozrywkowe i handlowe zdobiły niemal

każde skrzyżowanie. Tak żyła tutejsza klasa średnia. Ludzie z piątego i czwartego szczebla

hierarchii służbowej. Inżynierowie, technicy, nadzorcy. Nadal niewiele znaczący

w korporacji, ale ważniejsi od zwykłych robotników. Część z nich zarabiała na tyle dobrze, że

stać ich było nawet na posiadanie własnych środków transportu. Lśniące smukłe maszyny stały

dziś w przeważającej większości nie na podjazdach rezydencji, tylko na parkingach

przylegających do stacji końcowych kolejki. Drogie pojazdy porzucono jak resztę dobytku,

gdyż ustalone przez admiralicję limity bagażu wynosiły maksymalnie osiemdziesiąt

kilogramów na osobę w przypadku arek i dwadzieścia pięć, jeśli ewakuowany miał trafić na

zwykły transportowiec. Cała reszta musiała się zadowolić tym, co zmieści w kieszeniach.

Kierowany przez Fitzę grawiolot minął ostatnie zabudowania i otaczający je wysoki na

kilkanaście metrów mur, za którym Deltą wciąż niepodzielnie władała natura. Tylko jedna

droga – także otoczona ogrodzeniem, tyle że znacznie niższym – łączyła miasto z niewielkim

ośrodkiem należącym do admiralicji, tym, o którym wspomniał minionego wieczoru szef pionu

badawczego. Początkowo Henryan traktował jego słowa jako zwykłe przejęzyczenie. Nie

mieściło mu się bowiem w głowie, że dowództwo floty może utrzymywać tajną placówkę na

planecie nielegalnie wydzierżawionej jednej z największych korporacji.

Coś tu nie gra, i to bardzo – uznał, przyglądając się widocznej w oddali ściętej piramidzie

gmachu stojącego pośrodku rozległego kompleksu, w którym miał wylądować za niespełna

minutę. Z tego, co wiedział, doktor Pallance zajmował się także pacjentami cywilnymi. Co

więcej, EB zatrudniło go nawet na etacie konsultanta medycznego, dzięki czemu spędzał kilka

dni w tygodniu po drugiej stronie muru i – jak widać – stał się szybko jednym z prominentów

kolonii na Delcie. Taki wizerunek średnio współgrał z wyobrażeniami Święckiego

o szefowaniu tajnej instytucji rządowej.

Grawiolot opadł wolno na jeden z podestów lądowniczych, a gdy jego wysuwane nogi

spoczęły na okrągłej kratownicy, ta opuściła się szybko do wnętrza przestronnego hangaru.

Kilka sekund później Henryan opuścił ciasną kabinę i stanął twarzą w twarz z otyłym

doktorem.

– Proszę za mną – rzucił Pallance, nie podając mu nawet dłoni. – A pan niech poczeka tutaj,

jeśli łaska – zwrócił się do Fitz.

Szef pionu badawczego wzruszył ramionami. On chyba też nie lubił tego człowieka. Być

może wie o nim więcej niż pozostali – pomyślał Henryan.

Przepuścili trójkę sanitariuszy eskortujących przenośną komorę stazy do stojącej na

sąsiednim lądowisku sanitarki i ruszyli w kierunku czekającej już windy, by zjechać nią

dwanaście pięter niżej. Poziom minus sześć – pomyślał Święcki. – Kto buduje na tak głębokim

zadupiu podziemne kompleksy szpitalne, zwłaszcza w czas pokoju?

Doktor ruszył przodem. Utykał lekko na lewą nogę, czego Henryan nie zauważył podczas

wcześniejszych spotkań. Pocił się także mocno, jakby nie nawykł do tak szybkich ruchów. Cały

kark i potylicę miał zroszone wielkimi, połyskującymi tłusto kropelkami. Może to nie do końca

objaw zmęczenia...

Za załomem sterylnej czystego łukowato sklepionego korytarza minęli drzwi zabezpieczone

skanerem genetycznym, potem trafili na drugie, identyczne. Za nimi znajdował się cel tej

krótkiej podróży; kilka kroków dalej trafili do niewielkiego, niemożliwie zagraconego

gabinetu z holowyświetlaczem zamiast okna – co w podziemnych kompleksach tego typu nie

było niczym dziwnym. Pallance opadł natychmiast na wygodny głęboki fotel, wskazując

gościowi nieco tylko skromniej wyglądające siedzisko po drugiej stronie blatu.

– Tutaj możemy mówić bez obaw – poinformował Henryana. – Nasi wubecy

zwinęli się już

godzinę temu, więc choć monitoring wciąż działa, nikt nie podejrzy ani nie podsłucha naszej

rozmowy.

– Przejdźmy zatem do rzeczy – poprosił Święcki, nie do końca wierząc w zapewnienia

lekarza.

Zdążył już postanowić, że będzie uważał na to, co mówi, i na wszelki wypadek nie poruszy

żadnego tematu związanego z wczorajszym spotkaniem.

– Oczywiście. – Doktor aktywował terminal, a potem przesunął wirtualny ekran

wyświetlacza nad blat i powiększył go czterokrotnie, by gość dobrze widział każdy szczegół

prezentowanych mu dokumentów.

To były rysunki, dość surowe i proste, ale na pewno nie nakreślone ręką dziecka. Na

każdym z nich Henryan widział znajomy, gruszkowaty, trochę nieforemny kształt.

– Niesamowite – mruknął, przerzucając kolejne pliki. Następne szkice okazały się jeszcze

ciekawsze. Przedstawiły dość szczegółowe, choć równie oszczędne w kresce przekroje

jakichś pomieszczeń: hangaru z wieżą, do której przycumowano wiele małych jednostek, plany

kolistych korytarzy i na samym końcu postać... anioła. – Dlaczego nie pokazał mi pan tych

obrazków wcześniej?

– Na śmierć o nich zapomniałem – wyznał doktor. – Dopiero wczoraj podczas kolacji,

kiedy omawialiśmy plany ewakuacji kolonii, zaczęło mi świtać, że znam skądś kształty

okrętów, które znalazły się w ostatnim biuletynie wydziału. Że już je gdzieś widziałem. No

i przypomniałem sobie o wszystkim. Nie mogłem jednak mówić o tym otwarcie przy tamtych,

rozumie pan?... – usprawiedliwił się na koniec, zawieszając znacząco głos.

No tak, my, żołnierze, i oni, cywile – zakpił w duchu Święcki.

– Skąd pan ma te rysunki?

– Jeden z moich pacjentów je narysował – odparł natychmiast Pallance.

– I jest pan pewien, że zrobił to niemal trzy miesiące temu?

– Całkowicie. Sam kazałem je zarchiwizować. Proszę spojrzeć na daty powstania tych

plików.

Henryan sprawdził. Faktycznie, wszystkie rysunki zarejestrowano w systemie ośrodka na

początku sierpnia, na długo przed pierwszym atakiem.

– Jak to możliwe?

– Nie mam bladego pojęcia. – Lekarz rozłożył ręce. – Dlatego zwróciłem się do pana.

– Kim jest ten człowiek?

– Jego dane osobowe zostały utajnione – wyjaśnił Pallance. – Dla nas był tylko numerem

siedemnaście.

Redukowanie ludzi do numerów źle się kojarzyło Święckiemu. Nagle to miejsce stało się

jeszcze bardziej... złowrogie.

– Przepraszam, że pytam, doktorze, ale gdzie my się właściwie znajdujemy?

– Kiedyś nazywano takie miejsca „czarnymi więzieniami”, kapitanie. Mogę powiedzieć

tylko tyle, że na oddział zamknięty trafiają tu ludzie, z których wyciągamy co trzeba, zanim

trafią do kolonii karnych albo pod sąd. Przeróżni terroryści, wywrotowcy i separatyści. Nie

uwierzy pan, jak wielu ludzi pociąga wciąż ta chora ideologia.

– Ulokowanie więźniów politycznych tuż za granicą prawie półmilionowej kolonii nie było

chyba najlepszym pomysłem – zauważył Henryan.

– Wręcz przeciwnie – skontrował doktor. – To idealne miejsce. Ulietta leży na samym

krańcu Rubieży. Wylatują stąd tylko ludzie wtajemniczeni... – Podniósł ostrzegawczo palec,

widząc, że kapitan otwiera usta. – Nie w ten projekt, tylko w układ pomiędzy Radą a EB. Cała

reszta kolonistów zapieprza na swoje utrzymanie, dziękując bogom i prezesom za to, że ich

rodziny po raz pierwszy w życiu widzą wschód słońca, mogą się kąpać w ciepłej

wodzie

i jeść coś więcej niż tylko pozbawioną smaku proteinową papkę. Poza tym szpital stanowi

świetną przykrywkę. Dzięki naszemu otwarciu na problemy kolonii ludzie święcie wierzą, że

to najzwyklejszy w świecie ośrodek dla weteranów.

Jak to mówią, najciemniej bywa pod latarnią – pomyślał Henryan, uznając, że nie ma sensu

drażnić tego tematu. Tym bardziej że czas naglił, a on miał znacznie ważniejsze rzeczy do

zrobienia.

– Wracając do naszego pacjenta, nie wie pan, dlaczego go tu umieszczono?

– Obawiam się, że nie. Zazwyczaj otrzymujemy wytyczne, to znaczy nie my, lekarze, tylko

czarni. W jego przypadku było tylko jedno zalecenie. Pełna izolacja.

– Nie zdziwiło to pana?

– Nie. Czasami miesiąc, a nawet tydzień całkowitego odosobnienia wystarcza, żeby

zmiękczyć nawet najbardziej zatwardziałego bandziora, ale...

– Tak?

– W jego przypadku było inaczej. Nigdy nie dostaliśmy nowych rozkazów, więc siedzi tam

już prawie dziewięćdziesiąt dni.

– Mogę z nim porozmawiać? – zapytał ostrożnie Święcki.

– Nie widzę problemu – odparł spokojnie Pallance. – Kazałem go już przygotować na

widzenie.

– To może potrwać... – zastrzegł Henryan.

Zdawał sobie sprawę, że ośrodek jest właśnie ewakuowany. Admiralicja wysłała po

pensjonariuszy swojej placówki niewielki okręt szpitalny, który przed godziną wszedł na

orbitę Deltę. Cały personel medyczny zajmował się więc przygotowaniem do transportu kilku

setek pacjentów z oddziałów jawnych, głównie żołnierzy i marynarzy, którzy przechodzili

rehabilitację po nieszczęśliwych wypadkach, o jakie nietrudno we flocie. Część z nich trafiła

już na lądowisko. Teraz sanitarki krążyły tam i z powrotem, przewożąc najcenniejszy sprzęt

i komory stazy z najciężej chorymi. Takimi jak ta, którą widział na lądowisku.

– Nie szkodzi. – Pallance machnął ręką. – Numer siedemnaście należy od tej chwili do

pana, kapitanie.

– Nie rozumiem – zachnął się Świącki. – Nie może mi pan przecież oddać tego człowieka ot

tak sobie. To więzień ściśle tajnego ośrodka admiralicji, oddany pod pańską kuratelę.

– Nie mogę, ale muszę. Gdyby nie te rysunki, pozbyłbym się go za mniej więcej godzinę.

– O czym pan mówi?

– W ciągu najbliższych sześćdziesięciu minut zakończymy ewakuację ośrodka.
Gdy personel

medyczny i towarzyszący im pacjenci zostaną przetransportowani na okręt
szpitalny, moi

ludzie zapakują więźniów w „trumienki” i wszyscy opuścimy ten system
zgodnie

z harmonogramem ustalonym przez admiralicję.

– Nie musi mi pan tego tłumaczyć. Wiem, jakie numery porządkowe wam
przydzielono.

– Proszę w takim razie zerknąć tutaj.

Wyświetlił własną skrzynkę odbiorczą, wybrał jedną z ostatnich wiadomości i
otworzył ją.

To była krótka odpowiedź na jego pytanie o pomyłkę w transferze więźnia
numer

siedemnaście:

„Co wy mi tu pieprzycie, Pallance? Przekazaliśmy wam szesnaście obiektów i z
tyloma

macie odlecieć na Numenor”.

* * *

Pokój przesłuchań był klaustrofobicznie ciasny i sterylnie czysty. W niczym nie
przypominał

szpitalnych wnętrz. Wszystkie ściany i sufit wyłożono szarym tworzywem
sztucznym. Nie było

tu imitacji okien, a jedyny rozsuwany czteroczęściowy właz pozbawiono od
wewnętrznej

strony panelu sterującego. Na środku pokrytej drobną kratownicą podłogi stał prosty szeroki

stół wyposażony w dwuwyswietlaczowy holoprojektor i najprostszy model konsoli

komunikatora.

Na metalowym krześle naprzeciw Henryana siedział zgarbiony szczupły młody mężczyzna

o owalnej twarzy i jasnych, bardzo krótko ściętych włosach. Wzrok miał zmacony, a jego

głęboko osadzone niebieskie oczy były nieustannie na wpeł przymknięte, jakby morzył go sen.

Pallance uprzedzał, że strażnicy podali numerowi siedemnastemu środki uspokajające –

każdy więzień, który opuszczał celę, musiał być poddany podobnej procedurze. Działanie

zastrzyku powinno jednak już minąć.

– Jestem kapitan Świącki – przedstawił się Henryan, gdy powieki chłopaka powędrowały

w końcu w górę. – Jak mam się do ciebie zwracać?

– Numer siedemnaście – wychrypiał z trudem więzień.

Widać było, że ma problemy z mówieniem. Niekoniecznie spowodowane lekami.

– Nie masz nazwiska?

– Mam.

– Podaj mi je w takim razie. Chcę z tobą rozmawiać jak człowiek z człowiekiem.

Numer siedemnasty odkaszlnął głośno, by oczyścić krtań.

– Jakbyś tego nie wiedział... – mruknął, przełknąwszy flegmę.

– Nie jestem wubekiem – zapewnił go Świącki, choć wątpił, by więzień uwierzył mu na

słowo. – Przyszedłem tutaj, ponieważ poinformowano mnie, że możesz wiedzieć o czymś, co

bardzo mnie interesuje.

– On cię tu przysłał? – Te słowa były już wyraźniejsze.

– Nikt mnie nie przysłał. Chyba że mówimy o lekarzu nazwiskiem Pallance, szefie tej

placówki.

– Pallance? – Więzień pokręcił głową po chwili zastanowienia. – Nie znam nikogo takiego.

– Nieważne. – Świącki zaczynał się irytować, ale wiedział, że nie może tego okazać. Ta

sprawa była zbyt ważna, by ją spieprzyć. – Zacznijmy jeszcze raz. Poznałeś już moje

nazwisko, zrewanżuj mi się swoim.

Numer siedemnasty milczał, wpatrując się uważnie w twarz siedzącego naprzeciw niego

oficera.

– Po co ten cyrk? – zapytał. – Przecież powiedziałem już wszystko, co chcieliście wiedzieć.

– Wybacz, chłopcze, ale nie wiem, o czym mówisz. – Henryan postanowił ominąć

wprowadzenie i przejść od razu do sedna. – Nie mam pojęcia, kim jesteś ani za co tutaj

trafiłeś, i szczerze mówiąc, niespecjalnie mnie to interesuje. – Aktywował konsolę, włączając

wyświetlacz holoprojektora, na którym pojawiały się kolejno szkice liniowca. – Wiesz, co to

jest?

Numer siedemnasty pokręcił głową.

– Nie.

Zareagował za szybko i za nerwowo – uznał Henryan. Pallance miał rację: długie

odosobnienie miesza ludziom w głowie do tego stopnia, że nie kontrolują swoich reakcji

i emocji. Nawet ślepiec zauważyłby, że więzień kłamie.

– To twoje rysunki.

– I co z tego? – Numer siedemnasty wzruszyłby ramionami, gdyby pozwalały na to

elektromagnetyczne więzy. – Nie pamiętam, żebym coś takiego nabazgrał.

– Myślę, że doskonale wiesz, o czym mówię – oświadczył Święcki, włączając drugi

wyświetlacz, tym razem po lewej. Na nim obaj mogli zobaczyć moment starcia eskadry

Khumalo z liniowcami. Nie okrojony materiał, ale pełne nagranie, którym dysponował tylko

sztab metasektora.

Chłopak zareagował dokładnie tak, jak spodziewał się tego Henryan. Zbladł, na jego czole

i ciemieniu pojawił się perlisty pot. Gapił się w nagranie z otwartymi ustami, jakby nie

wierzył własnym oczom. Gdy Święcki nacisnął klawisz i eksplodujące okręty zastygły nad

matowym blatem, jego rozmówca nawet nie drgnął.

– Co to jest? – zapytał drżącym głosem dopiero po dłuższej chwili. – Co to za nagranie?

– Sądząc po tych szkicach, wiesz więcej ode mnie, chłopcze – warknął Henryan, wskazując

na drugi wyświetlacz. Nauczył się od brata, jak przyciskać ludzi, i postanowił zrobić teraz

z tej wiedzy użytek. – Ale zacznijmy od początku. Jak się nazywasz?

Więzień spojrzał na niego z wyrzutem.

– Stachursky. Nike Stachursky.

– Nike? – zdziwił się Święcki. – Pochodzisz z Ziemi?

– Nie. To wbrew pozorom normalny dwumian. Nik-Ike...

Święcki wpisał jego dane do komunikatora połączanego z bazami danych ośrodka, a więc

i admiralicji. Na niewielkim monitorze, którego jego rozmówca nie mógł zobaczyć, zobaczył

folder z aktami. Rysy twarzy zgadzały się, aczkolwiek chłopak na zdjęciu ważył pewnie

z dziesięć kilogramów więcej i był uśmiechnięty. Wiek dwadzieścia siedem lat. Trzeci wynik

na roku, przydział do Korpusu Utylizacyjnego. Od kiedy to akademia oddelegowuje prymusów

do zbierania śmieci?... Ta myśl wydała mu się niepokojąca, ale na razie odsunął ją od siebie.

Praktyka na FSS Nomada, pierwsza misja w systemie New Rouen, w Sektorze Victor. I na tym

kończyła się kartoteka. Ostatnie słowa były raczej kategoryczne. Poległ w czasie służby. Link

prowadził do raportu, w którym oficer nazwiskiem Morrissey opisał ze szczegółami przebieg

feralnego wypadku. Stachursky, Bourne i dwaj kadeci trenowali awaryjne odpalanie kapsuł

ratunkowych. Któryś z nich, zapewne omyłkowo, wprowadził prawdziwą sekwencję startową

i odpalił urządzenie prosto w skupisko wraków. Kapitan i dwaj inni członkowie załogi

potwierdzili, że lecąca z dużą prędkością kapsuła zderzyła się wielokrotnie z wrakami, po

czym najprawdopodobniej eksplodowała. Stachursky zginął na miejscu; Bourne, który zdążył

się katapultować, wciąż nieprzytomny przebywa w szpitalu na Kassel 6. Na kolapsarowcach

takie wypadki nie należały do rzadkości – zwłaszcza wśród praktykantów, którzy zazwyczaj

nie należeli do najszybszych.

Henryan przeniósł wzrok na chłopaka: ten wciąż wlepił oczy w zatrzymany obraz, na

którym liniowiec Obcych wylatywał zza kuli plazmy, w jaką zamieniał się zniszczony

pancernik. Miał przed sobą człowieka, który bez cienia wątpliwości został wykreślony

z rejestru floty jako kolejna ofiara dawno zakończonej wojny.

– Dobrze, Nike... A teraz powiedz mi, co wiesz o okrętach, które tak udatnie naszkicowałeś.

Więzień przełknął głośno ślinę. W jego oczach widać było już tylko strach.

– I tak mi pan nie uwierzy – powiedział, po tym jak już zebrał myśli.

– Chcesz się założyć? Odpowiadaj!

– W czasie misji oczyszczania Bety New Rouen zauważyłem drugie skupisko, w dołku

Lagrange'a nad Thetą. Poleciliśmy to sprawdzić... – Przerwał, na jego czole pojawiła się

druga fala potu. Wspomnienia nie należały do najweselszych. – Znaleźliśmy tam taki okręt.

Uszkodzony, dryfujący w chmurze szczątków od około czterdziestu tysięcy lat, jak się później

okazało... – Henryan najpierw zrobił wielkie oczy, a potem pokiwał głową, zachęcając

więźnia, aby mówił dalej. – Weszliśmy na jego pokład, to był pomysł tego skurwyklona,

naszego kapitana – zastrzegł się pośpiesznie Stachursky. – Ja byłem przeciwny, ale mnie

prze...

– To teraz nieważne, skupmy się na temacie – poprosił Święcki.

– Pod jedną z tych kopuł – Nike wskazał charakterystyczne wybrzuszenia w dziobowej

części liniowca – było wielkie wgłębienie, a w nim coś na kształt hangaru. Zrobiłem kilka

szkiców wieży cumowniczej, którą w nim znaleźliśmy... – Odwrócił się do drugiego ekranu,

odczekał chwilę i wskazał właściwy szkic. – Przez jedną ze śluz dostaliśmy się do systemu

korytarzy... – Przesunął palcem po elementach rysunku i zamilkł na dłużej.

– I co?

– Zmapowaliśmy wszystko... układ korytarzy też chyba narysowałem... a na sam koniec

trafiliśmy do komory hibernacyjnej. Był w niej wciąż żywy ma'lahn.

– Żywe co?

Nike wskazał brodą na rysunek anioła.

– On.

– To jakiś żart?

– Nie. – Chłopak spuścił wzrok.

– Chcesz powiedzieć, że zaatakowały nas anioły?

Tym razem odpowiedzią było skinienie głowy.

– Mówiłem, że mi pan nie uwierzy. A jeszcze nie doszedłem do najlepszego.

Henryan odchylił się na krześle. Początek był obiecujący, ale z każdym kolejnym zdaniem

schodzili głębiej w odmęty absurdu. Zaczynał podejrzewać, że ma do czynienia z człowiekiem, który przeżył tak ogromną traumę, że po prostu zwariował i nie odróżnia już

wymysłów od prawdy. Postanowił jednak wysłuchać tej opowieści do końca, ponieważ

wiedział, że kryje się w niej ziarno prawdy – rysunki odzwierciedlały przecież co do joty

wygląd liniowców Obcych. Trzeba tylko umiejętnie pokierować tym chłopakiem, a następnie

oddzielić fakty od rojeń chorego umysłu.

– Przepraszam, zaskoczyłeś mnie tym stwierdzeniem. Mów dalej, proszę. Postaram się nie

przerywać.

– Powiem panu teraz coś, co zabrzmii tak niewiarygodnie, że ja na pana miejscu uznałbym

rozmówcę za wariata, ale proszę mi wierzyć, to najczystsza prawda. Biblijne anioły

nieprzypadkowo wyglądają jak istota z mojego szkicu. Gdyby miał pan nieco lepsze

wykształcenie, nazwa, którą podałem, także wydałaby się panu znajoma – rzucił kąśliwie, lecz

Święcki zignorował przytyk. – Wiele tysięcy lat temu widywaliśmy je dość często, ponieważ

to one były naszymi pasterzami. Tak, to słowo jest chyba najodpowiedniejsze. Wszystko,

czego nas uczono o pochodzeniu człowieka, to bzdury i kłamstwa, kapitanie.

Wie pan, jak

wygląda prawda? To ma'lahn sprowadzili naszych praprzodków na Ziemię.
Kolebką

ludzkości była jedna z należących do nich ferm, na których hodowano nas jak
bydło,

oczywiście na rzeź. – Sądząc po kpiącym uśmiechu więźnia, Świącki musiał
mieć nietęgą

minę. – Właśnie tak, kapitanie, to nie wymysł mojej chorej wyobraźni. W
ładowni tego statku

znaleźliśmy dziesiątki tysięcy zamrożonych i wypatroszonych humanoidów.

– Wyszuliście takie wnioski na podstawie starożytnych podań i humanoidalnych
póltusz? –

nie wytrzymał Henryan.

– Nie, kapitanie. Nie musieliśmy snuć domysłów. Mordarmat opowiedział nam
o wszystkim.

– Kto?

– Ten ma'lahn, którego obudziliśmy.

– Rozumiem.

– Nie, kapitanie Świącki, proszę mnie nie oszukiwać, nie zrozumiał pan nic i nie
uwierzył

pan w ani jedno moje słowo, może prócz wstępu, bo skądś musiałem przecież
wiedzieć, jak

wygląda ten okręt przestrzenny. Od razu założyliśmy, mówię teraz o załodze
Nomady, że nikt

nam nie uwierzy, więc nie zgłosiliśmy tego incydentu i zachowaliśmy dla siebie

wszystkie

szczegóły. To jest tak popieprzone, że nawet ja sam mam czasami wrażenie, iż lot na Thetę był

wyjątkowo durnym snem.

Henryan musiał przyznać, że to bardzo celna uwaga. Przed momentem chciał wyłączyć

komunikator i po prostu wyjść. Wyjątkowo durny sen to mało powiedziane – pomyślał. –

Raczej najbardziej kretyńska opowieść, jaką w życiu słyszałem. Poza tym totalnie nielogiczna

i nie trzymająca się kupy.

– Skupmy się na tym okręcie – poprosił, opanowując nerwy. – Co jeszcze możesz nam o nim

powiedzieć?

Nike się zamyślił.

– To, co zaraz powiem, wyda się panu jeszcze bardziej popieprzone – rzucił rozbawiony,

ale szybko spoważniał. – Tak naprawdę to nie okręt, tylko otoczona pancerzem żywa istota,

która...

Święcki drgnął. Powinien parsknąć śmiechem, ale zanim zdążył poruszyć kącikami ust,

przypomniał sobie informacje o tym, jak załogi liniowców zareagowały na atak głowicami

nuklearnymi. Jeśli Nike nie kłamał...

– Moment – przerwał mu. – Chcesz powiedzieć, że ten okręt ma własną wolę?

– Tak bym tego nie ujął, ale na pewno potrafi działać autonomicznie. Tam, na New Rouen,

to właśnie on wpuścił nas na pokład.

– Wpuścił?

– Tak. Jego ekrany były wciąż aktywne, ale już bardzo słabe. Nie uwierzy pan pewnie, ale

ma'lahn używają pól absorpcyjnych – dodał obojętnym tonem, choć musiał zdawać sobie

sprawę, że to bardzo istotny szczegół. – Gdy zaczęliśmy bombardować wrak szczątkami

z dołka, nagle jedna z kopuł stanęła otworem i tak dostaliśmy się do hangaru. Potem, we

wnętrzu, kiedy mapowaliśmy układ pomieszczeń, zauważyliśmy coś dziwnego. Kontury

w pewnym momencie przestały się zgadzać, jakby korytarze były ruchome. Co więcej, okazało

się, że niektóre z nich mogą się zasklepić, jakby całość była wykonana z masy plastycznej.

Musieliśmy się przepalić przez jedno z takich zamkniętych przejść...

Święcki był coraz bardziej zdezorientowany. Wszystko wskazywało na to, że chłopak

naprawdę miał kontakt z liniowcem Obcych. Gdyby zmyślał, nie wiedziałby przecież o polach

absorpcyjnych, gdyż na razie była to ściśle tajna teoria. Czyżby więc i reszta jego opowieści

mogła być prawdziwa? Trzeźwy umysł kapitana nie potrafił zaakceptować myśli, że jacyś

Obcy o wyglądzie aniołów hodowali jego praprzodków na mięso. Chociaż... czy to nie

tłumaczyłoby ich obecnego zachowania? Skoro zwierzyna wymknęła im się spod kontroli,

naturalne było, że... Daj spokój, człowieku – napomniiał się w myślach. – To nie może być

prawda. Nike przeżył koszmar, który namieszał mu w głowie do tego stopnia, że nie jest

w stanie odróżnić prawdy od fikcji.

Na wszelki wypadek jednak wszystko sobie zanotował.

– Dobrze – rzucił, skończywszy pisać. – Chyba rozumiesz, że na słowo nikt ci nie uwierzy?

– Wyobrażam sobie – mruknął Nike.

– Czy masz zatem jakiegokolwiek dowody na potwierdzenie tych rewelacji? – zapytał

Święcki.

– Nie.

Henryan opadł na oparcie krzesła.

– No to mamy problem.

– Macie – zakpił Stachursky.

– Mylisz się – odparł Święcki, także szczerząc zęby. – My mamy, ty i ja.

– A to niby dlaczego?

– Pozwól, że ci coś wytłumaczę. Znajdujemy się na Delcie Ulietty, w pasie minus trzy

Rubieży. W systemie, który zostanie zaatakowany przez Obcych za mniej więcej dwadzieścia

godzin. Mój problem polega na tym, że dowodzę akcją ewakuacyjną i nie bardzo widzę szanse

na ocalenie wszystkich kolonistów, twój natomiast jest taki, że szpital znajdujący się na

wyższych kondygnacjach tego kompleksu ziele pustkami. Personel i pacjentów przeniesiono

już na okręt szpitalny admiralicji. Tylko ciebie, chłopcze, nie było jakoś na liście osób

uprawnionych do opuszczenia tej planety.

Nike nadal uśmiechał się kpiąco, ale jakby z mniejszą pewnością siebie.

– Ludzie, którzy mnie tu wsadzili, byliby zdolni do takiego okrucieństwa – przyznał ze

smutkiem.

– O kim mówisz? – zainteresował się Henryan.

Stachursky westchnął ciężko.

– Jaki właściwie jest mój obecny status? – zapytał.

– Trudno powiedzieć – odparł spokojnie kapitan. – Jeśli uznam cię za niepoczytalnego,

zginiesz za dwadzieścia godzin, wciąż siedząc na tym krześle.

– Miło mi to słyszeć.

– Ale jeśli zaczniesz mówić z sensem i dasz mi informacje, które mogą pomóc

flocie,

zabiorę cię stąd.

– I co dalej? Trafie znowu w ręce admiralicji, a ta każe mnie wsadzić do podobnej dziury,

albo jeszcze lepiej, wypadnę przypadkiem przez luk ewakuacyjny, który otworzę sobie, mając

spętane nogi i ręce.

– Nie wszyscy w admiralicji są skurwyklonami – zapewnił go Święcki.

– Polemizowałbym – mruknął Nike.

– Zaczniemy od początku. Skoro prezentację mamy za sobą, powiedz mi, za co trafiłeś do

tego więzienia.

– Załoga Nomady nie tylko czyściła orbity ze śmiecia, ale też dorabiała sobie na boku,

rozsabrowując co ciekawsze wraki – zaczął z pewnymi oporami Stachursky. – Może pan tego

nie wiedzieć, ale na New Rouen doszło do bitwy pomiędzy flotą separatystów a korpusem

ekspedycyjnym admirała Taho...

– Znam historię – przerwał mu Henryan. – Przejdź do rzeczy.

– Weszliśmy do wraku Odyna, okrętu flagowego Tahomeya. Morrisey był opętany chęcią

zdobycia osobistych pamiątek po...

– Do rzeczy! – ponaglił go Święcki.

– Przy jednym z martwych oficerów znalazłem dziennik, w którym spisano bardzo ciekawą

historię z czasów wojny domowej... – Nike się zawahał. – W każdym razie jeden z naszych

wielkich i żyjących wciąż bohaterów wojennych został w niej przedstawiony przez świadka

pewnych wydarzeń w bardzo niekorzystnym świetle.

– Ta wojna skończyła się ponad sto lat temu – wtrącił Henryan. – Ludzie w nią zaangażowani już dawno... – Wtem przypomniał sobie, że nie ma racji. Był przecież wyjątek.

– Mówisz o admirale Dreade-Ravenore?

– Tak, mówię o tym wrednym skurwyklonie.

– To on cię tutaj wsadził? – zapytał z niedowierzaniem kapitan.

– Nie. Po powrocie z New Rouen napisałem raport, pomijając rzecz jasną drogę służbową.

Skierowałem go bezpośrednio na ręce kanclerz Modo i dwóch pozostałych członków Rady.

Trzy dni po jego wysłaniu zostałem aresztowany i przewieziony do siedziby wubecji. Tam

wyciągnięto ze mnie, nie tylko metodami farmakologicznymi, gdzie został ukryty dziennik

majora Visolaja i wszystkie pozostałe kopie zapasowe. Potem zapakowano mnie do komory

stazy i... ocknąłem się dopiero w tym kompleksie. Pozwoli pan więc, że nie będę podzielał

pańskiego zaufania do przełożonych.

– Pozwolę – mruknął Świącki, czując, że coś mu w tej historii nie pasuje. W końcu

zlokalizował problem. – To nie był twój pierwszy konflikt z Dreddem? – zapytał.

– Zgadza się – potwierdził Stachurski.

– Dlaczego w ogóle taki prymus jak ty trafił na kolapsarowiec?

– W akademii zgłębiałem nie te tematy co trzeba – odpowiedział enigmatycznie Nike.

– Szukałeś haków na Dredda? – zdziwił się Świącki.

– Nie, kapitanie. Pieprzyłem jego najmłodszą córeczkę.

– Uuu – jęknął Henryan. – Grubo.

– Tak wyszło. Siłą jej nie brałem.

– I cudownym zrządzeniem losu trafiłeś podczas pierwszej misji na obciążające go

dokumenty.

– Szczęśliwe zbiegi okoliczności czasem się zdarzają, kapitanie.

– Czasem – powtórzył nieobecny tonem Świącki, zastanawiając się, ile z tej opowieści

może przekazać Rutcie, żeby nie wyjść na głupca. Jak dotąd nie było tego wiele.

– Co ze mną zrobicie?

Pytanie więźnia wyrwało Henryana z zamyślenia. Nie miał bladego pojęcia, co zrobić z tym

chłopakiem. Wywiezienie go z Ulietty mogło spowodować ogromne zamieszanie, jeśli

naprawdę został tu zesłany przez kogoś z Rady. Na pewno nie był to rutynowy areszt – o czym

świadczył choćby brak dokumentacji dotyczącej jego transferu. Jak mu więc pomóc? Kapitan

Święcki był za cienki na tak wysokie szarże. W dodatku sam miał już drugą podpadziochę na

koncie. Musiał zwrócić się do przełożonego, ale ten wyśmieję go przecież, jak tylko usłyszy tę

niedorzeczną historię o aniołach i hodowaniu ludzi na mięso. Szczególnie że nie istniały żadne

dowody na jej poparcie. Gdyby jednak Stachursky zrezygnował z opowiadania największych

bredni, pułkownik może byłby skłonny zaoferować mu jakiś rodzaj protekcji w zamian za

ujawnienie wszystkich szczegółów technicznych odkrytego wraku. Ale czy Nike zdoła się

pohamować?

– Spróbuję ci pomóc – odezwał się Henryan, wolno cedząc słowa. – Posłuchaj mnie teraz

bardzo uważnie...

=== =

PIĘĆ

Fitz zerwał się z płyty lądowiska, gdy zobaczył w kabinie windy znajomą sylwetkę.

W opustoszałym hangarze stał już tylko jego grawiolot. Pozostałe stanowiska były puste,

a posadzkę niższego poziomu zaścielały tony śmieci pozostawionych przez ewakuujących się

pośpiesznie medyków.

– Gdzie pana wcięło na tak długo? – zapytał i przenosząc wzrok na wychodzącego z windy,

rozglądającego się ciekawie młodego mężczyznę, zaraz dodał: – A ten delikwent skąd się tu

wziął? Zaspał na transport?

– Nie. Pallance przekazał mi go przed odlotem – rzucił zwięźle Henryan. – Zabieramy go do

wieży.

– Nie ma sprawy. – Olivernest przyjrzał się Stachurski'emu z większym zainteresowaniem,

gdy ten mijał go nieco chwiejnym krokiem, nie mówiąc ani słowa.

Szef pionu badawczego wiedział, że kapitan, choć niechętnie nastawiony do doktorka,

zmienił zdanie po obejrzeniu jakiegoś przekazu. A kluczem do tajemnicy, która zmusiła ich do

przylotu tutaj, był zapewne ten milczący chłopak.

Wsiedli do maszyny i wystartowali, ledwie włączył się z cichym sykiem. Fitz nie

należał do najlepszych pilotów, najpierw więc przeciążenie wcisnęło ich w fotele podczas

wznoszenia, potem poczuli, jak zmienia się wektor przyśpieszenia. Tym razem weszli na

znacznie wyższy pułap.

– Skąd ten pośpiech? – zapytał Świącki, gdy już odzyskał oddech.

– Nie było pana prawie godzinę, kapitanie – odparł Fitz. – W tym czasie sporo się

wydarzyło. Pański adiutant ze trzydzieści razy dobijał się na mój komunikator.

– Dlaczego nie próbował się połączyć ze mną? – zdziwił się Świącki.

– Tam, gdzie pana poniosło, nie było zasięgu. Wiem, bo sam parę razy chciałem panu

przekazać, że sztab metasektora żąda natychmiastowej rozmowy. Próbowałem nawet zjechać

na dół, ale tam – wskazał głową za siebie – bez identyfikatora można co najwyżej

pospacerować po hangarze. Pallance też mnie zbył, gdy opuszczał szpital. Kazał mi czekać

i uzbroić się w cierpliwość. – W jego głosie dało się słyszeć lekką urazę.

– Powiedział pan, że sporo się wydarzyło. O czym jeszcze, prócz wezwania ze sztabu,

powiniennem wiedzieć?

– Dupree zrozumiał właśnie, że zwiększona masa habitatów oznacza konieczność dłuższego

ładowania ejektorów.

– O ile?

– Dwadzieścia do trzydziestu sekund.

– Kurwirtual.

Niespełna pół minuty – pomyślał Henryan – niby nic, a jak wielką różnicę zrobi. Jeśli

eskadra nie zdoła kupić dodatkowego czasu i wystrzelił puste habitaty, kolejne pięć

kontenerów rudy nie trafi na orbitę. Tę admiralicja już nie daruje...

Powiedział o swych przemyśleniach Fitzowi, po czym zastanawiali się przez dłuższą

chwilę, jak rozwiązać tę sytuację.

– Kapitanie?

Nie od razu zareagował na cichy głos Stachursky'ego. Odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy

chłopak chrząknął znacząco.

– Słucham.

– Ta ewakuacja to naprawdę nie ściema?

– Dlaczego miałbym cię okłamywać? – burknął rozeźlony Święcki.

Więzień nie odpowiedział, przyglądał się przez wizjery przemykającemu w dole oceanowi

zieleni i widocznej w oddali kolonii, z której w niebo wznosił się właśnie kolejny

transportowiec.

– Oni różne podchody robili – bąknął Nike.

Henryan pokręcił głową z rezygnacją i wpatrzony przed siebie rzucił:

– Wszystko, co ci powiedziałem, to najczystsza prawda.

Zbliżyli się do pasa wody, który dzielił ich od kolonii i stojącej po jej przeciwnej stronie

wieży zarządu. Fitz zaczął zwalniać i schodzić z pułapu, żeby oszczędzić im

kolejnych

męczarni przy ostrym hamowaniu.

– Ten dowód, o który pan pytał... – odezwał się znowu Nike.

Święcki odwrócił się do niego gwałtownie.

– Tak?

– Chyba wiem, jak go znaleźć.

– Przed chwilą twierdziłeś, że nie istnieje.

– Przed chwilą uważałem, że to oni pana nasłali.

Olivernest spojrział znacząco na kapitana. Dyskretnie, żeby siedzący za nim pasażer nie

widział jego wymownej miny. On też, po kilku tylko zdaniach, uznał, że chłopak jest niespełna

rozumu.

– Mów, co masz powiedzieć, byle szybko, bo zaraz po wylądowaniu czeka mnie rozmowa

z przełożonym, lepiej więc, żebym miał coś na usprawiedliwienie swego długiego zniknięcia.

– Powiem panu, gdzie ewentualnie może się znajdować przeoczona przez Dredda kopia

dziennika majora Visolaja, a może nawet część materiałów dotyczących spotkania na New

Rouen. Ale najpierw dam panu coś lepszego. – Stachursky zaczerpnął tchu. – Jeśli dobrze

zrozumiałem, waszym największym problemem jest niemożność wysłania na orbitę konkretnej

ilości rudy helonu?

– Owszem, ale co to ma wspólnego z twoją sytuacją?

– W sumie nic – Stachurski wzruszył ramionami – z tym, że wiem, gdzie można znaleźć

kilka milionów ton tego surowca. I to nie rudy, ale czystego metalu.

=== =

SZEŚĆ

System Anzio, Sektor Zebra,

24.10.2354

Rutta siedział przez dłuższą chwilę, gapiąc się w miejsce, gdzie jeszcze przed momentem

widział lekko rozmazany hologram Henryana Świąckiego. Nadal nie mógł uwierzyć w to, co

usłyszał. To było tak proste, że aż genialne. Ale czy prawdziwe?

Wcisnął klawisz komunikatora, by wywołać centrum dowodzenia.

– Mówi pułkownik Rutta – rzucił w kierunku projektora, gdy pojawiła się na nim twarz

oficera dyżurnego. – Kapitanie Seidici, potrzebuję na wczoraj rejestry Korpusu

Utylizacyjnego, ze szczególnym uwzględnieniem danych dotyczących usuwania skutków wojny

domowej.

– Za jaki okres?

– Ostatnie dwa lata. Nie, czekajcie, wystarczy ostatnie dwanaście miesięcy.

Seidici sprawdził coś w swoim komputerze, po czym znów podniósł wzrok.

– Nie mamy takich plików na naszych serwerach.

– Nie dziwię się, te operacje prowadzono w sektorach zewnętrznych. Musicie o nie

poprosić sztab drugiej floty.

– Rozumiem, pułkowniku. Zaraz wystąpię o udostępnienie tych dokumentów.

Kapitan sięgnął do wyłącznika.

– Chwileczkę. Zanim się tym zajmiecie, połączcie mnie pilnie z dowództwem wydziału

bezpieczeństwa drugiej floty. Chcę mówić z porucznikiem Gunternelem Poetzem. Niech go

zbudzą, jeśli zajdzie taka potrzeba, albo ściągną z baby. Ma być po drugiej stronie łącza

najdalej za kwadrans.

– Tak jest.

W kajucie Rutty znów zapanował przyjemny półmrok, ale nie potrwał długo. Pułkownik

znów włączył komunikator. Tym razem wybrał tylko fonię.

– Farland, słucham. – Wielki admirał był mocno poirytowany.

Monity zaniepokojonych prezesów korporacji, via admiralicja, mogły wyprowadzić

z równowagi każdego.

– Theo, to ja – rzucił Rutta. – Mógłbyś wpaść do mnie na momencik? Musimy pogadać.

– Coś się stało?

– Być może.

– Nie igraj ze mną, Franciscollin, jestem tak podminowany, że gdybym miał pod ręką broń,

tobym wystrzelał pół sztabu – wypalił Farland.

– Święcki próbował podobnej opcji i marnie na tym wyszedł – zażartował pułkownik, by

rozładować napięcie.

– Nie przypominaj mi o tym draniu – warknął wielki admirał.

– Właśnie o nim chciałem z tobą porozmawiać. Bez świadków.

– Znowu coś nawywijał? Dlatego nie mogłeś go namierzyć?

– Wręcz przeciwnie, przyjacielu. Wręcz przeciwnie. Niewykluczone, że uratował nam

wszystkim tyłki, ale żeby to sprawdzić, będę potrzebował czasu i być może też kogoś

z wyższym stopniem dostępu.

Farland powiedział coś niezrozumiale na boku, zwracając się do kogoś innego.

– Zaraz przyjdę – rzucił sekundę później do Ruty. – Tylko ogarnę ten burdel.

* * *

Pół godziny później akta korpusu znalazły się na terminalu Ruty. Pułkownik miał rację:

druga flota nie zamierzała udostępnić mu ściśle tajnych dokumentów dotyczących jej operacji.

Dopiero interwencja wielkiego admirała umożliwiła pokonanie tej przeszkody –

a warto było

zadać sobie trochę trudu. Informator Świąckiego miał rację. Rutta widział to teraz jak na

dłoni. Na polach dawno zapomnianych bitew czekały na nich miliony ton najczystszej helonu.

Sondy Korpusu Utylizacyjnego skatalogowały sto czternaście skupisk kosmicznego złomu,

z czego osiemdziesiąt cztery zostały już usunięte, a szesnaście kolejnych potraktowano

kolapsarami i wysłano niedawno w podróż ku gwiazdom centralnym systemów, o które ludzie

walczyli przed ponad stu laty. Ten metal można było wciąż odzyskać, podobnie jak zawartość

całej reszty wrakowisk, czekających na swoją kolej w dołkach Lagrange'a.

Pułkownik zatarł ręce i spojrzał tryumfująco na hologram wielkiego admirała.

– Popatrz na Eden 67 – rzucił, wybierając jeden z załączników. – Szacowana masa skupiska

to siedem przecinek siedemdziesiąt pięć miliona ton złomu, z tego, według analiz widma,

niemal milion dwieście tysięcy ton najczystszej helonu.

Farland pokiwał głową.

– A to ci skurwyklon – mruknął. – Jak on to robi?

– Mówiłem ci! – Rutta zaśmiał się radośnie. – Facet jest narwany, ale ma łeb na karku.

– Dobrze, a co z tą drugą sprawą? – Wielki admirał zmienił temat.

– Na razie cisza, ale to musi potrwać. Wiesz, jak jest. Xiao to asekurant, nie podejmie

decyzji bez setek niepotrzebnych konsultacji.

– Nie chodzi mi o wysłanie zespołu uderzeniowego na Uliettę, tylko o tę robotę, którą

zleciłeś czarnemu.

– Sprawa w toku. Na szczęście Nomada jest teraz w dokach głównej bazy Terytoriów

Wewnętrznych, więc Poetze załatwi to osobiście.

– Daj mi znać, jak tylko się odezwie. – W głosie Farlanda pojawiła się nuta niepokoju.

Działania operacyjne na terytorium należącym do dowództwa innego metasektora zawsze

były ryzykowne. Admirałowie nie cierpieli, gdy ktoś zaczynał się bawić na ich terenie.

Zwłaszcza jeśli robiono coś bez ich wiedzy, i to rękami podwładnych.

– Nie masz się czego obawiać. Poetze to też zawodowiec.

=== =

SIEDEM

System Duluth, Sektor Kilo,

24.10.2354

Cylindryczny wagonik mijał kolejne stanowiska, przesuając się wolno wewnątrz jednego

z szesnastu torów biegnących wzdłuż ażurowego ramienia cumowniczego.

Podróż

z gigantycznego torusa, w którym mieściły się główne magazyny drugiej floty, do ostatniego

stanowiska, oznaczonego numerem K38, i czekającego na nim Nomady, trwała niemal

kwadrans. W tym czasie noszący ciężkie skafandry próżniowe pasażerowie musieli pokonać

cztery i pół kilometra toru – a było to i tak jedno z najkrótszych ramion stacji orbitalnej typu

Omega; ośmio- i dziesięciokilometrowe pirsy zarezerwowano wyłącznie dla największych

okrętów wojennych.

Poecie i towarzyszący mu dwaj podoficerowie widzieli je w oddali – przy sąsiednich

ramionach roilo się od majestatycznych cygar pancerników czwartej generacji i krótszych,

bardziej pękatych krążowników. Jednostki te przechodziły okresowe przeglądy albo odbierały

zaopatrzenie przed zbliżającym się odlotem na Rubieże.

Widok tyłu potężnych okrętów podnosił na duchu. Patrząc na nie, porucznik czuł dumę

z faktu, że jest żołnierzem floty, człowiekiem podróżującym do odległych gwiazd, jednym

z trybików niepokonanej do tej pory armady. Szczerze powiedziawszy, nadal nie mógł

uwierzyć, że ta potęga trafiła w końcu na wroga, który okazał się jeszcze silniejszy. Obcy,

kimkolwiek byli, upokorzyli trzecią flotę, a właściwie tylko jedną z jej eskadr, lecz kiedy

staną twarzą, czy co oni tam mają, w twarz z połączonymi flotami Federacji, poznają, czym

jest gniew i desperacja człowieka.

Poetze zaśmiał się pod nosem. Niewiele wiedział o toczonej setki lat świetlnych od Anzio

wojnie. Dowództwo ograniczyło przepływ informacji do minimum, aby nie siać paniki na

niezagrożonych światach w pozostałych metasektorach. Tak miało być do momentu

opanowania kryzysu. Cała łączność kwantowa w granicznych pasach została objęta pełną

cenzurą. Ruch międzysektorowy także został ograniczony do niezbędnego minimum. O toczącej

się wojnie dowiadywali się więc jedynie wtajemniczeni, ewakuowani mieszkańcy

zagrożonych systemów oraz kolonie, do których docierały konwoje z przesiedlaną ludnością.

To była zrozumiała, a nawet akceptowalna taktyka, zwłaszcza że flota szykowała się do

potężnej kontrofensywy. Poetze wierzył niezachwianie, że jej sukces diametralnie zmieni układ

sił na skraju znanej przestrzeni. Pokazanie heroicznych zmagania, w których częściej się jest

górami, a rzadziej dołami, nie będzie dla opinii publicznej tak deprymujące jak próby opisanie

totalnego chaosu i desperackiej ucieczki przed nieznanym, a co gorsza, niepokonanym

przeciwnikiem. Porucznik żałował tylko, że zbyt wcześnie znalazł się w gronie osób

wtajemniczonych. Większość załóg okrętów, na które patrzył teraz z taką dumą, żyła w błogiej

niewiedzy. O prawdziwym celu kolejnej wyprawy oficerowie, żołnierze i marynarze

dowiedzą się, dotarłszy do wyznaczonych systemów Rubieży.

Gdy wagonik zaczął zwalniać, porucznik oderwał wzrok od otoczonego setkami maszyn

i dron pancernika, na którym wymieniano generatory pola siłowego na nowsze, wydajniejsze

modele, i spojrzął w drugą stronę na rosnące w oczach zarysy kanciastego kolapsarowca. To

także była wielka maszyna, krótsza jednak i bardziej pękata od wiszących przy sąsiednich

ramionach jednostek, które – co Poecie uświadomił sobie dopiero teraz – były o połowę

mniejsze, ale i tak kilka razy potężniejsze od pancerników pierwszej generacji używanych

podczas wojny domowej.

Wagonik zatrzymał się przy pierścieniu śluzy oznaczonym symbolem K38. Moment później

trzej pasażerowie wypięli przewody łączące ich aparaty tlenowe ze zbiornikiem kolejki

i opuściwszy kabinę pasażerską, podlecieli do oświetlonego rzęsiście włazu.
Porucznik

przesunął się po klamrach do panelu sterowania, odczekał, aż aparatura zostanie odmrożona,

a gdy nad niewielkim padem pojawił się holograficzny wyświetlacz, wprowadził szybko

szesnastoznakowy kod.

Właz nie drgnął nawet. Zdziwiony Poetze zresetował połączenie i przeprowadził całą

operację od początku, niestety z tym samym skutkiem.

– Dziwne – mruknął, przypinając karabińczyk do jednej z klamer otaczających urządzenie.

Należał do tradycjonalistów, wołał proste mechaniczne zabezpieczenia od nowoczesnych

magnetycznych. Awaria panelu zmusiła go do puszczenia klamry i użycia obu rąk. Otworzył

osłonę komunikatora, znów poczekał kilka sekund, aż urządzenie zadziało, po czym wywołał

kapitanat, włączając tylko fonię.

– Centrum zarządzania portu B, mówi starszy mat Taylorson Bagley. – Dyżurny podoficer

zgłosił się niemal natychmiast.

– Tutaj Poetze z WB. – Porucznik celowo pominął swój stopień, samo powołanie się na

wydział bezpieczeństwa powinno ustawić rozmówcę do pionu. – Znajduję się przy stanowisku

K38, miałem dokonać rutynowej kontroli rejestratorów lotu, ale macie tu chyba jakąś awarię.

Kod obejścia nie otwiera śluzu.

– Nie pomylił pan... – Zaskoczony dyżurny przerwał, zdawszy sobie sprawę, że nie zna

rangi rozmówcy.

– Zadajcie jeszcze jedno głupie pytanie, a zaproszę was na szczerą rozmowę do naszej

kwatery. – Poetze nie podniósł głosu, groźba zawarta w tej sugestii powinna być skuteczniejsza niż wydzieranie się bez sensu.

Bagley milczał przez dłuższą chwilę, w tle słyhać było tylko coraz szybsze dyszenie

świadczące o narastającym z każdą sekundą zdenerwowaniu i strachu.

– Przykro mi, ale to nie jest błąd systemu – odpowiedział w końcu z niemal wyczuwalną

ulgą w głosie. – Na Nomadę nałożono kwarantannę.

– Słucham? – Porucznik nie wierzył własnym uszom. – Kto ją zarządził i dlaczego wydział

nie został o tym poinformowany?

– Wiem tylko tyle, że blokadę nałożono na rozkaz admiralicji.

– Kiedy?

– Przed ośmioma godzinami.

– Dziękuję. Bez odbioru. – Poetze rozłączył się. Kwarantanna nałożona na jednostkę, której

załoga zesła z pokładu ponad tydzień wcześniej? Z rozkazu najwyższego dowództwa floty?

Gdyby usłyszał takie tłumaczenia w innych okolicznościach, uznałby je za dobry żart. –

Svenrique – tknięty nagłą myślą odwrócił się do towarzyszących mu podoficerów. – Sprawdź,

gdzie teraz przebywają członkowie załogi Nomady.

Niepokój porucznika wzmógł się, gdy podwładny zaczął odpowiadać. Tak szybka reakcja

mogła oznaczać tylko jedno...

– Wszyscy zostali zatrzymani i odizolowani.

– Kiedy?

– Mniej więcej osiem godzin temu.

– Gdzie są teraz?

– U nas. Na poziomie ósmym.

– Na pewno nie w sekcji zagrożeń biologicznych?

– Na pewno, poruczniku.

Poecie zakląłby na cały głos, gdyby nie zależałoby mu tak bardzo na zachowaniu twarzy

przed ludźmi, których szkolił. Legendarny poziom ósmy – tam trafiali tylko ci, których wydział

miał za wyjątkowo groźnych przestępców. Stamtąd nie wychodziło się ot tak, po prostu. Ten,

kto chciał uciszyć załogę Nomady, zabrał się do rzeczy fachowo, a to znaczyło, że każda próba

wejścia na pokład kolapsarowca może ściągnąć na głowę porucznika coś znacznie gorszego

niż tylko niezadowolenie przełożonych.

– Sprawdź, co z ich kwaterami – rzucił z pozorną obojętnością.

– Kwarantanna, kwarantanna... – mrucał co chwilę plutonowy Thulin. – Wszystkie zostały

objęte kwarantanną.

Zatem i ten trop wiedzie donikąd... Porucznik zastanawiał się gorączkowo, co w tej

sytuacji może zrobić. Nie chciał zawieść pokładanego w nim zaufania, nie po tym, co

pułkownik zrobił kiedyś dla niego, ale nie zamierzał także kłaść głowy pod laser, a tym

zakończy się każda próba ingerencji w tę sprawę, tego był już więcej niż pewien. Wcześniej

się postarał, by system wydziału wybrał Nomadę do rutynowej kontroli, jakich

przeprowadzano tu wiele, dzięki czemu tajemniczy oprawcy mogliby uznać, iż to zwykły zbieg

okoliczności, zwłaszcza że ten akurat kolapsarowiec sprawdzano ostatni raz naprawdę dawno

temu.

Od tej strony Poetze był więc dobrze kryty. Ten sam system wyznaczył też jego na

inspektora, a dowodu na manipulację generatorem losowym nikt nie znajdzie. O to także

zadbał. Na razie nie powinien mieć więc powodów do zmartwień, przynajmniej

dopóki nie

ściągnie na siebie uwagi kolejnymi próbami złamania blokady. Chyba że...

– Judawid – zwrócił się do drugiego z towarzyszących mu podoficerów. – Połącz się

z pionem medycznym stacji i zapytaj, czy już wiedzą o kwarantannie nałożonej na Nomadę

i jego załogę.

Wurstbeutel był czujny, zatem połączenie zostało nawiązane natychmiast. Zgodnie

z oczekiwaniami Poetzego oficer dyżurny z pionu medycznego o niczym nie wiedział, ale

wystarczyło nakierować go na odpowiednie wpisy, by zbladł i zaczął wydawać rozkazy

z prędkością działka pulsacyjnego. O to właśnie chodziło. Teraz tylko meldunek do

przełożonych i nikt nie będzie miał powodu podejrzewać, że Poetze próbuje robić coś na

własną rękę. Wręcz przeciwnie, zawsze praworządny oficer wydziału bezpieczeństwa

zauważył w trakcie wykonywania obowiązków służbowych poważne niedopatrzenie

i zareagował zgodnie z regulaminem.

Teraz trzeba spokojnie poczekać na pojawienie się przedstawicieli odpowiednich służb.

Oby tylko medycy nie zwlekali i dotarli tutaj przed wysłannikami ludzi, którzy byli powodem

całego zamieszania.

* * *

Dwadzieścia sześć minut. Tyle potrzebował pion medyczny, by zebrać ekipę i zapakować ją

do kolejki ramienia K. Kwadrans później ażurowy wagonik zatrzymał się przy pierścieniu

dokującym Nomady. Lekarzy było czterech, wszyscy nosili żółte skafandry próżniowe, by

można ich było odróżnić od przedstawicieli innych służb ratunkowych, które powinny się

zjawić na stacji końcowej kolejki już niedługo. Niestety śpieszący do pierścienia K38

żandarmi napotkają mały problem. Poetze miał bowiem wystarczającą ilość czasu, by się

przygotować.

Judawid najpierw pomógł lekarzom wynieść sprzęt, a potem zaprogramował kolejkę tak, by

w drodze powrotnej zatrzymywała się przy innych śluzach w tej sekcji ramienia. Zanim więc

przyzywany wagonik dotrze na przeciwległy koniec pirsu, minie kilka dodatkowych minut.

Różnica może niezauważalna dla czekających tam żandarmów, ale gigantyczna z punktu

widzenia planu porucznika.

Niecałą minutę po odjeździe kolejki lekarze włączyli w pierścieniu cumowniczym sztuczną

grawitację i otworzyli właz Nomady. Albowiem kod, którym zamknięto dostęp do

kolapsarowca, miał jeden mankament: nakładające go służby mogły go bez trudu anulować. Na

to liczył porucznik, który udając zatroskanego funkcjonariusza WB, asystował na każdym kroku

szefowi przysłanego zespołu.

Dopiero gdy w śluzie dziobowej okrętu zapłonęły światła, wysoki, ponaddwumetrowy

lekarz odwrócił się do niego, wyciągając wielką dłoń.

– To strefa kwarantanny – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nikt poza nami nie

może tam wejść, dopóki nie zlokalizujemy wszystkich źródeł skażenia.

– Oczywiście. – Poetze cofnął się o krok, jakby nagle poczuł strach. – W takim razie

zabezpieczymy śluzę, żeby nie doszło do przypadkowego naruszenia kordonu.

– Nie trzeba, poruczniku. Mój analityk zostanie na zewnątrz. – Lekarz wskazał jednego

z towarzyszących mu ludzi.

– Skoro tak... – Poetze odwrócił się do czekających w łączniku podoficerów. – Svenrique,

wezwij kolejkę.

– Tak jest!

– Popilnujemy śluzę z waszym człowiekiem do chwili powrotu wagonika. Pewnie pojechał

po żandarmów – dodał konfidencyjnym tonem.

– Róbcie, co chcecie, bylebyście nie przeszkadzali. Pod żadnym pozorem nie próbujcie

wejść na pokład tego kolapsarowca.

– No co pan, doktorze? – Porucznik wyciągnął przed siebie obie ręce. – W zarazę

mielibyśmy leżać?

Lekarz zignorował go kompletnie. Skinąwszy głową na niewiele tylko niższych od siebie

towarzyszy, włączył sterowanie przenośnego analizatora i ruszył za nim w kierunku

wewnętrznego wjazdu. Poetze wycofał się grzecznie do pierścienia, by Nomada mógł zostać

ponownie zamknięty. Gdy trzej medycy weszli na pokład kolapsarowca, pozostawiony na

zewnątrz analityk posłał w próżnię jego zdaniem skażone powietrze ze śluzu i ponownie ją

otworzył, by rozłożyć sprzęt.

Najbliższy terminal komputerowy Nomady mieścił się bowiem przy panelu wewnętrznej

grodzi. To do niego za moment zostaną podpięte komputery i rejestratory.

– Judawid, rusz się, pomóż panu doktorowi! – wydarł się Poetze, gdy sprzęt został

rozłożony, a człowiek w żółtym kombinezonie sięgnął po wtyczkę. – Ty, Svenrique, też nie stój

jak słup!

– Nie trzeba – warknął analityk, gdy Wurstbeutel wyrwał mu przewody z ręki.

– Żadna fatyga, panie doktorze – uspokoił go porucznik. – Chłopcy mają służyć i pomagać!

Analityk obrócił się przez ramię i spojrział na niego z pogardą, na co Poetze rozłożył ręce

niby w bezradnym geście, jakby chciał powiedzieć: „cóż, staramy się choć raz być pomocni”.

Wydział bezpieczeństwa kojarzył się ludziom z wieloma rzeczami, ale na pewno nie

z pomaganiem. Mężczyzna ten wolałby więc, żeby czarni nie plątali mu się pod nogami, ale

powstrzymywał się jak mógł od wygonienia ich na zewnątrz śluzy, bo nigdy nie wiadomo, co

taki czarnuch napisze potem w raporcie, a podpaść wubekom to jak zagrać w rosyjską ruletkę

miotaczem laserowym.

Mała inscenizacja porucznika spełniła swoje zadanie. Odwrócił na moment uwagę lekarza,

dzięki czemu jego ludzie, którym nikt nie patrzył przez kilka sekund na ręce, zdołali wpiąć do

gniazda terminala wtyczkę własnego holopada, by wgrać wirusa, zanim w końcu umieścili tam

przewody prowadzące do sprzętu medycznego. Szkolono ich do takich akcji, więc załatwili to

migiem, podczas gdy lekarz gapił się na ich przełożonego.

– A teraz jazda stamtąd! – ponaglił ich Poetze. – Będziecie trzymać wartę po tej

stronie

włazu, dopóki nie pojawi się żandarmeria!

Wiedział doskonale, że lekarz zamknie służę, ledwie nieproszeni goście wyjdą na zewnątrz,

i tak też się stało – plastalowa gródź zsunęła się bezgłośnie, pozostawiając trójkę czarnych

w pustym pierścieniu.

Poetze rozstawił Wurstbeutela i Thulina po obu stronach wejścia, sam natomiast stanął przy

panelu przyzywania kolejki. Teraz musieli tylko czekać, a czasu mieli sporo dzięki

wcześniejszej dywersji Judawida.

Stworzony przez porucznika wirus, a raczej tracker, miał przeczesać bazy danych okrętu

i wybrać pliki stworzone w okresie interesującym pułkownika. Drugim jego celem było

znalezienie wszystkiego, co zostało ukryte, wysłane bądź zaszyfrowane przez członków załogi,

a w szczególności jej kapitana. Całość materiałów zostanie następnie przesłana

skondensowaną kierunkową transmisją na jeden ze stojących na pobliskim kotwiczowisku

okrętów, dzięki czemu nikt nie powinien niczego zauważyć. Stamtąd wiadomość dotrze już

normalną drogą przez centrum łączności do terminala znajdującego się w głównej mesie, skąd

zostanie automatycznie rozesłana na setki innych komputerów, jak

najzwyklejszy spam.

Poetze był świadom, że nie musi aż tak bardzo dbać o maskowanie, ponieważ jego

samokasujący się po wykonaniu zadania program nie zostanie wykryty, nawet gdyby ktoś

sprawdził pod tym kątem wszystkie banki danych Nomady. Wolał się jednak zabezpieczyć na

wszystkich frontach. Tym razem pogrywał sobie bowiem z kimś o naprawdę długich rękach.

Nawet jego podwładni nie mieli pojęcia, w czym mu tak naprawdę pomogli. Gdyby ktoś ich

kiedyś zapytał – co zdaniem porucznika było mniej niż prawdopodobne – dlaczego wgrali

oprogramowanie do tego terminala, odpowiedzieliby zgodnie, że zrobili tylko to, co do nich

należy, czyli przeprowadzili zlecony im skan wszystkich bloków pamięci w poszukiwaniu

informacji o charakterze wywrotowym. A że uczynili to skrycie? Lekarze nie chcieli ich

dopuścić do Nomady, chociaż rozkaz jest ważniejszy od jakiejś idiotycznej kwarantanny.

Co najśmieszniejsze, każda kontrola wykazałaby, że mówią najczystszą prawdę. Wirus

został bowiem ukryty w standardowym trackerze WB, a raport z wynikami tej kontroli trafi,

jak zawsze zresztą, bezpośrednio do centrali wydziału.

=== =

OSIEM

System Ulietta, Sektor Zebra,

24.10.2354

Szesnaście godzin do przewidywanego przylotu Obcych.

Święcki znalazł w końcu chwilę, by odsapnąć. Kwadrans na wzięcie prysznic i drugi na

zjedzenie posiłku. Taki był plan, lecz Henryan czuł przez skórę, że niewiele z tego wyjdzie.

Zawsze, gdy chciał odpocząć, coś się gdzieś sypało. Ale biologiczny organizm nie jest

maszyną, nie może pracować na najwyższych obrotach przez cały dzień i nie poczuć

zmęczenia. A otumanienie i brak koncentracji w takim momencie mogły doprowadzić do

większych strat niż półgodzinne zniknięcie z radaru. Tak sobie tłumaczył, gdy wydawał

rozkazy adiutantowi. Tak sobie powtarzał, gdy szedł dziarskim krokiem do apartamentu.

Niestety jak zwykle miał rację. Ledwie ustawił temperaturę wody, usłyszał natrętne

brzęczenie komunikatora. Korporacja wyposażyła swoich pracowników w najlepszy sprzęt,

mógł więc odebrać połączenie z niemal każdego miejsca, nie wyłączając nawet sedesu, za

którym notabene umieszczono holotapetę przedstawiającą biurową część

apartamentu, aby

potencjalni rozmówcy nie zorientowali się, że osoba, z którą się łączą, załatwia akurat bardzo

osobiste potrzeby.

Święcki nie rozumiał, jak ktoś mógłby rozmawiać w tak krępujących warunkach, ale

w świecie biznesu obowiązywały najwidoczniej zupełnie inne zasady niż we flocie.

W kabinie prysznicowej także dało się aktywować wyświetlacz, zrobił to więc, by sprawdzić,

o co tym razem chodzi. Na wirtualnym ekranie zobaczył twarz swojego adiutanta. Skrzywił się

na samą myśl, że będzie musiał zaraz wyjść spod gorącego bicia wody i ubrać się

w pośpiechu. Podjął błyskawiczną decyzję. Pieprzyć to wszystko, Toranosukenjiro nie jest

obcy, poza tym wie, po co jego przełożony poszedł do siebie.

– Co się dzieje? – zapytał, włączając samą fonię.

– Przyszła przesyłka ze sztabu – poinformował go zwięźle Hondo, mrużąc oczy. Zapewne

usłyszał szum wody. Tego efektu dźwiękowego nie dało się usunąć z przekazu. –

Zaszyfrowana. Do rąk własnych. Od pułkownika Rutty.

Czyżby Bruttal zdobył to, o co go prosiłem?... Święcki poczuł ciepło narastające wewnątrz

klatki piersiowej. I nie był to z pewnością efekt gorącego prysznica.

– Prześlij ją na terminal w moim apartamencie – polecił, zakręcając wodę. – I sprowadź do

mnie Stachursky'ego.

– Tak je...

Henryan rozłączył się, nie czekając na przepisowe słowa adiutanta. Rozpierała go

ciekawość. W czasie ostatniej rozmowy przekazał Rutcie słowa Stachursky'ego o milionach

ton helonu, które Federacja może wciąż odzyskać z licznych pól bitew wojny domowej.

Poprosił także, by pułkownik załatwił w zamian – w miarę dyskretnie, jeśli to możliwe – dane

z komputerów Nomady. To miała być zapłata dla jego informatora, pod warunkiem że

informacje okażą się prawdziwe i wystarczająco cenne. Chłopak, jak widać, nie kłamał. Jego

propozycja okazała się na tyle ciekawa, że Rutta poszedł na układ i załatwił backup plików

Morriseya. O ile to były pliki skopiowane z kolapsara, a nie kolejny opieprz.

Susząc się w strumieniach ciepłego powietrza, uznał, że to nie może być nic innego. Nie

czekał przecież na żadne rozkazy, a gdyby nawet sztab je wydał, nie przesyłano by ich

w zaszyfrowanych wiadomościach.

Hondo przyprowadził Nike'a, zanim Święcki zdążył dopiąć nowo wydrukowany mundur,

zatem obaj musieli poczekać kilkanaście sekund pod drzwiami.

– Toranosukenjiro, przez najbliższe pół godziny nie ma mnie dla nikogo. Nawet dla

Ninadine i jej ludzi. Jeśli coś się posypie, niech meldują to tobie. Będziesz mi podsyłał

raporty sytuacyjne, ale tylko w naprawdę kryzysowych sytuacjach, zrozumiano? Z resztą radź

sobie sam.

– Tak jest!

Drzwi zasunęły się z sykiem przed twarzą porucznika. Nike, oszołomiony nagłym

wyrwaniem go z kwatery, w której siedział przez ostatnie kilka godzin, gapiąc się bez przerwy

w panoramiczne okno, poszedł posłusznie za Henryanem i usiadł na wskazanym miejscu przy

terminalu komputera.

Święcki włączył komunikator, odebrał tonę wiadomości z raportami, wyszukał wśród nich

tę właściwą i od razu ją otworzył. W załącznikach znalazł dwa zaszyfrowane pliki, jeden

kilkuterabajtowy i drugi o wiele mniejszy. Zaczął od niego. Rozkodowanie nie wymagało

wielkiego trudu, ponieważ pułkownik korzystał wciąż z tego samego klucza co na Xanie 4. To

była krótka wiadomość od Ruty.

– Nie wiem, kim jest człowiek, dla którego zdobyliśmy te informacje – mówił

pułkownik –

ale uprzedźcie go, że nie tylko on ich desperacko pragnie. Jedenaście godzin temu Nomada

został poddany kwarantannie na polecenie kogoś z admiralicji, a jego załogę zatrzymano

i zamknięto w najbardziej strzeżonej części więzienia wubecji. Ci ludzie równie dobrze mogą

już nie żyć. Moi agenci sporo ryzykowali, żeby zdobyć te pliki, więc uważajcie, żeby nie

wypłynęły, bo nie będę nadstawiał głowy za jakiegoś korporacyjnego dupka. Zrobiłem to tylko

dlatego, że przekazane nam sugestie okazały się naprawdę cenne.

Rutta, jak to on, nie był zbyt wylewny, ale w tych kilku zwięzłych zdaniach zdołał przekazać

wszystkie potrzebne wiadomości i wyrazić swój pogląd na sprawę. Za to właśnie Henryan

cenił go chyba najbardziej. Za niezmienny profesjonalizm.

Nike patrzył na ręce Święckiemu, gdy ten zabrał się potem do rozkodowania drugiego pliku.

Tutaj jednak pojawił się problem. Hasłem pułkownika zabezpieczono dostęp do folderu,

w którym znajdowały się setki podzbiorów – dokładnie dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt

sześć, z czego większość stanowiły kilkustopniowe katalogi wypełnione tonami plików.

I w sumie nic dziwnego. To były wszystkie rejestry dodane do baz danych

Nomady po dniu,

w którym odkryto skupisko w dołku na Thecie.

Henryan odsunął się od pulpitu, robiąc miejsce Stachursky'emu.

– To robota dla ciebie – powiedział.

Nike zajął miejsce przed konsolą, nie spoglądając nawet w kierunku kapitana. Nie

przeglądał plików po kolei, tylko zaczął je porządkować według kolejnych kryteriów. Widać

było, że dobrze to sobie przemyślał. Gdy zakończył segregację, przesłane im dane trafiły do

trzech zbiorów. Teraz przyszła kolej na dokładniejsze analizy.

Święcki obserwował chłopaka przez chwilę, ale dość szybko znudziło mu się gapienie na

przeplývające po ekranach wyświetlaczy partie kodów. Uznał, że szklaneczka

bezzapachowego rumu nie zaszkodzi. Zwłaszcza że Hondo zdążył już przysłać trzy

wiadomości.

Pierwsza dotyczyła problemu z ejektorem numer cztery, który zaczynał się sypać mimo

zmniejszenia obciążeń. Na razie jeszcze funkcjonował, ale główny inżynier był przekonany, że

w ciągu czterech, najdalej pięciu godzin trzeba go będzie wyłączyć, aby nie doszło do

katastrofy. W drugiej Fitz zgłaszał rozpoczęcie rekrutacji wśród ostatnich kilkudziesięciu

tysięcy oczekujących na ewakuację. Nie szło mu jednak tak łatwo, jak początkowo

przypuszczał. Ludzie – wciąż nieznający prawdy o charakterze zagrożenia – woleli czekać do

samego końca w nadziei, że załapią się na transportowiec, który cudownym zrządzeniem losu

przyleci w ostatniej chwili, niż ryzykować wysoce prawdopodobne napromieniowanie. A na

wyjawienie im prawdy o Obcych przed rozpoczęciem ataku dowództwo nigdy nie wyrazi

zgody.

Pozostawała więc łagodna perswazja, w której Świącki zamierzał wspomóc szefa pionu

badawczego stosownymi komunikatami, jak tylko zakończy sesję z byłym więźniem

admiralicji.

Trzecia wiadomość była na szczęście dobra. Dzięki wysłaniu na księżyc kolejnego tysiąca

ochotników prace przy kontenerach nabrały właściwego tempa, dzięki czemu powoli –

naprawdę powoli – zaczęto doganiać pierwotny harmonogram. Trzy pseudohabitaty były już

gotowe do wystrzelenia. Nad dalszymi dwoma właśnie się mozolono. W przestrzeni sklecono

do tej pory trzy inne zestawy, ale wszystkie wymagały jeszcze ogromnego nakładu prac przy

uszczelnianiu. Jeśli w ciągu najbliższych szesnastu godzin nie nastąpi jakaś katastrofa, dwa

z nich zostaną na pewno ukończone, a trzecim, zgodnie z sugestiami samego dyrektora kopalni,

będzie można przewieźć ochotników wybranych spośród osób pracujących teraz na księżycu.

Ludzie ci zaryzykują życie, o ile tylko flota zapewni ich rodzinom miejsce w sprawdzonych,

szczelnych habitatach. Na to Święcki mógł pójść, aczkolwiek sprawy organizacyjne

postanowił zostawić korporacjonistom.

– Mam! – oświadczył z dumą Nike, gdy kapitan kończył nagrywać ostatnią odpowiedź. –

Było, jak przypuszczałem. Skurwyklon Morrisey skopiował bez mojej wiedzy zawartość

czytnika majora Visolaja.

– Wolałbym zobaczyć dowody waszego spotkania z Obcymi... – Święcki nie krył zawodu,

gdy zrozumiał powody radości Stachursky'ego.

Uprawdopodobnienie przestępczej działalności starego admirała, i to w dodatku sprzed

ponad stulecia, nie miało dla niego żadnego znaczenia.

– Spokojnie, kapitanie. – Stachursky po raz pierwszy oderwał wzrok od wyświetlaczy. –

Jeśli Morrisey skopiował dziennik, to z pewnością zachował też wszystkie inne nagrania

z tamtego okresu, na wypadek gdyby można było na nich zarobić.

– Ryj w tym gównie, dopóki czegoś nie znajdziesz – rozkazał Henryan, wracając do

przerwanego nagrania.

– Niech pan sobie przerzuci ten plik na holopad – zaproponował Nike. –
Znalezienie

dowodów trochę potrwa. Jestem pewien, że ten stary cwaniak poszatkował
każdy zapis

dotyczący spotkania w taki sposób, że bez klucza nie da rady złożyć choćby
jednego

dokumentu.

– Pamiętnik jakoś znalazłeś – mruknął Henryan, łącząc się z terminalem.

– Tylko dlatego, że zachował go w całości. Nie zamierzał go ukrywać przed
światem jak

kopii skasowanych zapisów.

– Nie gadaj tyle, tylko szukaj – napomniał go Święcki, otwierając dziennik
majora.

Czekając na efekty, zamierzał przeczytać fragment albo dwa...

=== =

KUŹNIA

– Nazwisko. – Siedzący przy drzwiach łysy podoficer nawet nie podniósł
wzroku, gdy

podszedłem.

– Johanatol Doni.

– Wchodzisz, po prawej jest parawan, rozbierasz się za nim i czekasz na dalsze instrukcje.

– Ale ja...

– Wchodzisz. – Łysy odezwał się natarczywiej, a jego słowu towarzyszyło gwałtowne

machnięcie ręki w stronę drzwi. – Już!

Wszedłem. Pamiętałem to pomieszczenie. Spędziłem w nim sporo czasu, lata temu. To była

moja klasa. Ale teraz, gdy ogołoco ją z wizjomatów i pulpitów, a na ścianach rozwieszono

propagandowe plakaty, wyglądała obco. Nawet pachniała inaczej. Groźnie i dziwnie.

– Ruchy tam! – zakomenderował jeden z mundurowych siedzących za długim stołem

ustawionym pod tablicą.

Rozebrałem się za parawanem, potem zgodnie z wyświetlanymi instrukcjami wszedłem do

przenośnej kabiny automedycznej. Wykonała szybki, ale pełen skan, dzisiaj rzadko robi się

takie. Wojsko jednak nie oszczędzało. Gdy włożyłem ponownie ubranie, suchy jak szczapa

sierżant zaprowadził mnie przed oblicze wysokiej komisji. Z gwiazdek na pagonach tych

panów można by ułożyć mapę dowolnego sektora. A z baretek linię łączącą Nowe Brisbane

z najbliższym księżycem. Generalicja. Weterani. Chociaż najmłodszego z nich

mogłem mijać

na korytarzu tej szkoły, a najstarszy na pewno nie osiągnął wieku mojego ojca.
Cóż, prawa tej

wojny były nieubłagane. Czyż nie dlatego stałem teraz przed siedmioma
trepanami, dopinając

koszulę?

– Kategoria Alfa – orzekł czterogwiazdkowy grubas siedzący najbliżej okna. To
w jego ręce

trafił wydruk z automedu. – Gratuluję kondycji.

– Dziękuję – odparłem niepewnie, czując, że te słowa nie wróżą mi najlepiej.

– A ja gratuluję przydziału – dodał sześciogwiazdkowy osiłek siedzący na prawo
od trzech

identycznie wyglądających blondynów. – Poborowy Doni, spotkał was zaszczyt
służenia

w elitarniej jednostce przestrzenno-desantowej. Traficie między najlepszych z
najlepszych.

Jutro o szesnastej czasie centralnego zgłosicie się do punktu zbornego na
pierwszym terminalu

astroportu, okienka od sześćset sześć do sześćset dziewięćdziesiąt dwa.
Odmaszerować. –

Zamknął zamasyście teczkę z moimi aktami i sięgnął po następną.

– Chwileczkę – powiedziałem.

Zamarli. Wszyscy. Łącznie z cherlawym sierżantem, który już kierował się w
stronę

parawanu. Na ich twarzach dostrzegłem wyraźną konsternację.

– Chcecie coś powiedzieć? – zapytał zdumiony sześciogwiazdkowiec.

– Raczej tak.

– Regulamin komisji nie przewiduje wysłuchiwanie opinii poborowych – wtrącił jeden

z trzech pięciogwiazdkowych, i cholernie podobnych do siebie, generałów.

– W dupie mam wasz regulamin – odparłem stanowczo. – Konstytucja Federacji jest

ważniejsza od tego, co sobie w nim napiszecie.

Spojrzeli po sobie znacząco. Już wiedzieli, do czego zmierzam. Nie byłem pierwszy.

– Nas chcesz uczyć, synku, praw obywatelskich? – zapytał najmłodszy z oficerów. Przy

„synku” głos mu wyraźnie zadrzał.

– Owszem. – Postanowiłem wykorzystać fakt, że nadal nie odzyskali rezonu. – Mam

wrażenie, iż tak zachłysznieliście się swoją wojenką, że zapomnieliście o normach prawnych

obowiązujących w cywilizowanym świecie. Mam prawo nie zgodzić się na ten pobór,

gwarantuje mi to konstytucja Federacji! – Wyjąłem z kieszeni wydruk pisma, które wcześniej

ułożyliśmy podczas wieczornych narad w akademiku. Wylądowało na wierzchu zamkniętej

teczki personalnej z moim nazwiskiem. Sześciogwiazdkowiec poczerwieniał na twarzy,

ledwie rzucił okiem na pierwsze zdanie.

– To akt zdrady! – syknął.

– Nie. To opinia prawna skonsultowana z aktami wyższymi ustanowionymi przez Senat

Federacji.

Sześciogwiazdkowiec spurpurowiał jeszcze bardziej, zaczął się podnosić, a wyglądał przy

tym naprawdę groźnie. Góra mięśni opiętych lśniącem mundurem wznosiła się coraz wyżej

i wyżej, a ja czułem się, jakbym za sprawą czarodziejskiej różdżki malał z każdą chwilą.

– Ty zawszony gnoju... – Rozpoczęty dość łagodnie stek wyzwisk urwał się nagle, gdy na

przedramieniu olbrzyma spoczęła dłoń najstarszego z oficerów komisji.

– Obawiam się, koledzy, że przypadek poborowego Doni będzie wymagał od nas nieco

innego podejścia – powiedział czterogwiazdkowy weteran, spoglądając na zegarek. –

Pozwolicie?

Skinęli głowami, aczkolwiek niechętnie. Trzej podobni do siebie równo jak na komendę,

później pozostali.

– Sierzancie, przypilnujcie wejścia – rozkazał grubas spod okna.

Szczapowaty strzelił obcasami i natychmiast pognał za parawan.

– Poborowy Doni... – Weteran przeczytał szybko treść pisma i zwrócił się do mnie znacznie

uprzejmiej niż jego koledzy. – Widzę, że przygotowaliście się dobrze do tego spotkania. Co

więcej, przepisy, na które się powołujecie, mogą faktycznie stanowić istotną przeszkodę

w odbyciu przez was służby wojskowej, ale... Powiem bez ogródek, synu, jest wojna. Nasza

wojna. Twoi koledzy już walczą i giną za to, żeby ta planeta była bezpieczna. Żeby twoja

najbliższa rodzina... – Cwaniak przerwał na moment, rzucając okiem na moje dossier. Sporo

ludzi już poległo w tej wojnie, niemal każdy stracił kogoś bliskiego. Postanowiłem

wykorzystać ten moment wahania.

– Ma pan rację, jest wojna, ale wyłącznie wasza, nie moja. Nikt nie napadł Federacji.

Część systemów zewnętrznych zapragnęła sformalizowania niezależności, którą w praktyce

i tak już miała. Senat nie kontrolował nawet połowy terytoriów zdobytych przez kolonialistów

w ostatnich czterech dziesięcioleciach. Więcej powiem, miał ich w dupie, kiedy dzielono

kolejne budżety. Doił za to, ile wlezie, a gdy zaczęli się buntować, zamiast popuścić, wysłał

was, zipiących z nienawiści macho, żebyście siłą zaprowadzili porządek, którego i tak nie

będziecie w stanie na dłuższą metę upilnować.

– To... To... – Mięśniak znów zaczął sinieć.

– To wasza wersja zdarzeń, poborowy Doni. – Weteran znów go uciszył. – A chcecie

poznać moją?

– Nie chcę. Obawiam się, że nie będzie odbiegała od propagandowej papki, która sący się

z każdego komunikatora przez całą dobę.

– A może jednak posłuchacie, co mam do powiedzenia?

– Dobrze. – Postanowiłem nie przeginać. Chociaż przepisy zabraniały im noszenia broni

podczas rekrutacji, ten osiłek mógłby mnie złamać jak trzcinkę i zawiązać w supeł

w najgrubszym miejscu. Pewnie by się przy tym nawet nie spocił.

– Dziękuję. – Weteran odłożył moje podanie na zamkniętą wcześniej teczkę. – Byłem na

Skotii 7, kiedy separatyści ogłosili niepodległość systemów zewnętrznych. Nie będę się

sprzeczał co do przyczyn tego kroku, wy wysnuwacie swoje wnioski, zapewne poparte jakimiś

konkretnymi danymi, ja opieram się na moich doświadczeniach ze służby w oddalonych

sektorach, a możecie mi wierzyć, że spędziłem tam naprawdę sporo czasu i poznałem wielu

wspaniałych ludzi. Momencik... – Teraz sześciogwiazdkowy mutant zaczął się czerwienić na

słowa swojego kompana, pozostali członkowie komisji także nie wyglądali na

specjalnie

uszcześliwionych, słuchając jego przemowy. Ale wystarczyło jedno spojrzenie weterana i za

stołem zapanował względny spokój. – Tak, tam też żyją wspaniali ludzie, wy to wiecie i ja to

wiem. Podejrzewam, że moi koledzy, w nieco innych warunkach, również byliby w stanie to

przyznać. – Uciszył gestem ręki rodzące się szmery protestu. – Ale nie o to mi chodzi. To nie

nasi znajomi podjęli decyzję o oderwaniu niemal trzeciej części planet Federacji od macierzy.

Zgodzicie się z tym? – Skierował to pytanie do mnie, przytaknąłem więc mechanicznie, nie

bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Nie miałem czasu na sprostowania, gdyż natychmiast zaczął

mówić dalej. – Otóż śmiem twierdzić, że ludzie, których znamy, mają naprawdę niewiele do

powiedzenia w obecnej sytuacji. Dzisiaj do głosu doszedł najgorszy element tamtych

społeczności. Twierdzicie, że Senat miał dalekie prowincje w dupie. I to jest prawda.

Zabiegaliśmy wielokrotnie o rozbudowanie aparatu bezpieczeństwa w tamtych sektorach,

ale... – Uciszył gestem mój protest. – Przecież dobrze wiesz, młodzieńcze, że przed

rozpoczęciem wojny niemal połowa tych planet pozostawała poza jurysdykcją oficjalnych

władz. A to zrodziło szarą strefę i wzrost przestępczości.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że separację, a w konsekwencji tę wojnę wywołali

zwykli przestępcy – zdołałem wtrącić, gdy zamilkł na moment, aby zebrać myśli.

– Owszem, właśnie to chcę ci powiedzieć. Każda strona tego konfliktu ma wiele za uszami,

także my, ale uwierz mi, dobrzy faceci siedzą za tym stołem.

– Akurat.

– Akurat. Gdybyś odbywał pobór na którymś ze światów zewnętrznych, nie byłoby tej

rozmowy. Za odmowę dostałbyś kulkę w łeb na dziedzińcu szkoły, najlepiej na oczach wielu

świadców.

– Propaganda.

– Tak sądzisz? – Powiedział to tak lodowatym tonem, że poczułem się nieswojo.

– Tak sędzę. – Mimo wszystko postanowiłem nie ustępować.

– Ale dowodu nie masz?

– Nie muszę mieć żadnych dowodów. To nie proces. A zresztą gdyby nawet, wszelkie

niedomówienia interpretuje się na korzyść oskarżonego.

Spojrzał na mnie przenikliwymi niebieskimi oczami i uśmiechnął się.

– Nie mogę ci zaprezentować nawet ułamka tego, co sam widziałem w dziewiętnastym

i dwudziestym, ale powiem ci jedno: idealisci, do których bez wątpienia się zaliczasz,

postrzegają świat tylko w dwóch kolorach. A prawda jest taka, że pomiędzy czernią i bielą

istnieją miliardy odcieni szarości. Kiedy tacy jak ty stykają się z rzeczywistością, zaczyna się

dramat...

– Nie obawiam się konfrontacji z rzeczywistością.

– A powinienes, chłopcze, powinienes.

– Przepraszam, ale chyba odieglismy za daleko od tematu – wtrąciłem szybko.

– Ma pan

przed sobą dokument, który wyraźnie pokazuje, że nie możecie mnie wcielić do służby

czynnej, nie łamiąc przy tym co najmniej czterech artykułów konstytucji obowiązującej na

Nowym Brisbane. I to jest jedyny fakt, o którym powinniśmy rozmawiać. Nie o naszych

odczuciach czy wrażeniach. To nie moja wojna i nie chcę brać w niej udziału.

– Cóż... – Weteran po raz kolejny spojrział na zegarek i sięgnął po moje pismo. – Tam –

wskazał głową w stronę sufitu – dzieją się tak odrażające rzeczy, że nawet ja nadal nie mogę

w nie uwierzyć. Mimo że sporo z tych, propagandowych według ciebie, wydarzeń widziałem

na własne oczy, a w kilku nawet aktywnie uczestniczyłem. I dlatego wiem, że musimy wygrać

tę wojnę, doprowadzić do pokoju w znanym wszechświecie, a potem całkowicie zmienić

politykę wobec systemów zewnętrznych. I zrobimy to. A ty, przyjacielu, weźmiesz udział

w tym gigantycznym przedsięwzięciu Federacji, jak miliony twoich kolegów – dokończył

i przedał moje podanie na pół.

Byłem przygotowany na taki bieg wydarzeń, wyjąłem z kieszeni drugi egzemplarz

odwołania i pomachałem nim komisji. Weteran spojrzał na mnie z politowaniem.

– Jest teraz szesnasta zero jeden czasu centralnego. Minutę temu Senat ogłosił zawieszenie

obrad i przekazał władzę Wojskowej Radzie Ocalenia Federacji. Cytowane przez ciebie

zapisy konstytucji już nie obowiązują, przykro mi.

– Słucham? – Zdębiałem.

– Gdybyś trzasnął tymi drzwiami – weteran wskazał głową wyjście – zanim wdałeś się ze

mną w rozmowę, zyskałbyś jakieś dwa, trzy tygodnie odroczenia, może nawet więcej,

zważywszy na liczbę odwołań, które musimy teraz ponownie rozpatrzeć. Gdybyś

pokombinował, może by ci się nawet udało wywinąć od poboru na dłuższy czas. Ale

zdecydowałeś się na przedstawienie swoich racji. Chyba tylko po to, żeby zaimponować

kolegom...

Osilek zarechotał oblesnie.

– Nie wiedziałem o....

– O wielu jeszcze rzeczach nie wiecie, szeregowy Doni – wtrącił z satysfakcją

sześciogwiazdkowy. – Ale zadbamy o waszą edukację. Na własne oczy
przekonacie się, kim

są wasi przyjaciele. O ile dotrze to do waszej głowy szybciej niż pierwszy
wystrzelony przez

nich pocisk. Gratulujemy powołania do szóstej przestrzenno-desantowej.
Będziecie służyć

w elicie elit. Na pierwszej linii. Odmaszerować!

Chyba zbladłem, i to mocno, za to oni wyraźnie poweseleli. Patykowaty sierżant
podszedł

do mnie i wskazał mi drzwi. Spojrzałem w oczy weterana, nie było w nich
radości. Wyciągnął

do mnie rękę z biletem.

– Nie jestem tępym skurwyklonem, chłopcze – powiedział, udając, że nie
zauważa reakcji

„trojaczków”. – Zmieniłem ci datę poboru. W końcu przyszedłeś przed
szesnastą. Masz dwa

tygodnie na pozałatwianie swoich spraw. I nie musisz dziękować.

* * *

Darował mi czternaście dni życia. Z jednej strony niewiele, z drugiej całą
wieczność, którą

dobrze wykorzystałem, choć moja wątroba, a wraz z nią kilka innych organów,

mogła mieć na

ten temat nieco odmienne zdanie. W tym czasie pożegnałem niemal połowę chłopaków

z naszego osiedla i całkiem sporo dziewczyn. Także tych, które zostawały w domu. Jakoś tak

wyszło w natłoku zdarzeń. W końcu byłem ostatnim facetem z odroczeniem, niemalże

bohaterem uczelni. Ale z każdym dniem nimb sławy bladł. Zbyt wiele się działo. Zbyt wielu

odchodziło, nawet w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zanim spakowałem worek

poborowego, doczekaliśmy się wizyty smutnych pań z admiralicji. Zawitały na naszą ulicę

w niespełna tydzień od startu pierwszego transportowca z poborem. Manfredward Gemme,

puciołowaty kujon, chłopak o rok młodszy ode mnie... Chyba... W każdym razie pojawił się

w szkole górniczej sezon po mnie. Ponoć zgłosił się na ochotnika na samym początku

mobilizacji i zginął podczas pierwszego ćwiczebnego alarmu na stacji tranzytowej. Chociaż

wyrażenie „zginął” niespecjalnie pasowało do tej sytuacji. Dostał zawału, ledwie rozległy się

syreny alarmowe. W ogólnym zamieszaniu dopiero po godzinie ktoś się zorientował, że

skulony za stosem zasobników z amunicją plazmową grubas nie jest już kandydatem na

kolejnego bohatera Federacji, ale zimnym trupem.

Na dzielnicy nikt Manfredwarda nie lubił, lecz jego śmierć była szokiem dla wielu z nas.

Nawet mnie zabolalo, gdy uświadomiłem sobie, jak ślepy bywa los. Grubas był pierwszą

znaną nam ofiarą tej wojny. Ale nie ostatnią. Do dnia mojego wylotu czarny grawiolot zawitał

na naszej kolonii jeszcze sześć razy. Dwa dni po poborowym Gemme pożegnaliśmy

Montyberiana, Tadama i Karelizabediatha – ich transportowiec rozbił się na powierzchni

planety, której nazwy nie byłem nawet w stanie powtórzyć. Ledwie wytrzeźwieliśmy po ich

stypie, czarne harpie przyniosły wiadomość o zniknięciu siostry Joandrei. Jej matka nie

chciała za nic powiedzieć, co się stało, a my nie dopytywaliśmy. Za to piliśmy do dna. Za nią

i za następnych.

Dzień przed moim wylotem przyszła wiadomość o bohaterskiej śmierci Abramadeusa

Fossa. Stary czarnuch zawsze był szalony, nikogo więc nie zdziwiło, że rozpieprzył swój

myśliwiec o kadłub jakiegoś krążownika. Mieliśmy jedynie nadzieję, że to była wroga

jednostka. Szlag by to, nawet nie wiedziałem, kim był ostatni z zabitych. Czarny pojazd

z insygniami admiralicji minął naszego śmigera, gdy jechałem z rodzicami w stronę terminala.

Matka rozplakała się na całego, ledwie mignęła jej w oknie wypolerowana czerni masywnego

wozu admiralicji. Nie uspokoiła się do ostatniego momentu, w którym ją widziałem; nawet zza

bramek odprawy mogłem bez trudu dostrzec, że stoi wtulona w ramię ojca, z chusteczką

przytkniętą do nosa. Tylko ona jedna nie machała nam na pożegnanie, gdy wychodziliśmy na

rozgrzaną płytę astroportu.

* * *

Jeśli ktoś uważa, że armia jest lepiej zorganizowana niż cywilbanda, to żyje w głębokiej

niewiedzy. Przekonałem się o tym, zanim wsiadłem do przydzielonego naszemu oddziałowi

wahadłowca.

Nie znałem większości chłopaków z naszej grupy. Z twarzy rozpoznawałem pięciu albo

sześciu. Tylko dwóch miało dla mnie konkretne nazwiska i życiorysy. Lewaryst Shorza

i Marianton Kozak – obaj wysłizgali się z poboru kilka dni przede mną. Obaj pomagali

wysłizgnąć się mnie. Weteran z komisji wiedział, co mówi. Admiralicji wystarczyły niespełna

dwa tygodnie na „załatwienie” większości odroczeń.

Przywitaliśmy się z minami skazańców, bo w końcu nimi byliśmy – jeśli w dwa tygodnie

odeszło aż siedem osób z jednej kolonii, rzeźnia tam w górze musiała być naprawdę wielka.

Staliśmy na skraju szemrzącego tłumu, tak na oko było nas tam osiemdziesięciu. Niemal

wszyscy w moim wieku, żadnych szczyli świeżo po osiemnastce. Lewaryst także to zauważył.

– Towarzystwo z odzysku? – zapytał na tyle głośno, żeby usłyszeli go także stojący w innych

grupkach. Odpowiedziało mu kilkanaście krzywych uśmiechów i o wiele więcej skinięć

głowy. – Zadne towarzystwo – dodał wyraźnie rozbawiony.

– Cieszy cię to? – zachnął się Kozak.

Jego najbardziej bolało to powołanie. Nie dość, że los Federacji zwiślał mu luźnym

kalafiorem, to na dodatek jego panna zaciążyła tydzień wcześniej. Złośliwi gadali, że celowo,

aby wywinąć Mariantonka z woja, ale jeśli nawet tak było, armia okazała się nieczuła na jej

wdzięki i kwity. Nie dostał nawet jednego dnia odroczenia. Tylko dodatek dla ojców rodzin

do żołądu. Liczony od terminu porodu pierwszego potomka. A to oznaczało dziewięć pełnych

miesiący w polu, zanim skapnie dodatkowy grosz. No, chyba że policzymy odszkodowanie. Za

dzieciatych rodziny dostawały więcej. Stary Manfredwarda ponoć kupił nowego śmigera za

kredyty z admiralicji. A przecież za leszcza, który padł, zanim włożył mundur, nie mogli

zapłacić jak za poległego bohatera.

Nagle zdałem sobie sprawę, że ja, pacyfista pełną gębą i przeciwnik tej wojny od pierwszego jej dnia, stoję w tłumie podobnych mi ludzi, z pokorą czekając na przydział

sortów mundurowych i broni. Czy dwa tygodnie picia na umór mogło mnie tak odmóżyć?

Chyba nie do końca, skoro nadal o tym myślę. Ale co będzie za miesiąc, dwa? Jeśli nie zginę

od razu, jak sugerował osiłek, i trafię na front, będę musiał strzelać do ludzi, którzy mają

pieprzoną rację, chcąc się wywinąć spod władzy największych pojebów we wszechświecie.

Tak, przez pierwsze kilka dni snuliśmy z kumplami dalekosieżne plany. Jak to będziemy

rozrabiali armię od środka, otwierali ludziom oczy, ale temat szybko utonął w morzu wody

i zabawy. Skupiliśmy się na korzystaniu z uroków ostatnich dni wolności. I co z tego zostało?

Dzisiaj już wiedziałem, że niewiele zdziałam. Nie tylko dlatego, że mi się nie chciało.

Stary, zawsze czujny jak ptak, przyniósł mi wczoraj kilka kwitów dotyczących nowego

prawa. Wyrażenie poparcia dla unionistów, nawet tak ogólne jak mój występ przed komisją,

kosztowałyby mnie dwadzieścia lat ciężkich robót w stoczniach orbitalnych, jeśli rzecz

miałaby miejsce gdzieś na zapleczu, albo czapę, gdybym szerzył swoją wizję w okopach.

Dlatego, widząc wylężnione spojrzenie mamy, postanowiłem nie przeginać pały. Skoro mam

być trybikiem w maszynie wojny, będę nim, ale najmniejszym i najmniej potrzebnym. Postaram

się wywijać od wszystkiego, a przeciwnika zabiję tylko wtedy, gdy zagrozi mojemu życiu.

Może nie było to najmądrzejsze postanowienie, ale Lewaryst i Marianton, gdy poznali

dokładniej fakty, zgodzili się ze mną. Będziemy kontestować zgniłą Federację i jej pieprzoną

w każdą lufę armię.

– Szósta przestrzenno-desantowa! W dwuszeregu zbiórka!

Ryk mundurowego, który wyłonił się właśnie z luku wahadłowca, uciszył wszystkie

rozmowy. Zabraliśmy worki i posłusznie przemaszerowaliśmy na kawałek wolnego lądowiska

przy burcie maszyny, która miała nas zabrać na orbitę, a może i dalej.

Wysoki, potężnie zbudowany sierżant szybko sprawdził listę obecności, myśląc się przy

odczytywaniu połowy nazwisk. Po każdej poprawce zacinał się coraz bardziej,

ale nam to nie

przeszkadzało. Zyskaliśmy kilka dodatkowych minut odroczenia. Ale wszystko, co dobre,

kiedyś się kończy. Sierżant dotarł z trudem do ostatniej pozycji na liście, co wyraźnie go

ucieszyło. Znow zaczął stąpać po znanym sobie gruncie.

– Zanim wejdziecie na pokład, odbierzecie sorty mundurowe od dyżurnych z intendentury.

Za moment powinni tutaj być. Na razie nie rozchodźcie się i nie palicie. – Wskazał palcem na

znaki zdobiące kadłub maszyny.

– A rozmawiać wolno? – zapytał Lewaryst z wyczuwalną ironią, choć chyba nie dla tego

tropa.

Sierżant wyłowił go z tłumu, zmierzył groźnym wzrokiem, a potem powoli, jakby po

głębszym zastanowieniu, skinął głową.

– Wolno. Ale bez wrzasków i śmiechów! Szósta PeDe to nie przedszkole dla niedorozwiniętych bachorów!

– To jakim cudem ty do niej trafiłeś? – mruknął stojący obok mnie poborowy, którego nie

znałem nawet z widzenia.

Parę słów, a już mi się spodobał. Stłumiliśmy wybuch śmiechu, co czujny sierżant od razu

wychwycił, ale widocznie uznał, że ciche parsknięcia oznaczają strach przed

jego autorytetem,

bo tylko dumnie zadarł głowę.

Spóźnienie wozu intendentury wprowadziło nas w błogi nastrój. Wolność miała słodki

smak, zwłaszcza teraz, szkoda, że nie można było jej uczcić dodatkowym dymkiem. Pół

godziny w palącym słońcu, na rozgrzanym plastolicie, minęło jak z bicia strzeł. Zza

najbliższego hangaru wyjechał w końcu krótki konwój szarych pojazdów floty. Chwilę później

byliśmy świadkami szorstkiej wymiany zdań pomiędzy „naszym” prowadzącym a dwoma

szeregowcami z intendentury. Nie mogliśmy ich dosłyszeć, ale ten sam chłopak, który przed

chwilą podsumował przemowę sierżanta, zamarkował treść awantury, i to na dwa głosy.

– Pan zamawiał osiemdziesiąt porcji sorbetów morelowych? – podłożył głos pod pierwszego szeregowca.

– Osiemdziesiąt sortów mundurowych zamawiałem, do kurwirtualnej nędzy! – dodał,

parodiując sierżanta.

– Ale ja mam na zamówieniu sorbety. Z podwójnym żelem.

– W dupę se wsadź ten żel, obszczymurze jeden.

– Z przyjemnością to zrobię, ale i tak musi pan za niego zapłacić.

– Zdążyliśmy z dostawą w trzydzieści minut – dodał na koniec trzecim głosem.

– Należy się

napiwek!

Spieniony sierżant odwrócił się na pięcie i ruszył w naszą stronę, kwadratowa
szczęka

poruszała się miarowo w poziomie. Gdyby był parzystokopytnym, podczas tego
krótkiego

spaceru starłby sobie zęby do dziąseł.

– Oddział, baczność! – ryknął i trzasnął obcasami, jakby wydał ten rozkaz także
sobie. –

Mamy mały problem z sortami, który naprawimy po dotarciu do koszar na
orbicie Delt

Trytona. Chwilowo dostaniecie używane mundury. Jakiś niedorozwój z
intendencji –

wymówił ostatnie słowo z wyraźną nienawiścią – znowu pomylił listy
przewozowe. Wasze

nowusieńkie mundury trafiły do bazy, a tutaj przysłano zestawy zamienne dla
kadry. Macie pół

godziny na zafasowanie odpowiednich sortów. Bieliznę zostawiacie swoją. Jak
coś nie

pasuje, nie marudzić! Wymienimy na miejscu. Chyba że kombinezony będą
mocno za małe,

w co osobiście wątpię, jak na was patrzę...

– Spodnie na pewno będą nas piły w kroku – podsumował tę wypowiedź mój
sąsiad

wesołek.

– Kto to powiedział?! – ryknął sierżant.

Kolega z szeregu wystąpił o krok.

– Uważacie, że to zabawne? – Trep ruszył w jego kierunku.

– Ta jest! – wydarłem się najgłośniej, jak umiałem.

Marianton i Lewaryst natychmiast poszli w moje ślady, a reszta oddziału zaskoczyła po

chwili. Sierżant zdębiał. Spojrzał na nas spode łba, przygryzł wargę, a potem nagle się

wyprostował i z równie wyczuwalną pogardą, jak miało to miejsce w przypadku uwagi

o intendenturze, powiedział:

– Znaczy, uważacie, że macie jaja! Dobrze, będzie po czym kopać podczas szkolenia!

Patrzcie państwo, koleś wyglądający na najmniej kumatego absolwenta zaawansowanego

kursu synchronizacji muszki ze szczerbinką nagle błysnął dowcipem. Marnym jak jego intelekt,

ale czego oczekiwać po zwykłym trepie...

Pierwsze starcie rozeszło się po kościach. Ustawiliśmy się w kolejce do wozu z sortami,

potem, gdy intendent dokonał pomiarów i dobrał odpowiednie sorty, przechodziliśmy kolejno

w strefę cienia pod skrzydłem wahadłowca. Tam, jeśli nie liczyć pohukiwań krążącego wokół

nas sierżanta, mogliśmy się w miarę spokojnie przebrać.

Zanim upłynął wyznaczony czas, staliśmy znów w równym dwuszeregu. Dwa rzędy

oliwkowych, polowych kombinezonów. Czego na nich nie było: odznaki, baretki, nawet

naszywki z nazwiskami – choć obco brzmiącymi. No i te szarże. Trafiło się nam nawet kilku

podoficerów. Mnie przypadł w udziale zwykły sierżant nazwiskiem Lamonte, ale na przykład

kolega śmieszek z prawej awansował na pełnego porucznika.

Na szczęście dla nas na wozie intendencji znajdowało się o wiele więcej sortów, niż

potrzebowaliśmy, nikogo więc spodnie nie piły w kroku. Nikt też nie wyglądał jak ostatnia

oferma, choć wprawny krawiec – jak na przykład mój stary – od razu zorientowałby się, że nie

nosimy swoich rzeczy. Tyle że na wojnie krawców mało kto pyta o zdanie. A szkoda.

Zapakowaliśmy się na pokład wahadłowca po krótkiej odprawie i ponownym przeliczeniu

stanu osobowego. Tym razem obeszło się bez wyczytywania nazwisk. Lot nie był długi, choć

wielu z nas po raz pierwszy opuszczało atmosferę Nowego Brisbane. Niestety, te wojskowe

graty nie miały ani jednego okienka, przez które moglibyśmy podziwiać piękno naszej małej

planety. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie właściwości ma kadłub z plastali...

Kilka godzin później wydostaliśmy się z pachnącej smarem i kwaśnym odorem wymiocin

ładowni do jasnej śluzu wielkiego okrętu, skąd załoganci po krótkiej odprawie przeprowadzili

nas prosto do komór kriogenicznych. Kazali nam się rozebrać do bielizny, co oznaczało, że lot

nie potrwa dłużej niż dwie, trzy doby.

Ułożyłem się wygodnie w miękkiej piance, poczekałem, aż wszystkie elektrody znajdą się

na miejscu, i zamknąłem oczy. Pomyślałem, że gdy je otworzę, będę już żołnierzem.

* * *

Z hibernacji, nawet krótkiej, człowiek wybudza się stopniowo. Nie wiercie w opowieści,

jak to zaprawieni w skokach nadprzestrzennych wojacy są w stanie ruszać do boju już po

kwadransie od otwarcia komór. Bzdura, czysta bzdura. Wiedziałem o tym jeszcze przed

poborem, dlatego spokojnie poddawałem się procedurom wybudzeniowym, stopniowo

dochodząc do siebie.

Nie pamiętałem momentu, w którym wyprowadzono nas z transportowca. Nie miałem

pojęcia, jak trafiłem na swoje miejsce w sporym czworoboku. Pierwszą w pełni świadomą

myślą było złorzeczenie temu, kto zmusił nas do stania w pełnym umundurowaniu na tak ostrym

śłońcu. Poklepałem się po kieszeni, ale ku swojemu zdumieniu nie znalazłem

okularów.

Załamane oczy piekły jak szlag, jednakże niewiele mogłem na to poradzić, dopóki dyżurny

z tutejszej intendentury nie odda mi worka z rzeczami.

– Baaaczność! – ryknął ktoś, sądząc po nosowym głosie raczej nie „nasz” sierżant.

Posłusznie strzeliliśmy obcasami. Z prawej usłyszałem głośny gwizd, moment później do

moich uszu dobiegło skrzypnięcie desek i czyjeś ciężkie kroki. Niedaleko, ale jakby ponad

moją głową. Jak na złość nie mogłem przetrzeć oczu. Wołałem nie podpadać od razu.

Baczność to baczność. Zresztą porażenie zaczynało już mijać. Dostrzegałem zarysy trybuny

stojącej tuż przed pierwszym szeregiem, a na niej kilka jeszcze mało wyraźnych postaci.

– Czołem, żołnierze! – zawołał ktoś nowy głębokim, basowym głosem.

– Czołem! – odwrzasnąłem nieco chrapliwie, razem z, jak na moje ucho, grubo ponad setką

gardeł.

Formacja była o wiele większa od składu, z którym wyruszyliśmy z Nowego Brisbane. Nie

powinno mnie to dziwić. W końcu loty nadprzestrzenne kosztują, a uzupełnienia dla szóstej

PeDe nie mogły pochodzić tylko z naszej zapyziałej planetki.

Pieczenie ustępowało powoli, teraz największym problemem było świecące

prosto w oczy

słońce. No i łzy wciąż ściekające po policzkach.

– Nazywam się pułkownik Greenlee – powiedział oficer stojący na zbitej z desek trybunie.

Gdy przechylałem się nieco na lewo, tarcza słońca kryła się za jego okazałą sylwetką, dzięki

czemu mogłem lepiej przyjrzeć się okolicy. – Poprowadzę was w imieniu Federacji do

ostatecznego zwycięstwa!

– Do ostatecznego zwycięstwa! – Ryknęliśmy niemal automatycznie, marząc o jak

najszybszym zejściu z tego skwaru.

– Niech żyje szósta przestrzenno-desantowa! Królowa wszystkich wojsk i pogromczyni

separatystów!

– Niech żyje!

– Śmierć zdrajcom Federacji!

– Śmierć! – Zauważyłem, że przy tym hasle nie było już tak mocnego odzewu. Nic

dziwnego, co najmniej kilkudziesięciu z nas miało Federację w większej pogardzie niż

zbuntowanych kolonistów.

– Oby ślad po nich nie pozostał! – kontynuował pułkownik Greenlee.

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na ten okrzyk, wielu stojących obok mnie też nie miało

pojęcia, więc wyszło to marnie – sporo ludzi wydarło się w różny sposób.

Najwidoczniej pułkownikowi nie bardzo się to spodobało. Zamilkł i trepił
zwyczajem

spoglądał teraz na nas z góry. Zmrużyłem raz jeszcze oczy, wyciskając
powiekami łzy,

przechyliłem się, by widzieć lepiej, i...

– Kurwir... – Słowa zamarły mi w gardle.

Dziesięć metrów ode mnie na ażurowym rusztowaniu stał skośnooki mężczyzna

w oliwkowym mundurze, który z pewnością nie należał do sił przestrzenno-
desantowych

Federacji. Co więcej, obok niego stał cały szpaler żołnierzy z wycelowaną w nas
bronią.

Część z moich towarzyszy także zaczęła się już orientować w sytuacji. Zewsząd
dobiegały

cichsze bądź głośniejsze krzyki. Harmider narastał i dopiero salwa z pulsatora
zaprowadziła

gruntowny ład i porządek.

– Witajcie w Kuźni, panowie żołnierze! – odezwał się znów pułkownik, tym
razem

dobitniej cedząc słowa. – Obawiam się, że wasz udział w tej wojnie dobiegł już
końca.

Bohaterskie oddziały Unii Rubieży – to sformułowanie usłyszałem po raz
pierwszy, ale nie

dziwiło mnie, że rządowa propaganda przemilcza takie fakty, w końcu słowa
„buntownicy”

albo „zdrajcy” brzmią w przekazach o wiele lepiej niż tak poważne określenia –

zdołały

wyśledzić i przejąć transportowiec, którym odsyłano was po urlopach do koszar.
Stu

sześćdziesięciu pięciu przedstawicielei jednej z najelitarniejszych jednostek
Federacji

schwytyanych na raz... Nasze dowództwo uznało, że nie możemy zmarnować
takiej okazji, żeby

odpłacić Federacji, a zwłaszcza jej sztandarowej dywizji za szereg masakr,
których się

dopuszczała...

– O czym ten facet gada? – zapytał mnie szeptem Lewaryst; stał tuż za mną, jak
na zbiórce

podczas odlotu.

– Pojęcia nie mam – odszepnąłem, starając się jak najmniej poruszać ustami. –
Chyba

bierze nas za żołnierzy z Szóstej... – Nagle mnie olśniło. – To przez te pieprzone
mundury!

– Gideon Gamma, Tanganika Alfa, Romulus Gamma... – ciągnął tymczasem
pułkownik.

Przez tę krótką wymianę zdań straciłem wątek, ale najwyraźniej chodziło mu o
miejsca,

w których Szósta dopuściła się zbrodni wojennych.

– To kłamstwo! Nigdy nie byliśmy na Romulusie! – krzyknął któryś z
chłopaków stojących

daleko po lewej.

Pułkownik zamilkł. Widziałem, że twarz mu stężała. Odwrócił się powoli w

stronę

żołnierza, który przerwał mu tę mozolną wyliczankę.

– Twierdzisz, federacyjny śmieciu, że jestem kłamcą? – zapytał jadowitym tonem.

– Twierdę, że Szósta nigdy nie operowała na żadnej z planet Romulusa – odparł ten sam

głos. – Wiem, co mówię. Służę w tej jednostce od szesnastego.

Oficer Unii nie odpowiedział, machnął za to prawą ręką. Ciche kasznięcie gdzieś w górze

zbiegło się z głuchym łomotem dochodzącym mniej więcej z miejsca, z którego dobiegały

przed chwilą zapalczywe słowa. Sekundę później rozległy się krzyki. Przewyciężyłem lęk

i spojrzałem w tamtą stronę. Facet padł tam, gdzie stał. Widziałem tylko podeszwy jego butów

i pofałdowaną powierzchnię kombinezonu. No i krew. Była wszędzie. Na twarzach

chłopaków, którzy stali za zastrzelonym, na piasku wokół nich. Musiał dostać skomasowanym

ładunkiem. Na dźwięk kolejnej serii z pulsatora przypadłem do ziemi. Tym razem palba była

dłuższa, głośniejsza. Strzelało kilka osób.

– Kto opuści miejsce w szeregu, zostanie natychmiast zastrzelony! – oznajmił pułkownik

Greenlee. – Kto zarzuci mi kłamstwo, bezzwłocznie pójdzie w ślady tego martwego śmiecia.

Zrozumiano?!

– Tak jest! – odkrzyknąłem razem z pozostałymi, wstając ostrożnie z ziemi.

– Romulus Gamma, osiem dni temu – podjął unionista w miejscu, w którym mu przerwano.

– Dokładnie w południe czasu centralnego nad czterema największymi miastami kolonii

pojawiły się kapsulery z charakterystyczną płonąca szóstką na dziobach. Desant dotarł na

powierzchnię planety trzydzieści sześć sekund po upadku pocisków kinetycznych, które

zamieniły w perzynę wszystkie aglomeracje... Duma Federacji raz jeszcze odniosła

zwycięstwo nad starcami, kobietami i dziećmi. Bilans strat: siedemset trzydzieści siedem

tysięcy zabitych. Niemal sześć razy tyle rannych. Na Gammie nie było celów militarnych. Ani

orbitalnych, ani powierzchniowych. System ten przystąpił do Unii zaledwie tydzień wcześniej

na mocy podpisanego traktatu zjednoczeniowego. Nie zdążył nawet ogłosić mobilizacji.

Mogliście nie wiedzieć o tym sukcesie waszej jednostki, skoro przebywaliście na zasłużonym

urlopie po spacyfikowaniu księżyców Tanganiki. Wasza federacyjna sieć propagandowa

z pewnością nie podaje takich informacji.

W naszych szeregach zapanowało poruszenie, faktycznie obilo mi się o uszy, że

odbiliśmy,

tfu, Federacja odbiła ostatnio parę systemów. Greenlee miał rację, takich szczegółów

w wieczornych agitkach nie podawano. Unionista zamilkł, a my zaczęliśmy nerwowo szeptać

między sobą, komentując te fakty.

– Czy ktoś chce coś dodać? – zagrzemiał znów pułkownik ze swojego podwyższenia.

Nikt się nie odezwał. Pomyślałem, że może ja spróbuję wyjaśnić, na czym polega pomyłka,

ale przypomniałem sobie kasznięcie sprzed chwili i przed oczyma stanęła mi zapłakana

mama. Malutki trybik, malutki i nieważny trybik, powtórzyłem sobie w myślach. Niech ktoś

inny się narazi...

– Tak! – Kilka sekund później ktoś jednak zdecydował się na reakcję.

Rzuciłem okiem w stronę mówiącego. Na pewno nie był to nikt z naszych.

– Słucham.

– Obawiam się, że zaszło spore nieporozumienie... sir!

– Nieporozumienie, powiadasz? – Zdziwienie unionisty było naprawdę szczere.

– Niby

jakie?

– Większość z nas jest poborowymi, którzy jeszcze nigdy nie brali udziału w walce – podjął

chłopak z drugiego rzędu, stał cztery miejsca ode mnie. – Zostaliśmy wcieleni

do armii siłą.

Na mocy niedawnego dekretu Wojskowej Rady Ocalenia Federacji.
Sprzeciwialiśmy się tej

wojnie od początku...

Pułkownik znów podniósł rękę. Zapadła cisza, kątem oka widziałem, że
mówiący zakrywa

twarz ręką, jakby ta wątpa przeszkoda mogła zatrzymać ładunek energii zdolny
wypalić dziurę

wielkości pięści w pięciocentymetrowej płycie z plastali. Strzał jednak nie padł.
Za to do ręki

pułkownika trafiła teczka.

– Sierżant sztabowy Rosso, jeśli dobrze widzę... – Wskazany kręcił nerwowo
głową, ale

unionista nie reagował na jego zaprzeczenia, tylko wetknął nos w teczkę i mówił
dalej: –

Jamesteban Rosso. Mamy twoje akta, synku. Pomimo niecnych usiłowań
kapitana

transportowca, który was przewoził, odzyskaliśmy wiele danych z komputerów.
Między

innymi te dotyczące składu osobowego Szóstki. Wprawdzie mocno
niekompletne, ale jednak.

Spójrzmy... Rosso. W służbie od szesnastego. Odznaczony za rajd na Karnak...
Potem

Gideon, bez specjalnych zasług, i wreszcie Tanganika. Przedstawiony do
promocji. Jak

napisano w komentarzu: „Doskonały, zdyscyplinowany żołnierz, podczas

pacyfikacji osiedli

górnicych ani razu nie odmówił wykonania rozkazu...”. Tak... Chyba już wiem, dlaczego

wymyśliłeś tę bajeczkę, synku. Pacyfikacja osiedli górnicych na Umbutu. Jedna z najczarniejszych kart w historii tej wojny.

– Sir, cokolwiek się tam stało, to nie byłem ja. To nie mój mundur! Nazywam się Tristich,

pochozę z...

– Zamknij się, tchórzliwa gnido! – ryknął pułkownik Greenlee, odkładając dokumenty. –

Naprawdę myślisz, że uwierzę w tak naciąganą bajkę? Zasłużyłeś po stokroć na śmierć za to,

co zrobiliście na księżycach Tanganiki. I po stokroć za to zapłacisz, gwarantuję.

– Ale ja...

– Jeszcze jedno słowo, a sprawię, że natychmiast spłacisz dług wobec Unii!

Zdesperowany Tristich patrzył na nas błagalnym wzrokiem, ale choć wszyscy jechaliśmy na

jednym wózku, nikt nie przyszedł mu w sukurs. Smród śmierci zbyt mocno raził nasze nosy,

żebyśmy mieli ochotę stawać na linii kolejnego strzału. Nie wiem, jak inni sobie to tłumaczyli,

ale ja wierzyłem głęboko, że zdołamy wszystko wyjaśnić, chociaż nie teraz i nie tutaj. Nie

w takich warunkach. Przecież to była pomyłka, żaden z nas...

– Skoro już wyjaśniliśmy sobie tę kwestię – podjął w tym momencie Greenlee –

możemy

przejsć do kolejnego punktu programu. Jesteście najbardziej znienawidzonymi wrogami Unii,

dlatego trafiliście w moje ręce. Do Kuźni, w której wykuwa się los tej wojny. Rozejrzyjcie się

uważnie... – Przerwał, dając nam rękami zachętę do popatrzenia wokół.

Znajdowaliśmy się na ogromnej równinie, za nami, na płycie lądowiska, w odległości

niespełna stu metrów, stał osmalony transporter planetarny z oznaczeniami separatystów. Na

lewo od niego dostrzegłem kilkanaście prostych, parterowych baraków z plasteku. Za nimi

widać było kopulasty szczyt masywnego bunkra i smukłą wieżę zakończoną czymś w rodzaju

kapelusza, jedną z czterech podobnych, które otaczały cały kompleks. Dwie następne mieliśmy

po bokach, ostatnia stała tuż za trybuną. Nie zauważyłem żadnych ogrodzeń, płotu, zwojów

drutu kolczastego, czegokolwiek, co odgradzałoby teren pomiędzy zabudowaniami od

bezkresnej równiny.

– Zastanawiacie się pewnie, dlaczego wokół obozu, w którym przyjdzie wam dokonać

żywota, nie ma niczego, co uniemożliwiłoby wam ucieczkę – powiedział pułkownik

dosłownie kilka sekund po tym, jak w mojej głowie pojawiło się takie właśnie

pytanie.

Sądząc po minach chłopaków stojących obok, wielu rozważało ten sam problem.
– Pozwólcie,

że wam to wyjaśnię – podjął unionista. – Zróbmy to w najbardziej czytelny sposób. Panie

Rosso... – Wywołany po nazwisku poborowy nie zareagował, ja sam z trudem przypominałem

sobie, jak nazywał się właściciel munduru, który nosiłem. – Sierzancie Rosso, do was mówię

– powtórzył nieco głośniejszym głosem pułkownik, wskazując palcem na Tristicha.

– Ale ja nie...

– Milcz, kanalio! Obiecałem ci, że jeśli jeszcze raz usłyszę tę wymówkę, zaczniesz płakać

dług wobec Unii! Ten sam, który zaciągnąłś, każąc strzelać swoim ludziom do bezbronnego

tłumu. Do ludzi, którzy chcieli się poddać, wiedząc, że walka bez broni przeciw zakutym

w stal bezwzględny oprawcom nie ma najmniejszego sensu.

Załamany Tristich rozglądał się wokół, szukając wsparcia. Nie mógł go znaleźć, wszyscy

wbijali wzrok w ziemię, byle nie stać się kolejnym celem sadystycznego pułkownika.

– Ha... – prychnął unionista. – Bohaterowie Federacji. Elita elit. – Ręka pułkownika znów

powędrowała do góry znanym mi ruchem. Ale nie usłyszeliśmy kaszlnięcia. W ciszy, jaka

zapadła nad placem, słyszałem tylko walenie własnego serca. – Sierżancie Rosso, w prawo

zwrot i biegiem marsz!

Tristich obejrzał się lękliwie za siebie, potem rzucił okiem na trybunę. Pułkownik skinął

dłonią i jeden z żołnierzy przyłożył pulsator do ramienia. To wystarczyło, by wystraszony

poborowy ruszył przed siebie, przepychając się pomiędzy szeregami. Gdy wypadł na otwartą

przestrzeń, przyśpieszył kroku, zaczął też kluczyć. Był szczupły i wysportowany. Trafienie go

mogło sprawić spory kłopot nawet doświadczonemu strzelcowi. Zwłaszcza że odległość rosła

z każdym krokiem.

Spoglądałem jeszcze przez chwilę na uciekającego Tristicha, potem przeniosłem wzrok na

trybunę. Otaczający pułkownika żołnierze opuścili broń. Stali spokojnie, na ich twarzach nie

było widać żadnego napięcia. Rzuciłem okiem na otaczające nas wieże. Czyżby mieli na nich

zrobotyzowane stanowiska ogniowe? To mogłoby tłumaczyć ich spokój.

Tymczasem Tristich zdążył już pokonać całkiem sporą odległość. Minął właśnie żółtą

chorągiewkę, jedną z kilku podobnych, które dostrzegłem dopiero w tej chwili. Były zbyt małe

i niskie – gdyby nie fakt, że uciekinier skierował się prosto na jedną z nich,

pewno w ogóle nie

zwróciłbym na nie uwagi. Dwa kroki dalej Tristich padł. Myśleliśmy, że się potknął, ale

sekundę później do naszych uszu dobiegł jego skowyt. Wił się na ziemi, próbował wstać,

w końcu usiadł ciężko i tak już został, złożony wpół jak szmaciana lalka.

Pułkownik skinął na dwóch żołnierzy, którzy natychmiast opuścili rusztowanie i wsiedli do

stojącego za nim grawiolotu.

– Zastanawiacie się, co zabiło dzielnego sierżanta Jamestebana Rosso, człowieka, który

nigdy nie zawahał się przed strzeleniem w tył głowy staruszce trzymającej na rękach zwłoki

zabitego syna czy wrzuceniem granatu fosforowego do klasy pełnej dzieci? – odezwał się

stojący nad naszymi głowami Greenlee. – Powiem wam. Powinniście o tym wiedzieć, skoro

każdego z was może czekać ten sam los. Z tego obozu nie ma ucieczki. Nie potrzebujemy

ogrodzeń ani strażników, żeby utrzymać was na jego terenie. Zanim rozpoczęliśmy operację

wybudzenia, nasi lekarze dokonali kilku niewielkich wszczepów w wasze ciała. Wystarczy

jeden krok poza wyznaczoną flagami granicę obozu i cztery mikroładunki zamienią

najważniejsze tętnice waszych organizmów w nie dające się naprawić sito.

Wykrwawicie się

w kilkanaście sekund. – Okrągły grawiolot powrócił pod trybunę. Ciało Tristicha zwisało

z jego burty. Zanim żołnierze zrzucili je w piach, mogliśmy obejrzeć wielkie plamy krwi

zdobiące kombinezon na wewnętrznych stronach ud i ramion. – Od tej pory nie macie żadnych

praw – kontynuował pułkownik wypranym z emocji tonem. – Unia Rubieży uznała was

winnymi popełnienia zbrodni wojennych i skazała prawomocnymi wyrokami na karę śmierci.

Wyrok wykonano niezwłocznie, o czym poinformowaliśmy we wszystkich głównych

przekazach informacyjnych... – zawiesił głos i spoglądał na nas z góry, uśmiechając się pod

nosem. – Tak, moi drodzy. Nikt nie będzie was szukał, jeśli na to liczyliście. Dla całego

świata jesteście równie martwi, jak te dwa federacyjne śmiecie.

– Co zamierzacie z nami zrobić? – zapytał ktoś z tylnych rzędów.

– Dowiedcie się w stosownym czasie. – Pułkownik Greenlee ku mojemu zdumieniu nie kazał

uciszyć śmiałka.

* * *

Transportowiec odleciał chwilę później. Pułkownik i jego ludzie obserwowali, jak znika

w gęstych chmurach, a potem wsiedli do grawiolotów i udali się w stronę kopuły

bunkra. Nie

usłyszeliśmy ani jednego słowa więcej. Nie powiedziano nam nawet, co mamy robić.

W jednej chwili zostaliśmy sami.

– Mamy przesrane – szepnął Lewaryst, spoglądając na zwłoki Tristicha i leżącego w pyle

obcego nam żołnierza.

Marianton, zielony na twarzy, przykucnął obok. Nic nie mówił, tylko wpatrywał się

szklanym wzrokiem w horyzont. Usiadłem obok niego na gołej, twardej ziemi. Chciałem

powiedzieć coś pocieszającego, ale nie byłem w stanie. Nie potrafiłem wymyślić jednego

sensownie brzmiącego zdania.

– Żołnierze! – zawołał ktoś z drugiej strony formacji. – Jeśli będziemy trzymali się razem,

nie złamią nas tak łatwo!

– Mów za siebie – odpowiedział mu inny głos.

– Te unijne skurwyklony nie powiedziały nam całej prawdy – przekonywał pierwszy

z mówców. – Muszą mieć jakieś plany, skoro nie załatwili nas od razu.

Kilku jeńców poparło go, zza pleców słyszałem pomruki aprobaty.

– Pierdolone żołnierzyki... – mruknął wesołek w mundurze porucznika.

– Coś ty powiedział? – zainteresował się pierwszy z mówców. Zlustrowałem gościa, gdy

przecisnął się pomiędzy otaczającymi go chłopakami, którzy w zdecydowanej większości byli

mi obcy. Na pewno nie należał do grupy zabranej z Nowego Brisbane.

– To, co słyszałeś – odparł pseudoporucznik.

– Kogo nazywasz pierdolonymi żołnierzami? – Facet był wysoki, dobrze zbudowany,

miał w oczach ogień, gdy stanął twarzą w twarz z naszym ziomalem. Mierzyli się wzrokiem

z odległości kilku centymetrów. Gdyby któryś miał bardziej wystający nos...

– Gości, którzy... jak to leciało... wrzucają granaty fosforowe do klas pełnych dzieci... –

odparł lodowatym tonem „porucznik”.

– Szóstka nie morduje cywilów – wyszczał jego oponent, czerwieniejąc na twarzy.

– Nie pacyfikowaliście księżyców Tanganiki?

– Nie tak, jak myślisz.

Wokół nich zebrała się już większość chłopaków. Wstałem i przecisnąłem się do

pierwszego szeregu. Znajome twarze grupowały się za „porucznikiem”, pozostali, prawdziwi

weterani z Szóstki, trzymali się za plecami swojego wyszczekanego kompana. Nas było

osiemdziesięciu, ich zaledwie dwudziestu, ale gdyby doszło co do czego, nie postawiłbym

grosza na drużynę Nowego Brisbane. A walka wisiała na włosku.

– Trzeba pochować zabitych – powiedziałem.

Spojrzeni na mnie obaj, podobnie jak większość otaczających ich chłopaków.
Odsunęli się

od siebie, kiedy ich minąłem, idąc w stronę leżącego na ziemi ciała Tristicha.

* * *

Otarte dłonie piekły mnie jak cholera, gdy zbliżaliśmy się bezładną grupą do zabudowań.

Pogrzebanie człowieka w tak suchej ziemi, zwłaszcza gdy nie dysponuje się
żadnymi

narzędziami, nie należy do rzeczy łatwych. Pod trybuną znaleźliśmy kilka
niewielkich kamieni,

którymi mogliśmy kruszyć twardą, gliniastą glebę. Po godzinie zespołowej
pracy, podczas

której zmienialiśmy się nieustannie, udało się wykopać płytki dół. Nie miał
więcej niż

trzydzieści centymetrów głębokości, ale to musiało wystarczyć. Złożyliśmy w
nim blade,

cuchnące okropnie ciało i przysypaliśmy je starannie ziemią. Na wierzchu
ułożyliśmy

wszystkie kamienie, jakie znaleźliśmy w promieniu kilkudziesięciu metrów.
Lewaryst zrobił

koślawy i malutki krzyż. Zmontował go z łodyg uschniętych roślin. Kiedy
skończyliśmy, część

wiary padła na ziemię, aby odpocząć, a reszta poszła pomagać starym
żołnierzom. Było ich

znacznie mniej niż nas i mieli o wiele większy problem. Ich człowiek został
dosłownie

rozerwany na strzępy.

Gdy obie mogiły były gotowe, pożegnaliśmy zabitych minutą ciszy i ruszyliśmy w stronę

baraków.

Dzielił nas od nich kilometr pustyni. W normalnych warunkach nie więcej niż chwila

marszu. Ale dotarcie do najbliższego budyneczku zajęło nam prawie pół godziny. Byliśmy

oszołomieni hibernacją, wykończeni ciężką pracą i piekielnym upałem. Błękitnawe słońce

wiszące od dłuższego czasu w zenicie dało się wszystkim w kość. Uniesienie nogi do

kolejnego kroku zdawało się przekraczać ludzkie możliwości. Co chwilę ktoś siadał albo

padał na twarz. Nie zostawialiśmy kolegów z tyłu, czekaliśmy, aż wstaną, bądź pomagaliśmy

im się podnieść, gdy wyglądało na to, że sami nie dadzą rady.

Mniej więcej dwadzieścia minut od rozpoczęcia marszu ktoś krzyknął z tyłu kolumny.

Odwróciliśmy się w stronę puciołowatego chłopaka, wskazującego ręką na chmurę pyłu

wydobywającą się z za jakiegoś pojazdu, który zmierzał w stronę maleńkiej teraz trybuny.

Zatrzymaliśmy się i obserwowaliśmy, jak kilku unionistów zeskakuje na ziemię i fachowo

rozkopuje nasze mogiły. Nie minęła nawet minuta, gdy oba ciała trafiły do

worków i znalazły

się na pace transportera.

– Skurwyklony... – mruknął sierżant, który obruszył się na uwagę o pierdolonych

żołnierzach. – Mówiłem, że bawią się nami.

Odwrócił się i ruszył dalej, ku bliskim już zabudowaniom obozu.

* * *

Nie spodziewaliśmy się powitania. W każdym razie nie takiego.

Zanim minęliśmy pierwszy barak, jego drzwi otworzyły się i zobaczyliśmy w nich kilku

mężczyzn w wypłowiałych kombinezonach Federacji. Sądząc po naszywkach, mieliśmy do

czynienia z samymi pilotami. Byłem zbyt zmęczony, żeby zwracać uwagę na szczegóły, ale

i tak coś mnie uderzyło w ich wyglądzie. Dopiero później, wieczorem, zrozumiałem, że

wyglądali zbyt czysto i zdrowo jak na więźniów obozu zagłady.

Po chwili z innych zabudowań zaczęli się wysypywać kolejni. Nie było ich wielu, zaledwie

kilkunastu. Stanęli w oddali, milczący i wychudli. Obserwowali nas uważnie, ale nie podeszli

bliżej.

Najstarszy z pilotów, szpakowaty szczupły mężczyzna w stopniu kapitana, lustrował naszą

grupę badawczym wzrokiem. My także spoglądaliśmy na niego, zastanawiając

się, kogo lub

czego szuka. Tajemnica wyjaśniła się, gdy oficer stanął przed Thomashleyem Dohertym,

naszym „porucznikiem”.

– Pan tutaj dowodzi? – zapytał.

– Obawiam się, że pomylił mnie pan z niejakim pułkownikiem Greenlee.

Kapitan spojrzał na niego dziwnie.

– Miałem na myśli...

– Wiem, co pan miał na myśli – odparł Doherty. – Moja odpowiedź brzmi: nie dowodzę

tymi ludźmi, nie jestem porucznikiem, to nie jest mój mundur i nie mam siły, żeby się teraz

tłumaczyć z tego wszystkiego.

Kapitan zbaraniał do reszty.

– Tak, rozumiem, jasne. – Odwrócił się w stronę starych więźniów obozu. – Na co

czekacie, wskażcie chłopakom kwatery. Podoficerowie na blok szósty, resztę rozmieście

w jedynce, dwójce, czwórce, siódemce i jedenastce.

* * *

Trafiliśmy do dwójki z niewielką grupą innych chłopaków z Nowego Brisbane. Starzy

żołnierze trzymali się razem, więc i my uznaliśmy, że to najlepsza metoda na przetrwanie.

Nasz blok, czyli barak, składał się z trzech sekcji. W pierwszej i największej mieściła się

sypialnia na trzydzieści trzy piętrowe prycze. W drugiej za cienkim przepierzeniem mieliśmy

stołówkę z dwiema długimi ławami i prostym dyspenserem. Na końcu budynku ulokowano

toalety i prysznice. Z tych ostatnich ucieszyliśmy się najbardziej, ale starzy więźniowie szybko

nam uświadomili, że te luksusy są bardziej niż pozorne. Woda była dostępna tylko dwa razy

dziennie, w sumie przez dziesięć minut, co przy ośmiu kabinach dawało naprawdę niewiele

czasu na poranne mycie i wieczorną kąpiel. Podobnie rzecz się miała z jedzeniem, maszyna

wydawała trzy skromne, syntetyczne posiłki w ciągu tutejszej doby, a ta nie należała do

najkrótszych i trwała prawie trzydzieści godzin standardowych. Nam, mieszkańcom Nowego

Brisbane, nie powinno to specjalnie przeszkadzać, dni na naszej planecie były zaledwie

o godzinę krótsze od tutejszych, ale część starych żołnierzy Szóstej mogła mieć spore kłopoty

z przystosowaniem się do tak odmiennych warunków.

Rozlokowaliśmy się błyskawicznie, wzięliśmy w pośpiechu pierwszą, jakże upragnioną

kąpiel, potem zjedliśmy po kawałku brunatnej i nie pachnącej zbyt atrakcyjnie brei. Pół

godziny później, zgodnie z instrukcjami przekazanymi przez jednego ze starych więźniów,

zebraliśmy się ponownie na placu pomiędzy barakami.

Kapitan i jego dwaj towarzysze już tam na nas czekali. Reszta tutejszych trzymała się z tyłu,

w cieniu rzucanym przez baraki.

– Witajcie, koledzy! – powitał nas lotnik, gdy stanęliśmy na wyznaczonych miejscach. –

Domyślam się, że macie setki pytań dotyczących tego obozu i sytuacji, w jakiej się

znaleźliście. – Uniósł do góry rękę, aby uciszyć narastający gwar. – Wszystko w swoim

czasie, moi panowie. Pozwólcie, że jako najstarszy stopniem oficer tego obozu najpierw

zapoznam was z sytuacją, a potem odpowiem na pozostałe pytania... – Zamilkł na moment,

czekając, aż i my się uspokoiimy. – Nazywam się kapitan Rustymon Bidley i zostałem

zestrzelony przez unionistów podczas bitwy o Betę Narwiku szesnastego stycznia dwa tysiące

dwieście dwudziestego trzeciego roku... – Znów musiał przerwać, czekając, aż umilkną

szmery. – Miesiąc później, po pokazowym procesie, na którym zostałem skazany na śmierć,

trafiłem do tego obozu. Od dziewięciu miesięcy, czyli od chwili gdy straciliśmy pułkownika

Keptlera, jestem tutaj najstarszym oficerem. W pewnym sensie dowodzę wszystkimi jeńcami

Kuźni. – Wskazał głową na kilkunastu mężczyzn stojących w cieniu. – Także od was będę

wymagał posłuszeństwa i dyscypliny. Mimo iż trafiliście do niewoli, nie przestaliście być

żołnierzami Federacji i nie pozwolę, by duch w was upadł. Nie jestem zbyt dobry w tego typu

przemowach, pozwólcie więc, że resztę kwestii załatwimy w bardziej naturalny sposób. Jeśli

ktoś ma pytanie, proszę o podniesienie ręki.

Chyba wszyscy unieśliśmy dłonie w górę jak nadpobudliwe dzieciaki w pierwszej klasie.

Bidley wskazał palcem jednego ze starych żołnierzy.

– Co to za miejsce, panie kapitanie? – zapytał nieznany mi kapral.

– Jeśli pytacie o tę planetę, nie jestem w stanie powiedzieć niczego konkretnego. Do tej

pory nie trafił do nas żaden astronawigator, dlatego nie zdołaliśmy nawet w przybliżeniu

określić sektora przestrzeni, w którym się znajdujemy.

– Chodziło mi raczej o obóz – wpadł mu w słowo kapral.

– Kuźnia nie jest typowym obozem jenieckim – zaczął ostrożnie Bidley. – Komendant

Greenlee na pewno wspominał o tym, że zostaliście skazani na śmierć, a wasze wyroki już

dawno wykonano. Skurwyklon uwielbia szokować nowych więźniów takimi

wiadomościami.

Niestety wszystko wskazuje na to, że mówi prawdę. Upozorowano waszą śmierć. I nie

zrobiono tego dla żartu. Nie będę dłużej was czarował, moi panowie, Unia nie zebrała was

tutaj, aby dać wam drugą szansę... – Zawiesił na chwilę głos. – Macie przed sobą kilka dni

naprawdę ostrego szkolenia, potem zaczną się polowania. Na was.

Następne pytanie padło dopiero kilka minut później, kiedy obaj zastępcy kapitana uciszeli

harmider. Tym razem pytanie zadawał jeden z naszych.

– Co pan miał na myśli, mówiąc: „polowania”? – zaciekawiał się Doherty. On właśnie, jako

„najstarszy stopniem” w naszej grupie, otrzymał prawo pierwszego głosu.

– Może to określenie nie jest najfortunniejsze, ale chyba najpełniej oddaje waszą sytuację.

Zawsze jest tak samo. Na porannym apelu wyczytywane są nazwiska, przeważnie cztery do

sześciu. Wybrani jeńcy są przewożeni poza teren monitorowany, do bunkra, tam pułkownik

przekazuje im szczegółowe instrukcje dotyczące zadania. Czasem chodzi o coś bardziej

skomplikowanego, ale za pierwszym razem unioniści zazwyczaj wydają proste polecenia, na

przykład przedostania się z punktu A do punktu B. Następnie wahadłowiec zabiera

wybrańców w jakieś odległe miejsce na tej planecie, gdzie rozpoczyna się polowanie.

Znajdziecie się w obcym wam terenie, bez broni i żywności, wyposażeni jedynie w mapę.

Będziecie mieli na karku żołnierzy wroga. Jeśli wykonacie zadanie i przeżyjecie, zostaniecie

odwiezieni do obozu. Otrzymacie także gwarancję nietykalności na cały miesiąc. Jeśli was

dopadną... – Zamilkł znacząco.

Zaszumiało, zwłaszcza po naszej stronie. Jako poborowi mieliśmy naprawdę blade pojęcie

o zaawansowanych technikach walki czy maskowania. Wiedzieliśmy tyle, ile wpojono nam

podczas snu na transportowcu, czyli prawie nic. Spojrzałem w stronę stojących w cieniu

starych więźniów. Było ich siedemnastu, niewielu, zważywszy na pojemność tego obozu. To

też dawało do myślenia.

– Czy komuś z naszych udało się przeżyć takie... „polowanie”? – zapytał kolejny wskazany

przez kapitana żołnierz.

– Owszem. – Bidley pokiwał głową. – Straty wynoszą zwykle około siedemdziesięciu

procent. Trzech na dziesięciu wysłanych wraca do obozu. Czasem nawet więcej. Stajemy na

głowie, żeby was wyszkolić lepiej od tych unijnych śmieci. – Splunął z pogardą

pod nogi.

– Jaki jest sens takich szkoleń, skoro i tak mamy zginąć? – zapytał niski brunet stojący

w pierwszym szeregu naszej grupy. Znałem go z widzenia. Chyba z akademii. – Może lepiej

usiąść na tyłku i dać się zabić od razu, zamiast dostarczać unionistom darmowej rozrywki.

– Mylisz się, synu. – Kapitan skrzywił się, patrząc w naszą stronę. – Wcale nie chodzi

o dostarczanie im darmowej rozrywki. Ta wojna kiedyś się skończy. Prędzej czy później.

I jestem pewien, że ją wygramy. Dlatego staram się, aby jak najwięcej z was ją przeżyło.

Dzięki naszym świadectwom ludzie poznają prawdę o zbrodniczym systemie Unii Rubieży.

Może dzięki temu poświęceniu choć jeden z was będzie świadkiem egzekucji pułkownika

Greenlee.

Twarze więźniów stojących w cieniu pojaśniały. Oni najwyraźniej też w to wierzyli.

– Cały czas, mówiąc o polowaniach, powtarzał pan: „wy”, „was” – wyrwałem się, zanim

kapitan zdążył wskazać następnego pytającego. – Czy to znaczy, że te zasady pana nie

obowiązują?

Bidley uśmiechnął się.

– Jeśli ktoś przeżyje dziesięć misji, przechodzi na kolejny rok do kadry szkoleniowej. –

Wskazał na niebieską opaskę zdobiącą jego prawy rękaw. – Te biedne skurwyklony nie miały

ze mną żadnych szans – dodał z niekłamana dumą.

Mnie nie było do śmiechu. Wszyscy starzy więźniowie mieli na ramionach podobne

oznaczenia.

* * *

Spotkanie na placu trwało jeszcze długo, dowiedzieliśmy się jednak niewiele więcej. Życie

w obozie polegało głównie na spaniu, jedzeniu i morderczym treningu. Misje, czy też

„polowania”, nie miały wspólnego mianownika. Każda była inna, przynajmniej tak twierdzili

ci, które je przeżyli. Kapitan dodał jeszcze, że „nowi” dostawali tydzień spokoju, ale ostatnio

transporty ze świeżym mięsem armatnim przybywały coraz rzadziej, a Szósta była solą w oku

wielu unionistów, więc nie powinniśmy liczyć na zbyt wiele luzu. Kiedy dowiedział się od

kolejnego chłopaka, że tak naprawdę jesteśmy cywilbandą, z lekka zbaraniał. Żeby nie

przedłużać spotkania i dać ludziom odpocząć, poprosił na odchodnym, abyśmy wybrali

z naszego grona po dwóch łączników z nieformalnym dowództwem obozu.

Najlepiej

najstarszych stopniem albo cieszących się największym posłuchem. Dał nam na to czas do

dwudziestej piątej. Na tę godzinę wyznaczył odprawę w swoim baraku. No i powstał

problem.

O ile wojo nie musiało kombinować, my nie za bardzo wiedzieliśmy, jak się zabrać do

wyborów. Chłopaki, cała osiemdziesiątka, zebrali się w jednym baraku i zaczęli radzić.

Minęła godzina, dwie, potem zrobiliśmy sobie chwilę przerwy na kolację i młyn zaczął się od

początku. Byliśmy totalnie niezorganizowani. Każda grupka znajomych proponowała swojego

przedstawiciela, gdyż funkcja łącznika wydawała się łakomym kąskiem. Prawdopodobnie –

tego niestety nie byliśmy do końca pewni – gwarantowała obu wybranym wyłączenie

z losowania kandydatów na zwierzynę łowną. Przynajmniej w pierwszej fazie szkolenia.

Bidley zasugerował coś takiego pomiędzy wierszami albo komuś coś się ubzdurało.

Tuż przed dwudziestą czwartą, kiedy upadła kolejna kandydatura, chłopak, którego właśnie

odrzucono, wstał, popatrzył po zebranych i powiedział:

– Panowie, dzisiaj jeden z nas pokazał, że ma jaja. Więcej powiem, udowodnił

też, że

potrafi myśleć. Nawet w sytuacjach ekstremalnych.

W baraku zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Kogo masz na myśli? – zapytał z nadzieją w głosie Doherty.

– Jego! – Mówca wskazał w moją stronę. – Kiedy chcieliście skoczyć sobie do gardeł z tym

sierzancikiem, gość przytomnie rozładował sytuację... – W tym momencie zrozumiałem, że

moje nadzieje na pozostanie małym trybikiem w maszynie wojny obracają się w proch.

Z każdym kolejnym pomrukiem aprobaty czułem coraz większy chłód na plecach, chociaż

w baraku panował nieludzki zaduch.

– Jak się nazywasz, kolego? – Doherty spojrzał na mnie.

– Nie nadaję się do tego – burknąłem, ale od czego są usłudźni przyjaciele.

– Doni! Nasz kumpel nazywa się Johanatol Doni! – wydarł się Lewaryst. – Jego wam

trzeba... – dodał już nieco ciszej, widząc moją minę. – No co?

– Widzicie? – Mój „promotor” rozłożył szeroko ręce. – To chyba pierwszy facet w naszej

budzie, który nie rwie się do tej roboty.

– No to nie męczmy gościa – rzucił ktoś z tylnych rzędów.

– Zamknij paszczę! – uciszyło go natychmiast kilku innych.

– Skończmy z tymi bzdurami – poparł ich Doherty. – Moim zdaniem kolega

Doni nadaje się

do tej roboty idealnie. Kto jest za kandydaturą?

Las rąk w górze. Anonimowość szlag trafił. Chcąc nie chcąc, wchodziłem w światło

reflektorów. Jednym słowem, wystawiałem się na strzał.

Gdy podnosiłem się z pryczy, nawet Marianton się ożywił, choć od czasu spotkania

z pułkownikiem siedział osowiały i nie powiedział ani jednego słowa.

– A co z drugą kandydaturą? – zapytał, przekrzykując rosnącą wrzawę.

Brawa natychmiast umilkły. Zrozumieli, że za nimi dopiero połowa sukcesu.

– Pozwolicie, że sam dobioreę sobie partnera? – zaproponowałem, mając nadzieję, że taka

bezczelność może ostudzić ich zapał. Niestety przeliczyłem się, i to bardzo.

– Mówiłem, że kolega jest idealnym kandydatem na to stanowisko! – zawołał „promotor”

i zaraz dodał: – Jestem za!

* * *

Pół godziny później szedłem przez plac apelowy z Dohertym, który wydał mi się

najrozsądniejszym człowiekiem w naszej bandzie. Nie znałem nikogo z tych ludzi –

oczywiście oprócz Lewarysta i Mariantona, ale oni za nic nie nadawali się do takiej roboty –

postanowiłem więc, że Thomashley będzie moją prawą ręką. Wiedziałem, że chociaż jeden

z nas będzie się potrafił postawić trepom, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Mieliśmy kwadrans na bliższe poznanie. Od razu przeszliśmy na ty. Ja opowiedziałem mu

o sobie, on rzucił kilka zdań na temat własnej przeszłości. Facet był ode mnie starszy o rok,

mieszkaliśmy w sąsiednich koloniach górniczych, chodziliśmy do tej samej szkoły, tyle że na

inne zmiany. Wspólnych znajomych znaleźliśmy kilku, co w tak zamkniętych i małych

społecznościach, jak Nowe Brisbane, nie było niczym wyjątkowym. Ja wyszukałem dwa

paragrafy do naszego odwołania, on jeden. Na tych ustaleniach poprzestaliśmy.

W drzwiach bloku Bidleya czekał na nas jeden z jego zastępców, siwawy, czarnoskóry

draągł nazwiskiem Navin. Theodoreed Navin. Bez zbędnych ceregieli zaprowadził nas do

jadalni, gdzie czekali już przedstawiciele prawdziwych żołnierzy Szóstki. Troglodyta,

z którym starł się pod trybuną Doherty – co wcale nas nie zdziwiło, zważywszy na jego

wygadanie – i drugi sierżant, którego nazwiska jeszcze nie znałem.

– Siadajcie, panowie. – Kapitan wskazał nam krzesła naprzeciw nich. Skinęliśmy tamtym

zdawkowo głowami, co nie uszło uwagi Bidleya. – Widzę, że nie zdążyliście się jeszcze

poznać.

Nadrobiliśmy te zaległości chwilę później. Troglodyta nazywał Jandrzej Skalski, a jego

równie mało inteligentnie wyglądający kompan Clayrton Barron.

– Czy może mi pan, porucz... Tak, wiem – zaraz poprawił się Bidley – szeregowy Doherty,

wyjaśnić, o co chodzi z tym przebieraniem?

Thomashley streścił w kilku zdaniach wydarzenia z Nowego Brisbane. Pomiął tylko tę

część, która dotyczyła odroczeń. Chyba słusznie zrobił. Powiedzenie ludziom siedzącym od

kilku lat w takim miejscu, że popiera się ich oprawców, nie skończyłoby się niczym dobrym.

Kapitan przez cały czas patrzył na niego z niedowierzaniem, a potem pokręcił głową.

– Nie sądziłem, że mamy aż taki burdel w intendenturze floty – powiedział w końcu.

– Zgubienie mundurów to naprawdę mały problem – wtrącił Barron. – Dwa miesiące temu

dostaliśmy trzysta ton amunicji kinetycznej kaliber pięćset. – Powiedział to takim tonem, jakby

serwował nam znakomity dowcip. Nie załapaliśmy go ze zrozumiałych względów, ale kapitan

i jego ludzie też wydawali się zdezorientowani. Sierżant to zauważył, choć nie od razu. –

Szósta nie dysponuje ciężką bronią. Odpalają nas z transporterów, w kapsułach przeciążeniowych, prosto na pole walki. Walczymy bronią ręczną, głównie

energetyczną.

Z czegoś takiego nie sposób odpalić wielotonowego pocisku.

Kapitan przetarł dłońmi twarz, choć nie wyglądał na zmęczonego.

– Słuchając takich opowieści, zaczynam wątpić w rychłe przybycie naszej kawalerii

z odsieczą – stwierdził.

– Odsiecz nie jest naszym najpilniejszym problemem – rzucił Doherty. – Ma pan w obozie

osiemdziesięciu cywili, których uniońscy lada moment wezmą w obroty.

– Wiem... – przyznał Bidley i przygryzł nerwowo wargę. – Chociaż to może wyjść wam na

dobrze. Kiedy Greenlee zorientuje się, z kim naprawdę ma do czynienia...

– Nie uwierzył, kiedy mu o tym mówiliśmy – przerwał mu Doherty.

– Twierdził, że udało im się przejąć część danych z komputerów transportowca – dodałem

natychmiast. – W tym kartoteki osobowe wielu z „nas”. – Wskazałem na naszywkę

z nazwiskiem Lamonte.

– Kłamał. – Bidley lekceważąco machnął ręką.

– Chyba jednak nie. – Doherty poparł mnie, zanim któryś z sierżantów zdołał zabrać głos. –

Wyczytał kilka nieciekawych faktów z przyszywanego życiorysu naszego... byłego kolegi.

– Wydawał się dosyć zorientowany w temacie – przyznał Skalski.

Kapitan spojrzał na nas uważnie.

– Jak bardzo?

– Wystarczająco.

– Cóż... – Bidley wypuścił głośno powietrze z płuc. – Jedno dobre, że nie będziecie sypać

na przesłuchaniach.

– Jakich przesłuchaniach? – zdziwiłem się.

– Myślałeś, synku, że Greenlee da spokój asom elitarniej dywizji wroga? Zgarnięcie setki

żołnierzy z takiej jednostki to niesamowita okazja do wydobycia mnóstwa sekretów naszej

armii.

Zobaczyłem, jak Doherty blednie. Dostał mundur podoficera. Jedyne w całej grupie.

Nawet wśród prawdziwych żołnierzy Szóstki nie było chyba nikogo starszego od sierżanta.

– Kurwirtual... – mruknął Skalski. Do niego też dotarło, że polowania nie są tutaj

największym zagrożeniem. – Dlaczego nic pan kapitan o tym nie powiedział na apelu?

– Teraz wam mówię. Sami oceńcie, czy przekażecie te informacje dalej. Ale osobiście

odradzałbym taki ruch.

– Dlaczego? – To pytanie padło niemal jednocześnie z co najmniej trojga ust.

– Dobrze się czujecie z tą wiedzą? – odparł pytaniem na pytanie Bidley.

Nie czuliśmy się dobrze, co było widać aż nadto po twarzach. Kapitan miał rację,

świadomość, że wywiad kolonialistów weźmie nas w obroty, na pewno spędziłaby sen

z powiek większości chłopaków. Mogliśmy im darować kilka spokojnych nocy. A może tylko

tę jedną.

– Nie da się tego jakoś odkręcić? – zapytał łamiącym się głosem Doherty.

Kapitan przymknął oczy.

– Sądzę, że po kilku nieudanych próbach dojdą do tego, że naprawdę jesteście poborowymi

– rzekł w końcu. – Gdyby nie te dane, pewnie udałoby mi się dość szybko im wytłumaczyć, że

zwinęli uzupełnienia Szóstki, ale jeśli Greenlee ma kwity, które świadczą inaczej, będzie

próbował wyciągać z was prawdę do upadłego. Jestem tego pewien, znam drania wystarczająco długo.

– No to mamy przesrane – podsumował Thomashley.

– Nawet nie wiesz, synku, jak bardzo – przyznał kapitan.

* * *

Doherty nie mylił się. Wzięli go pierwszego. Już następnego dnia. Wstaliśmy wszyscy

o szóstej, na długo przed wschodem słońca. Pół godziny później rozpoczął się apel.

Tradycyjny wojskowy szajs. Przeliczenie stanu osobowego, raport, wyznaczenie

zadań. O tym,

że coś jest nie tak, dowiedziałem się ze spojrzenia Bidleya. A w zasadzie z jego braku.

Kapitan ani razu nie zwrócił oczu w naszą stronę. Odczytał przekazaną przez strażników listę

rozkazów dziennych i na końcu dodał:

– Porucznik Manfredward Dunst zgłosi się na przejściu wschodnim o siódmej zero zero.

W pierwszej chwili przyjęliśmy ten komunikat obojętnie, dopiero po kilku sekundach

dotarło do mnie, że nie chodzi o żadnego ze starych więźniów. Thomashley miał na piersi

naszywkę z tym nazwiskiem. Zachowanie kapitana potwierdzało moje podejrzenia. Odwrócił

się na pięcie i bez słowa komentarza wrócił do swojego bloku.

Doherty nie ruszył się z miejsca, gdy odtrąbiono koniec apelu i chłopcy rozeszli się do

swoich zajęć. Zostałem z nim. Tyle tylko mogłem zrobić. Nie powinien być teraz sam. Do

siódmej zostało dziesięć minut. W sam raz tyle, ile trzeba, aby dojść do linii przejścia na

wschodniej granicy obozu.

– Musimy iść – powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu.

Był blady i trzął się cały. Może gdyby nie wiedział, po co go wzywają, nie bałby się tak

bardzo.

– Nie – odparł, strząsając moją dłoń.

– Zwariowałaś? – syknąłem, pochylając się do jego ucha. – Jeśli nie będzie cię na przejściu

za dziesięć minut, unioniści odpalą twoje mikroładunki.

Spojrzał na mnie, usta mu drgały, oczy były wilgotne, pot perlił się na czole.

– To z pewnością będzie mniej bolało – stwierdził i nie sposób było nie przyznać mu racji.

– Panowie łącznicy! – Z baraku dowództwa kiwał na nas ręką jeden z zastępców Bidleya.

Pociągnąłem Doherty’ego za ramię, poddał się bez większego oporu. Blok kapitana

znajdował się daleko od wyznaczonego przejścia. Dotarliśmy do niego minutę później.

Bidley stanął w drzwiach, ledwie dowlekliśmy się na miejsce.

– Szeregowy Doherty – powiedział stanowczym głosem – wy chyba nie zrozumieliście

obowiązujących tutaj zasad.

– Wolę zginąć w kilka sekund, niż umrzeć po kilku godzinach niewyobrażalnych męczarni –

odparł Thomashley.

– A co powiecie na śmierć trzech waszych przyjaciół?

Doherty podniósł oczy na dowódcę.

– Ja tu nie mam żadnych przyjaciół – odparł beznamiętnym tonem człowieka pogodzonego

ze swoim losem, ale nagle coś zaświtało mu w głowie. – O czym pan mówi?

Bidley wyciągnął do niego rękę. Trzymał w niej kartkę z rozkazem.

– Przeczytajcie, szeregowy.

Doherty nie przejawiał ochoty na lekturę, więc ja to za niego zrobiłem. Obok nazwiska

nieszczęsnego porucznika widniały trzy inne. Te osoby miały zginąć, jeśli wymieniony jeniec

nie stawi się o siódmej przy żółtych flagach. Squall, Baldini, Cronauer. Nic mi te nazwiska nie

mówiły, chociaż ostatnie gdzieś chyba widziałem. Cronauer, Cronauer... Kurwirtual!

Marianton miał je na piersi!

– Zostało wam jeszcze siedem minut – ponaglił nas kapitan.

– Mam to w dupie – burknął Thomashley.

Rozumiałem go. Jak ja go kurewsko rozumiałem, ale z drugiej strony nie był mi bliższy od

najlepszego przyjaciela.

– Wybacz – szepnąłem, cofając się o krok, i walnąłem go z całej siły w skroń.

Był tak otepiały, że nie drgnął nawet, mimo iż na pewno wiedział, co zamierzam zrobić.

Zachwiał się na nogach, ale nie stracił całkiem przytomności. Dupa ze mnie, nie fajter,

pomyślałem, podtrzymując go mocno, by nie upadł. Jeden z zastępców kapitana podbiegł

i chwycił Doherty'ego za drugie ramię.

Ruszyliśmy w stronę granicy obozu, ciągnąc go pomiędzy sobą. Początkowo

próbował się

wyrywać, ale po kilku szarpnięciach przestał wierzgać.

– Co z nim nie tak? – zapytał zdyszany porucznik Lisky.

– Pan oczywiście poszedłby z ochotą na takie przesłuchanie... – Żeby odpowiedzieć,

musiałem się na moment zatrzymać.

Od bunkra oderwał się obły kształt. Grawiolot już ruszył na wschodnią granicę obozu. My

mieliśmy do niej jeszcze sto metrów.

– Mieszkacie w tym samym bloku? – zapytał mnie zastępca Bidleya.

– Tak – odparłem zaskoczony, że interesuje go teraz coś takiego.

– Widziałeś go przy śniadaniu? – wydyszał znów porucznik Lisky.

– Tak.

– Jadł?

– Niewiele.

– Kurwirtual...

Już docieraliśmy do żółtej linii, za którą stał grawiolot z dwoma unionistami.

– To porucznik Dunst? – zapytał jeden z nich, nie opuszczając broni.

– Tak – potwierdziłem.

Unionista spojrział zciekawiony na Thomashleya, potem przeniósł wzrok na Lisky'ego.

– Nie jadł śniadania. – Zastępca Bidleya powiedział to takim tonem, jakby te trzy słowa

stanowiły wytłumaczenie wszystkiego.

Ku mojemu zdziwieniu unionistom to wytłumaczenie wystarczyło. Przejęli od nas

słaniającego się na nogach Doherty'ego, zapakowali go na grawiolot i bez słowa ruszyli

w stronę bunkra.

Staliśmy przez chwilę w tumanie kurzu, starając się odzyskać oddech, a gdy powietrze

przechyliło się na tyle, że znów zobaczyliśmy zabudowania obozu, ruszyliśmy w drogę

powrotną.

– O co chodzi z tym śniadaniem? – zapytałem po kilku krokach.

– Dyspenser dodaje środki uspokajające do posiłków więźniów, którzy danego dnia mają

być zabrani na polowania i przesłuchania – wyjaśnił Lisky po chwili wahania. – Zazwyczaj są

łagodni jak baranki i wykonują wszystkie polecenia.

* * *

Thomashley wrócił wieczorem. Chwilę po kolacji. Przynieśli go obaj pomocnicy Bidleya.

Zorientowałem się, że coś jest nie tak, kiedy na bloku nagle zrobiło się cicho jak makiem

zasiał. Podniosłem się z pryczy i spojrzałem w stronę drzwi, tam, gdzie wszyscy już patrzyli.

– Niech ktoś poda apteczkę! – zaordynował porucznik Navin, zanim przekroczyli próg.

– Gdzie jest jego prycza? – zapytał Lisky.

Ktoś wskazał miejsce na najwyższym poziomie. Obaj porucznicy skrzywili się jak na

komendę.

– Dajcie go tutaj – zasugerowałem, zrywając się i rozściełając koc.

Zanim ułożyli go wygodnie, ktoś przyniósł apteczkę. Navin wyjął ją z drżących rąk rudego

chłopaka i odsunął go w tłum, jakby miał do czynienia z manekinem. Wszyscy zgromadzili się

wokół mojej pryczy, nieruchomi, milczący, z szeroko otwartymi oczami.

Nie wiem, jak wyglądało całe ciało Thomashleya, ale widok dłoni i twarzy wystarczył, bym

poczuł mdłości. Dranie powyrywali mu wszystkie paznokcie, dwa palce były na pewno

złamane. Dało się to zauważyć gołym okiem.

Twarz wyglądała jeszcze gorzej. Opuchnięta szczęka, popękane, umazane krwią wargi, zza

których widać było bezzębne dziąsła, oczy niewidoczne w fioletowosinych obrzękach, które

rozlewały się na policzki i szyję. Jedno ucho zwisało pod nienaturalnym kątem. Perkaty nos

zniknął zupełnie w opuchliznie, tylko z jego dziurek sączyła się wciąż ciemna krew.

– Wody! Dajcie wody! – poprosił Lisky.

– Skąd? – zapytałem, otrząsając się z transu. – Jest już po kolacji, a prysznic...

– Z kibla, człowieku! – Porucznik wcisnął mi do ręki otwartą manierkę.

Przekazałem ją Mariantonowi i dołożyłem swój ręcznik.

– Rusz się! – Popchnąłem go w stronę łaźni. – Tylko wypucuj go najpierw dokładnie!

Skinął głową i zniknął za przepierzeniem. Porucznik tymczasem fachowo przyglądał się

obrażeniom Doherty’ego. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nie dawał naszemu koledze większych

szans. Gdy ucisnął lekko klatkę piersiową, Thomashley zwinął się z bólu i zaczął kaszleć

spazmatycznie. Na jego ustach pojawiły się krwawe bąbelki.

– Kurwirtual... – mruknął porucznik, cofając raptownie ręce.

Doherty zaczął się dławić. Spazmatycznie ruszał ustami, usiłował się podnieść, ale każdy

ruch musiał potęgować ból. Przy gwałtowniejszym spazmie z ust popłynęła mu strużka krwi.

Ciemnej, niemal czarnej. Sekundę później opadł ciężko na poduszkę. Nie oddychał.

– Jest woda! – wrzasnął mi do ucha rozpromieniony Marianton.

Manierka zawisała w próżni. Nikt po nią nie sięgnął.

* * *

Do następnego apelu stanęliśmy w kompletnej ciszy. Ciało Doherty’ego spoczęło obok

formacji, szczelnie zawinięte w koc. Porucznik Lisky jeszcze tamtego wieczora poradził nam,

żebyśmy zaraz po apelu zostawili je na którymś z przejść. Spacer do granic obozu w nocy

mógłby zostać niewłaściwie odczytany przez strażników.

Znow przeszliśmy rutynowe odliczanie, raporty i odczytanie rozkazów dziennych przez

Bidleya. Zimny pot lał mi się strumieniami po plecach, gdy kapitan kończył litanię, wskazując

kolejne przydziały i ćwiczenia.

Przezucie mnie nie myliło.

– Sierżant Troy, kapral Sauncey i szeregowy Honzo zgłoszą się na przejściu zachodnim

o godzinie siódmej zero zero. – Bidley pośpiesznie wyczytał trzy nazwiska.

Jeden stary i dwóch naszych. Saunceya znałem z widzenia, mieszkał w sąsiednim

blokowisku. Nieźle grał w piłkę. Chyba był nawet obrotowym naszej akademickiej drużyny.

Twarzy szeregowego Honzo nie rozpoznawałem.

Kapitan nie odłożył kartki, przełknął nerwowo ślinę. Zły znak, pomyślałem.

– Starszy sierżant MacMarsky zgłosi się na przejście wschodnie o godzinie siódmej zero

zero. – Dopiero teraz dokument powędrował do kieszeni dowódcy.

Chłopak stojący obok Lewarysta rozejrzał się lekko nieprzytomnym wzrokiem. Przekazałem

dyżurnym z innych bloków, żeby dopilnowali przy śniadaniu, by każdy zjadł przydziałową

porcję. Nie wnikałem w szczegóły, nie musiałem. Wszyscy wciąż byli w szoku po tym, co

unioniści zrobili z Dohertym.

Reszta jeńców rozeszła się do zajęć, na placu została tylko wywołana czwórka, Skalski, ja

i Bidley.

– Miał pan rację, kapitanie – powiedział Jandrzej, gdy podeszliśmy do dowódcy.
– Nie dali

nam żadnego luzu.

Porucznik Lisky zebrał trójkę więźniów, którzy mieli się udać na przejście zachodnie. Szli

za nim potulni jak baranki, niosąc na ramionach sztywne ciało Thomashleya. Navin otoczył

ramieniem MacMarsky'ego i poprowadził go w drugą stronę. Bidley spoglądał za nimi przez

chwilę, a potem odwrócił się do nas.

– Widziałem, co zrobili z Dohertym – powiedział wolno. – Greenlee poszedł na całość. To

pierwszy przypadek śmierci więźnia po przesłuchaniu od kilku miesięcy. Kilku żołnierzy

zostało kalekami po wizycie w bunkrze, ale coś takiego... – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Może pan kapitan wstawi się teraz za kotami – zaproponował Skalski.

– Jak mam się za nimi wstawić? – zdziwił się Bidley.

– Dzisiaj wzięli już drugiego – ciągnął sierżant. – On też nic im nie powie,

choćby nie

wiem, co z nim robili...

– Człowiek z bólu przyzna się do wszystkiego – wtrąciłem.

Skalski spojrział na mnie z obrzydzeniem. W jego bohaterskim umyśle pewnie nie było

miejsca na strach i zdradę. Ciekawe, czy zmieniłby zdanie, gdyby wyrwać mu na żywca

wszystkie zęby i paznokcie.

– Doni ma rację. – Kapitan wziął moją stronę. – Przecież to cywile. Nie umieją nawet

odpowiedzieć prawidłowo na pytanie o numer służbowy.

Miał rację. Za cholerę nie pamiętałem swojego numeru. Po wybudzeniu nie oddano nam

nieśmiertelników...

– Fakt. – Sierżant natychmiast zgodził się z przełożonym. – Może by pan jednak

spróbował... To dobry moment na uświadomienie temu żółtkowi, że torturami niczego z nich

nie wyciągnie.

Zdziwił mnie. Nigdy bym nie przypuszczał, że będzie się nami tak przejmował. Już samo

nazywanie nas kotami wskazywało, że pogardza poborowymi.

– Zobaczą, co się da zrobić – obiecał kapitan, zasalutował i odszedł.

– Dzięki – powiedziałem, gdy zostaliśmy sami.

– Za co? – zdziwił się Skalski.

– Za to, że poprosiłeś kapitana o wstawiennictwo za nami.

Sierżant podszedł do mnie, choć nie tak blisko, jak przedwczoraj do Thomashleya,

i spojrzał mi w oczy.

– Szeregowy Doni, może jeszcze nie zauważyliście, ale te unijne skurwyklony jadą od góry,

po szarżach. Jeśli mają dokładne dane, trzeci będzie sierżant Tyrrus, wybaczcie, ale nie znam

nazwiska kota, który nosi dzisiaj jego mundur, a zaraz po nim jestem ja.

No tak, mogłem się domyśleć, że chroni swoje dupsko.

– Ja też jestem pewnie w pierwszej dziesiątce – mruknąłem.

– Ty nic nie jarzysz, kocie. – Skalski przysunął się jeszcze bliżej. – Dopóki biorą was,

sytuacja jest do opanowania. Możecie się im przyznawać już w progu do rżnięcia rodzonych

matek, ale każdy dobry śledczy, a takich na pewno tu mają, od razu się zorientuje, co jest

prawdą, a co kłamstwem. Jeśli ja trafię na przesłuchanie, zacznie się ostra jazda. Widziałem,

co zrobili z Dohertym, więc wiem, że wyciągną ze mnie, co zechcą. A jeżeli do tego dojdzie,

zorientują się, że nie wszyscy tutaj są kotami, i wtedy nie przestaną nas torturować, dopóki nie

wycisną wszystkiego. Musimy ich przekonać do pojutra, że trafili na cywilbandę, inaczej

wielu z twoich i moich ludzi zostanie żywcem obdartych ze skóry. Dlatego

naciskam na

kapitana. Jeśli dzisiaj pogada z nimi na ten temat, po jutrzejszym braniu mogą nam dać spokój.

* * *

Wyszło inaczej. Zawsze wychodzi inaczej. Zwłaszcza jeśli ci bardzo zależy.
Około

osiemnastej, gdy kończyliśmy kolejne zajęcia, alarm wezwał nas do baraków.
Komunikat był

krótki: kto pozostanie na otwartym terenie po ucichnięciu syren, ten zginie.

Zagoniłem chłopaków do baraku i zamknąłem drzwi na długo przed nastaniem ciszy.

Siedzieliśmy na pryzkach, wpatrując się w siebie z przerażeniem. Działo się coś, czego nie

rozumieliśmy. Podświadomie czuliśmy, że nie może to być nic dobrego.

Po pięciu minutach Marianton podniósł rękę do góry.

– Słyszycie? – zapytał.

Ja niczego nie słyszałem, podobnie większość chłopaków, ale Kozak przewracał oczami

i machał palcem, jakby wychwytywał odległe dźwięki.

– O czym ty... – zacząłem, ale uciszył mnie, przykładając palec do ust.

I wtedy usłyszałem. A raczej poczułem. Leciutką, znajomą mi wibrację. Zaraz po niej

przyszedł dudniący odgłos. Tym razem słyszalny dla wszystkich.

– Transporter! – zawołał Lewaryst.

Marianton kiwał głową, uśmiechnięty od ucha do ucha. Miał niezły słuch, skubany.

– Nasi? – zapytał ktoś z nadzieją w głosie.

– Nasi – potwierdził Lewaryst, a gdy umilkły radosne wrzaski dodał: –
Spotkacie się z nimi

na wieczornym apelu.

Miał rację. Kwadrans później głośny szcęk oznajmił nam, że alarm się skończył i baraki na

powrót są otwarte. Chłopaki nie ruszali się jednak z miejsc. Ktoś musiał dać im przykład.

Wiedziałem kto.

Otworzyłem drzwi i wyjrzałem ostrożnie na zewnątrz. W okolicach bunkra zauważyłem

roziewającą się wolno chmurę kurzu. Żeby dojrzeć lądowisko, musiałem przejść za blok

numer siedem. Jego drzwi właśnie się otwierały. Kilku starych żołnierzy obserwowało mnie,

nie wychodząc za próg. Skinąłem im głową na znak, że jest już bezpiecznie, i minąłem

narożnik baraku.

Transportowiec stał na płycie lądowiska. Jego luk był otwarty, szeroki trap spoczywał na

ziemi. Przy trybunie, na której znów stał Greenlee, dostrzegłem grupkę mikroskopijnych

sylwetek.

– Nowy transport. – Drgnąłem, słysząc tuż przy uchu czyjeś słowa.

Nie zauważyłem, kiedy Skalski stanął za mną. Skupiony na horyzoncie przegapiłem moment,

w którym otoczyła mnie spora grupka żołnierzy z trzeciego i siódmego bloku.

– Niezbyt wielki – ocenił ktoś inny.

Było ich o wiele mniej niż nas. Razem ze starymi więźniami nie zajmowaliśmy nawet

połowy miejsc w barakach. Gdyby przywieziono i dwustu nowych – ha! byłem tutaj dopiero

trzy dni, a już myślałem takimi kategoriami – nadal nie byłoby ścisku.

– Idą! – zawołał ktoś z drugiej strony baraku.

Faktycznie, tuman kurzu za grawiolotami i znacznie mniejsza chmura pyłu wznosząca się po

drugiej stronie transportowca wskazywały na koniec obozowego powitania.

– Coś krótko ich załatwia! – zauważył Skalski.

– Nas też nie trzymał długo – odparłem, ruszając na otwartą przestrzeń przed baraki.

Przysiadłem tam w cieniu, czekając na nowych.

– Nikt do nich nie strzelał – dodał sierżant.

– Pewnie byli grzeczniejsi – mruknąłem.

Szli szybciej od nas. I inaczej. Zorganizowaną kolumną w dwóch szeregach. Gdy pokonali

dwie trzecie drogi, mogłem dokładniej ocenić ich liczebność. Trzydziestu chłopów. Nie więcej.

Na mur-beton stare wojo.

Bidley wyszedł ze swojej nory, gdy czoło skromnej kolumny znalazło się przed

barakiem.

* * *

Spotkaliśmy się godzinę później, starym zwyczajem u Bidleya. Ja, Deymoon –
mój

niedawny „promotor”, którego wybrałem na miejsce Doherty’ego – Skalski,
Barron i jeden

nowy. Młody chłopak w stopniu podporucznika. Nazywał się Estebandreas
DeVerro.

Kapitan przedstawił nas sobie, potem pozwolił mówić nowemu.

– To była nasza pierwsza misja po akademii – zaczął niepewnym głosem
DeVerro. – Nasz

pluton wchodził w skład trzeciej brygady inżynieryjnej. Mieliśmy trafić do
Kovo, drugiego co

do wielkości miasta na Delcie Trytona. Według danych wywiadu, siedemnasta
przestrzenno-

desantowa zdobyła je dzień wcześniej i wyparła unionistów do pobliskich
kopalń. My

mieliśmy zabezpieczyć teren i zorganizować bazę transportową dla cięższego
sprzętu.

Ruszyliśmy z orbity. W sumie sześć hektorów. Moi chłopcy lecieli pierwszym.
Ledwie nasza

maszyna dotknęła ziemi, rozpętało się piekło. W trzy sekundy poszły tarcze i
unioniści

rozpieprzyli nam główne wirniki. Dwójka i trójka też nieźle oberwały, ale były

jeszcze

w powietrzu. Zdołały się wycofać dzięki osłonie ogniowej pozostałych maszyn.

– Skalski

i Barron pokręcili głowami, słysząc te słowa. – Próbowaliśmy się bronić we wraku, ale

z amunicją igłową przeciw aktywnym pancierzom Gwardii Rubieży niewiele mogliśmy

wskórać. Wyłuskali nas z ładowni jak ziarna z kłosa. – To sformułowanie sugerowało, że

pochodził z rolniczej planety.

– Toście się nawojowali – powiedział kapitan. – A co z pilotami?

– Byli ranni. Unioniści dobili ich na miejscu. Podobnie jak sześciu moich chłopaków.

– Szczęściarze – mruknął Skalski.

– Słucham?

– Nie, nic. – Sierżant wzruszył ramionami. – Witamy w Kuźni.

* * *

Wieczorem w baraku, kiedy szykowałem się już do snu, poczułem, że ktoś klepie mnie

w ramię.

– To tylko my – wyszeptał Lewaryst, przysiadając w nogach pryczy. W mdłej poświacie

rzucanej przez świetlniki ledwie widziałem zarys jego sylwetki. Parę sekund później dołączył

do niego Marianton.

– Czego chcecie? – burknąłem zły, że nie pozwalają mi spać.

– Musimy pogadać.

– O czym? – Podniosłem głowę i oparłem się na łokciach.

– O tym wszystkim... – Cień Lewarysta się poruszył.

– Rozmawialiśmy z chłopakami – dodał szybko Marianton. – Jeśli czegoś nie wymyślimy,

lada dzień może dojść do tragedii.

– Jakby już jej nie było – mruknąłem.

– Mówię o czymś znacznie poważniejszym. – Shorza jeszcze bardziej ściszył głos i pochylił

się w moją stronę. – Sporo z naszych jest na krawędzi wytrzymałości. Musimy coś zrobić, bo

lada dzień chłopcy się rozsypią. Wiem co najmniej o trzech, którzy całkiem poważnie myślą,

żeby przejść przez żółtą linię.

Samobójstwo? Początkowe zaskoczenie szybko minęło. Doherty miał rację. Lepiej

pomęczyć się kilkanaście sekund, niż cierpieć godzinami. Sam, stojąc przed takim wyborem,

pewnie wybrałbym lżejszą śmierć.

– Ale to jeszcze nic – dodał Marianton. – Kamal i czterej inni z naszego bloku wpadli na

coś innego. Nie jedzą śniadań przed apelem. Chcą być w pełni sprawni, jeśli zostaną

wywołani. Mają zamiar przejąć kontrolę nad grawiolotem i rozpieprzyć go

razem z sobą

i unionistami.

– Idioci! – syknąłem. – Bidley wyraźnie powiedział: jeśli któremuś ze strażników spadnie

włos z głowy, pułkownik każe aktywować mikroładunki chłopaków z bloku, w którym

mieszkał zamachowiec.

– Próbowałem im przemówić do rozumu, ale patrzyli tylko na mnie dziwnie i...

– I co? – zapytałem.

– Powiedzieli, że ty i my jesteśmy sługusami unionistów.

Zamurowało mnie. Kamal był jednym z inicjatorów akcji petycyjnej. To głównie dzięki

niemu udało nam się zorganizować i doprowadzić do stworzenia pisma. Z drugiej strony facet

był zawsze porywczy. Nigdy nie płynął z prądem. Musiało go zdrowo zabołec, kiedy

przekonał się, jak naprawdę wygląda ta wojna.

– Kładźcie się spać, panowie – poprosiłem. – Jutro spróbuję to załatwić... Tak czy inaczej.

* * *

Przybycie nowych ocaliło nam tyłki. Przynajmniej na jakiś czas. Greenlee wziął wprawdzie

nazajutrz biedaka, który nosił mundur sierżanta Tyrrusa, ale tym razem skończyło się tylko na

kilku godzinach przesłuchania i o wiele mniej groźnym pobiciu. Trzy paznokcie,

pięć zębów

i trochę siniaków. Pestka w porównaniu z obrażeniami Doherty'ego i MacMarsky'ego, który

od momentu powrotu nie odzyskał przytomności.

Czwartego dnia nikogo nie zabrano na przesłuchanie. Nikt też nie został wybrany na

polowanie. Widocznie nasi koledzy z dwu pierwszych grup nie sprawdzili się w polu. Nic

dziwnego, niejeden z nas nigdy nie opuścił terenu kolonii. Nowe Brisbane nie należało do

przyjaznych miejsc. Atmosfera poza kopułą była zbyt rzadka, temperatura za niska. Całe nasze

życie koncentrowało się na kopalniach.

Gdy kapitan zakończył apel, zasalutował i ruszył w stronę swojego bloku, Skalski spojrzał

w moją stronę tryumfująco. Szczęściarz. W ostatniej chwili udało mu się wywinąć spod noża.

Ruszyłem na plac ćwiczeń za drużyną, do której mnie przydzielono. Porucznik Navin czekał

na nas przy stanowisku dowodzenia, tam, gdzie zaczynał się tor przeszkód. Ustawiłem

chłopaków w dwuszeregu, przeliczyłem i podszedłem, aby złożyć raport. Po raz pierwszy od

przybycia tutaj czułem się lepiej. Zniknęło napięcie w okolicach karku, poprawił mi się

humor. Pozwoliłem sobie nawet na cień uśmiechu i pewną nonszalancję, gdy salutowałem.

– Szeregowy Doni melduje drużynę drugą gotową do ćwiczeń! Wszyscy obecni!
–

wyrecytowałem wyuczoną formułkę i stanąłem obok Navina.

– Spocznij. – Porucznik przysiadł na niskim stoliku, na którym leżało sześć hełmów, kilka

kompletów uprząży obciążeniowej i atrapy broni. – Szeregowi Deymoon, Payt i Kosma. Zaraz

po rozgrzewce zaczynacie bieg na czas do bunkra i z powrotem. – Wskazał ręką największy

stos worków, ustawiony na końcu placu. Dzieliło go od nas ponad trzysta metrów otwartej

przestrzeni upstrzonej kilkunastoma przeszkodami różnej wielkości. – Druga trójka: Kamal,

Shorza, Doni.

Lewaryst skrzywił się, nigdy nie lubił biegać, choć miał predyspozycje do tego sportu.

Szczupły, barczysty, długonogi. Urodzony długodystansowiec albo sprinter. Ale od realnego

ruchu wolał gry holo. Nie było lepszego od niego we fragowaniu, przynajmniej pod naszą

kopułą.

Kamal był jego przeciwieństwem. Niższy o dwie głowy, z wyraźnie zaokrąglonym

brzuskiem, lekko przygarbiony. Tylko szalenie mógłby zobaczyć w nim sportowca. A jednak

nie znałem lepszego zapaśnika. Uparty jak muł, spocony jak mysz, wił się jak wąż i zawsze

znajdował sposób na pokonanie przeciwnika. Chyba dlatego sądził, że uda mu się

obezwładnić uzbrojonych strażników i opanować grawiolot.

Spojrzałem na niego. Kończył właśnie przeżuwać placek ze śniadania. Lewaryst miał rację,

facet ostro przygotowywał się do tej akcji. Z pogiętej folii zrobił sobie coś na kształt etui,

w którym mógł schować żarcie na czas apelu. Jadł ukradkiem w drodze na plac ćwiczeń.

Wiedziałem, że wyperswadowanie mu ataku na strażników będzie bardzo trudne, może

nawet niewykonalne, ale musiałem się tego podjąć. Bidley nie kłamał, jakakolwiek agresja

wobec unionistów zakończy się masakrą.

– Czas start! – Porucznik machnął dłonią ze stoperem i pierwsza trójka ruszyła do biegu. Po

trzydziestu metrach równego terenu dotrą do niskiej ścianki, potem będzie lina, równoważnia

i jedenaście innych, tak samo idiotycznych przeszkód małpiego gaju.

– Cześć, Miken. – Podszedłem do Kamala, który obserwował biegnących, czyszcząc

językiem zęby.

– Się masz – odparł krótko i agresywnie.

– Wiesz, że... – zacząłem.

– Wiem! – przerwał mi, nie odrywając wzroku od toru.

– Nie pozwoliłeś mi nawet dokończyć zdania, więc...

– Wiem, o co chcesz prosić, Doni – znów mi przerwał. – Odpowiedź brzmi: nie!

– Będziesz miał ich na sumieniu.

– Nie – odparł. – Nie będę miał nikogo na sumieniu. Oszczędzę im co najwyżej cierpień

w bunkrze albo upokorzeń na polowaniu.

– To trzydziestu chłopaków. Naszych kumpli.

W końcu spojrzał na mnie.

– Ty naprawdę wierzysz, że my stąd wyjdziemy?

Skinąłem głową, lekko i bez przekonania. Uśmiechnął się lekceważąco w odpowiedzi. Nie

musiał nic dodawać. Spojrzałem na tor przeszkód, Deymoon już biegł z powrotem, Payt

i Kosma przepychali się koło bunkra. Za dwie, trzy minuty nasza kolej.

Stanęliśmy na linii startu, dopasowując uprzęż, ustawiając paski hełmu. Nie było miejsca na

luzy. Wszystko musiało być dopięte, leżeć idealnie. Zdyszany Deymoon przebiegł obok nas,

wyrzucając w górę rękę. Dwaj pozostali mieli jeszcze cztery przeszkody przed sobą. Pół

minuty do startu. Zrobiłem kilka głębszych wdechów, rozluźniłem kark i ramiona. Dziesięć

sekund. Obejrzałem się w lewo, na Kamala.

– Przemyśl to raz jeszcze – rzuciłem.

– Pierdol się – odparł, splunął i ruszył przed siebie, gdy Kosma osunął się ciężko na ziemię

krok za linią mety.

Biegł pochylony, z atrapą pulsatora w obu rękach, sadząc spore susy. Odstawił mnie o dwa,

potem trzy kroki. Lewaryst od razu został z tyłu. Z czterdziestoma kilogramami na sobie

wymiękał, tu nie pracowało się palcami, ale całym ciałem.

Pierwsza przeszkoda. Ścianka. Kamalowi za pierwszym razem ześlizgnęła się noga. Nie

sięgnął stopą szczytu. Był za niski. Tu go minąłem. Idealny przerzut i już jestem po drugiej

stronie. Choć straciłem równowagę, lądując na nierównym gruncie, nie straciłem

zdobytej

przewagi. Kamal musiał się cofnąć, żeby pokonać tę przeszkodę. Teraz lina.
Sześć metrów

wspinaczki. Tutaj mnie dopadnie. Żyłasty drań był silny jak robot. Wybiłem się,
chwyciłem

linę nad węzłem i zawisłem na niej z jękiem. Uprząż zdawała się ważyć tonę.
Nogi,

przypomniałem sobie, trzeba oprzeć się na nogach. Poszukałem stopami węzła,
teraz poszło

lepiej. Byłem już w połowie, kiedy przemknął obok mnie. Nie kłopotał się tym,
gdzie

postawić stopę. Pruł w górę jak pływak. Wymach, podciągnięcie o kilkadziesiąt
centymetrów,

kolejny wymach i już zaliczał następne pół metra. Zakląłem pod nosem. Tym
razem odstawi

mnie na niezły dystans.

Zanim wbiegłem na równoważnię, on już zaczynał się wspinać na siatkę, o dwie
przeszkody

przede mną. Obejrzałem się, Lewaryst właśnie zaliczał szczyt liny. Trzeba się
śpieszyć.

Dotarłem do ściany bunkra kilkanaście kroków za Mikenem. Wydatny brzuch
sprawił mu

trochę problemów podczas czołgania się pod drutami, tam go prawie dogoniłem.
W drodze

powrotnej był już tylko czysty bieg. Trzysta metrów prostej i żadnych
przeszkód. Istniały spore

szanse na to, że dopadnę drania.

Spiąłem się, choć serce waliło mi jak młot, a oddech z każdą sekundą stawał się krótszy.

W połowie dystansu nadrobiłem pięć, może nawet sześć kroków, ale Kamal nadal utrzymywał

dobre tempo.

Załatwili go, gdy mijał linię. Biegł cały czas jak automat, pochylony, z bronią w obu rękach.

Miałem go tuż przed sobą. O trzy, może cztery kroki. I nagle zniknął mi z oczu.

W pierwszej chwili pomyślałem, że potknął się i upadł, ale moment później przez walenie

w uszach dotarł do mnie znacznie głośniejszy huk wystrzału. Zdołałem wyhamować dwa kroki

za nim. Zatrzymałem się, odwróciłem i spojrzałem na leżące w bezruchu, poskręcane ciało.

Spod hełmu ciekła krew. Przeschnięta ziemia nie chciała jej pić, więc bordowa kałuża rosła

w zastraszającym tempie.

Zanim zdążyłem zebrać myśli, zobaczyłem przerażoną twarz Lewarysta. Rzucił broń i pędził

prosto na mnie, krzycząc coś, czego nie słyszałem. Stałem jak zbaraniały, z trudem łapiąc

oddech i myśląc tylko o tym, że jeśli się nie ruszę, strużki krwi Kamala za chwilę dotkną

moich butów.

Silne szarpnięcie przywróciło mnie do rzeczywistości. Shorza wykazał się

niezłym

refleksem. Biegł z tyłu, więc lepiej ode mnie widział, co się stało. O wiele wcześniej

zrozumiał też, że strzelano do nas z bunkra. Dlatego rzucił się na mnie, złapał za ramię

i ściągnął za drewnianą ścianę. Marna ochrona, ale lepsza niż żadna. Leżeliśmy tam obaj,

dyszząc i jęcząc, o trzy kroki od wykrwawiającego się kolegi.

* * *

Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy kontynuować szkolenie. Porucznik dostał wiadomość, że

unioniści zlikwidują całą grupę, jeśli ktoś odmówi udziału w kolejnym biegu. Tego dnia

w małym gaju zginęło jeszcze trzech naszych. Bez sensu, bez klucza. Jakby ktoś chciał

zabawić się w Boga. Snajper z bunkra milczał przez cztery godziny, żeby potem zastrzelić

dwóch chłopaków w jednym biegu i kolejnego na zbiórce, tuż przed powrotem do baraku.

Biegaliśmy przerażeni jak szlag, co chwilę oglądając się przez ramię w stronę ledwie

widocznej kopuły. Temperatura wzrosła w południe tak bardzo, że rozedrgane powietrze

uniemożliwiało dostrzeżenie jakichkolwiek szczegółów tej budowli. Może dlatego strzelec

odpuścił sobie ten czas. Może dlatego nadrobił zaległości, gdy pogoda zrobiła

się znośniejsza.

Nie mogłem i nie chciałem tego wiedzieć. Zrozumienie motywów kierujących takim

potworem wykraczało poza granice mojej wyobraźni. Czym innym były krwawe przesłuchania

– choć też należały do kategorii zachowań nieludzkich – a czym innym bezcelowe zabijanie

bezbronnych ludzi.

Ale czego innego mogliśmy się spodziewać po organizatorach polowań na jeńców?

W obozie zawrzało. Kiedy wróciliśmy pomiędzy baraki, niosąc cztery zakrwawione ciała,

wszyscy zebrali się na placu apelowym. Nawet starzy więźniowie złamali zwyczaj i dołączyli

do tłumu. Dla nich ta sytuacja także musiała być nowa.

Skalski przepchnął się pomiędzy żołnierzami Szóstki i podszedł do mnie.

– Czy to prawda, że strzelano do was podczas ćwiczeń? – zapytał, jakby nie widział

czterech ofiar tej zabawy.

Skinąłem głową, mijając go obojętnie. Miałem dość tego wszystkiego, gdyby ktoś dał mi

szansę zabicia choć jednego unionisty, zrobiłbym to gołymi rękami, natychmiast, nie oglądając

się na skutki.

Miken miał rację. Nikt z nas stąd nie wyjdzie. Jeśli nie zginiemy na polowaniach, wykończy

nas strach. Jeszcze jedna podobna akcja, a połowa chłopaków przekroczy żółtą linię. To

lepsze niż godziny spędzone na otwartej przestrzeni ze świadomością, że w każdej chwili ktoś

dla czystego kaprysu może pociągnąć za spust, obierając za cel twoją głowę.

Szedłem w stronę naszego bloku, słysząc za plecami coraz głośniejsze wzburzone głosy.

Skalski darł się najgłośniej. Klął, złorzeczył, zarażał przykładem innych jeńców. Sięgając do

klamki pomyślałem, że to niezbyt rozsądne zachowanie. Zanim zamknąłem za sobą drzwi,

usłyszałem czyjś skowyt, potem drugi. Zatrzymałem się, lecz nie zawróciłem. Kilka sekund

później wrzaski konających utonęły w wyciu syren alarmowych. Drzwi otworzyły się

z trzaskiem i do bloku wpadł tłum przerażonych chłopaków. Potrącali mnie, pędząc w głąb

baraku, tak że w końcu musiałem ustąpić. Przysiadłem na pierwszej pryczy z brzegu. Obok

Mariantona. Dyszał ciężko, oczy miał jak dwa spodki.

– Aktywowali mikroładunki – wysapał, gdy zdołał złapać oddech. – Na ślepo. To była

rzeźnia!

* * *

Wychodząc rano na apel, zauważyłem na piasku kilka brunatnych plam. Ta ziemia nie piła

tak łatwo ludzkiej krwi. Ślady czyjejś śmierci trzymały się na niej długo.
Wystarczająco

długo...

Spojrzałem w stronę baraku Bidleya. Kapitan już szedł do nas. W prawej dłoni trzymał

zmiętą kartkę. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby wyzywał się na rozkazach.
Chyba czeka nas

dzisiaj mała rewolucja, uznałem. Plac powoli się zaludniał. Obok formacji leżały ciała ofiar

minionego dnia. Naliczyłem ich dziewięć. Pięć w naszym sektorze. Dwa w inżynierskim

i tyle samo w Szóstce. Skalski przeżył. Stał obok równego dwuszeregu ze wzrokiem wbitym

w ziemię i miarowo poruszał szczęką. Albo przeżuwał resztki ze śniadania, albo mówił coś

pod nosem do swojego zastępcy. Z tej odległości nie mogłem się zorientować.

– Koledzy żołnierze, bacność! – Porucznik Lisky rozpoczął apel.

Nie pamiętam zbyt dobrze, co działo się dalej. Odpłynąłem myślami, kiedy kapitan zaczynał

wyczytywać dzisiejsze przydziały. Dopiero gdy poczułem na ramieniu rękę Lewarysta,

zrozumiałem, że coś jest nie tak.

– Stary... Naprawdę... – dukał stojąc przede mną, oczy nabiegły mu łzami.

– Co jest? – Powrót do rzeczywistości sprawił, że zobaczyłem wokół siebie i inne, nie

mniej wylęknione twarze.

– Idziesz do bunkra – powiedział Marianton.

Idę do bunkra. Oczywiście. Przejście wschodnie. Zaczekałem, aż podejdzie do mnie

porucznik Lisky, i dałem mu się poprowadzić za baraki, w kierunku żółtej linii. Flagi tak

ślicznie dzisiaj łopotały na wietrze. Miały tak żywą barwę.

Porucznik poklepał mnie po ramieniu, dobry człowiek z niego. Taki opiekuńczy. Na pewno

zaczeka ze mną do przylotu unionistów. Dzień zapowiadał się piękny. Wystawiłem twarz do

błękitnawego słońca.

– Sierżant Lamonte? – zapytał ktoś szcześliwie.

– Nie, szeregowy Doni – odparłem zgodnie z prawdą i odwróciłem się do dwóch gwardzistów, którzy spoglądali dziwnie to na mnie, to na porucznika.

– Pułkownik wie – powiedział Lisky i to załatwiło sprawę.

Poczułem lekkie pchnięcie w plecy i po chwili siedziałem już w ciepłym, pachnącym

olejem wnętrzu grawiolotu. Kierowca zwiększył moc magnesów i maszyna oderwała się od

ziemi. Jak ja uwielbiam te loty... Rzadko miałem okazję polatać na Nowym Brisbane, ale za

każdym razem było to niezziemskie przeżycie.

Pojazd zakołysał się mocno raz i drugi. Pilnujący mnie gwardziści zaczęli wrzeszczeć

w stronę kabiny. Jeden z nich opuścił nawet broń i kilkakrotnie uderzył otwartą

dłonią

w przezroczystą plastal. Kierowca wzruszył tylko ramionami i zaraz wylądował.
Dość

twardo, trzeba to przyznać. Ja lądowałem lepiej.

– Kuźnia, tu Spodek Cztery, mam awarię zasilania, chyba uzwojenie poszło –
usłyszałem,

jak melduje przez radio.

Jaka szkoda, pomyślałem, tak się fajnie leciało. Do bunkra... Spojrzałem w
stronę

majestatycznej kopuły. Dzielił nas od niej ponad kilometr. Kwadrans
spacerkiem, nie więcej.

Chciałem wstać, ale jeden z gwardzistów przytrzymał mnie za ramię.

– A ty gdzie, robaczku? – zapytał.

– Do bunkra – odparłem i raz jeszcze spróbowałem wstać.

– Siedź na dupie – poradził mi uczynnie, więc go posłuchałem.

Trochę to trwało. Nie wiem ile, ale wystarczająco długo, bym leżąc na
rozpalonym słońcem

pokładzie, zaczął tracić pogodę ducha. Dzień nie wydawał mi się już tak piękny,
kolory także

zaczęły blednąć. Coś uwierało mnie w plecy, a kajdanki piły w skórę. Pot robił
swoje, każde

otarcie piekło żywym ogniem.

I jeszcze ten świst. A potem huk, Zupełnie jakby coś wybuchło. Gwardziści
zaczęli

wrzeszczeć. Kierowca wyczołgał się spod grawiolotu i natychmiast sięgnął po

radio.

– Kuźnia, Kuźnia, tu Spodek Cztery, dlaczego nie czekacie na nas, odbiór?

– Znasz Ravenore’a – padła enigmatyczna odpowiedź.

– Żeby go... – Kierowca zmełł przekleństwo w ustach. – Wieża numer trzy leży, przy

następnym nalocie padnie system blokad. Zabierzcie nas stąd!

– Wysyłam Spodek Trzy. Będzie u was za dwie minuty.

– Pośpieszcie się, Kuźnia, widzę, że myśliwce już nawracają!

Kierowca machnął ręką na gwardzistów.

– Ruchy na sprzęcie – powiedział, zerkając lękliwie w stronę baraków. Wokół nich

panował spory ruch. – Zwijajmy się stąd, póki możemy.

– A co z nim? – zapytał ten, który mnie przed chwilą powstrzymywał.

– To wasz problem, nie mój! – Facet odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę kopuły, spod

której wynurzył się właśnie kolejny grawiolot.

Starszy gwardzista przeładował broń.

– Zostaw szczyła – powiedział drugi, zeskakując na ziemię. – Niech poprawi komandorowi

statystykę.

Lufa nie zniknęła sprzed mojego czoła. Zamknąłem oczy i usłyszałem ciche „paf”. Nie

mechaniczne, ale wypowiedziane ludzkimi ustami. Gdy podniosłem powieki, miałem przed

sobą tylko błękit nieba. Żartowniś poszedł w ślady kolegi. Nadal nie rozumiałem, co się

wokół mnie dzieje, choć powoli zaczynało do mnie docierać, gdzie jestem. I co ze mną

zrobiono.

Tego ranka nie czułem się za dobrze. Zjadłem mniej niż połowę cuchnącej brei, dlatego

działanie środka uspokajającego nie było tak mocne. Gdyby nie awaria grawiolotu, zdążyliby

mnie dostarczyć do bunkra na pełnym haju, ale złom im się spieszył i... No właśnie, i co?

Podniosłem się w chwili, gdy dwa rozmazane kształty przemknęły z wielką prędkością nad

moją głową. Moment później wieża po drugiej stronie obozu zniknęła w kuli oślepiającego

ognia.

Pieprzone narkotyki. Co oni dodają to tego mielonego gówna? Przetarłem nerwowo twarz,

ale wizja ani myślała zniknąć. Dwie wieże leżały w gruzach, wewnątrz obozu zaczynał się

ruch, gwardziści i kierowca pędzili w stronę zbliżającego się grawiolotu. Czyżby...? Nie, to

niemożliwe, uznałem, spoglądając w stronę dwu maleńkich plamek, które dokonywały właśnie

kolejnego nawrotu. Zatoczyły pół pętli po błękitnym niebie, gdy radio w kabinie grawiolotu

zatrzeszczało.

– ...djęliście już wszystkie blokady? – dopytywał się ktoś.

– Tak. Możecie lądować. – Poznałem ten głos. To był pułkownik Greenlee. –
Wykuliśmy

wam pięknych bohaterów!

– Robi się pan coraz lepszy w tym fachu, kapitanie.

– Pułkowniku – poprawił go Greenlee.

– Ech, te wasze kamuflaże. Kiedyś potrzebowaliśmy miesiąca...

– Takie szczyłe to łatwizna. – W głosie komendanta pojawiła się pogarda.

– Następny rzut będzie trudniejszy, może mi pan wierzyć.

– Nie mogę się doczekać. – W eter popłynął śmiech.

W tym miejscu rozmowa się urwała. Stałem na pokładzie grawiolotu i
spoglądałem na

dwa masywne transportery z oznaczeniami Federacji na burtach, które opadały
wolno na płyty

lądowiska obok trybuny. Z obozu w ich kierunku pędził tłum ludzi. Kilka osób
biegło też

w moją stronę. Zeskoczyłem niezdarnie na ziemię. Nadal kręciło mi się w
głowie, świat nie

do końca był wyraźny.

Lewaryst i Marianton dopadli mnie daleko za żółtą linią. Zanim się obejrzałem,
ciągnęli

mnie na lądowisko. Dotarliśmy na trap ostatni. Drugi transportowiec już wzbijał
się do lotu,

gdy zdyszani, spoceni i zakurzeni wkraczaliśmy w mroczną paszczę luku.

– A wy gdzie się podziewaliście? – huknął na nas gigant w mundurze komandora floty.

Ostrzyżony na jeża, siwawy i potężnie umięśniony wyglądał przy nas jak wzorzec żołnierza.

Znałem skądś jego głos.

– Wyciągnęliśmy naszego kolegę z grawiolotu – wysapał Marianton, padając na kratownicę

podłogi.

– Z grawiolotu? – zdziwił się oficer.

– Zabierali go do bunkra na przesłuchanie, ale im się rotor zepsuł – wyjaśnił Lewaryst,

który też już dochodził do siebie po długim sprincie.

– Szczęściar z ciebie. – Komandor poklepał mnie po ramieniu. – Jeszcze kilka sekund

i zostałbyś tutaj na zawsze.

– Komandorze Ravenore! – We włazie prowadzącym do kokpitu pojawił się pilot. – Mamy

sześć obiektów na czwartej. Będą tutaj za trzy minuty.

Ravenore, Ravenore... Gdzie ja słyszałem to nazwisko?

– Zbieramy się! – Oficer kiwnął na obsługę włazu. – Nie po to was uwalnialiśmy, żeby

teraz dać się zestrzelić!

Jacyś żołnierze posadzili mnie w fotelu przeciążeniowym, obok Lewarysta, zapięli uprząż

i zniknęli w głębi kadłuba. Spojrzałem w drugą stronę. Rząd wolnych foteli ciągnął się aż do

rampy.

– Słyszałeś nowinę? – zapytał Shorza.

– Nie.

– Komandor powiedział, że nie wracamy do Szóstki. Dostaniemy miesiąc wolnego, a potem

przydzielą nas do innych, spokojniejszych jednostek.

– Jak oni nas znaleźli?

– Skalski słyszał od jednego z pilotów, że namierzyli na Kovo transporter przewożący tych

szczyli z brygady inżynieryjnej. Zanim unioniści spieprzyli z Delty Trytona, udało się

podrzucić im kilka dron szpiegowskich i tak, po nitce do kłębka...

Nie słuchałem jego szczebiotania. Narkotyki przestał działać i nagle, jak za dotknięciem

magicznej różdżki wszystko stało się dla mnie jasne. Nie było żadnych podrzuconych dron,

nikt nikogo nie śledził. Już wiedziałem, skąd znam ten władczy głos.

Rozejrzałem się po uradowanych twarzach chłopaków z brygady inżynieryjnej, z Szóstki

i Nowego Brisbane. Tylko dać im broń...

Skurwyklony wykuły z nas pieprzonych bohaterów!

=== =

DZIEWIĘĆ

Oszołomiony Święcki odłożył czytnik i nie patrząc, sięgnął po butelkę, by nalać sobie

jeszcze trochę rumu, jednakże kryształit wydał mu się dziwnie lekki. Nie mogło być inaczej,

cięty jak kryształ pojemnik był pusty. Pochłonięty lekturą nie zauważył nawet, że dopił zaczęty

dzień wcześniej trunek.

Zaklął pod nosem, sprawdzając czas. Wyłączył się na ponad godzinę. Rzut oka na

wyświetlacz uspokoił go nieco. Hondo na razie milczał, co mogło oznaczać, że radzi sobie

z wszystkimi problemami. Dobry chłopak – pomyślał Henryan i natychmiast przypomniał

sobie o innym młodym człowieku.

Odwrócił się szybko. Nike siedział przy konsoli z rękami złożonymi na brzuchu, jakby

odpoczywał po sutym posiłku. Wyglądał na zadowolonego.

– Jak lektura? – zapytał.

Święcki pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, tak więc ten

gest był jego jedynym komentarzem.

– Dlaczego nie przeglądasz plików? – rzucił po chwili lekko ochrypłym głosem.

– Skończyłem robotę – odparł ze spokojem Stachursky, prostując się na krześle.

– Znalazłeś?

– Tak.

Henryan zerwał się z fotela, podszedł najpierw do wpasowanej w ścianę komody po

tabletki, żeby zneutralizować nadmiar alkoholu buzującego w jego żyłach, popił je łykiem

wody i zamarł na moment, przymykając oczy. Lek był silny, powinien zadziałać w ciągu kilku

minut.

– Dlaczego mi nie przerwałeś? – zapytał, ruszając w stronę konsoli.

– Chciałem, żeby poznał pan tę historię do końca. Teraz już pan wie, dlaczego skurwyklony

chciały się mnie pozbyć.

– To historia sprzed ponad stu lat – powiedział Święcki, opadając na wolne siedzisko. –

Dzisiaj mało kogo obchodzi.

– Naprawdę? – Nike wyszczerzył zęby w przesadnym uśmiechu. – Sądzę, że wielu ojców

założycieli Federacji było umoczonych w podobne zbrodnie. Może nie zachwieje to pozycją

Rady, zwłaszcza w obliczu inwazji, ale parę głów musi polecieć. Nie mówiąc już o smrodzie,

który się rozejdzie. Runie legenda czystej jak łąka władzy. I dobrze.

– Politycy są jak rośliny – mruknął Henryan, budząc tym porównaniem zdziwienie

rozmówcy. – Niedawno rozmawiałem z szefem tutejszego pionu badawczego – dodał szybko

tonem wyjaśnienia. – Jego zdaniem rośliny są sto razy odporniejsze niż najlepiej nawet

przystosowane zwierzęta. Można je wypalać, ścinać, ale jak da im się czas, zawsze odrosną.

No i niektóre są naprawdę długowieczne. Czy wiesz, że najstarsze drzewo na Ziemi miało

prawie dziesięć tysięcy lat?

Nike zrobił wielkie oczy.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale skoro pan tak mówi...

Święcki go nie słuchał. Myślał właśnie o istotach, w których wnętrzu Obcy podróżowali –

ciekawe, czy należały one do fauny czy do flory wszechświata. Podczas ich pierwszej

rozmowy w kompleksie szpitalnym Stachursky powiedział, że całe wnętrze liniowca – prócz

części pomieszczeń i korytarzy, które wydawały się elementami konstrukcji – wypełniała

dziwaczna, ciastowata, samozasklepiająca się masa. W taki razie...

– Pokaż, co tam masz – rzucił, gdy poczuł, że szum w głowie powoli ustępuje.

Nike otworzył okienko, w którym znajdowało się kilkanaście folderów.

– Tu jest wszystko – obwieścił tryumfalnym tonem.

=== =

DZIESIĘĆ

System Anzio, Sektor Zebra,

24.10.2354

Rutta oniemiał. Siedział przed wyświetlaczem z na wpół otwartymi ustami, przyglądając się

kolejnemu z przesłanych przez Święckiego nagrań. Nie wierzył własnym oczom. To było już

któreś z kolei holo, tym razem przedstawiające zapis z kamery na hełmie jednego z członków

załogi Nomady.

Lekko rozmazany przez nieudolną kompresję obraz, zrywający się co chwilę i zbyt ciemny

jak na gust pułkownika, ukazywał puste pomieszczenie z wiszącym pod sklepieniem

cylindrem. Jeden z widocznych ludzi, ubrany w pełny skafander, sprawdzał coś właśnie na

wyświetlaczu skanera. Moment później wskazał głową na walec. Drugi podszedł ostrożnie

i postukał lufą fazera w lśniąca powierzchnię. Nic się nie wydarzyło, odłożył więc broń

i spróbował rozkołysać cylinder obiema rękami, ale wieszając się na nim całym ciężarem,

zdołał go jedynie obniżyć o kilka centymetrów. Gdy puścił walec, ten wrócił na swoje

miejsce.

– Antygraw, niech skonam... – sapnął zdyszany, przyklękając, by zajrzeć pod urządzenie.

Jeszcze ktoś inny obszedł z czujnikiem w ręku wiszący w powietrzu przedmiot.

– Wydaje się idealnie gładki – zameldował. – Żadnych rys, szczelin, różnic temperatury.

– Trudno. Będziem pruć – zdecydował zdyszany.

W tym momencie rozległ się kobiecy głos:

– Za parę sekund zakończymy przepalanie grodzi. Już. Dam wam podgląd na...

Transmisja utonęła w trzaskach. Fosforyzujące narośle na ścianach pomieszczenia zaczęły

migotać, świeciły też coraz intensywniej. Zdyszany odskoczył od walca. Pozostali sięgnęli po

broń.

Cylinder zmieniał barwę, górna część ciemniała w szybkim tempie, a jej powierzchnia

zaczęła się marszczyć, jakby przebiegały po niej fale.

W chaosie dało się słyszeć strzępki słów wypowiedzianych przez kobietę. Nagle walec

zaczął się wybrzuszać, jakby coś naparło na niego od środka. Pokrywa pękła pod naciskiem

wyglądających jak ludzkie, ale sześciopalczastych dłoni. Ktoś strzelił, struga energii

przesunęła się po podstawie walca, osmalając ją na całej szerokości i wypalając dziurę

w jednym ze stojących pod ścianą cylindrów.

– Pojebało was czy co? – wydarł się zdyszany.

Tymczasem w rozdarciu pojawiły się ręce, przeraźliwie chude i długie. Pod szarą skórą

pęczniały wyraźnie widoczne węzły mięśni. Istota rozdarła osłony jeszcze bardziej i zaczęła

wstawać.

Rutta ujrzał najpierw głowę Obcego. Długie, grube, lśniące metalicznie wypustki

porastające jej czubek opadały kaskadami na ramiona, jakby były czymś w rodzaju włosów.

Twarz istoty na pierwszy rzut oka przypominała ludzką. Oczy, nos i usta znajdowały się tam,

gdzie trzeba, a zarazem wydawały się bardzo... obce.

Ślepia były wielkie, czarne, pozbawione białek i tęczy, nos niemal niewykształcony

i bez otworów, a szerokie usta sięgały z obu stron złotych wypustek. Pułkownik skupił

jednak całą uwagę na tkwiącym pośrodku wysokiego czoła narzędzie, który wyglądał jak

mocno zaciśnięte wargi albo powieki.

Istota rozejrzała się po pomieszczeniu, potem poruszyła bezgłośnie ustami i machnęła ręką,

jakby chciała odgonić intruzów. Ludzie stali jednak jak zahipnotyzowani, wpatrując się

w niemal trzymetrową postać w luźnej, szarej jak jej skóra szacie.

W końcu jeden z astronautów zrobił krok do przodu i podniósł rękę w uniwersalnym geście

pozdrowienia. Obcy spojrział na niego, charakterystycznie przekrzywiając głowę. Moment

później zza jego pleców wysunęły się dwa obłe kształty. Zwinięte skrzydła! Gdy się

rozprostowały, pułkownik zobaczył skomplikowane wzory geometryczne zdobiące

śnieżnobiałą puszystą powierzchnię.

– Anioł... – szepnął ktoś z nagrania, wypowiadając to słowo równocześnie z Rutką.

Obcy poruszył ustami, jakby się uśmiechał, potem rozłożył szeroko ręce i... Ten moment

pułkownik obejrzał ponownie w zwolnionym tempie. Skrzydła wystrzeliły w górę, a usta

rozwarły się do krzyku, obnażając setki ostrych kłów. Holoprojektor ściszył automatycznie

głos, oszczędzając widzowi bólu, jaki musiał powodować przenikliwy pisk, a raczej skowyt.

Na ekranie krystalitowe osłony hełmów trzaskały jedna po drugiej, ludzie chwiali się pod

naporem tego dźwięku, padali jak kłody.

Obcy zeskoczył lekko na podłogę, pochylił się, podniósł leżącego najbliżej nieprzytomnego

astronautę, usunął resztki jego potłuczonej osłony i przysunął go sobie do głowy. Zetknęli się

czołami i pozostali tak, w bezruchu, przez kilka sekund. Potem istota ruszyła w kierunku drzwi,

odtrącając stojącego w nich człowieka. Kamera uchwyciła jeszcze jej oblicze i rozwarte,

mięsiste wargi na czole.

Rutta opadł ciężko na oparcie fotela. Choć oglądał ten przekaz po raz dziesiąty, nadal nie

mógł uwierzyć, że patrzy na zarejestrowane kilka miesięcy temu wydarzenia. Równie dobrze

mogłyby to być sceny wymontowane z jakiegoś przygodowego holo. Dla świętego spokoju

kazał systemowi porównać wybrane ujęcia, ale nawet komputer nic nie znalazł. Czyli to

musiały być prawdziwe nagrania. Święcki nie miał powodu kłamać. Zresztą jego raport

zawierał masę innych uprawdopodobniających szczegółów, łącznie z wyjaśnieniem, czego

szukał w rejestrach Nomady.

Zapis z dziennika majora Visolaja także znalazł się w posiadaniu pułkownika, ale na razie

Rutta zadowolił się tylko przeczytaniem jego streszczenia. Reszta musiała poczekać.

Najważniejsza była teraz sprawa Obcego.

– Theo... – Głos łamał mu się ze zdenerwowania, gdy wybrał numer wielkiego admirała. –

Musisz coś zobaczyć.

=== =

JEDENAŚCIE

Ziemia, Sektor Alfa,

24.10.2354

– Rozmawiamy z tobą, a nie o tobie, tylko dlatego, że byłeś z nami od samego początku

i wielokrotnie przysłużyłeś się naszej sprawie... – W charakterystycznym głosie kanclerz

Modo dało się wychwycić coś więcej niż tylko rozdrażnienie.

Damiandreas Dreade-Ravenore pochylił głowę. Musiał zaciskać mocno szczęki, by nie

ekspłodować. Od kilku dziesięcioleci to on opieprzał innych, zatem sytuacja, w której musiał

cierpliwie przyjmować razy tych gburów, zaczęła go przerastać. Nie umiał i nie chciał

wysłuchiwać kolejnych impertynencji. Z drugiej jednak strony nie był idiotą i doskonale

rozumiał, czemu stoi dziś pod pręgierzem Rady.

– Nie stój jak nie powiem co na weselu! – ofuknął go Juliusain Kaup, sekretarz obrony

Federacji. – Mów, co masz na swoją obronę.

Dredd łypnął na niego spode łba. Kiedyś odpłacę ci, kanalio, za te wszystkie poniżenia –

pomyślał.

– Zrobiłem tylko to, co było konieczne – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Naprawdę? – nie odpuszczał Kaup.

W padającym z góry mdłym świetle jego pociągła twarz wyglądała demonicznie. Cienie

rzucane przez głębokie bruzdy na policzkach, orli nos i oczy tak głęboko osadzone, że prawie

nie było ich teraz widać, mogły zdeprimować każdego normalnego człowieka, jednakże nie

kogoś takiego jak rektor najważniejszej akademii przestrzennej i wielokrotnie odznaczony

bohater wojny zakończonej przed urodzeniem wszystkich członków Rady.

– Naprawdę! – Tym razem Dredd nie hamował gniewu. – Gdyby informacja o ewakuacji

Ulietty dotarła do mnie ze stosownym wyprzedzeniem, nie musiałbym szukać doraźnych

rozwiązań.

– Doraźnych? – parsknął Giancarlouis Benadetto, główny skarbnik. – Raczej nieprzemyślanych.

– Ciekawe, co ty byś wymyślił, gdybyś znalazł się na moim miejscu – wypalił, nie

zastanawiając się wiele, Dredd.

– Ja, mój drogi, przede wszystkim za nic bym się nie postawił w takiej sytuacji – odparł

wyraźnie rozbawiony tłuścioch o trzech brodach i nalanej hebanowej twarzy z płaskim nosem

niknącym pomiędzy worami policzków, z którego to powodu nazywano go, oczywiście za

plecami, buldogiem Gerdanielle.

Modo uniosła rękę, ucinając kolejną ripostę rektora.

– Ta pyskówka donikąd nie prowadzi – zagrzmiała. – Przypominam, że zebraliśmy się tutaj,

by zminimalizować szkody, a nie przekrzykiwać się, kto bardziej zawinił, ponieważ tylko

jedna osoba odpowiada za ten burdel i jesteś nią ty, Damiandreas.

– Wszyscy... – zaczął Dredd, ale musiał zamilknąć, gdy kanclerz walnęła dłonią w blat

antycznego stołu, który ich dzielił.

– Nie. Tym razem to wyłącznie twoja wina – kontynuowała, podnosząc jeszcze bardziej

głos. – Miałam cię za kogoś równego nam, ale okazałeś się zwykłym durniem. Miernotą, która

przedkłada zaspokojenie perwersyjnych żądz nad troskę o autorytet władzy.

– Ja...

– Nie przerywaj mi! – Ten okrzyk odbił się wielokrotnym echem od kopułowego

sklepienia. – Jeszcze raz wpadniesz mi w słowo, a zakończymy tę rozmowę. – Rektor spuścił

znowu głowę, by móc dalej zaciskać zęby w bezsilnej złości. – Tak lepiej – dodała Modo już

spokojniejszym tonem. – Trzy miesiące temu pozwoliliśmy ci działać na własną rękę,

ponieważ zapewniałeś nas, że ukręcisz łeb sprawie i nie dojdzie do skandalu. Mogłeś usunąć

tego, jak mu tam, Stachursky'ego, po tym, jak wyśpiewał wszystko na przesłuchaniach.

Mogłeś, ale tego nie zrobiłeś, miałeś bowiem nadzieję, że skoro przestał istnieć dla świata,

będziesz mógł się nad nim dalej pastwić. Nie zaprzeczaj, wszyscy doskonale znamy twoje

motywy. Dysponujemy nagraniami ze Strefy 511. – Dredd podniósł raptownie głowę, to była

dla niego nowość. – Tak – zakpiła z niego kanclerz – to nasze więzienie i my je w pełni

kontrolujemy. Tam nic nie dzieje się bez naszej wiedzy, nawet jeśli ktoś każe wyłączyć

rejestratory.

– Szpiegowaliście mnie? – nie wytrzymał Dreade-Ravenore.

– Nie. Twoja prywatna wendeta nikogo nie obchodziła, dopóki nie postawiłeś admiralicji

i Rady w niekorzystnym świetle. Monitoring więzienia ma kilka niezależnych poziomów –

wyjaśniła, widząc niedowierzanie na jego twarzy. – Ostatniego, dostępnego wyłącznie Radzie,

nie da się dezaktywować, ale o tym wiedzą tylko wybrańcy.

Rektor znowu spuścił głowę. Po raz kolejny dano mu do zrozumienia, że nie należy do

wąskiego grona zaufanych.

– Gnoj wykorzystał i zgwałcił mi najmłodszą córkę – wymamrotał, korzystając z chwili

ciszy.

Benadetto zaśmiał się rechootliwie. Modo zignorowała reakcję kolegi z Rady.

– O treści twojej rozmowy ze Stachurskim dowiedzieliśmy się dzisiaj, kiedy wydział

wewnętrzny przygotował dla nas pełen raport w tej sprawie – podjęła beznamiętnym tonem. –

Ale zostawmy ten wątek w spokoju. Powiedziałam ci o tym, co wiemy, żebyś nie próbował po

raz kolejny brnąć w kłamstwa.

Pokiwał głową na znak, że zrozumiał aluzję.

– Świetnie. Zatem przejdźmy do konkretów... – Modo sprawdziła coś na konsoli swojego

stanowiska. – Twoja niekompetencja doprowadziła do kompromitacji admiralicji. Cały sztab

drugiego metasektora wie już, że próbowałeś pozbyć się załogi Nomady. Kwarantanna? –

prychnęła. – Kto ci podpowiedział takie durne rozwiązanie?

– Nikt – warknął. – Wczoraj dostałem od znajomych cynk, że ktoś oferuje wysoko

postawionym oficerom pamiątki z okresu wojny domowej. Wśród nich miał być także dziennik

dyskredytujący jedną z najbardziej prominentnych osób w Federacji. Nietrudno było się

domyślić, o jaki tekst może chodzić. Równie łatwo dało się ustalić, kto próbuje handlować

tym dokumentem. Kazałem więc aresztować Morriseya i resztę załogi, żeby zablokować

transakcję. Sprawy się jednak skomplikowały, gdy godzinę później dotarła do

mnie informacja

o ewakuacji ośrodka na Delcie Ulietty. Musiałem działać szybko i zdecydowanie.

Kwarantanna była jedynym sposobem na natychmiastowe odcięcie dostępu do komputerów tej

jednostki.

– Naprawdę? – zakpił Kaup.

– Naprawdę – warknął Dredd. – Nie miałem czasu na knucie, jak... – Ugryzł się w język,

by nie zaognić sytuacji.

– Dokończ, proszę – zachęcił go rozbawiony do granic Benadetto.

Rektor milczał, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny, a ukręcę łeb sprawie – odezwał się dopiero po

chwili napiętej ciszy.

– Nie – odparła stanowczo Modo.

– Nie? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Niczego nie naprawisz – stwierdziła, pochylając się w jego kierunku. – Sprawy zaszły za

daleko.

– Usunę Stachursky'ego i resztę ewentualnych świadków, tak jak kazałem załatwić

Morriseya i jego załogę – rzucił butnie, patrząc jej prosto w oczy.

– Czyżby? Chcesz powiedzieć, że każesz zlikwidować połowę oficerów sztabu

drugiej floty

i całe dowództwo trzeciej, łącznie z wielkim admirałem Farlandem? Żeby kryć własną dupę,

pozbawisz nas najlepszych oficerów, i to teraz, kiedy toczymy wojnę?

– O czym ty mówisz? – zdziwił się.

– O burdelu, jakiego narobiłeś – wtrącił jadowitym tonem Kaup.

Modo zgromiła go wzrokiem, więc zamilkł, ale wyprostował się dumnie i uśmiechnął

z wyższością.

– Zapewne nie wiesz tego jeszcze – odpowiedziała, kierując te słowa do Dredda – ale

dziennik majora jakiegoś tam wypłynął kilka godzin temu. I to zarówno na Rubieżach, jak i na

Terytoriach Wewnętrznych.

Rektor zbladł.

– To niemożliwe – wymamrotał. – Załoga nie wiedziała nic o backupie Morriseya, a on sam

był tak pewien swego, że nie zabezpieczył się na ewentualność wpadki. Najlepsi śledczy

wydziału w sztabie drugiego metasektora ręczyli za to głowami. Dostęp do okrętu

zablokowałem, i to skutecznie. Na pokład Nomady nie wszedł nikt prócz ekipy lekarzy z sekcji

epidemiologicznej. Jestem tego pewien.

– Naprawdę? – Tym razem smagnięcie batem kpiny zafundował mu Benadetto.

– Naprawdę – odwarknął. – Te dupki z wydziału, które narobiły nam smrodu, zostały na

zewnątrz aż do przyjazdu żandarmerii.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko wina sierżanta... – spojrzała na konsolę – ...Poetzego

i jego ludzi?

– Gdyby nie poleźli na tę kontrolę... – zaczął, ale nie pozwoliła mu skończyć.

– Dość! – wrzasnęła, aż wszyscy się skulili. – Ty naprawdę jesteś tak głupi, jak o tobie

mówią – dodała już spokojniej, opadając na fotel. – Zapatrzony w siebie narcyz, który nigdy

nie przyzna się do błędu i prędzej zgnoi wszystkich w swoim otoczeniu, niż powie

przepraszam. To najczęstsza opinia wśród twoich podwładnych, gdybyś chciał wiedzieć.

Dredd przełknął i tę zniewagę, lecz w głębi duszy zaczął już planować zemstę na pani

kanclerz i jej pomagierach. Przyjdzie czas, że ścierwa zapłacą mu za wszystko...

– Kończmy tę farsę – poprosił Benadetto, korzystając z momentu ciszy. – Mamy jeszcze parę

rzeczy do omówienia.

– Słusznie – poparł go pośpiesznie Kaup.

Modo uniosła głowę, nie patrzyła już na stojącego u jej stóp rektora najważniejszej

akademii przestrzennej i największego bohatera wojennego Federacji.

– W zaistniałej sytuacji masz tylko jedno wyjście. Musisz zrzec się stanowiska i wszystkich

posiadanych tytułów. Nawet nie próbuj... – ostrzegła, widząc, że Dredd zsiniał i nabrał

powietrza, jakby zamierzał wyrzucić im swoją prawdę w twarz. – Przez wzgląd na twoje

dawne zasługi pozwolimy ci usunąć się w cień, ale pamiętaj, nie będzie żadnych aktów łaski

ani cichych powrotów za kilka miesięcy. Nie myśl też nawet o zemście na Stachurskym. Ten

chłopak jest od tej chwili nietykalny, jakby został członkiem Rady. Zrozumiano?
– Nie

odpowiedział, patrzył na nią tylko bezbrzeżnie zdumiony. – Gramy o zbyt dużą stawkę, byś

nam to spieprzył – dodała.

– Jaką znowu stawkę? – zapytał, nie kryjąc osłupienia.

– Nie wiesz jeszcze o wielu rzeczach, przyjacielu – zapewnił go z powagą Kaup.

– I już się nie dowiesz – dorzucił z satysfakcją Benadetto.

– Nie możecie odstawić mnie na boczny tor – zaczął Dredd, łypiąc na całą trójkę spode łba.

– Wiem o was wystarczająco...

Modo pochyliła się w jego kierunku.

– Jeszcze jedno słowo, a pożegnasz się nie tylko z akademią, ale i całą rodziną.

– Nie tkniecie moich dzieci – sapnął, wybałuszając oczy, jakby nagle dostał apopleksji.

– My nie, ale nasi ludzie zadbają, by zginęły w okrutny sposób – poinformował go Kaup. –

One i ich najbliżsi. Postaramy się o to, by zamachy wyglądały na wendetę separatystów. Po

odpowiednim nagłośnieniu publikacji ujawniającej twoją rolę w projekcie Kuźnia opinia

publiczna bez najmniejszego problemu uwierzy w szczyry gniew ludu.

– A ty dowiesz się o wszystkim z holo, czekając w celi śmierci na wykonanie wyroku –

dorzucił Benadetto.

– Masz pięć sekund. – Modo złożyła dłonie jak do modlitwy.

Dredd próbował zapanować nad wirem myśli. Wiedział, że ci ludzie nie rzucają słów na

wiatr. Kilka lat temu podobny los zgotowali rodzinie jednego z najbardziej znanych

patrycjuszy, który miał tego pecha, że zapragnął zasiąść w fotelu kanclerza, nie czekając na

wybory. To jemu Gerdanielle zawdzięczała swój dzisiejszy stan. A w zasadzie podanej przez

niego truciznie.

– Dobrze – rzucił z rezygnacją. – Odejdę, ale...

– Nie ma żadnych ale. Jeśli nie będziesz kombinował, zrobimy wszystko, by ilość

przecieków o Kuźni została ograniczona do minimum. Jeden głupi ruch z twojej strony, jedno

twoje słowo, najłżejszy cień podejrzenia, który na ciebie padnie, a w całej

Galaktyce nie

zostanie nikt, kto mógłby nosić twoje geny. Wbij to sobie do głowy,
Damiandreas, ponieważ ja

naprawdę wydam taki rozkaz.

W półmroku wokół nich pojawił się rząd dużych wyświetlaczy, na których
Dredd mógł

zobaczyć wszystkie swoje córki, syna, nawet potomków z pierwszego
małżeństwa.

Hologramów było kilkadziesiąt, przedstawiały ludzi w przeróżnych sytuacjach:
śpiących,

pracujących, jedzących... Tylko timery widoczne w lewym górnym rogu
każdego okienka

pokazywały identyczną godzinę. Każdy z jego krewnych był obserwowany
przez nanodrony.

Modo i jej przydupasy przygotowali się do tej rozmowy. W tym momencie
Damiandreas

zrozumiał, że nie ma z nimi najmniejszych szans. Wynik starcia został ustalony z
góry.

– Dlaczego bierzecie stronę tego śmiecia? – zapytał, gdy usłyszał, że drzwi za
jego plecami

otwierają się z głośnym trzaskiem. – Jak was do tego zmusił?

– Nas nie można do niczego zmusić – zaśmiał się Kaup.

Benadetto mu zawtórował.

– Kiedyś to zrozumiesz – odparła enigmatycznie Gerdanielle, uciszając
towarzyszy

uniesieniem dłoni.

=== =

DWANAŚCIE

System Ulietta, Sektor Zebra,

24.10.2354

Nike stał nieruchomo przed oknem apartamentu przydzielonego jego wybawcy.
Nogi

rozstawił szeroko, ręce złożył za plecami, patrzył przed siebie jak kapitan okrętu
płynącego

prosto w sztorm. Choć na zewnątrz próżno było szukać oznak zdenerwowania,
w głębi duszy

trząsał się jak osika.

Fortel zaproponowany przez Święckiego miał wszelkie szanse powodzenia, ale
czy ludzie

nie mający żadnych oporów przed fizyczną likwidacją przeciwników będą
chcieli rozmawiać

z „martwym” kadetem i staną po jego stronie w konflikcie z człowiekiem
należącym do

najwyższych elit Federacji?

Stachurski wątpił w sukces tej misji, jednakże czekał cierpliwie na odpowiedź z
Ziemi,

podobnie jak kapitan i wszyscy oficerowie z odległego sztabu metasektora,
którzy wzięli

udział w tym przedstawieniu. Blef był prosty. Albo Rada zaakceptuje warunki

przedstawionego jej ultimatum, albo Nike zginie z własnej ręki, nie dzieląc się z
nikim

posiadaną wiedzą o Obcych. Teraz, po likwidacji załogi Nomady, był jedynym żywym

świadkiem spotkania na Thecie New Rouen. Tajemniczy agent, któremu zlecono odzyskanie

danych z komputera pokładowego kolapsarowca, zapewnił swoich mocodawców, a oni

Święckiego, że zastosowany tracker usunął z dysków Nomady wszystkie skopiowane pliki,

w związku z czym pani kanclerz i jej poplecznicy zostaliby teoretycznie z pustymi rękami.

Gdyby to nie był tylko wybieg...

Informacje o Obcych trafiły już przecież do sztabu tego metasektora – choć na razie

wiedziało o tym zaledwie kilka osób – zatem w wypadku odmowy to Nike będzie jedynym

przegranym. Rada i tak otrzyma nagrania i wyjaśnienia, które rzekomo miałyby przepaść razem

z nim, on zaś... Cóż, kadet Stachursky zniknie ponownie, tym razem na zawsze, co nie wzruszy

nikogo w tej pieprzonej Galaktyce, skoro już dawno uznano go oficjalnie za zmarłego. Nawet

rodzice mieszkający na Terytoriach Zewnętrznych nie będą o niczym wiedzieli. Dla nich i tak

nie żył już od paru miesięcy. Dostali pojemnik z jego rzeczami, wzruszający list od admiralicji

i być może skromne odszkodowanie na otarcie łez.

Nike zaśmiał się pod nosem. Matka i ojciec są chyba jedynymi osobami, którym będzie go

brakować. Dla Moni był tylko kolejną zabawką, jak inni kadeci przed nim i zapewne po nim...

Z perspektywy czasu zaczynał żałować, że dał się jej uwieść jak pierwszy lepszy szczeniak,

choć wiedział, czym to może grozić. Łudził się jednak, że okaże się wyjątkowy, lepszy od

poprzedników, i że dłużej utrzyma się w siodle – to było jedno z jej ulubionych powiedzonek

opisujących ich związek. Jechał po bandzie i bez trzymanki, to prawda, ale chyba udało mu się

ta sztuka. Monicatherine była z nim do samego końca semestru, a potem... Potem zapłacił za

ten młodzieńczy ognisty romans zesłaniem, najpierw na Nomadę, następnie zaś tutaj, czyli

cholera wie gdzie. Do rajy utraconego, którego uroków nie widział do dzisiaj...

Drgnął, gdy za jego plecami rozległ się syk rozsuwanych drzwi. Bał się odwrócić. Jeśli to

czarni, ta piękna panorama za oknem będzie ostatnim miłym widokiem przed wyssaniem ze

śluzy wahadłowca na niskiej orbicie. Jeśli to kapitan...

– Kadecie Stachursky – usłyszał nosowy głos.

Odwrócił się wolno, czując, że mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa. Był przerażony.

Musiał jednak spojrzeć prawdzie w twarz... a ta była ku jego wielkiej uldze

znajoma:

piegowata, otoczona wianuszkiem miedzianych włosów.

– Tak?

– Proszę za mną – rzucił zwięźle Hondo, nie przekraczając progu.

– Dokąd? – Tylko tyle zdołał wybełkotać Nike.

Adiutant Świąckiego nie raczył odpowiedzi. Okręcił się na pięcie i już go nie było.

Stachurski przełknął ślinę i ruszył w stronę wciąż otwartych drzwi. Idąc, czuł, że po raz

pierwszy w życiu miękną mu kolana. Miał wrażenie, że nogi lada moment usuną się spod

niego.

– Ruchy tam! – z korytarza wieży dobiegło zniecierpliwione wołanie.

Był tak zdenerwowany, że nie wiedział, czy te słowa skierowano do niego, czy może ktoś

wzywa czekających na zewnątrz czarnych. Odległość dzieląca go od wyjścia zdawała się

z każdym krokiem powiększać, zamiast maleć.

– No co jest? – W drzwiach pojawił się znowu Hondo. – Chcesz ich wkurwić jeszcze

bardziej? Ruchy, powiedziałem.

Nike przyśpieszył kroku wbrew własnej woli. Wyszedł na korytarz, skręcił do wind i ruszył

za zapatrzonym w holopad porucznikiem.

– Dokąd idziemy? – zapytał, na co usłyszał w odpowiedzi niezbyt grzeczne burknięcie:

– Co ja, informacja turystyczna jestem?

Następnie adiutant kapitana zaczął rozmawiać z kimś przez komunikator.

Wzywał wahadłowiec, ale nie zwykłą cywilną jednostkę, tylko jedną z maszyn należących

do wojska. Wizja wyrzucenia w pustkę zaczynała się materializować...

Zjechali windą kilka pięter, potem identycznym kolistym korytarzem bez okien dotarli do

sporego pomieszczenia wypełnionego sprzętem nadawczym. Tam Hondo wskazał

Stachurski'emu fotel na podwyższeniu, a gdy Nike usiadł, ktoś aktywował ekrany oddzielające

to miejsce od reszty sali. Kadet znalazł się nagle w złotawym opalizującym kokonie. Zanim

zdążył wpaść w panikę, na konsoli przed nim pojawił się hologram kobiety o pociągłej,

bardzo wyniszczonej twarzy. Nie rozpoznał jej, zapewne z powodu ogromnego

zdeenerwowania, jednakże gdy przemówiła, wszystko stało się dla niego jasne.

– Wiesz, synku, ile musimy zapłacić za każdą sekundę połączenia z Rubieżami?

– Skinął

głową niezdolny do wymówienia jednego słowa. Kanclerz Modo przyjrzała mu się uważnie.

Zauważyła obrożę na szyi i detonator w dłoni. – To dobrze – dodała. – Na drugi raz nie każ mi

czekać, bo może cię to bardzo drogo kosztować. – Znów skinął głową, co ją

chyba zirytowało,

bo przeszła do rzeczy. – Rozpatrzyliśmy twoją propozycję... – Zawiesiła na moment głos. To

znaczy Nike miał nadzieję, że to zrobiła, ponieważ krew pulsowała mu w uszach tak głośno, że

mógłby nie usłyszeć kolejnego zdania. Na jego szczęście Modo poruszyła jedynie szczęką.

Skutki zatrucia wciąż ją męczyły, a jednym z objawów była potworna suchość w ustach. –

W świetle przekazanych nam dokumentów nie mieliśmy wielkiego wyboru – podjęła

wyćwiczonym obojętnym tonem. – Na dzisiejszym spotkaniu Rady rektor Dreade-Ravenore

został poproszony o natychmiastową rezygnację z zajmowanych stanowisk. Zrzekł się również

dobrowolnie wszystkich zaszczytów i tytułów otrzymanych po wybudzeniu z hibernacji.

Uzyskaliśmy też solenne zapewnienie, że jego osobista wendeta dobiegła końca. Rada

Federacji jest gwarantem, że nigdy więcej o nim nie usłyszysz, jeśli sam tego nie zechcesz. Do

sztabu trzeciego metasektora trafiły już dokumenty unieważniające wystawiony na twoje

nazwisko akt zgonu. Oficjalna wersja będzie głosić, że uszkodzona kapsuła przedostała się

jakimś cudem przez skupisko wraków i wylądowała na Delcie, skąd zabrała cię po kilku

miesiącach przymusowej hibernacji załoga innego naszego okrętu, który pojawił się

w systemie New Rouen i przechwycił przypadkiem sygnał alarmowy. W ramach rekompensaty

otrzymasz stosowną kwotę i zostaniesz przedstawiony do odznaczenia. Admiralicja awansuje

cię także do stopnia podporucznika.

– Dziękuję... – wychrypiął Nike przez ściśnięte gardło.

– W zamian oczekujemy – nie dała sobie przerwać – że przekażesz nam wszystkie

dokumenty i dane na temat Obcych oraz że zaprzestaniesz dalszego rozpowszechniania

dziennika szkalującego dobre imię Federacji. – Zamilkła, mierząc go groźnym spojrzeniem. –

Jeśli ktoś kiedyś dotrze do prawdy o Kuźni, nasza umowa zostanie anulowana ze skutkiem

natychmiastowym, a ty odpowiesz za to własną głową. Rozumiemy się?

– Tak – mruknął.

– Słucham?

– Tak jest – powtórzył bardziej zdecydowanie.

– No! – Prychnęła i zniknęła na sekundę przed tym, zanim automat dezaktywował pole

izolacyjne.

Oszołomiony Nike pozostał w fotelu, dopóki Hondo nie potrząsnął nim mocno.

– Ruszaj się, bracie. Wahadłowiec już czeka.

– Dokąd lecimy? – Stachursky rozejrzył się po centrum łączności, jakby dopiero teraz się

obudził.

– Na Cervantesa.

– A co z kapitanem Święckim?

– Dołączy do nas później, jak tylko załatwi wszystkie sprawy na księżycu.

=== =

TRZYNAŚCIE

Przedział osobowy niewielkiej maszyny mógł pomieścić trzydzieści dwie osoby, ale tym

kursem zabrano ich dwa razy tyle. Nike przycupnął w kącie za ostatnimi siedziskami,

trzymając się jak najdalej od grupki przerażonych kobiet i dzieci. Od porucznika się

dowiedział, że Święcki postanowił zapakować do krążownika tylu ludzi, ilu tylko zdoła, tak

więc wahadłowce Cervantesa krążyły nieustannie pomiędzy planetą a orbitującym wokół niej

okrętem wojennym. To był jeden z ostatnich kursów. Nawet tak wielki krążownik nie mógł

pomieścić więcej niż tysiąc pięciuset dodatkowych pasażerów.

Przez pierwsze kilka minut po starcie prom leciał równo jak po sznurku, potem jednak

zaczął lekko drżeć i w końcu wierzgnął kilka razy mocniej, jakby zderzał się z materialnymi

obiektami. Ludzie trzymający się lin rozpiętych pomiędzy rzędami foteli krzyczeli za każdym

razem, gdy pokład uciekał im spod tyłków. Stachurski wiedział, że to nie są oznaki zbliżającej

się katastrofy. W czasie nielicznych lotów z akademii na Ziemię przeżył o wiele gorsze

turbulencje. Liczył więc upływające sekundy, świadom, że gdy tylko maszyna opuści

atmosferę, wszystko wróci do normy.

Tak też się stało; silniki manewrowe umilkły, ciężenie zaczęło maleć, zrobiło się też

zauważalnie chłodniej. Nike przymknął oczy. Nareszcie mógł spokojnie pomyśleć. Od

pewnego czasu zastanawiał się, ile jeszcze może powiedzieć przedstawicielom floty. Na

pewno nie powinien wyjawiać wszystkiego. Nerwowość kapitana podczas pierwszej

rozmowy i jego późniejsze sugestie były bardzo czytelne. Nikt w sztabie metasektora nie

uwierzy w całą prawdę. On sam miał z tym problemy, a przecież był naocznym świadkiem

spotkania z ma'lahnem.

Przymknął powieki, wracając myślami do tamtych chwil...

==== =

CZTERNAŚCIE

System New Rouen, Sektor Victor,

27.06.2354

– Skoro temat mamy już zamknięty i skoro mam dzisiaj umrzeć, a piekła nie ma, pora

dotrzymać słowa danego Damiandreasowi, panie córeczkojebco...

Zanim dymiąca wciąż lufa fazera uniosła się wystarczająco wysoko, Annataly stanęła

między Morriseyem a człowiekiem, do którego ten mierzył.

– Opuść broń, durniu – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Bo co? – warknął butnie.

– Bo to! – Przytknęła mu pistolet do policzka, rozbijając do reszty pokruszony wizjer.

– Uważaj, suko! – syknął rozjuszony jej atakiem, ale nie ustąpiła.

– Liczę do trzech – poinformowała go lodowatym tonem. – Raz...

– Słuchajcie! – zawołał Iarrey, ale oboje go zignorowali.

– Zabieraj mi tę klamkę sprzed oczu, suko.

– Dwa...

– Zamknij się chociaż ty, Annataly, i posłuchaj! – wydarł się znowu pierwszy oficer. Nie

opuścili broni, jednakże zaskoczeni jego reakcją odwrócili głowy i oboje zamilkli. Iarrey,

który pozbył się już hełmu, wskazał ręką w głąb korytarza. – Słuchajcie – powtórzył.

Stali w półmroku rozjaśnianym punktowo przez fosforyzujące narośle i wyteżali słuch.

Z początku słyszeli tylko ciszę, ale po chwili Annataly drgnęła. Z oddali niósł się ledwie

uchwytny pomruk. Nike sięgnął po holopad, wprowadził szybko kilka komend, aktywując

sensory foniczne najbliższych sond.

– Uzziiee... – Aparatura wychyciła, oczyściła i odtworzyła wzmocniony elektronicznie

dźwięk.

– Uzie? – mruknął Morrisey, odsuwając się wolno od nie patrzącej w jego kierunku

Annataly.

– Luuzzzieee – usłyszeli kolejny szept.

– Ludzie – domyślił się Nike.

– Luudzieee – za trzecim razem słowo było niemal czytelne.

Jak na komendę wszyscy prócz Stachursky'ego wymierzili broń w mrok.

– Mówiaś, że znaleźliście ładownię pełną humanoidów – zagadnął Morrisey, próbując

przebić wzrokiem ciemności. – To może być któryś z nich?

Zerknęła w jego kierunku, krzywiąc się z pogardą.

– To byłby pierwszy przypadek, że ktoś zabity i wypatroszony przed czterdziestoma

tysiącami lat używa współmowy – rzuciła na tyle głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

– Zamknijcie się! – ofuknął ich Iarrey, zerkając przez ramię na holopad Stachursky'ego.

– Ozmaawiaaś... luudziee...

– Ktoś chce z nami rozmawiać? – Morrisey minął Annataly i też spojrzął na wyświetlacz.

Sondy nie umiały zlokalizować źródła tych dźwięków. Wydawać się mogło, że dochodziły

one zewsząd, jakby w obłej ścianie korytarza roło się od głośników.

– Na to wygląda – odparł Jarrey, po czym przyłożywszy dłonie do ust, zawołał: – Podejź

bliżej, to porozmawiamy!

– To ten skrzydlaty skurwyklon? – Kapitan odbezpieczył fazer.

– A któż by inny. – Pierwszy oficer nie stracił opanowania.

Przez moment panowała idealna cisza, a potem znów usłyszeli cichy świst.

– Ez rooni...

– A to co znowu ma znaczyć? – Morrisey popchnął Nike'a. – Nie możesz skalibrować tego

gówna dokładniej?

Zanim zaatakowany kadet odpowiedział, urządzenie znowu się odezwało.

– Bez brooni.

– Ja mu dam, bez broni. – Kapitan odsunął się o krok od zbitych w grupkę załogantów,

omiatając lufą gęstniejącą w oddali ciemność.

– Ja... poomoc... – Każde kolejne słowo było wypowiedane wyraźniej, jakby anioł

błyskawicznie uczył się języka albo... przypominał go sobie.

Annataly odwróciła się gwałtownie i jednym płynnym ruchem chwyciła za ramię fazera,

ciągnąc go równocześnie do dołu i przekręcając wokół osi. Morrisey zasyczał z bólu. Musiał

połuźnić chwyt, żeby nie połamala mu palców zdrowej ręki.

– Co robisz? – warknął.

– Ratuję ci życie, impotencie – odpowiedziała równie gniewnie.

– Akurat.

– Ta istota nie zabije cię bardziej niż nasz kolapsar – przypomniał mu Iarrey.

– Powiedz to Bourne'owi – zrewanżował się kapitan, masując obolałą dłoń.

– Nie omieszkam, jak już się obudzi. – Pierwszy zakończył tę wymianę zdań, skupiając się

ponownie na holopadzie.

Jego fazer zawisł na ramieniu, zabezpieczony jak trzeba. Pistolet Davidoff-Rozerer także

wrócił do kabury.

– Odłożyliśmy broń, możesz już przyjść! – zawołał Iarrey.

Tym razem cisza panowała nieco dłużej, głośnik holopada milczał jak zaklęty, za to na

wyświetlaczu w obrębie zmapowanego korytarza pojawił się migoczący czerwony punkt. Coś

się zbliżało, powoli, ostrożnie...

– Nieee... strzelaj... cieeee – usłyszeli. – Chce poomoc.

– Nie będziemy strzelać, masz moje słowo! – odkrzyknął Iarrey.

Morrisey zaklął pod nosem, ale teraz, rozbrojony, mógł sobie tylko pomarudzić.

W odległości kilkudziesięciu metrów zobaczyli rozjarzające się powoli narośle.
W ich

blasku ciemność zrzędała do tego stopnia, że mogli wyłowić znajomy kształt.
Obcy zatrzymał

się po chwili. Stał kilkanaście kroków od nich, w tej samej luźnej szacie, z szeroko

rozłożonymi rękami i wystającymi zza ramion skrzydłami.

– Poomogę waam – powiedział na tyle wyraźnie, że nie musieli już korzystać z holopada.

– W czym? – warknął Morrisey.

– Zamknij się, Henrichard, dobrze ci radzę – opieprzyła go Annataly.

– Poomogę waam wróciic. – Obcy przeciągał samogłoski, ale oprócz tego wysławiał się

całkiem zrozumiale.

– Skąd znasz nasz język? – zapytał Nike, zanim Iarrey zdążył otworzyć usta.

– Wchłonałem – odparł anioł, wskazując kościstym palcem leżącego pod ścianą Bourne'a.

A więc do tego służy mu ten dziwaczny narząd na czole – pomyślał Nike.

– Co mu zrobiłeś? – Iarrey zerknął na nieprzytomnego porucznika.

– Wchłonałem – powtórzył Obcy już poprawnie.

– Wyjdzie z tego? – nie odpuszczał pierwszy.

– Wyjaaśnij.

– Czy odzyska przytomność? Czy będzie znowu taki... jak my?

– Nie wiem – odparł anioł takim samym mechanicznym głosem, z którego nie sposób było

wyczytać żadnych uczuć.

– Jak to: nie wiesz? – Tym razem Morrisey nie dał się uciszyć.

– Pierwszy raz wchłonąłem człowieka – wyjaśnił anioł, podchodząc kolejne kilka kroków.

Zatrzymał się pod łącznikiem dwu gładkich sekcji korytarza, nie dalej niż dziesięć metrów

od stojącego na przedzie Stachursky'ego. Teraz lepiej go widzieli. Górował nad nimi, był

prawie dwukrotnie wyższy od filigranowej Annataly.

– Co znaczy: wchłonąłem? – zapytał Nike.

Gdy anioł milczał nieco dłużej, założyli, że szuka słów pozwalających opisać naturalny dla

niego proces.

– Wysondowałem umysł – usłyszeli w końcu. – Żeby się nauczyć o was.

– Dobra, dość tego próżnego gadania. – Henrichard przepchnął się pomiędzy Jarreyem

a nawigatorką. – Kolapsar już nabiera mocy. Jak chcesz nam pomóc? Gadaj!

Nikt go nie uciszył. Fascynacja tą niesamowitą istotą musiała ustąpić prozie życia. Nie

zostało im wiele czasu, a pytań mieli wciąż miliony.

– Dam wam dhri'll – odparł anioł.

– Co takiego?

Obcy dotknął ręką ściany korytarza, a ta wybrzuszyła się lekko na sporej powierzchni,

tworząc owalną płaszczyznę. Zrozumieli, czemu to miało służyć, gdy moment później

zobaczyli obraz... Nie holo, ale trójwymiarowy wizerunek jednego ze stateczków

przycumowanych do rewolwerowej wieży w hangarze.

– Dhri'll. Dwaj ludzie mogą polecieć.

Zobaczyli na animacji – bo tym był ten przekaz – jak dziwaczny pojazd startuje i mknie

przez pustkę w kierunku maleńkiej kropki, która rosła z każdą sekundą, przybierając pękate

kształty Nomady.

– I jak to niby ma nam pomóc? – zainteresował się Iarrey.

Obcy nie odpowiedział. Dziwaczny wyświetlacz pokazał im, na czym polega jego plan.

Stateczek zbliżył się do jednej ze śluz awaryjnych Nomady, przycumował do wjazdu,

wysuwając dziwny kołnierz, a potem kamera przeniknęła płynnie do wnętrza kabiny, gdzie

wyglądający jak żywi ludzie wycięli w grubej na metr plastali okrągły otwór. Proste

i skuteczne – uznał Stachursky – choć niezbyt praktyczne rozwiązanie.

– Mała korekta – rzucił, kierując te słowa do majaczącego w półmroku anioła. – Nie

musimy niczego przecinać. Wystarczy nam dostęp do zamka.

– Wyjaśnij.

– Obok śluzy awaryjnej jest niewielki panel z mechanizmem pozwalającym na otwarcie

włazu od zewnątrz. Jeśli przycumujemy tak, by mieć dostęp także do niego, wejdziemy na

pokład Nomady bez cięcia.

– Lećmy, nie traćmy czasu – wtrącił zniecierpliwiony Morrisey.

– Henrichard dobrze gada – poparł go Iarrey. – Im dłużej tu sterczymy, tym mniej czasu

będziemy mieli na przeprowadzenie akcji.

– Zgoda – mruknęła Annataly.

– Jestem za. – Nike wolał się nie wyłamywać.

– Dobra, ustalone. Lecimy. – Morrisey przeniósł wzrok na anioła. – Nie stój tak, prowadź

nas do tej krypy.

– Najpierw umowa – odparł Obcy, wyłączając urządzenie. Ściana znów zrobiła się gładka.

– Jaka znowu umowa?

– Ja pomagam wam, wy pomagacie mnie.

– Czego chcesz w zamian za ten stateczek? – Poirytowany Henrichard podszedł jeszcze

bliżej anioła.

– Energii – odpowiedź była krótka, ale precyzyjna.

– Chcesz się podłączyć do naszego reaktora?

– Nie promieniowania, przywrócenia energii.

– Czyli?

– Gwiazda. Zabierz mojego t'iru bliżej gwiazdy.

– Co to jest t'iru? – gorączkował się Morrisey.

Obcy zatoczył rękami szeroki łuk.

– On chce, żebyśmy podciągnęli ten wrak bliżej gwiazdy, żeby mógł naładować akumulatory

czy czego oni tam używają – domyślił się Jarrey.

– Tak – potwierdził anioł.

– Jak mamy to zrobić? – Kapitan spojrzał na pierwszego, ale ten pokręcił tylko głową. –

Masz tutaj tysiąc kilometrów liny, żebyśmy mogli cię holować? – zwrócił się kpiącym tonem

do Obcego. – I to takiej, której ciąg silników jonowych nie przepali w ułamku sekundy?

– Albo umowa, albo nie lecicie – upierał się anioł.

– Annataly, przekonaj pana, czy też panią, ze skrzydełkami, że mamy jeszcze kilka asów

w rękawie i nikt nam nie będzie dyktował warunków. – Henrichard uśmiechnął się krzywo,

wskazując odebrany mu przed chwilą fazer.

Nawigatorka pokręciła głową.

– Bądź choć raz poważny, stary capie. On wie, że zginie, jeśli mu nie pomożemy, a my

wiemy, że umrzemy bez jego pomocy. To się nazywa pat, a ty grozisz mi śmiercią w sytuacji,

gdy za pół godziny ma zostać zmiądzony razem z tym statkiem? Nie bądź śmieszny. Lepiej

pomyśl, jak moglibyśmy spełnić jego żądanie.

– Ja chyba wiem, co moglibyśmy zrobić – wyrwał się Nike.

=== =

PIĘTNAŚCIE

Po niezbyt długiej, ale zażartej dyskusji podzielili się na dwa zespoły. Morrissey, Stachurski

i nieprzytomny wciąż Bourne zostali w wieży dokującej jako zabezpieczenie, a Annatały

i Jarrey wyruszyli w pościg za Nomadą, zabierając całą broń. Nie musieli się przejmować

opanowywaniem nieznanego im maszyny. Obcy wyjaśnił, że przekierował do st'uru tej jednostki

– czymkolwiek było to st'uru – odpowiednią ilość energii t'iru, więc zadanie zostanie

wykonane automatycznie, łącznie z precyzyjnym cumowaniem, a ludzie mają jedynie dostać się

na pokład okrętu, dezaktywować kolapsar i zawrócić okręt do skupiska przy Thecie.

Gdy tylko dhri'll wystartował, Obcy zaprowadził pozostałych ludzi na najniższy poziom

wieży i tam otworzył służbę dużej, dziwacznie wyglądającej jednostki, której przeznaczenia nie

zdołali się domyślić ani wcześniej, ani tym bardziej teraz. W jej górnej, kopułowatej części

mieściło się koliste pomieszczenie, najprawdopodobniej sterownia. Skrzydlata istota usiadła

na jednym z sześciu niekształtnych foteli ustawionych koncentrycznie wokół pofałdowanego,

dość grubego filara zajmującego sam środek sali. Kapitan i Nike wspięli się na miejsca,

z których mogli mieć oko na anioła, jak zaczęli go, ze zrozumiałych względów, nazywać.

Nieprzytomnego Bourne'a złożyli obok, także w polu widzenia.

Obcy dotknął filaru, który podobnie jak wcześniej ściana korytarza, wyrzucił się

błyskawicznie, formując coś na kształt opływowej konsoli i wiszącego nad nią ekranu. Przed

fotelami zajmowanymi przez ludzi fałdy również zostały zastąpione płaskimi, nieco tylko

zaoblonymi powierzchniami, na których moment później zmateriałizowały się trójwymiarowe

przekazy. Zobaczyli wnętrza dhri'llu i siedzących w nim ludzi. Tym razem nie była to jednak

animacja.

– Możecie mówić – odezwał się Obcy, gdy wszystko było gotowe.

– O czym? – zdziwił się Morrisey.

– Do nich – odpowiedział anioł.

– Annataly, słyszycie nas? – Nike pochylił się do wiszącego przed nim ekranu.

– Głośno i wyraźnie – potwierdziła.

On także ją usłyszał, jakby siedziała na fotelu obok.

– Jakież problemy? – zainteresował się kapitan, gdy tylko odzyskał rezon.

– Owszem – odpowiedział mu pierwszy. – Nudno tu, a ten lot potrwa chwilę.

– Możecie mówić – powtórzył Obcy.

Nike i Henrichard spojrzeli na niego spode łba.

– Zaciąłeś się, przyjacielu, przez to przekierowanie energii? – warknął Morrisey.

Teraz, gdy był niemal pewien ocalenia, animusz wracał mu z każdą sekundą.
Między innymi

dlatego wszyscy nalegali, by to on został na wraku. Tylko tam nie miał dostępu do broni.

– Nie.

– To dlaczego się powtarzasz?

– Ze mną możecie mówić – dodał anioł jak zwykle beznamiętnym tonem.

Nike uśmiechnął się w duchu. Mieli przed sobą dziesięć, może nawet piętnaście minut,

w czasie których ta istota odpowie im na wiele bardzo ważnych pytań.

Postanowił nie czekać

i uprzedzić kolejne grubiańskie uwagi kapitana.

– Czy Bóg istnieje?

– Nie umiem odpowiedzieć na tak postawione pytanie – odparł niemal natychmiast Obcy,

studząc zapędy Stachursky'ego. – Znam co najmniej czterdzieści cywilizacji spełniających

ludzkie kryteria bosko...

– Zaraz – wpadł mu w słowo Morrisey. – Zaczniemy może od czegoś prostszego

i przydatniejszego. Powiedz, jak się nazywasz, o ile używacie tam u siebie w chórkach i na

grzędach jakichś imion albo przydomków.

– Mordarmat – odpowiedział zwięźle anioł.

– W skrócie Morda... Ślicznie – zadrwił kapitan.

Roznosiła go wściekłość. W tym momencie pragnął tylko jednego: rozerwać gołymi rękami

ojca Pedroberto, a potem udusić siedzącego dwa miejsca na prawo od niego Stachursky'ego,

aby móc się zająć powolnym wykańczaniem tego trzymetrowego anioła. Ponieważ jednak

o tym wszystkim mógł tylko pomarzyć, wyżywał się werbalnie.

– Ma'lahn nie używają takich skrótów, człowieku – zapewnił go niewzruszony Obcy.

– Tak nazywa się twoja rasa? – Nike z kolei łaknął wiedzy, jaką musiał posiadać przybysz

z odległych gwiazd.

– Rasa w rozumieniu: wy, ludzie?

Wysławiał się bardzo poprawnie, ale z formułowaniem niektórych myśli wciąż miał

problemy.

– Owszem.

– Tak, jestem ma'lahn.

– Też pięknie. – Morrisey przejął pałeczkę. – Z daleka przyleciałeś?

– Z daleka.

– A coś konkretniej nie łąska powiedzieć?

– Nie macie jeszcze nazwy na miejsce, z którego pochodzę – wyjaśnił ze stoickim spokojem

anioł.

To wydawało się logicznie. Jeśli przybył z centrum Galaktyki albo z innego jej ramienia, nie

mógłby podać konkretnej nazwy, ponieważ ludzie nie nazwali jeszcze żadnej z tamtejszych

gwiazd. Co najwyżej poznaczano je numerami katalogowymi, a tych Bourne z pewnością nie

mógł znać.

– Twój... t'iru – Annataly musiała odszukać w pamięci słowo, którego Obcy użył

w odniesieniu do wraku – to chyba nie do końca maszyna.

– T'iru to symbiont. Żywa maszyna.

– Cyborg? – odpowiedział Nike. – Cybernetyczny organizm – rozwinął, gdy Mordarmat

nie odpowiedział od razu.

– Nie. To bardziej skomplikowane. Życie w maszynie.

Musieli się zadowolić takim, dość ogólnikowym wyjaśnieniem. W tym przypadku barierą

były różnice w poziomie rozwoju cywilizacji.

– Tam, w ładowni – zaczęła znowu Davidoff-Rozerer – znaleźliśmy tysiące martwych,

wypatroszonych humanoidalnych istot.

– Tym się zajmujemy – przyznał Obcy.

Jego słowa zabrzmiały nagle mniej... wyważenie. Jakby dotknęli czułej struny.

– My? – Nike nie odpuścił okazji, by pociągnąć tematu.

– My, ma'lahn.

– Latacie sobie po Galaktyce z patroszonymi jaskiniowcami? – Morrisey, jak to on,

przywalił z grubej rury.

Mordarmat znowu nie odpowiedział tak szybko jak na inne pytania.

– Używając znanych wam pojęć – znów się zająknął, choć od dłuższej chwili nie miał

problemu z wymową najtrudniejszych słów – hodujemy, dokonujemy uboju i sprzedajemy na

mięso.

Teraz to ludzie zamilkli. Ta istota, mimo iż pochodziła z daleko bardziej zaawansowanej

cywilizacji, była kimś w rodzaju antycznego rzeźnika. Który dodatku hodował na ubój

prymitywnych, ale jednak przodków człowieka.

– Te zwłoki... To byli praludzie – wymamrotała w końcu Annataly.

– Wiem.

Tą odpowiedzią skonfundował ich jeszcze bardziej.

– Możesz nam to wyjaśnić nieco dokładniej? – poprosił Morrisey, rezygnując ku zaskoczeniu załogantów z uszczypliwości.

– Wyszukujemy odpowiednie, unasienione planety tlenowe, umieszczamy na nich kolonie

gl'wero... tak nazywamy istoty, które znaleźliście w moim t'iru... i hodujemy je, jak wy

w niedalekiej przeszłości krowy.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy dalekimi potomkami galaktycznego bydła rzeźnego? –

zdumiał się Iarrey.

On pierwszy zdołał się otrząsnąć ze stuporu, w jaki wszyscy wpadli.

– Tak. Z analiz przeprowadzonych przez t'iru wiem, że w waszym DNA znajdują się między

innymi zakodowane przez nas sygnatury.

– Zaraz! – Kapitan zeskoczył z wielkiego siedziska. – Co dokładnie chcesz przez to

powiedzieć?

– Stworzyliśmy gl'wero, od których wy zdajecie się pochodzić.

– Moment... – Nike pozostał na miejscu, choć wyglądał na nie mniej wzburzonego. – Na ilu

planetach hodowaliście tych gl... coś tam?

Chciał rozwiać wątpliwości co do pochodzenia zamrożonych zwłok, a w zasadzie tusz, bo

tak należałoby je nazwać.

– Na sześciu, ale w tym ramieniu tylko na jednej.

Kolejna wiadomość, która spadła na nich jak grom z jasnego nieba. To zdanie zrodziło

w ludziach setki kolejnych pytań, zaczęli je więc zadawać równocześnie, przekrzykując się

wzajemnie.

– Mordy w czarną dziurę! – wydarł się w końcu Morrissey, unosząc rękę, jakby zamierzał

nią walnąć dla podkreślenia wagi swoich słów. Niestety nie znalazł niczego, co mogłoby

posłużyć do tego celu. – Mów, ale konkretnie, o co w tym wszystkim chodzi – wymierzył

w końcu metalowym palcem protezy w oblicze Obcego – albo nici z naszej umowy!

Ku zaskoczeniu Stachursky’ego, nawigatorka i pierwszy oficer tym razem stanęli murem za

kapitanem. Widząc to, Nike postanowił nie odstawać.

– Powiem. – Mordarmat odezwał się po jeszcze dłuższej chwili milczenia, niemniej jego

mechaniczny głos nadal nie zdradzał żadnych emocji, zupełnie jakby rozmawiali z robotem. –

Stworzyliśmy pierwszych gl’wero, łącząc DNA trzech najpopularniejszych ras znanego nam

bydła... – Widząc ich reakcję, natychmiast dodał: – Używam uproszczonej terminologii, aby

moje słowa były dla was bardziej zrozumiałe.

– Niech ci będzie – wycedził Morrisey. – Mów dalej.

– Efekty przeszły wszelkie wyobrażenie. W ciągu stu osiemdziesięciu tysięcy lat, licząc

ludzką miarą czasu, sprzedawaliśmy gl'wero kilku setkom ras. Potem wielokrotnie

udoskonalaliśmy kombinację genów, dążąc do jeszcze wyższej jakości mięsa. Niestety to

doprowadziło do konfliktu o podłożu etni... etycznym. To chyba najbardziej zbliżony termin,

jakiego wy używacie. Zostaliśmy oskarżeni o to, że trzysta jedenasta generacja naszego

produktu przekroczyła nieuchwytną granicę pomiędzy zwierzęciem a istotą rozumną.

– Jak widać słusznie – mruknął Iarrey.

– Niekoniecznie. W każdym razie wtedy była to tylko niepotwierdzona faktami teoria. Mimo

to... – Zamilkł na chwilę, próbując znaleźć najbardziej pasujące określenie. – Rój Ssessmo

skłonił nas do zaprzestania prac nad dalszym udoskonalaniem DNA naszego produktu. My

jednak wierzyliśmy w słuszność naszych poczynań i nie rezygnowaliśmy. Zapotrzebowanie na

trzysta dwunastą generację było tak wielkie, że mój sencz'ten zaczął się specjalizować

w zakładaniu nielegalnych hodowli, tak to się chyba po waszemu mówi, w

najbardziej

odległych częściach Galaktyki. Ja zostałem przydzielony do obsługi stada z tego ramienia. Do

momentu zaatakowania mojego t'iru zajmowałem się nadzorem hodowli i cyklicznym

transferem pozyskanego mięsa. Co działo się przez ostatnie czterdzieści siedem tysięcy lat, nie

jestem w stanie powiedzieć, choć mam pewne podejrzenia.

Mordarmat zamilkł.

– Dużo się działo, jak widać, słychać i czuć. – Morrisey odzyskał humor i wrócił na fotel. –

Ten wasz cały Rój miał rację.

– Nie podzielam twojej opinii, człowieku. Zauważyłem w waszym kodzie genetycznym

nadpisane przez kogoś innego zmiany, które mogły doprowadzić do przyspieszenia mutacji

i w efekcie do rozwoju inteligencji.

– Kiedy zdążyłeś zrobić te badania? – zainteresowała się Annataly.

– T'charo t'iru, to znaczy nanoskanery mojego statku pobrały próbki waszych tkanek po tym,

jak zostałem wybudzony.

Iarrey i Morrisey spojrzeli na siebie znacząco. Obaj też wstrzymali na moment oddech,

zdając sobie sprawę z tego, że wokół mogą się znajdować miliardy niewidocznych gołym

okiem obcych urządzeń albo istot.

– Jak to: nadpisane? – Nike wrócił do wcześniejszej wypowiedzi Mordarmata.

– Ktoś zmienił stworzone przez nas wzorce kodu DNA. Podejrzewam, że maczali w tym

palce seirafu. To istoty, które zaatakowały mnie w tym systemie. Usuwając mnie, przejęli

kontrolę nad stadem i przeprowadzili na nim kolejne eksperymenty, żeby dowieść, iż stawiane

nam zarzuty są prawdziwe.

– Nasi naukowcy mają na ten temat nieco inne zdanie – zakpił Morrissey.

– Tak na marginesie – wtrąciła Annataly tonem sugerującym, że chce przyłapać anioła na

kłamstwie. – Kiedy założyliście tę hodowlę?

– Cztery i pół miliona ziemskich lat temu.

Za każdym razem, kiedy wydawało im się, że usłyszeli najbardziej nieprawdopodobną

rzecz, ta niesamowita istota udowadniała im kolejną swoją wypowiedzią, iż prawdziwe

zdziwienie dopiero ich czeka.

– Skoro tak, musieliście w ciągu tych milionów lat zauważyć, że hominidy z waszego stada

zaczynają używać narzędzi. Czy to nie jest cecha, która odróżnia istoty inteligentne od

zwierząt?

– Wiele zwierząt, nawet u was na Ziemi, korzysta z prymitywnych narzędzi –

wyjaśnił

Mordarmat. – A czy wy nie jadaliście gatunków, których inteligencja przewyższała

wielokrotnie zdolności gl'wero?

– Na pewno nie – zapewniła go nawigatorka.

– A ośmiornice, delfiny, małpy? – wyliczył Obcy.

Nike musiał przyznać, że zdolność tej istoty do sondowania umysłów jest zadziwiająca.

Chwila kontaktu z Bourne'em wystarczyła, by anioł przejął całą wiedzę, jaką ten człowiek

posiadał. Mordarmat rozmawiał z nimi teraz, jakby spędził całe życie pomiędzy ludźmi.

– Skoro wasza hodowla znajdowała się na Ziemi, dlaczego zaatakowano cię właśnie tutaj,

kilkaset lat świetlnych od niej? – zapytał Stachursky, korzystając z chwili ciszy.

– W tym systemie mięso przejmowali ode mnie... pośrednicy. Oni przekazywali je

kolejnym sencz'tenom, od których zabierały je jeszcze inne t'iru. Robiliśmy to, by zatrzeć

ślady i nie doprowadzić naszych wrogów do stad. Lokalizacja hodowli w tym ramieniu

została utajniona przed paroma milionami waszych lat, znał ją tylko ten ma'lahn, któremu

kazano ją nadzorować. Sto siedemdziesiąt dwa tysiące lat temu zadanie to powierzono mnie.

Kiedy zostałem wyeliminowany, seirafu musieli przejąć kontrolę nad stadem.

Nie mając nad

sobą żadnego nadzoru, mogli robić z waszymi przodkami, co chcieli.

– Sto siedemdziesiąt dwa tysiące lat temu? – nie wytrzymał Morrisey. – Jak długo wy

żyjecie?

– Dopóki nie stracimy życia.

Kolejna odpowiedź, niby prosta, a niczego nie wyjaśniająca.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś nieśmiertelny?

– Jestem śmiertelny, można mnie zabić.

– Gdyby jednak nie przydarzył ci się żaden wypadek, mógłbyś żyć wiecznie? – dopytywał

Morrisey.

– Nasza historia nie zanotowała podobnych przypadków.

– Ale teoretycznie jest to możliwe?

– Brak danych nie pozwala mi na udzielenie odpowiedzi.

– Powiedz mi w takim razie, jak długo żył najstarszy spośród was.

– Dyahewe, patriarcha naszego sencz'tenu, ma... to znaczy miał... milion dwieście

szesnaście tysięcy trzysta pięćdziesiąt siedem waszych lat, kiedy mój t'iru został uszkodzony

przez seirafu, a mnie zmuszono do przejścia w z'en. Czy wciąż żyje, tego nie wiem.

– Kim są ci seirafu? – zapytał Nike.

– To ma'lahn, jak ja, tylko inni.

Ta zwięzła odpowiedź znowu nie rozjaśniła niczego, zatem Nike postanowił drażnić temat.

– Możesz to nam wyjaśnić przystępniej? – poprosił.

– Rywale... – zaczął Mordarmat, ale tym razem nie dokończył. – Już pora – dodał,

wskazując na ekran.

=== =

SZESNAŚCIE

Dhri'll wyhamowywał ostro, zbliżając się do burty kolapsarowca. Annataly i Iarrey

wyprostowali się w fotelach. Czekali na sygnał. Ten nadszedł, gdy ściana kapsuły pękła nagle,

jak wcześniej membranowe wrota na wraku t'iru.

To była robota dla Annataly, ponieważ tylko ona z całej piątki nosiła nieuszkodzony hełm.

Iarrey podał jej jeden z prawie wyczerpanych fazerów, a ona przełączyła pistolet na pełną

moc. Ojciec Pedroberto z pewnością został powiadomiony o ścigającej kolapsar jednostce

i choć okręt nie miał na wyposażeniu uzbrojenia zewnętrznego, klecha mógł przygotować

nieprzyjemną niespodziankę zaraz za śluzą albo w którymś z korytarzy. Morrisey i jego ludzie

liczyli tylko na to, że pozostali kadeci będą zbyt wystraszeni, by wspomóc zbuntowanego

multikapłana. Nadzieja jednak, jak mówi mądre przysłowie, jest matką głupich.
Dlatego

nawigatorka, która uważała się za osobę bardzo inteligentną, opracowała trzy
alternatywne

plany dotarcia do sterowni.

Dhri'll leciał teraz z tą samą prędkością co Nomada, więc gdy Annataly
doczekała

w ciasnej śluzie chwili, gdy zewnętrzna gródź rozstała się w kompletnej ciszy,
jej oczom

ukazał się fragment szarego kadłuba kolapsarowca. Dokładnie dwadzieścia
metrów od niej

znajdował się prostokątny właz rozjaśniony kręgiem światła emitowanego
gdzieś znad jej

głowy.

Wyjście w bezdenną pustkę nie jest takie łatwe, jak może się wydawać.
Zwłaszcza gdy

człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że cel jego krótkiej podróży porusza się z
dwudziestą

częścią prędkości światła. Jeden błąd, za duża siła odbicia, źle obliczony chwyt
i... znika się

w nieskończonej czerni kosmosu, stając się jedną z wielu zamrożonych brył,
które mkną

przed siebie czasami przez miliardy lat, by spłonąć potem w atmosferze
napotkanej

przypadkiem planety, albo rozpryskują się na miriady odłamków po zderzeniu z
innym równie

martwym obiektem.

Obie te wizje mroziły krew w żyłach nawigatorki, która nigdy wcześniej nie musiała

wykonywać podobnych skoków.

– Nie możecie podprowadzić mnie bliżej? – wymamrotała błagalnym tonem.

– To optymalna odległość do wykonania skoku, Smiley – zapewnił ją Morrisey.

–

Najkrótszy impuls repulsora doniesie cię do wjazdu, ale nie wyrznieś w niego i nie odbijesz

się jak kamień, ponieważ będziesz miała wystarczająco dużo czasu na reakcję.

– Oddałabym wszystko, żeby się z tobą zamienić – marudziła, nadal nieprzekonana.

– Przecież chciałem tam lecieć za ciebie – przypomniał – ale protestowałeś, jakby cię

obdzierali ze skóry, więc zamknij ryj, proszę, i skacz. Na trzy.

Zaczął odliczać, ale gdy doszedł do słowa start, ona nadal stała w służbie.

– Nie chcę cię dodatkowo irytować, Annataly – wtrącił Iarrey, który nie mógł jej niestety

zastąpić, ponieważ hełm, który nosiła, nie pasował rozmiarem do jego skafandra – ale muszę

ci przypomnieć, że z każdą sekundą wahania maleją szanse na ocalenie naszych. Kolapsar

ściąga już większe śmiecie z dołka.

Milczała przed kolejne kilka sekund, a potem...

– Walcie się na ryj! – wrzasnęła, odpalając naramienne dysze.

Dokładnie wyliczona ilość gazów wypchnęła ją ze śluzy. Lot był koszmarnie długi,

zwłaszcza że adrenalina także zrobiła swoje i czas naprawdę spowolnił bieg. Sunąca

w kierunku kolapsarowca Annataly miała wrażenie, że pustka jest gęsta jak smoła. Unosiła

rękę tak wolno, że w pewnym momencie zaczęła się nawet obawiać, czy zdąży ją wysunąć

w kierunku klamry uchwytu, zanim uderzy w poznaczoną setkami blizn burtę.

Zdążyła, miała też sporo czasu, by zacisnąć palce na zmrożonym kawałku plastali. Impet

zderzenia nie był mocny, zatem utrzymała się bez trudu, co oznajmiła całemu światu radosnym

wyciem.

Użyła aż dwu elektromagnetycznych kotew, by zabezpieczyć się przed odpadnięciem, lecz

nikt jej za to nie zganił, choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że ta zapobiegliwość będzie

kosztowała ją kolejne trzydzieści sekund opóźnienia. A czas naglił coraz bardziej. Jeden

z ekranów vimany pokazywał sytuację w skupisku. Kolapsar nabierał mocy. Do punktu

krytycznego brakowało mu już tylko kilku minut.

Annataly wisiała tymczasem przed panelem, czekając, aż aktywowany system rozgrzeje

elementy mechaniczne dźwigni. Gdy zapaliła się zielona dioda, a klapka

odsłoniła w końcu

niewielkie wgłębienie, wszyscy ludzie wstrzymali oddech. Po pierwszym pociągnięciu rączka

nie drgnęła nawet na milimetr. Do drugiego nawigatora przyłożyła się więc lepiej, opierając

nogi na płycie poszycia. Tym razem udało jej się poruszyć dźwignię i opuścić ją aż do końca.

Kilkanaście długich jak wieczność sekund później czteropłatowy właz rozsunał się

bezgłośnie. Wewnątrz ciasnej śluzy zapłonęły światła. Annataly musiała jednak poczekać na

wyłączenie obu kotew, a gdy magnetyczne zakończenia linek oddzieliły się w końcu od

plastali, kilkoma zwinnymi ruchami wleciała do wnętrza kolapsarowca. Tam wystarczyło

uderzyć dłonią w przycisk awaryjnego zamykania śluzy, by właz znów został hermetycznie

zamknięty.

W tym momencie stracili wizję. Została im tylko fonia.

– Mów do mnie, Smiley – poprosił Morrisey.

Nike zauważył, że kapitan dziwnie zmiękł, obserwując wyczyny nawigatorki. On chyba

naprawdę coś do niej czuł, tylko nie umiał tego okazać, kryjąc się za maską prymitywa i gbura.

– Jestem w przebieralni – zameldowała. – Na razie ani śladu komitetu powitalnego. Biorę

zapasowy hełm dla Iarreya i wracam do służy.

– Nie rób tego – rozkazał jej Morrisey. – Nie mamy na to czasu.

– We dwoje będziemy mieli większe szanse na obejście gnoja – próbowała go przekonać.

– Nie, Annataly. – Pierwszy poparł kapitana. – Henrichard ma rację. Nie zdążymy wyłączyć

kolapsara, jeśli po mnie wrócisz.

– Mogę rzucić hełm do służy dhri’lla – zaproponowała. – A ty do mnie dołączysz.

– A jeśli nie trafisz? Stracisz czas i nic na tym nie zyskamy.

– Ruchy, Smiley! – pogonił ją Morrisey. – Ciąg jest już taki, że mi zaraz jajca pourywa.

– O, to może odsapnę jeszcze chwilę – rzuciła kąśliwie, licząc na reakcję, i nie pomyliła się

wiele. – Jestem w bocznym korytarzu – dodała, gdy skończył kląć. – Czysto.

– Co też ten współwyznaniowy skurwyklon kombinuje? – zastanawiał się na głos Iarrey.

– Nie wiem, ale tu go nie ma – odpowiedziała. – Przechodzę przez łącznik –

poinformowała. Na moment zapadła cisza. – Tutaj także czysto. Ruszam głównym korytarzem

do sterowni. – Przez kilkanaście następnych sekund słyszeli tylko jej przyspieszony oddech.

Potem rozległ się jakiś syk i znowu się odezwała. – Jestem na mostku. Czysto.

– Niemożliwe – mamrotał Morrisey. – On musi gdzieś tam być.

– Zablokowałam gródź – zameldowała, nie komentując jego ostatniej uwagi. –

Przeczესuję

teren. – Znów kilka sekund dyszenia. – Boczne przejścia zamknięte. Tutaj naprawdę nikogo nie

ma.

– Później będziemy go szukać – zawyrokował kapitan. – Zaloguj się i wyłącz kolapsar.

– Już się robi. Weszłam do systemu. Mam sterowanie... – Zamilkła, a oni wstrzymali

oddech. – Jak tam twoje jajca? – zapytała nagle.

– Nie pogrywaj ze mną, ty... – Ugryzł się w język.

– Nie czekaj, kobieto, pewnie ściska je tą mechaniczną ręką – zaśmiał się Iarrey – więc tak

szybko mu ich nie urwie.

– Szkoda – mruknęła, udając zawód. – Dezaktywuję ciąg.

Nike odetchnął z ulgą. Dopiero teraz poczuł, że od kilku chwil zaciskał kciuki.

– Dobra robota, Smiley – pochwalił nawigatorkę, ściągając na siebie gniewny wzrok

kapitana.

– Chyba wiem, gdzie jest nasz ojczulek – rzuciła Annataly, mocno rozbawiona.

– Mów! – Morrisey przestał łytać na Stachursky'ego.

– Skurwyklon położył się spać, gdy tylko kadeci ustawili mu kurs na strefę skoku.

– Cudownie... – Henrichard zatarł ręce. – Skoro ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że

bogów nie było i nie ma, nasz szanowny kapłan darmożjad będzie pierwszym człowiekiem,

który uzyska życie wieczne.

– Nie chcesz chyba... – zaczął Iarrey.

– Owszem, chcę. Wyrzucimy gnoja zaraz po wykonaniu skoku w nadprzestrzeń.

=== =

SIEDEMNAŚCIE

System Ulietta, Sektor Zebra,

24.10.2354

Nike otrząsnął się z zamyślenia, gdy kadłub wahadłowca zadrżał po raz kolejny. To mogło,

a raczej musiało znaczyć, że lot na orbitę dobiegł końca. Maszyna właśnie wylądowała

w hangarze gigantycznego krążownika.

Nie mylił się. Kilka sekund po zapaleniu pełnego oświetlenia tylna rampa promu zaczęła

opadać, odsłaniając przed stłoczonymi w przedziale ludźmi tonącą w półmroku wielką halę,

w której stało kilka podobnych maszyn. Z każdej wysypywali się ewakuowani koloniści.

Otoczający lądowiska żołnierze w szarych mundurach zaganiali ich sprawnie do licznych

wyjść.

Przy wahadłowcu, którym przyleciał Nike, pojawili się także przedstawiciele floty.

Postawny mężczyzna z bosmańskimi insygniami na rękawach stanął na końcu rampy i zerkając

na holopad, odczytał krótki komunikat.

– Obywatele Delt Ulietty. Trafiliście na pokład okrętu wojennego Federacji, od tej chwili

podlegacie więc regulaminowi floty. Za chwilę zostaniecie odprowadzeni do wydzielonej

sekcji śródokręcia, w której będziecie musieli pozostać aż do zakończenia lotu. Nie jesteśmy

w stanie zapewnić wam żadnych wygód. Jeśli nie przywieźliście ze sobą żywności i wody,

będziecie musieli zadowolić się tym, co ofiarują wam współtowarzysze podróży. To wszystko.

– Opuścił urządzenie. – Pójdziecie za tymi ludźmi. – Wskazał towarzyszących mu marynarzy. –

Jakieś pytania?

– Tylko jedno – odezwał się Nike. – Jak długo potrwa lot?

– Za cztery godziny znajdziemy się w strefie skoku tego systemu, potem czeka nas półtorej

godziny w nadprzestrzeni i dalsze pięć godzin potrzebne na dotarcie do najbliższej stacji

tranzytowej, na którą zostaniecie odstawieni naszymi wahadłowcami. Sumując, ostatni z was

opuszczą pokład Djangonzalo Cervantesa za mniej niż dwanaście godzin. Coś jeszcze?

Koloniści nie mieli żadnych pytań. Wdzięczni byli losowi i dowódcom tego

okrętu za

ofiarowaną im szansę na przeżycie.

– Podporucznik Staczursky!

Podporucznik. Gdyby nie przekręcone nazwisko, Nike nie zareagowałby na wezwanie.

– To ja.

– Pójdziecie ze mną.

Bosman oddzielił go od reszty uchodźców. Ruszyli tylko we dwójkę, szybkim krokiem

przemierzając kolejne tonące w półmroku lądowiska. Stachursky przyglądał się z zaciekawieniem hangarowi i stojącym w jego wnętrzu maszynom. Gdyby nie romans

z najmłodszą córką Dredda, od kilku miesięcy służyłbym na podobnej jednostce – pomyślał,

obserwując krzątających się wokół ludzi w mundurach. Większość z nich nie była wiele

starsza od niego.

Może nawet dochrapałbym się pełnego porucznika – dumiał.

Dotarcie do krańca hali zajęło im prawie dwie minuty, ale tylko dlatego, że musieli kilka

razy zmieniać kierunek, aby ominąć przygotowywane do startu wahadłowce i patrolowce.

W końcu jednak stanęli przy szybach wind. Tutaj bosman pożegnał się regulaminową formułką,

powiadamiając eskortowanego, że ma wjechać na szósty pokład i przejść do

sekcji D. Tam

odbierze go ktoś z dowództwa.

Tylko dureń mógłby się zgubić na tym okręcie. Na ścianach rzęsiście oświetlonych korytarzy

umieszczono dziesiątki tablic informacyjnych i kierunkowskazów. Mijani po drodze ludzie,

a było ich tu zadziwiająco niewiele, także służyli pomocą, gdy Stachurski musiał sprawdzić,

w którą stronę powinien skręcić na jednym z ostatnich skrzyżowań. Litera D znajdowała się

bowiem przy obu strzałkach.

Kazano mu iść w lewo. Tak zrobił i kilkadziesiąt metrów dalej, przy wielkiej grodzi,

zobaczył stojącego na szeroko rozstawionych nogach krępego czarnoskórego porucznika.

– Nazywam się Stachurski... – zaczął, ale zamilkł, widząc grymas odrazy na twarzy

niższego o dwie głowy oficera.

– Chcieliście powiedzieć: podporucznik Stachurski – usłyszał ociekającą jadem uwagę.

– Tak jest – odparł, prostując plecy.

Czas wrócić do dawnych przyzwyczajień – pomyślał, oddając przepisowy salut.

– Porucznik Miszkin – przedstawił się jego nowy przewodnik. – Chodźcie za mną.

Nike nie pytał, dokąd idą. Domyślał się, że zaraz stanie przed jakąś komisją, która wypyta

go dokładnie o t'iru i spotkanie z ma'lahnem. W czasie lotu, przypominając sobie wydarzenia

sprzed czterech miesięcy, zdecydował, jak będzie wyglądała jego wersja zdarzeń. Teraz, gdy

reszta załogi już nie żyła, nikt nie sprawdzi, czy mówi prawdę. To, co usłyszą od niego nowi

przełożeni, będzie dla nich tak fantastyczne i niewiarygodne, iż z pewnością nie przyjdzie im

nawet do głowy, że usłyszeli tylko o części faktów.

Powie im o wszystkim, co wydawało się ważne z punktu widzenia toczonej wojny. Pominie

zaś te wydarzenia, które dotyczyły wykorzystania kolapsara do „wystrzelenia” t'iru

Mordarmata w kierunku gwiazdy centralnej New Rouen, a co za tym idzie uratowania go i...

doprowadzenia do wybuchu wojny. Gdybym wtedy wiedział, czym zakończy się tamta akcja –

pomyślał ze smutkiem. Jednakże nikt z nich nie mógł tego przewidzieć, zatem obwinianie się

nie miało teraz większego sensu.

Szczerze powiedziawszy, zamierzał rzucić wszystko na Morriseya, bo to on przecież parł

jak taran do penetracji wraku obcej jednostki. I to on dowodził tamtą misją. Należało się

skurwyklonowi takie zniesławienie, choćby za raport, w którym uznał uwięzionego kilka

godzin wcześniej członka załogi za poległego w czasie akcji.

Stachurski zastanawiał się tylko, na ile może i powinien zagłębiać się w wyjaśnianie, że

flotylla Obcych należy do czegoś w rodzaju rodzinnego syndykatu zbrodni, a agresywność

ma'lahnów wynika wyłącznie z faktu, iż próbują wymazać z Drogi Mlecznej rasę

inteligentnego „bydła”, za której stworzenie mogliby zapłacić galaktyczną anatamą.

To było tak niedorzeczne, że sam uśmiechał się pod nosem, gdy o tym myślał. Wątpił, by

oficerowie przy zdrowych zmysłach uwierzyli w tę część opowieści. Z drugiej strony zdawał

sobie sprawę, że ludzie muszą poznać całą prawdę, ponieważ gdy Rada odkryje próbę

zatajenia części faktów, może zrobić się niewesoło.

Maszerując w kierunku grodzi, przed którą stali na straży żandarmi, zdecydował ostatecznie,

że pominie tylko to, co postawiłoby go w złym świetle. Resztę wyzna jak na spowiedzi. Tak,

to najlepsze rozwiązanie, niech oni się martwią o resztę – uznał, gdy przepuszczano go do sali,

w której czekała komisja.

==== =

OSIEMNAŚCIE

Święcki podjechał łazikiem na koniec toru numer trzy. Tego, który zdaniem

głównego

inżyniera kopalni był najbardziej zagrożony. Prace przy umacnianiu filarów trwały. Nie

przerwano ich nawet wtedy, gdy kilkanaście metrów nad robotnikami przeleciał kolejny

kontener z rudą.

Zanim Henryan zdążył podejść do najbliższego pylonu, nad jego głową przemknął

w całkowitej ciszy ogromny cień.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał, przechodząc z kanału ogólnego na częstotliwość

nadzorcy odpowiedzialnego za ten odcinek prac. Drań siedział w sterowni. Tacy jak on nie

ryzykowali niepotrzebnie, ale spijali całą śmietankę, gdy przyszło co do czego.

– Konstrukcja pozostaje stabilna, ale nawet pański pomysł zastosowania klamer tylko

odwleka nieuniknione.

Po konsultacjach z dowódcą pionu inżynieryjnego Henryan zaproponował, by górnicy prócz

podpierania toru rozporami owijali najbardziej uszkodzone fragmenty filarów szerokimi,

termoformowanymi obręczami z plastali, jak robiono to czasem na wrakach, by utrzymać

pękające elementy konstrukcji w całości.

– Ile czasu nam zostało? – zapytał.

– Pół godziny, nie więcej – odpowiedział nieznany Świąćkiemu z nazwiska i twarzy

pracownik nadzoru kopalni.

– Nawet jeśli pańscy ludzie założą więcej klamer?

– Człowieku, klamry muszą coś spinać, a plastobeton, z którego zbudowano te filary, kruszy

się teraz jak kreda. Każdy start tworzy setki nowych mikropęknięć. To cud, że ten ejektor

jeszcze funkcjonuje.

– Rozumiem, ale nie odpuszczajcie. Ratujcie ten tor do samego końca. Liczy się każdy

ładunek – przypomniał nadzorcy, zapewne niepotrzebnie.

Wszyscy, zarówno ludzie z zarządu, jak i zwykli górnicy, wiedzieli doskonale, o jak wysoką

stawkę grają. Świąćki wyjaśnił im to dokładnie w długim, osobistym przemówieniu

wyłoszonym przed kilkoma godzinami. W tym momencie na księżycu Deltę nie było nikogo,

kto by wcześniej nie wyraził zgody na morderczą pracę. Nawet ten asekurant ze sterowni

zaaprobował warunki postawione przez dowódcę operacji ewakuacyjnej, choć jak widać, nie

zamierzał ryzykować bardziej, niż musiał.

Świąćki spojrział na znikające w mroku klify, za którymi w wybitym miliardy lat temu

kraterze znajdowały się hałdy wydobytej w tym systemie rudy. Na szczycie

skalnej ściany

widział plastalowe konstrukcje emiterów pola siłowego, którym chroniono składowiska przed

kosmicznym śmieciem.

– Xavieric! – Henryan znów zmienił kanał, by wywołać dyrektora kopalni.

Kilka godzin temu przeszli na ty. Ciężka praca łączy ludzi nawet tak się różniących jak oni.

– Jestem! – Dupree odezwał się niemal natychmiast, choć pewnie też miał pełne ręce

roboty.

– Możesz mi podesłać pod trójkę jakiś grawiolot? – poprosił go kapitan.

– To chwilę potrwa – uprzedził dyrektor.

– Jak długo?

– Do kwadransa. Wszystkie maszyny są teraz w terenie.

– Dobra, zapomnij – rzucił Święcki.

– Jeśli potrzebujesz podwózki, mogę sprawdzić, kto w najbliższym czasie będzie przelatywał w pobliżu trójki.

– Nie zamierzam wracać do kopalni – wyjaśnił Henryan. – Chciałem przyjrzeć się czemuś

z większej wysokości.

– Pogadaj z robotnikami, może mają żyroplatformę – poradził dyrektor.

– Cóż to za cudo? – zdziwił się kapitan.

– Urządzenie do kontroli wysokich instalacji. Powinni mieć tam co najmniej

jedną. Jakoś

musieli prześwietlać górne partie pylonów.

– A ile osób ta platforma może zabrać?

– Maksymalnie dwie, w wyjątkowych sytuacjach trzy, ale przy przeciążeniu ma ograniczone

pole działania i na pewno nie zaleci za wysoko.

– Jaki jest jej maksymalny pułap?

– W tych warunkach nie więcej niż sto metrów, licząc od stabilnego podłoża.

Sto metrów... Świątki spojrział na niemal pionowe skały, ich wysokość sięgała w pobliżu

toru osiemdziesięciu, może nawet dziewięćdziesięciu metrów.

– Toto lata tylko w górę i w dół czy można tym też manewrować?

– Silniki strugowe mogą przesunąć żyroplatformę w poziomie, ale gazu masz na rąk

kilka korekt.

– To powinno wystarczyć – mruknął Świątki. – Dzięki. – Rozłączył się i przeszedł znowu

na kanał ogólny. – Panowie, potrzebuję żyroplatformy. Jeśli to możliwe, z operatorem.

Nie czekał długo.

– Co mam zrobić?

Skrzywił się, gdy usłyszał kobiecy alt. Kolejne faux pas.

– Chciałbym, aby wzniosła się pani na maksymalny pułap tuż przy klifie, a potem

przeleciała nad skały i wykonała drugie wznoszenie, wykorzystując klif jako podstawę. Czy to

możliwe?

– Da się zrobić – odparła, choć w jej głosie wyczuł lekkie wahanie, a może raczej

zdziwienie tak nietypowym żądaniem.

– W takim razie spotkajmy się przy podporze numer jeden.

Wskoczył do łoża i ruszył w stronę wylotu tunelu. Kolejny kontener przemknął nad nim,

gdy przejeżdżał pod szyną działa elektromagnetycznego. Zahamował ostro i zadarł głowę.

Z obu filarów posypał się pył. Na jego oczach jedna z obejm osunęła się nieco. Nadzorca nie

kłamał. To wszystko runie lada moment i nie pomogą zastrzyki plastobetonu ani plastalowe

podpory, którymi stemplowano gęsto każdy element toru, aby odciążyć filary.

Gdy przybył na miejsce, operatorka żyroplatformy już na niego czekała. Przypominające

ścięty stożek urządzenie stało obok na ciągniętej za większym modelem łoża platformie.

– Jest pani pewna, że to się uda? – zapytał po tym, jak przeszli na ustaloną częstotliwość.

– Teoretycznie nie powinno być problemu, ale musi pan wiedzieć, że nigdy wcześniej nie

próbowaliśmy takich akrobacji – zastrzegła.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – zażartował, wspinając się na szczyt

urządzenia.

Wsiedli do sięgającego im pasa kosza i zapięli pasy bezpieczeństwa. Potem operatorka

uniosła kciuk, a gdy Święcki nie zareagował, poruszyła ręką, jakby go poganiała. Nie znał

robotniczych zwyczajów, ale domyślił się, że to jakiś sygnał. Odpowiedział podobnym gestem

i platforma ruszyła.

Wznosiła się wolno, jakby była raketowym odpowiednikiem ślimaka. Kołysała się też

nieustannie, lekko, ale to wystarczyło, by Henryn poczuł wdzięczność dla projektantów,

którzy nie zapomnieli o porządnym zabezpieczeniu. Gdy żyroplatforma znalazła się nad

szczytem klifu, kobieta włączyła na moment dysze manewrowe.

Przesunęli się równie wolno nad czarne jak węgiel skały. Tam pompy zadziałały jeszcze

kilkakrotnie.

– Dalsza podróż w górę będzie możliwa po chwili postoju w miejscu – wyjaśniła operatorka.

Święcki skinął głową. To był jej żywioł, nie zamierzał się wtrącać.

Ruszyli ponownie tak samo wolno jak przedtem. Kilkanaście sekund lotu wystarczyło

jednak, by Henryn zobaczył to, co chciał.

We wnętrzu krateru pracowało wiele ogromnych maszyn ładujących rudę do

kontenerów

i zwożących je potem do komory ejektora. Działo elektromagnetyczne było jedyną stałą

budowlą na składowisku, jeśli nie liczyć ulokowanych na grani wież generujących pole

siłowe.

– Możemy już wracać – zdecydował kapitan i natychmiast przełączył się na kanał

dyrektora kopalni. – Xavieric, posłuchaj mnie uważnie. Musisz zorganizować ekipy od

demolki. Na pewno macie tutaj ludzi, którzy umieją wysadzić dosłownie wszystko.

– Co chcesz rozwalić, żołnierzu?

– Komorę ejektora i wszystkie wieże na klifie. W tym kraterze nie może pozostać nawet

ślad naszej technologii. Maszyny, jeśli którejś nie da się przenieść, też macie rozpieprzyć

i przysypać rudą.

– Oszalałeś? – oburzył się Dupree. – To własność korporacji. Wywalą mnie z roboty, jeśli

do czegoś takiego dopuszczę.

– Obcy i tak to wszystko rozpieprzą – przypomniał mu Świącki – a ciebie EB zostawiło

tutaj na pewną śmierć, więc na twoim miejscu nie oburzałbym się aż tak bardzo.

– Skoro Obcy mają to rozpieprzyć, po co ułatwiać im robotę? – zapytał całkiem sensownie

Xavieric.

– My zrobimy demolkę kontrolowaną – wyjaśnił kapitan. – Oni przypieprzą w ten krater

rdzeniami kinetycznymi i wyślą całą tę rudę na niską orbitę. Wasze dzieci latami będą ją

zbierały rękami do koszyków, zanim usypiecie sobie znowu kilka takich gór.

– Dobra... – Dupree załapał. – To nawet niezły pomysł. Może uda mi się tym sposobem

oblaskawić prezesów. Zaoszczędzimy im kolejne tryliony kredytów.

– Ty im zaoszczędzisz, Xavieric. To twój pomysł, gdyby co. Mnie do tego nie mieszaj.

Jakbym ja to zaproponował, admiralicja musiałaby zapytać twoich prezesów, zanim

wyraziłaby zgodę, a na to nie mamy czasu. I podeślij jednak ten grawiolot. Jeśli wszystko ma

mieć ręce i nogi, muszę skontaktować się ze sztabem.

– Robi się.

=== =

DZIEWIĘTNAŚCIE

System Anzio, Sektor Zebra,

24.10.2354

– Czy wyście zupełnie oszaleli, Święcki? – Rutta poczuł się znowu tak, jakby miał déjà vu.

Każda rozmowa z kapitanem zmierzała nieuchronnie do momentu, w którym padało

artykułowane w takiej czy innej formie dramatyczne pytanie.

– Nie, pułkowniku, wręcz przeciwnie, mojej głowie nic nie dolega.

– Naprawdę? – Rutta opadł ciężko na oparcie fotela. – Zapakowaliście półtora tysiąca

cywilów na pokład Cervantesa i uważacie, że to nie dowód niepoczytalności? A co będzie,

jeśli admiralicja każe wam walczyć?

– Będziemy... walczyć – odparł po chwili wahania Święcki.

– Hę? – Pułkownik domyślał się, że to nie było przypadkowe zająknięcie.

– Nie wiem, czy zdążę wrócić na pokład – odpowiedział Henryan.

Kłamał. Doskonale wiedział, że nie będzie go na krążowniku, gdy ten wykona skok

w nadprzestrzeń. Cervantes leciał już w kierunku strefy skoku, a on zamierzał zostać na

księżycu przez jeszcze dwie godziny, do zakończenia ewakuacji. Potrzebował tylko dobrego

usprawiedliwienia i chyba je znalazł.

– Co takiego? – Pułkownik eksplodował po raz kolejny. – Zamierzacie do tego wszystkiego

zdezercerować?

– W żadnym razie – zaprotestował kapitan. – Mam jednak problem. Z ludźmi. Gdy zwinę się

z księżyca, robotnicy porzucą sprzęt i zajmą się ratowaniem własnych tyłków. A jeśli

zrozumieją, że ich tutaj porzucamy, może dojść do aktów sabotażu. Nie chciałby

pan chyba,

pułkownika, żeby jakiś desperat wpięprzył się wahadłowcem w dysze rdzeniowca?

Rutta posłał mu mordercze spojrzenie. Wiedział, że taka właśnie wersja znajdzie się

w raporcie jego protegowanego.

– Kiedyś przeszarżujecie – rzucił kąśliwie po tym, jak już otarł dłonią twarz z potu. – A ja

nie będę was wtedy bronił.

On także kłamał. Nie rozumiał do końca polityki admiralicji. Według jego szacunków na

Rubieżach znajdowała się wystarczająca liczba jednostek cywilnych, by mogli przeprowadzić

pełną ewakuację wszystkich systemów. Jednakże Rada nie zgadzała się na uruchomienie całej

machiny. Na każdy kolejny wniosek kierowany w tej sprawie sztab otrzymywał odpowiedź

odmowną, szybką i zwięzłą, choć na znacznie ważniejsze decyzje musieli czekać całymi

godzinami, a nawet dniami.

Tak naprawdę Rutta podziwiał upór Święckiego i jego zaangażowanie. Nie znał wszystkich

szczegółów i wolał o nie na razie nie pytać, ale podejrzewał, że za kilka godzin w kolonii na

Ulietcie przestanie się roić od zdesperowanych ludzi. I to mu się podobało. Czułby ogromny

niesmak, gdyby Federacja zostawiła na pewną śmierć dziesiątki tysięcy górniczych rodzin. Co

nie znaczy, że nie musiał się trzymać oficjalnej linii.

– Na osłodę powiem panu, pułkowniku, że dyrektor kopalni wpadł na genialny pomysł.

– Słucham – rzucił zrezygnowanym tonem Rutta, spodziewając się kolejnego powodu do

wybuchu.

– Gdy tylko ejektory przestaną działać... a pierwszy z nich rozleci się lada moment... ekipy

burzące przystąpią do niszczenia infrastruktury na składowiskach.

– I czemu to ma służyć? Obcy zrobią to skuteczniej niż wy... – Nagle dotarło do niego, co

właśnie powiedział kapitan. – On wie?! – Zsinił na twarzy, tak mu skoczyło ciśnienie. Poczul

też ukłucie w okolicach nadgarstka. Sytuacja była na tyle poważna, że automed kombinezonu

zaaplikował środek uspokajający. Rutta żył przez ostatnie kilka dni w tak ogromnym stresie, że

nie nadążał z uzupełnianiem dozowników.

– Tak – potwierdził Henryan. – Musiałem go wtajemniczyć, ale może pan być spokojny,

Xavieric nie piśnie słowa. Ma motywację.

– I jak ja mam to wytłumaczyć admiralicji? Czego nie zrozumieliście w wyrażeniu: ściśle

tajne?

– Nie jestem technikiem, pułkowniku. Sam nie zdołałbym opracować planu uratowania

składowisk rudy...

– Więc to jednak wasz pomysł! – nie wytrzymał Rutta.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Facet zbierze pochwały od zarządu korporacji i będzie

ustawiony do końca życia, a my nie musimy przechodzić całej drogi służbowej. Poza tym, o ile

się nie mylę, dawny zarząd kolonii został poinformowany o sytuacji na kilka dni przed

atakem, więc nie ja pierwszy powinienem beknąć za złamanie tajemnicy.

Lek działał szybko, a do tego w tak małym stężeniu na szczęście nie otępiał. Choć

rozmówca mógł jeszcze nie zauważyć, że pułkownik powoli odzyskuje naturalną barwę,

faktem było, że Rutta zaczął reagować spokojniej.

– Nadal nie rozumiem, co nam to da – powiedział. – Oni bombardują wszystkie cele, tego

też więc nie ominą.

– I dlatego musimy ich uprzedzić. – Świątki uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie

sposób. – Jeśli w kraterach nie będzie żadnych instalacji, nie dojdzie do ataków.

– A jakie to ma dla nas znaczenie?

– Przy tak małym ciężeniu uderzenie licznych rdzeni kinetycznych rozpirzy składowaną rudę

po połowie księżyca. Nie zapominajmy, że po zakończeniu załadunku zostanie jej tu jeszcze

trzydzieści albo czterdzieści milionów ton.

Rutta zaśmiał się, a potem pogroził mu palcem.

– Zanim Xiao każe was rozstrzelać za próbę dezercji, dostaniecie od nas wiadro medali

i pewnie okolicznościowy dyplom od EB – rzucił szczerze rozbawiony. – Wymyślcie mi

jeszcze na poczekaniu, jak zmusić ma'lahnów do zmiany kierunku natarcia, a wystąpię

o pochowanie waszych szczątków na Ziemi. Na koszt sztabu metasektora.

Święcki spojrział na niego dziwnie. Chyba zaczynał zauważać różnicę, ale nie skomentował

tego w żaden sposób.

– Oni atakują... – Zamilkł, przypomniawszy sobie rozmowę z Fitzem. – Moim skromnym

zdaniem Obcy wybierają cele ataku, kierując się odczytami aktywności widmowej, i to

w pełnym spektrum.

– Mówcie dalej, Święcki. – Pułkownik splótł palce i oparł na nich brodę.

Stanowczo zachowuje się dziwnie – uznał Henryan.

– Ich sondy pojawiają się w kolejnych systemach na kilka sekund, rejestrują wszystkie

sygnały i znikają. Na tej podstawie Obcy budują sobie obraz sytuacji nie tylko

w odwiedzanym układzie planetarnym, ale i w sąsiednich systemach. Ten cały

Bourne, którego

wyśondowali, specjalizował się w uzbrojeniu i stąd zapewne ich doskonałe rozeznanie

w temacie, jednakże człowiek ten nie mógł mieć wielkiego pojęcia o kolonizacji Rubieży. Nikt

z nas nie studiuje dla przyjemności astroatlasów. Sprawdzamy tylko te systemy, do których się

udajemy. Dlatego uważam, że oni wybierają kolejne cele ataku, kierując się ilością szumu

informacyjnego w tle... – Znów zamilkł, tym razem zdziwiony, że nikt wcześniej na to nie

wpadł. – Chodzi nie tylko o transmisje wewnętrzsystemowe, ale też o sygnały napływające

z sąsiednich układów planetarnych.

– To da się łatwo sprawdzić – rzucił pułkownik, wpisując kilka komend do komputera.

Zanim otrzymał wyniki, przypomniał sobie jedną z porad, na której omawiali ten problem, ale

pod zupełnie innym kątem. – Jesteście pieprzonym geniuszem, Świącki – mruknął jeszcze

i rozłączył się bez pożegnania.

Henryan siedział przez dłuższą chwilę na fotelu odizolowanego stanowiska łączności

w kopule zarządu kopalni. W życiu nie widział przełożonego w takim opłakanym stanie.

Domyślił się szybko, że wielki admirał nakazał monitorowanie stanu zdrowia

wszystkich

wyższych oficerów biorących udział w pracach sztabu, ale nigdy nie posądziłby Rutty o tak

małą odporność psychiczną. Sam działał pod jeszcze większą presją, a jedynym wspomagaczem był dla niego alkohol... W tym momencie Henryan uświadomił sobie, że

w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin wypił więcej niż przez cały miniony miesiąc.

W sztabie metasektora nikt nie serwuje tak wymyślnych i drogich trunków – pomyślał. –

Ponieważ Rutta z racji zajmowanego stanowiska znajduje się w centrum zainteresowania

wierchuszki, stres musi go zżerać sto razy szybciej.

Z tą myślą sięgnął do klawiatury, by wywołać Fitzę.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał.

– Zła wiadomość jest taka, że udało mi się znaleźć tylko jedenaście tysięcy chętnych na

przeczekanie w jaskiniach – odpowiedział szef pionu badawczego.

– A dobra?

Olivernest uśmiechnął się krzywo.

– Dzięki pańskim staraniom trzy tysiące ochotników musi wrócić z gór.

– Jest aż tak dobrze? – Święcki pokręcił głową.

– Nie sprawdza pan raportów?

– Mój komputer nie nadąża z ich segregowaniem, a ma o wiele lepszą i

pojemniejszą

pamięć niż ja.

– Udało się panu, kapitanie. – W głosie Fitz’a dało się wychwycić niekłamany podziw. –

Zaraz po pamiętnej kolacji szacowaliśmy z Ninadine, że na Delcie zostanie co najmniej

osiemdziesiąt, a może i sto tysięcy ludzi. Pan sprawił, że wyszliśmy oboje na durniów, ale

przyznaję szczerze: po raz pierwszy cieszy mnie to, że ktoś udowodnił mi swoją wyższość.

– Dzięki – bąknął mile połechtany Świątki.

– To my dziękujemy.

– Panna Truffaut zostaje? – zainteresował się Henryan.

– Niestety nie. Namawiałem ją gorąco, ale wie pan, jacy są dzisiejsi prawnicy. Życie

jaskiniowców, te wszystkie maczugi i krzesanie ognia, nie bardzo im pasuje.

– Leci w którymś z habitatów?

– Nie. Przydzielono ją na przerobiony transportowiec numer czterysta sześć. Jest już na

orbicie, nawiasem mówiąc. Kazała pana pozdrowić.

Świątki zakonotował sobie, że w pierwszej wolnej chwili powinien nawiązać łączność z tą

jednostką. Był Ninadine winien choć tyle za okazaną gościnność i nieocenioną pomoc. Bez

niej nie dałby sobie rady.

– A jak wygląda sytuacja w jaskiniach? – zapytał, zmieniając temat.

– Za godzinę odlatuje ostatni transport zawróconych. Potem schodzimy pod ziemię

i zarządzamy kompletne zaciemnienie. Cała elektronika znajduje się siedemset kilometrów od

nas. Jeśli ocaleje, będzie dobrze. Jeśli ją stracimy, pozostanie nam liczyć na wasz szybki

powrót.

– Zrobię wszystko, by zorganizować wam transport, jak tylko liniowce opuszczą ten system.

– Módlmy się zatem, żeby Obcy nie wymacali też reaktora.

Kolejnym pomysłem szefa pionu badawczego było szybsze i kompletne wygaszenie

reaktora. W tym momencie resztki kolonii funkcjonowały tylko dzięki awaryjnym źródłom

energii. Ich nikt nie miał zamiaru wyłączać. Miały dodatkowo mylić wroga, odciągając jego

uwagę od ukrytego głęboko pod powierzchnią morza tokamaka.

– W świetle naszych ostatnich odkryć nie polecałbym modlitw – rzucił radosnym tonem

Święcki.

Wiadomość o tak małej liczbie pozostających na Delcie kolonistów poprawiła mu humor,

ale tylko do chwili, gdy uświadomił sobie, jak wielkie ryzyko podejmują ci ludzie.

=== =

DWADZIEŚCIA

Dziewięćdziesiąt siedem minut po godzinie zero. Wróg nadal nie pojawił się na Ulietcie,

lecz teraz nie miało to już wielkiego znaczenia. Operacja została zakończona pomyślnie.

Ostatni ejektor uległ awarii kwadrans przed wyznaczonym terminem. Minutę później przestał

istnieć. Ekipa korporacyjnych inżynierów mogłaby nauczać saperów w niejednej akademii

wojskowej. Świątki był pod wrażeniem zniszczeń, jakie ujrział na składowiskach rudy. Bloki

załadunkowe i tory dział elektromagnetycznych zniknęły z powierzchni księżyca, jakby nigdy

ich tam nie było. Przy tak małym przyciąganiu szczątki będą opadały jeszcze przez godzinę

albo dłużej, pokrywając ogromną przestrzeń, dzięki czemu same kratery nie staną się celem

ataku.

Tuziny czekających na moment eksplozji megabuldożerów zasypały dymiące jeszcze kratery

górami pozostawionej rudy, by dosłownie kilka minut później spocząć razem z przewożącymi

je transporterami na cmentarzysku ciężkiego sprzętu, które urządzono w pośpiechu wiele

kilometrów od składów, a za to jak najbliżej lądowiska.

W tym samym czasie zakończono akcję ewakuacyjną. Gigantyczny rdzeniowiec

opuścił

orbitę natychmiast po przyjęciu ładunku z ostatniego kontenera. Święcki postanowił

wykorzystać szansę i skierować masowiec do tunelu czasoprzestrzennego, aby ruda dotarła do

Systemów Centralnych w jak najkrótszym terminie. Ta opcja bowiem wydawała mu się coraz

bardziej realna. Jeszcze pół godziny i będzie miał na koncie kolejny sukces, o ile rzecz jasna

przed dotarciem masowca do strefy skoku na Ulietcie nie pojawią się Obcy.

Dyżurni z Cervantesa monitorowali sytuację. Na razie mierniki van Vogta milczały, co

znaczyło, że w ciągu najbliższych kilku minut nic i nikt nie pojawi się w przestrzeni Ulietty. To

cieszyło kapitana. Dwa i pół tysiąca górników, którzy pozostali na księżycu, by zamaskować

składy, miało bowiem dogonić rdzeniowiec po drodze, lecąc na pokładzie ostatniego

przerobionego korporacyjnego transportowca. Gdyby gigant wykonał skok teraz, ludzie,

którym tyle zawdzięczała Federacja, zostaliby skazani na pewną śmierć.

Wahadłowiec Henryana został przejęty przez jeden z niszczycieli eskadry, specjalnie

ściągnięty w tym celu na orbitę Deltę. Rutta uparł się, że dowódca krążownika i całej operacji

nie może zniknąć sztabowi z oczu, a już zwłaszcza w czasie ostatniej,

decydującej fazy

odwrotu, podczas której tyle jeszcze mogło się wydarzyć.

Mijały minuty i kwadranse, a pilnujące strefy skoku jednostki wciąż nie przekazywały

meldunku o wykryciu drgań. W końcu, sto siedemnaście minut po godzinie zero, Świącki

zobaczył holograficzne zatroskane oblicze Javiernesto.

– Czujniki wykryły zbliżający się transfer – zameldował komandor. – Mamy jeszcze sześć

minut do skoku.

Henryan spojrział na symulator. Wektor rdzeniowca świecił krwistą czerwienią, ale to go

teraz najmniej interesowało. Odszukał wzrokiem właściwą linię i zaklął.

– Górnicy są dziewięć minut od rdzeniowca – rzucił, wprowadzając do urządzenia nowe

dane.

Chciał sprawdzić, ile czasu uda mu się zyskać, jeśli zmieni kurs i spowolni giganta. Linia

łącząca obie jednostki uległa skróceniu, lecz koloru nie zmieniła. Wprowadził następną

korektę, tym razem maksymalnie opóźniając skok. Wektor zapłonął uspokajającą zielenią.

Świącki sprawdził, jak blisko wroga znajdują się obie jednostki. Transportowiec może

przycumować na dwanaście sekund przed znalezieniem się w polu ostrzału, przy założeniu, że

liniowce nie rozwiną większej prędkości, niż zaobserwowano dotychczas. Nike, niestety, nie

wiedział nic o ich maksymalnych osiągnięciach ani uzbrojeniu, a te dane były teraz najistotniejsze.

Henryan poczuł zimny pot na karku.

– Co robimy? – zapytał równie zdenerwowany Hines.

Święcki się zawahał. Wcześniej zdążył obmyślić przeróżne warianty, ale żaden nie zakładał

tak małego marginesu błędu. Dwanaście sekund to mniej niż nic, mimo że wróg powinien być

wciąż ponad pięć i pół miliona kilometrów od zautomatyzowanego masowca, gdy ten wykona

skok w podprzestrzeń.

– Ja bym zaryzykował – rzucił niezbyt pewnym tonem.

Komandor milczał. Obaj zdawali sobie sprawę z reperkusji ewentualnego niepowodzenia.

Bez tej rudy Federacja nie zdoła powstrzymać floty Obcych. Razem z ładunkiem życie tracą

dziesiątki tysięcy kolonistów, których ratował przez ostatnie dwie doby z narażeniem własnej

kariery, a kto wie, czy nie wolności. Na drugiej szali spoczywały losy dwóch i pół tysiąca

bohaterów. Inaczej nie mógł myśleć o mężczyznach i kobietach, którzy znając stawkę,

pozostali do samego końca na swoich stanowiskach.

– Zrobimy, co każesz – stwierdził Javiernesto – ale proszę, przemyśl dobrze tę

sprawę.

– Nie możemy ich zostawić na pewną śmierć.

– Stawiasz na szali życie milionów, a może i miliardów ludzi – przypomniał mu Hines.

– Wiem.

Święcki poczuł nagle ogromny żal, że uległ Rutcie i w ostatniej chwili zmienił plany. Gdyby

znajdował się teraz na pokładzie transportowca numer czterysta siedem, mógłby z czystym

sumieniem wydać rozkaz wykonania skoku. Zginąłby razem z ludźmi, których zawiódł. Tak

byłoby uczciwiej i sprawiedliwiej dla obu stron.

– Decyduj – ponaglił go komandor.

– Co mówią odczyty?

– Nadlatują co najmniej cztery obiekty.

Cztery liniowce. Eskadra Cervantesa nie dałaby rady nawet jednemu, ale mogłaby go

odciągnąć, gdyby... Nie, nie mogłaby. Żaden trzeźwo myślący człowiek, a tym bardziej

zaawansowany cywilizacyjnie kosmita nie połąkowałby haczyka i nie połakomiłby się na

kilkanaście podrzędnych celów, mając na wprost nosa takiego giganta.

– Podejmiemy to ryzyko – obwieścił grobowym tonem, wysyłając zautomatyzowanemu

rdzeniowcowi rozkaz zmiany kursu.

– Jesteś pewien? – Javiernesto wyglądał, jakby kazano mu rozstrzelać własną rodzinę.

– Ja dowodzę pionem operacyjnym – przypomniał mu Henryan. – Na mnie spadnie pełna

odpowiedzialność w razie...

– Obudź się, człowieku! – nie wytrzymał komandor. – Wszyscy trafimy do kolonii karnych,

jeśli ten ładunek nie dotrze do celu.

Miał rację. Rada oszaleje. A zależna od niej admiralicja na pewno nie będzie

powstrzymywała furii pani kanclerz i jej przydupasów. Bardziej prawdopodobne było, że

Xiao doleje oliwy do ognia, jak mawiali starożytni.

– Zaufaj mi – poprosił Święcki.

– Henryan, wiem, że ciężko ci będzie żyć ze świadomością porzucenia tych górników, ale

zadaj sobie proste pytanie: jak poczujesz się, kiedy stracimy nie tylko ich, ale też pozostałe

osiemdziesiąt dziewięć tysięcy ewakuowanych?

– Nie jestem szalony, Javiernesto – odparł ze spokojem kapitan. – Nie mam zamiaru

podejmować niepotrzebnego ryzyka.

– A jak nazwiesz próbę opóźnienia skoku? Jak dla mnie to czyste szaleństwo. I niepotrzebne

ryzyko. Ci ludzie wiedzieli, na co się piszą – przypomniał. – Zrozumieją naszą decyzję.

– Nie. Nie rozumieją. Przecież oni nie wiedzą nawet, o co tu tak naprawdę chodzi. Nadal

sądzą, że uciekamy przed eksplozją supernowej.

Hines milczał. Jemu też nie spodobała się zagrywka admiralicji, ale z czasem zrozumiał, że

szerzenie paniki w koloniach dalszych pasów przyniosłoby więcej złego niż dobrego. Ci

górnicy przekonają się jednak na własnej skórze, i to już niedługo, jaką dziwką bywa flota.

Umrą, złorzecząc zapewne Święckiemu i wszystkim innym mundurowym.

– Co zamierzasz? – zapytał w nadziei, że uda mu się wyperswadować koledze tę decyzję.

– Spróbujemy ich opóźnić. Podciągnij wszystkie jednostki jak najbliżej strefy skoku, idźcie

pod płaszczyznę ekliptyki, wektor dwieście siedemdziesiąt stopni w stosunku do aktualnej

pozycji rdzeniowca – mówiąc, wpisywał kolejne dane do symulatora.

– Trzymamy się starego planu? – zapytał komandor.

– Tak, ale z dużymi modyfikacjami. Podlecimy bliżej. Będziemy agresywniejsi. Jeśli ich

sprovokujemy...

Hines przyglądał się planowi kapitana, kręcąc głową.

– ...stracimy większość okrętów – dokończył za niego.

– Nie – zaprzeczył Henryan. – Zobacz.

Ostatnia modyfikacja została przesłana. Javiernesto uśmiechnął się kpiąco.

– Sprytnie – przyznał.

Święcki szedł na całość. Gdy liniowce wyjdą z nadprzestrzeni, ich dowódcy zobaczą

znajdującą się o pół sekundy świetlnej, szarżującą eskadrę. Niszczyciele zaczną odpalać

rdzenie na pięć sekund przed pojawieniem się pierwszego t'iru w systemie, aby zmaksymalizować chaos. Cervantes także pozbędzie się całego zapasu rakiet, w tym

dziesięciu torped nuklearnych. Co więcej, krążownik i jego eskorta będą leciały tuż za gradem

pocisków, prosto na wychodzących ze studni grawitacyjnej Obcych. Ten manewr powinien być

tak zaskakujący, że zmusi wroga do zmiany kursu, a każda sekunda zaangażowania w to starcie

oznaczać będzie pięciokrotnie więcej czasu kupionego górnikom. Największe zaskoczenie

spotka jednak Obcych, gdy okręty ludzi wejdą w pole rażenia i zamiast wyparować...

wykonają skok w podprzestrzeń.

– Zwracam honor – rzucił komandor po przeprowadzeniu dwukrotnej symulacji.

– Miejmy

nadzieję, że to zadziała.

– Ty dałbyś się oszukać – rzucił z uśmiechem na twarzy Święcki. – Ja pewnie też, a to dobry

prognostyk.

– Obyś miał rację.

– Obyś miał szczęście.

Tymi słowami się pożegnali.

=== =

DWADZIEŚCIA JEDEN

Święcki zasiadł na stanowisku dowodzenia pionu operacyjnego Chrisadora Duncana,

niszczyciela wysłanego po niego na księżyc. Oficer, do którego należał ten fotel, ustąpił mu

miejsca bez słowa. Zdawał sobie sprawę, o jaką stawkę toczy się ta gra i jakie ryzyko

podejmuje cała eskadra. Wszyscy trzymali kciuki za powodzenie planu kapitana. A już tylko

sekundy dzieliły ludzi od rozpoczęcia starcia z niepokonanym dotąd wrogiem.

– Sześć sekund do wyjścia pierwszego obiektu... Otwarto ogień zaporowy – informował

grobowym głosem wachtowy.

Był to naprawdę stary zwyczaj, przeżytek pamiętający czasy okrętów pływających po

morzach i oceanach Ziemi. Komputery szybciej i dokładniej podawały dane, zwłaszcza

łączami kwantowymi, jednakże nikt nie kwapił się do zmian w regulaminie, podobnie jak nie

było chętnych, by przekreślić inne tradycje floty, takie jak choćby wybijanie dzwonem pełnych

godzin.

– Trzy, dwa, jeden... – Świącki słuchał głębokiego basu, nie odrywając wzroku od

wyświetlaczy. – Kontakt.

Tuż przed wirem wektorów rakiet pojawiła się czerwona ikona. Trzy dziesiąte sekundy, tyle

czasu pozostało załodze liniowca na reakcję. Mgnienie oka wystarczyło jednak systemom

obrony Obcych do namierzenia celów i otwarcia ognia. Wyświetlacze zalały szybko

przepływające strumienie danych. T'iru walczył jak szalony, ale nie miał szans z tak wielką

nawałą ognia. Jego ekrany zapłonęły bielą tysiąca eksplozji, które zlały się natychmiast

w jedną oślepiającą łunę.

Świącki nie wiedział, czy o sukcesie przesądził zbyt krótki czas na reakcję, czy też plazma,

w jaką zamieniały się kolejne dziesiątki wyparowujących rdzeni, oślepiła w końcu systemy

obrony t'iru. Liczyło się tylko to, że efekt ludzkich działań był piorunujący. Po raz pierwszy

w historii tego konfliktu pola siłowe chroniące okręt Obcych zostały pokonane, a stało się to

na ułamek sekundy przed nadzianiem się t'iru na drugą falę ognia zaporowego. Czujniki

zwariowały, potem rozległy się wrzaski ludzi. Wszystkie torpedy nuklearne Cervantesa

dotarły do niechronionego tarczami celu. Liniowiec przeleciał z impetem przez szybko

rozpraszające się kule atomowego ognia i... zaczął wyraźnie zwalniać.

Święcki nie miał czasu na wyrażanie radości. Drugi t'iru pojawił się właśnie w normalnej

przestrzeni. Jego także zasypał grad pocisków, ale nie mający porównania z nawałą ognia, na

jaką trafiła czołowa jednostka. Trzeci liniowiec załapał się na resztki ostatniej salwy. Czwarty

nie musiał nawet aktywować systemów obrony.

Wszystko to jednak miało niewielkie znaczenie. Pierwszy okręt wroga wypadł z szyku. Nie

został zniszczony, choć wstępne analizy wskazywały, że w kilkunastu miejscach doszło do

rozszerzenia zewnętrznego pancerza, co w połączeniu ze skażeniem promieniotwórczym

wystarczyło do wyłączenia tej jednostki z akcji. Przynajmniej chwilowo, ponieważ

dowodzący nią ma'lahn nadal w pełni panował nad swoim okrętem.

Święcki powiększył wybrany fragment pola walki. Wpatrywał się intensywnie w wektory

nadlatujących t'iru. Drugi liniowiec właśnie zaczął zmieniać kurs, szykując się do starcia

z okrętami ludzi. Trzeci poszedł jego śladem. Czwarty...

– Skurwykloni pomiot bioprotezy – zaklął pod nosem Henryan.

Ostatni liniowiec, podobnie jak uszkodzona jednostka, oderwał się od formacji

wchodzącej

na kurs przejścia eskadry Cervantesa. Podstęp nie zadziałał. To, że trzy t'iru zostały

odciągnięte od rdzeniowca, nie miało znaczenia. Samotny Obcy nie będzie miał żadnego

problemu ze zniszczeniem pozbawionego broni i tarcz frachtowca. Ludzie zarobili dzięki tej

akcji trzy sekundy, czyli tyle co nic. Świadomość porażki stłumiła rodzącą się gdzieś w głębi

serca radość.

– Eskadra wykonała skok – zameldował moment później wachtowy, próbując przekrzyczeć

wiwatujących wciąż kolegów.

– Łączcie mnie z czterystasiódemką – rozkazał Święcki, otaczając stanowisko dowodzenia

ekranami izolacyjnymi.

Na panelu przed nim pojawiła się twarz dyrektora kopalni. Henryan rozmawiał z nim przed

chwilą, zaraz po zakończeniu połączenia z Cervantesem. Nakreślił mu szczerze aktualną

sytuację. Tylko tyle mógł zrobić.

Dupree był blady jak kreda, gdy słuchał kolejnej krótkiej przemowy kapitana.

– Margines bezpieczeństwa zwiększył się do piętnastu sekund – zakończył ponurym tonem

Henryan. – Liniowiec, który leci w waszym kierunku, na razie nie przekroczył zakładanej

prędkości, więc mamy jeszcze szanse.

Xavieric oblizał spierzchnięte wargi.

– Na razie o problemie wiem tylko ja i piloci – powiedział zduszonym głosem. –
Uznałem,

że tak będzie lepiej.

– Rozumiem. – Święcki z każdą chwilą coraz bardziej szanował tego człowieka.

Jeśli coś pójdzie nie tak, dwa i pół tysiąca górników, z których wielu dyrektor
kopalni znał

osobiście, ostatnie chwile życia spędzi w spokoju, ciesząc się do ostatka z
wykonania

niemożliwej misji. Tak, Dupree miał rację, nie powinno im się tego odbierać
nawet w imię

ujawnienia gorzkiej prawdy.

– Zrobiliście, co w waszej mocy – dodał Xavieric. – Teraz wszystko jest w
rękach Boga.

Problem w tym, że to właśnie Stwórca zamierza pozbawić nas życia – pomyślał
Henryan,

ale nie odważył się powiedzieć tych słów na głos.

– Spróbuję kupić wam jeszcze moment – rzucił butnie, biorąc się w garść.

– Jak?

– Zaatakujemy ten liniowiec.

Duncan znajdował się mniej więcej w tej samej odległości od punktu skoku co

rdzeniowiec, przy czym od rdzeniowca dzieliło go tylko kilkanaście stopni
kątowych. Może

Obcy zechcą zejść nieco z kursu, żeby najpierw pomścić swojego towarzysza.

Na wspomnienie uszkodzonego t'iru Świącki wrócił na moment do odczytów z pola bitwy.

Sonda przekazująca transmisję kwantową wciąż działała. Obcy zignorowali ją, prąc

w pierwszej kolejności na atakujące ich okręty. Po ich niespodziewanym zniknięciu zmienili

ponownie kurs, ruszając prosto na rdzeniowiec. Stracili jednak ponad osiem sekund i na

pewno nie zdążą. Uszkodzony t'iru leciał ostatni, zostawał też coraz bardziej w tyle. To jednak

nie cieszyło kapitana, choć powinno.

Sprawdził, jak wygląda sytuacja na drugim polu walki. Rdzeniowiec znajdzie się w zasięgu

skutecznego ognia Obcych za trzydzieści siedem sekund. Transportowiec hamował już od

dłuższej chwili, wchodząc na kurs zbliżeniowy z wybraną ładownią.

Henryan zacisnął kciuki.

– Dacie radę – wycharczał, nie zdając sobie sprawy z tego, jak mocno zaciska szczęki.

Trzydzieści jeden sekund... Zamarł, podobnie jak Dupree.

W miejscu, gdzie znajdował się do tej pory rdzeniowiec, obaj widzieli tylko pustkę.

– Co jest, kurwirtual? – Kapitan rzucił się do klawiszy. – Kto śmiał zmienić moje rozkazy!?

– wrzasnął, przechodząc na kanał ogólny. – Kto?! Każę rozstrzelać skurwyklona,

a potem

rozerwę jego zwłoki własnymi rękami!

– Henryan...

– Łączcie z admiralicją! – gorączkował się Świącki. – Natychmiast!

– Henryan!

Podniósł wzrok na wyświetlacz.

– Nie rozumiem, jak do tego mogło dojść. Moje rozkazy...

– To jednostka należąca do korporacji – zaczął wyjaśniać Xavieric. – Twoje rozkazy nie

mogły anulować nadrzędnych protokołów bezpieczeństwa.

– Jakich znowu protokołów? – pieklił się Świącki.

– Firma zabezpieczyła się na każdą okazję. To zautomatyzowany masowiec.

Zaprogramowano go w taki sposób, by odleciał z Ulietty, kiedy stopień zagrożenia wzrośnie

ponad dopuszczalny poziom. Widocznie ostateczną granicą było te trzydzieści sekund. Nasi

przełożeni nigdy nie dbali o ludzi, tylko o zysk.

– Każę postawić ich pod sąd! – nie odpuszczał Henryan. – Zapłacą za tę zbrodnię głowami!

– Przyjacielu, daj spokój – poprosił Dupree. – Zostało nam tylko kilka sekund. Chcę ci coś

powiedzieć, zanim odejdę.

Świącki usiadł prosto z otwartymi ustami. W oczach miał łzy.

– Zawiodłem was – wyszeptał. – To moja wina. Gdybym nie wymyślił tej demolki...

– Mylisz się. Służenie pod twoimi rozkazami było dla nas wszystkich zaszczytem. Pamiętaj

o tym, czego razem dokonaliśmy. – Cywil zasalutował niezdarnie, jak ktoś, kto nigdy

wcześniej tego nie robił. – Żeg...

Transmisja została przerwana, ale Henryan nie opuścił ekranów izolacyjnych.

– Wykonać skok – rozkazał przez zaciśnięte zęby.

=== =

EPILOG

=== =

JEDEN

Trinity 44, Sektor Zebra,

27.10.2354

Ninadine podeszła do oficera stojącego przy luku. Przyłożyła dłoń do rozgrzanego panelu

skanera. Na wyświetlaczach stanowiska kontrolnego pojawiły się jej dane.

– Dziękuję, panno Truffaut. – Mundurowy podał jej kartę kodową z dokumentami transferu.

– Proszę przejść na terminal numer siedemset dwadzieścia sześć.

Stacja tranzytowa w systemie Trinity 44 przyjęła wszystkich nadprogramowych uchodźców

z Ulietty, choć nawet w jej gargantuicznym korpusie trudno było znaleźć miejsce

dla tak

ogromnej rzeszy pasażerów. Wojskowy zarząd dwoił się więc i troił, by jak najszybciej

rozwiązać ten problem. Transportowce floty i przejęte jednostki pasażerskie odlatywały co

chwile, zabierając po kilkudziesięciu, czasem nawet kilkuset pasażerów, by przewieźć ich do

nowych tymczasowych ojczyzn.

W nadawanych bez przerwy komunikatach dowództwo informowało, jak wyglądają

procedury, gdzie znajdują się punkty rejestracyjne, jakie dokumenty trzeba okazać. Ninadine

była pod wrażeniem sprawnej organizacji. Wojsko działało jak najlepsza korporacja, było

niezawodną maszyną o milionie idealnie pasujących do siebie trybów. Zlecone flocie zadanie

rozśrodkowania ewakuowanych zostanie wykonane w najkrótszym możliwym czasie,

ponieważ w kolejce do ramion cumujących stały już kolejne jednostki z mieszkańcami innych

zaatakowanych kolonii. Na ich pokładach nie było jednak aż tylu pasażerów jak

w przepastnych kontenerowych pseudohabitatach.

Żołnierze, których przydzielono do nadzorowania wyładunku, oglądali z niekłamanym

podziwem pustoszące kontenery. Nie nawykli do luksusów, ale pokonanie kilku lat

światlnych w takich warunkach nawet im nie mieściło się w głowie.

To cud – uświadomiła sobie Ninadine, jadąc długim ruchomym chodnikiem na koniec

wielokilometrowego ramienia, przy którym znajdował się wskazany jej terminal – że tak

niewiele osób postradało życie podczas tej podróży. W jej habitacie zmarły tylko trzy osoby.

Dwie w wyniku nieszczęśliwego wypadku z kompresorem, trzecia doznała rozległego

wylewu. Bez lekarzy na pokładzie pozostali górnicy mogli jedynie przyglądać się ich agonii.

W sumie słyszała o dwudziestu sześciu ofiarach tej szaleńczej ucieczki, choć to na pewno nie

były jeszcze pełne szacunki. Te pozna dopiero wtedy, gdy zakończy się jej tułaczka.

Na razie miała się udać do nowo wybudowanej kolonii gdzieś na drugim krańcu Rubieży,

przy granicy z Terytoriami Wewnętrzными. Tam przyjdzie jej czekać na drugi etap transferu,

tym razem już docelowego. Zaraz po otrzymaniu przydziału wysłała ze stacji wiadomość

swoim przełożonym, informując ich, gdzie dokładnie zostanie wysłana. Liczyła, że szefowie

nie zostawią jej na lodzie jak tam, na Delcie. Pewności jednak nie mogła mieć, podświadomie

więc szykowałą się na najdłuższe w życiu wakacje.

Zasłużyłam na odpoczynek – uznała, schodząc z poruszającego się wolnym tempem

chodnika. W pomieszczeniu terminalu za przezroczystą ścianą z plastali stało już ponad sto

osób. Mijając bramkę kontrolną, Ninadine przyglądała się odwróconym w jej stronę obcym

twarzom. Nie знаła nikogo z tych umęczonych, brudnych ludzi.

=== =

DWA

Ziemia, Sektor Alfa,

27.10.2354

Kanclerz Modo wysłuchiwała raportu wielkiego admirała. Powieka jej nawet nie drgnęła, gdy

Farland podawał kolejne liczby i fakty. Rdzeniowiec wykonał skok w przestrzeń

międzysystemową, skąd natychmiast nadał komunikat. Dwie doby później pojawił się na

Trinity 44, skąd po odłączeniu habitatów z niemal dziewięćdziesięcioma tysiącami

uratowanych kolonistów wyruszył w rejs do Systemów Centralnych.

– Proszę się nie obawiać. Zorganizowaliśmy sprzęt potrzebny do przejęcia tych ludzi –

poinformowała dowódcę trzeciej floty, mierząc chłodnym spojrzeniem towarzyszących mu

wyprężonych oficerów. Rutta wyglądał na potwornie zmęczonego, a stojący obok niego

Święcki miał spuszczoną głowę. – Polecimy także admiralicji pilne kontrasygnowanie

wniosków o awanse dla kapitana i pułkownika. Rada w uznaniu zasług zdecydowała także

o odznaczeniu wszystkich panów Złotym Krzyżem Federacji. Wasz wkład jest nieoceniony.

Dziękuję w imieniu nas wszystkich.

Farland, Rutta i Święcki zasalutowali i na tym zakończono połączenie ze sztabem trzeciej

floty.

Modo usiadła wygodniej, utrzymanie postawy wyprostowanej wciąż sprawiało jej ból,

a przy tak szczególnych okazjach ograniczała dozowanie środków uśmierzających, by poddani

– jak lubiła nazywać ludzi – którym udzielała audiencji, nie zauważyli jej rozkojarzenia.

– Pomysł ze zmyleniem Obcych transmisjami z niezamieszkanymi systemów wydaje się

genialny w swojej prostocie – stwierdziła, czując błogie odurzenie w miejscach, gdzie

dozowniki wstrzyknęły jej podwójną dawkę tronixu.

– Nie do końca rozumiem, jak miałyby to zadziałać – rzucił nieprzekonany Kaup.

– To proste jak budowa lasera, przyjacielu – odezwał się natychmiast Benadetto.
– Jeśli

sondy Obcych działają na podobnej zasadzie jak nasze... a raporty Farlanda i

Rutty wskazują

wyraźnie, że w dotychczasowych podbojach ma'lahn wykorzystywali natężenie emisji fal

radiowych... możemy ich łatwo zmylić i skierować w przyszłości tam, gdzie będziemy

chcieli, czyli prosto na kolonie-przykrywki. Nagramy emisje z najbardziej rozwiniętych

systemów w innych metasektorach i zaczniemy je nadawać ze stacji umieszczonych kilka dni

światłych za systemami minus drugiego i minus trzeciego pasa. Dzięki temu Obcy, analizując

zarejestrowany szum tła, polecą tam, gdzie będzie największy ruch w eterze.

– To się dopiero okaże. – Kaup nadal nie był przekonany.

Benadetto roześmiał się chrapliwie.

– Nie mam wątpliwości, że nasi wojskowi trafili na właściwe rozwiązanie. Niepokoi mnie

tylko jedno: czy nasz skromny wkład w uprawdopodobnienie tej zmyłki nie zostanie zbyt

wcześnie odkryty i mylnie zinterpretowany.

Modo spojrzała na niego uważnie.

– Do czego pijesz, Giancarlouis? – zapytała.

– Do naszego upadłego bohatera – rzucił kąśliwie.

– Ta menda za dużo wie – poparł go Kaup.

– Damiandreas nie puści pary z ust. – Machnęła lekceważąco ręką. – Ma zbyt wiele do

stracenia...

– I tu się mylisz – wpadł jej w słowo Benadetto. – Został przez nas upokorzony, a ludzie

jego pokroju nie poddają się tak łatwo. Nie martwiłbym się o Stachursky’ego. On z pewnością

jest dzisiaj bezpieczny, ale my... Rzucenie mediom kilku łakomych kąsków, z anonimowych

źródeł rzecz jasna, to coś, czego powinniśmy się spodziewać. Nie teraz, ale za jakiś czas,

żebyśmy mieli innych, bardziej aktualnych wrogów na celowniku, gdy przyjdzie do

planowania zemsty. Tego się obawiam, moja droga, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Przecież relokacja to był jego pomysł – zachnęła się Modo.

– Tego nie będziemy mogli mu udowodnić bez publikacji nagrań, które obciążają nas

wszystkich – skontrował celnie Benadetto.

– Myślę, że to najodpowiedniejszy moment, by nasz nieodżałowany przyjaciel raczył

popęlić spektakularne samobójstwo – zaproponował Kaup. – Stary weteran nie wytrzyma

presji oskarżeń i strzeli sobie w łeb. Im szybciej to zrobi, tym mniej czasu będzie miał na

knucie – dodał.

Kanclerz przeniosła wzrok na skarbnika Federacji.

– Jestem za. Numer z przesiedlaniem ewakuowanych kolonistów bije na głowę

nawet tę

jego Kuźnię. Jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, nasze głowy potoczą się pod stopy wiwatującego

tłumnie plebsu.

– Dobrze – podsumowała Modo. – Zatem mamy jednogłośnie decyzję. Niech Rubio zajmie

się wszystkim.

Kaup sięgnął po prywatny komunikator i wpisał krótką wiadomość.

– Załatwione.

– A skoro o ewakuowanych mowa, co zrobimy z tymi stoma tysiącami dodatkowych

manekinów?

– Jak to: co? – Modo wzruszyła ramionami. – Pomysł Ruty z transmisjami rozwiąże ten

kryzys szybciej, niż myślicie. Flota zdążyła wybudować setki kolonii tam, gdzie chcemy teraz

skierować Obcych. Trzeba je gęsto zasiedlić, żeby podstęp nie wydał się za szybko.

– Nie boisz się, że coś pójdzie nie tak? – zapytał Benadetto. – To przecież ogromna masa

ludzi.

– Wolałbyś puścić ich wolno? – zakpiła Modo. – Chcesz, żeby na Terytoriach

Wewnętrznych wybuchła panika? Kto uwierzy w synchroniczne eksplozje wielu supernowych?

A wyjawienie prawdy o inwazji Obcych, których na razie nie jesteśmy w stanie

powstrzymać,

doprowadzi do nieobliczalnych skutków. Przegramy tę wojnę, zanim do niej naprawdę

staniemy. Ludzie to faktycznie bydło, ale teraz to my jesteśmy jego pasterzami i to na naszych

barkach spoczywa brzemień odpowiedzialności za uratowanie cywilizacji. Nadprogramowi

ewakuowani muszą zniknąć z radaru, a skoro tak, niech się przynajmniej do czegoś przydadzą.

Poświęcając tę garstkę, uratujemy dziesiątki, jeśli nie setki zamieszkanyc systemów. Jedno

życie za tysiąc, za milion nawet. To bardziej niż akceptowalne straty. Przyszłe pokolenia

docenią naszą ofiarność, jestem tego pewna.

– Dajcie spokój, pora na obiad, a wy gadacie bez sensu o ludziach, którzy jeśli wierzyć

raportom, zginęli kilka dni temu w pasie minus dwa. – Kaup wzruszył ramionami. – Święcki

odwalił za nas kawał dobrej roboty, działając od początku do końca w ścisłej tajemnicy. Teraz

wystarczy, że nie wycofamy w porę stacji tranzytowych... – Uśmiechnął się. – Obcy usuną

wszystkie dowody skuteczniej, niż my byśmy to zrobili, a po zasiedlonych fałszywych

koloniach nie zostanie nawet ślad.

=== =

O tomie pierwszym napisano:

„Fantastyka naukowa to ten rodzaj literatury, który albo się uwielbia, albo którego się

nienawidzi. Albo coś czytelnika pociąga w powieści, albo doprowadza do takiego stanu, że

nigdy więcej nie sięgnie on po tego typu lekturę. W tym drugim przypadku pozostaje mu tylko

żałować, że nie przeczyta Łatwo być Bogiem. (...) To bardzo ciekawa książka, która wbrew

pozorom niesie przesłanie dotyczące spraw bardzo przyziemnych, traktująca o nas – ludziach”.

Recenzje Subiektywne – Marek Bachorski-Rudnicki

„W Łatwo być Bogiem autor kreuje łatwo przyswajalną wizję przyszłości, zbudowaną

z klasycznych i dobrze znanych elementów, doprawioną odrobiną humoru, wartką akcją

i zakamuflowanym, nieco głębszym przesłaniem. (...) Szmidt serwuje bardzo popową, lekką

lekturę z atrakcyjnym zakończeniem będącą jednocześnie obietnicą znacznie większego

rozmachu i rozwinięcia zaprezentowanego świata w dalszych częściach. Warto czekać”.

www.dzikabanda.pl

„Zimny i brutalny jest wszechświat kosmicznych żołnierzy przyszłości z prozy Roberta J.

Szmidta. Nie ma w nim miejsca na czułości, przyjaźnie, związki rodzinne. Jest

misja, przymus,

odpowiedzialność i smutek. I jeszcze wola przetrwania”.

Republika Kobiet – Sylwia Skorstad

„Łatwo być Bogiem to godny uwagi kawałek literatury. Niezły sam w sobie, ale przede

wszystkim wiele obiecujący w kolejnych częściach. Jeśli Szmidt okaże się konsekwentny, to

czeka nas naprawdę świetna seria science fiction. Tego właśnie możemy i powinniśmy

oczekiwać”.

Gildia

„Dobrze, że w Polsce wydaje się takie książki. One – przynajmniej w moich oczach – ratują

obraz klasycznej SF jako tworu rozrywkowego. Poza tym Szmidt udowadnia, że nie tylko

Zachód potrafi napisać dobrą fantastykę, ale i nasi autorzy to dobry »towar«. Może nawet

eksportowy?”

Co przeczytać? – Mariusz Wojteczek

„Łatwo być Bogiem to jedna z tych książek, które oferują czytelnikowi dokładnie to, co

zapowiada okładowy blurb. Najnowsza powieść Roberta J. Szmidta rzeczywiście jest

przedstawicielem twardej fantastyki naukowej i z pewnością przypadnie do gustu wszystkim

jej miłośnikom”.

Poltergeist – Bartosz Szczyżański

„Robert J. Szmidt – człowiek, od którego zaczęło się odrodzenie polskiej fantastyki w XXI

wieku, który wymyślił i prowadził magazyn »Science Fiction«, kiedy wszyscy pukali się

w głowę, że to totalny bezsens – wydał właśnie nową książkę. (...) To bardzo dobra,

rozrywkowa space opera z ciekawymi bohaterami, wartką akcją i niepokojącymi pytaniami”.

Aleksander Kusz, szortal.com

„Sama koncepcja powieści to coś więcej niż wymiana ognia z działka laserowego w próżni

kosmicznej i spotkania pierwszego stopnia z kosmitami – Robert J. Szmidt bardzo trafnie

steruje sugestiami, które mają stworzyć swoistą piramidę zależności ludzkiej cywilizacji

wobec całego wszechświata. Autor wciąż przypomina także o samej idei boskości i tego, jak

człowiek może postrzegać siły nadprzyrodzone”.

wMeritum.pl – Patryk Wolski

„Czytam W przededniu Orsona Scotta Carda i Aarona Johnstona. Tak strasznie podobała mi

się Gra Endera, której prequelem jest ta książka. Niestety, po przeczytaniu Łatwo być Bogiem

sci-fi nie jest już takie samo... W przededniu wydaje się blade i naiwne”.

Bartek Rae Rutkowski

Opinie z portalu Lubimy Czytać (98 opinii, średnia ocena: 7,48/10)

„Z taką książką nawet najbardziej ponury dzień człowiekowi nie przeszkadza.
Żeby nie

rozwlekać: Łatwo być Bogiem to stara dobra fantastyka, ale napisana po filmowemu.

Chwilami miałem wrażenie, że oglądam rasowe SF w kinie”.

Wojtek Grabowski

„Ta powieść zupełnie mnie nie zaskoczyła. Czemu? Gdyż po tym autorze spodziewałem się

dokładnie takiej prozy: ciekawej, dynamicznej fantastyki ze znakiem wysokiej jakości, która

pod wierzchnią, rozrywkową warstwą stara się pytać o rzeczy ważne i znaczące. I to właśnie

w najnowszej książce Szmidta dostałem”.

Konrad

„A już myślałem, że polskie, klasyczne sci-fi się kończy. Otóż nie! Fabuła trzyma

w napięciu i ciekawi, opisywane rasy są fascynujące, a koniec sprawia, że chcę więcej.

Zdecydowanie na tak, godne polecenia”.

Arkadiusz

==== =

Spis treści

UCIECZKA Z RAJU

PROLOG

INWAZJA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

DZIEŃ PIERWSZY

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

DZIEŃ DRUGI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

KUŹNIA

DZIEWIEĆ

DZIESIEĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

[DZIEWIĘTNAŚCIE](#)

[DWADZIEŚCIA](#)

[DWADZIEŚCIA JEDEN](#)

[EPILOG](#)

[JEDEN](#)

[DWA](#)

[O tomie pierwszym napisano](#)

[Spis treści](#)

Strona redakcyjna

=== =

Document Outline

- [UCIECZKA Z RAJU](#)
- [PROLOG](#)
- [INWAZJA](#)
 - [JEDEN](#)
 - [DWA](#)
 - [TRZY](#)
 - [CZTERY](#)
- [DZIEŃ PIERWSZY](#)
 - [JEDEN](#)
 - [DWA](#)
 - [TRZY](#)
 - [CZTERY](#)
 - [PIĘĆ](#)
 - [SZEŚĆ](#)
 - [SIEDEM](#)
 - [OSIEM](#)
 - [DZIEWIĘĆ](#)
 - [DZIESIĘĆ](#)
 - [JEDENAŚCIE](#)
 - [DWANAŚCIE](#)
 - [TRZYNAŚCIE](#)
 - [CZTERNAŚCIE](#)
- [DZIEŃ DRUGI](#)
 - [JEDEN](#)
 - [DWA](#)
 - [TRZY](#)
 - [CZTERY](#)
 - [PIĘĆ](#)
 - [SZEŚĆ](#)
 - [SIEDEM](#)
 - [OSIEM](#)
 - [KUŹNIA](#)
 - [DZIEWIĘĆ](#)
 - [DZIESIĘĆ](#)

- [JEDENAŚCIE](#)
- [DWANAŚCIE](#)
- [TRZYNAŚCIE](#)
- [CZTERNAŚCIE](#)
- [PIĘTNAŚCIE](#)
- [SZESNAŚCIE](#)
- [SIEDEMNAŚCIE](#)
- [OSIEMNAŚCIE](#)
- [DZIEWIĘTNAŚCIE](#)
- [DWADZIEŚCIA](#)
- [DWADZIEŚCIA JEDEN](#)
- [EPILOG](#)
 - [JEDEN](#)
 - [DWA](#)
- [O tomie pierwszym napisano](#)
- [Spis treści](#)